ILUSTROWANY
KALENDARZ ZWIĄZKOWY


BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
kat. komp.
419160
1964
III

UBEZPIECZENIE NA STAROŚĆ
WYDZIAŁ KOBIET
WYDZIAŁ MAŁOLETNICH
WYDZIAŁ OŚWIATY
SZKOŁA RZEMIEŚLNICZA
KOLEGIUM Z.N.P.
PISMA ZWIĄZKOWE
BIBLIOTEKA
STOW. DOBROCZYNNOŚCI
OBRONA SPRAW POLSKI

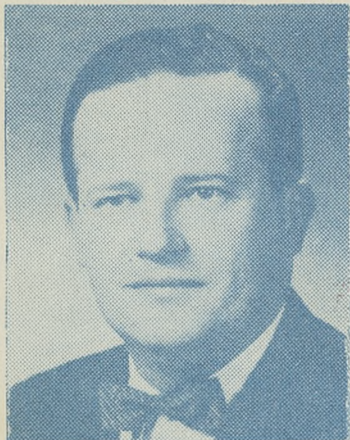
ROK 1880

P. N. A. ALMANAC

Na Rok 1964 • Cena $1.50

66-ta Rocznica — 52,000,000 Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze

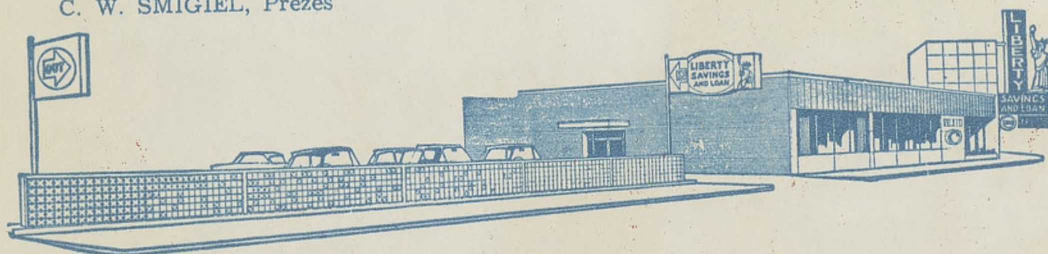

C. W. SMIGIEL, Prezes

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (4½ bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności i gdzie otrzymacie najwyższą ratę Dywidendy.

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i N I G D Y nie była ZAMKNIĘTA



Udzielamy Pożyczki Na Domy Na Łatwe Miesięczne Spłaty

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASS'N OF CHICAGO



LIBERTY BUILDING
(Milwaukee at Fullerton Ave.)

Phone EVerglade 4-4000 — **Chicago, Illinois**

C. W. SMIGIEL, Prezes i Zarządca; F. J. STERMER, Wiceprezes i Przewodniczący Dyrekcji
JAN GURBACKI, Wiceprezes

Liberty Służy Swoim Akcjonaruszom Przez 65 Lat

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki i Piątki od 9ej rano do 8ej wieczorem. Wtorki, Czwartki od 9-ej do 4-ej i Soboty od 9-ej do 12-ej w południe. W środy zamknięte cały dzień.

CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW





Kalendarz Związkowy

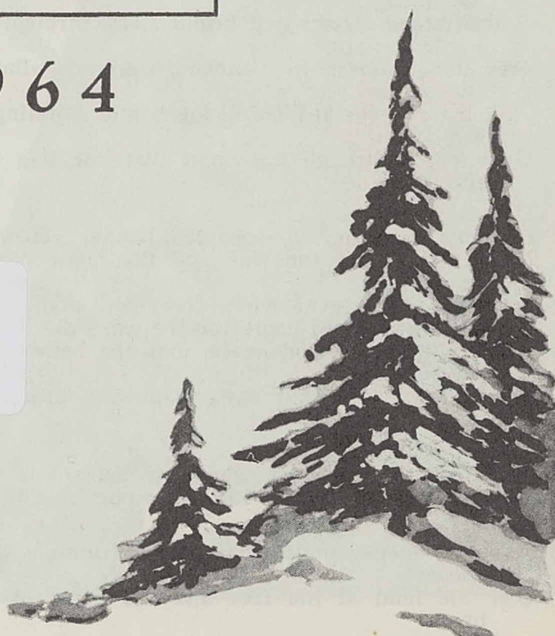
Na Rok

1964

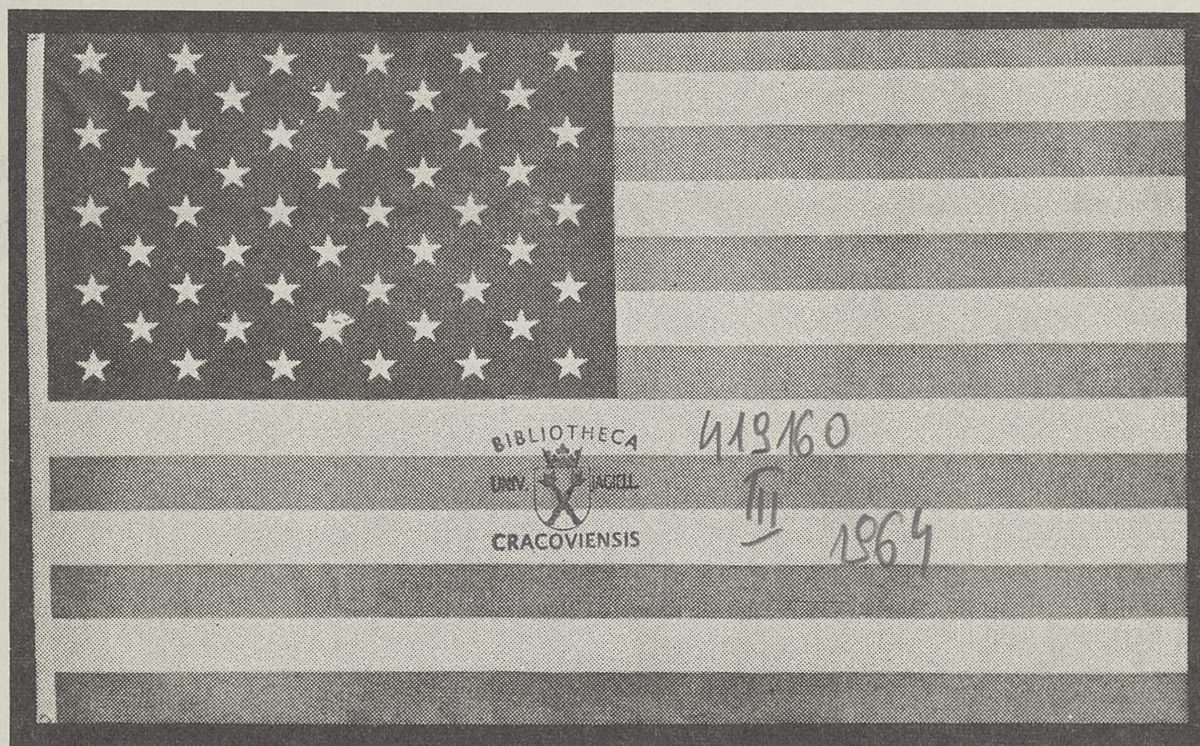
5.88
4.07
4.04
9.2.2.
4.2.5
5.7.0
4.3.6
5.6.2.
4.6.2.
4.0.5.
6.2.0
2.7.0
6071



WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS



THE STAR SPANGLED BANNER


BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS 419160 III 1964

Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłomaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

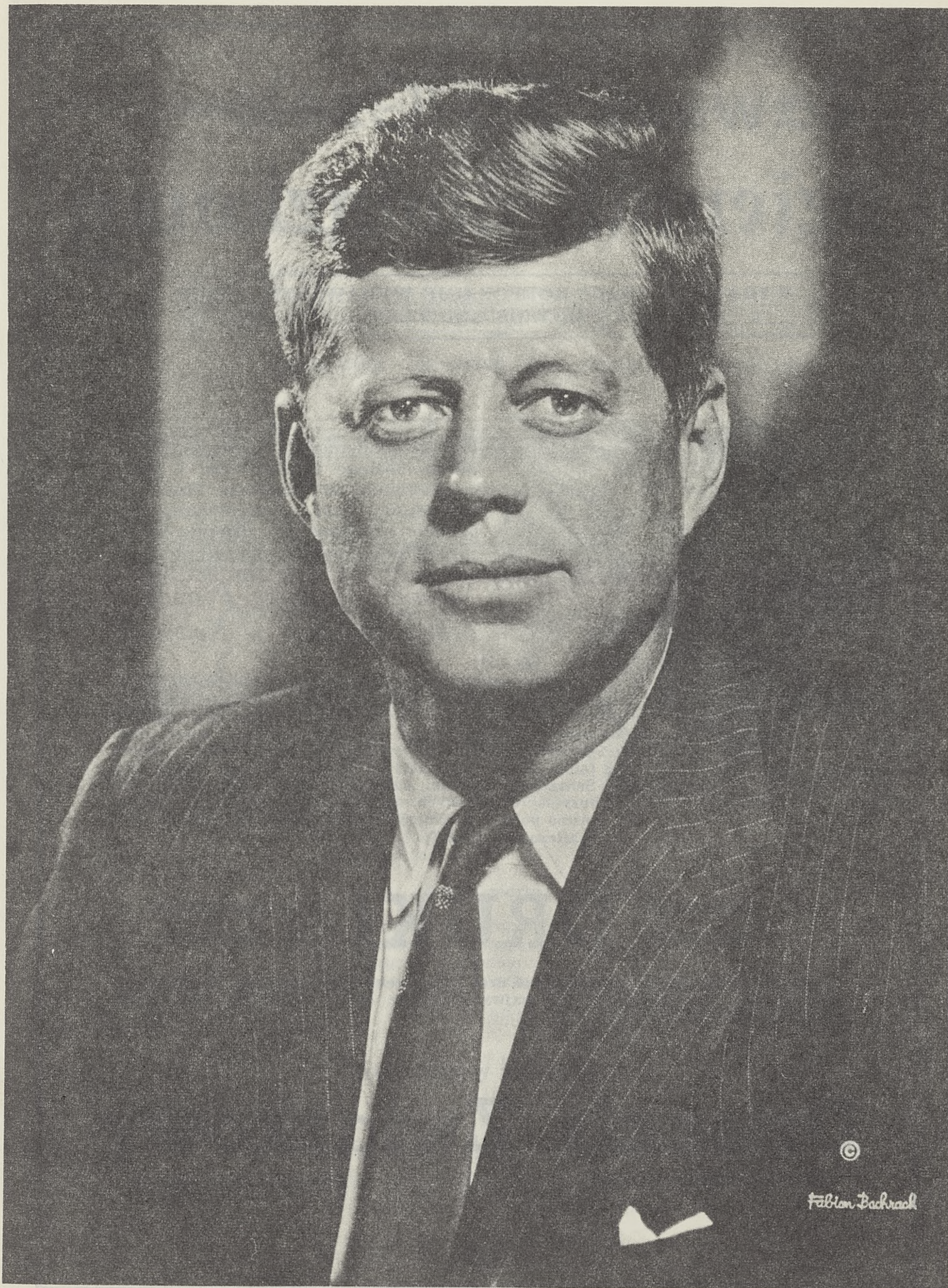
Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

dar Szymona Dentiuk

Bibl. Jagiell. 2016 CD 101 149



John F. Kennedy
Prezydent Stanów Zjednoczonych

Zawsze Na Czele—

Dziennik Związkowy

WYDAWANY PRZEZ KORPORACJĘ WYDAWNICZĄ Z. N. P.
ALLIANCE PRINTERS AND PUBLISHERS, Inc.



Podaje wiadomości z pierwszej ręki, mając obsługę telegraficzną i połączenie z całym światem. Dziennik Związkowy stoi niezachwianie na gruncie narodowym i dzielnie broni spraw ludu, któremu służy.

Sobotnie Wydanie Posiada Sekcję Ilustracji w Kolorach

Zawiera: zdjęcia fotograficzne z najważniejszych wydarzeń w życiu Polonii Amerykańskiej, zdjęcia fotograficzne z wielkich wydarzeń w naszych organizacjach polskich, zdjęcia fotograficzne ze zniszczeń w Polsce, zdjęcia fotograficzne z ważnych wypadków w całym świecie, zdjęcia fotograficzne od naszych korespondentów fotografów. Sensacyjne wypadki, katastrofy, sport, mody, piękno natury — w pięknych, artystycznych obrazach! Jedyne pismo polskie w Ameryce, posiadające taki dodatek fotograficzny co sobotę!

Zamówienia na wszelkie DRUKI w języku polskim lub angielskim

Wykonanywane fachowo przez unijnych drukarzy po cenach przystępnych. Zamówienia przyjmujemy na najmniejsze lub najwykwitniejsze druki w jednym lub więcej kolorach, dostarczamy klisz i t. d.

Adresować wszelkie listy:

Dziennik Związkowy

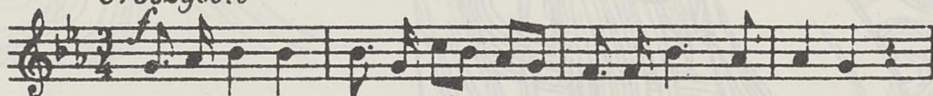
1201 Milwaukee Avenue — Chicago, (22) Illinois

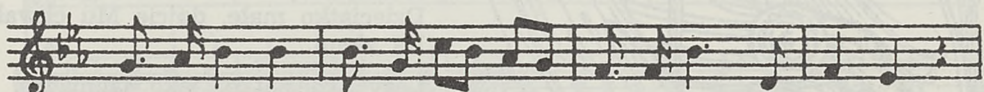


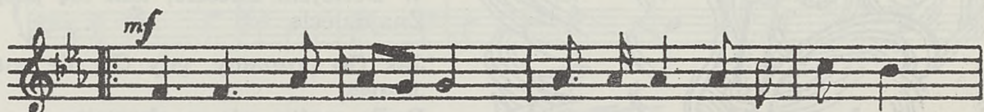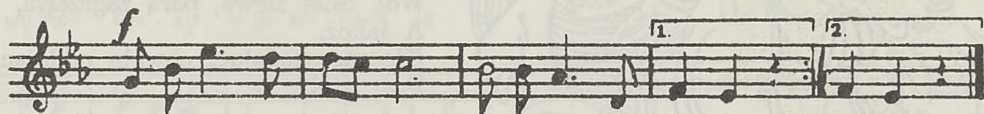


Słowa
Józef Wybicki

Uroczyście









Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...
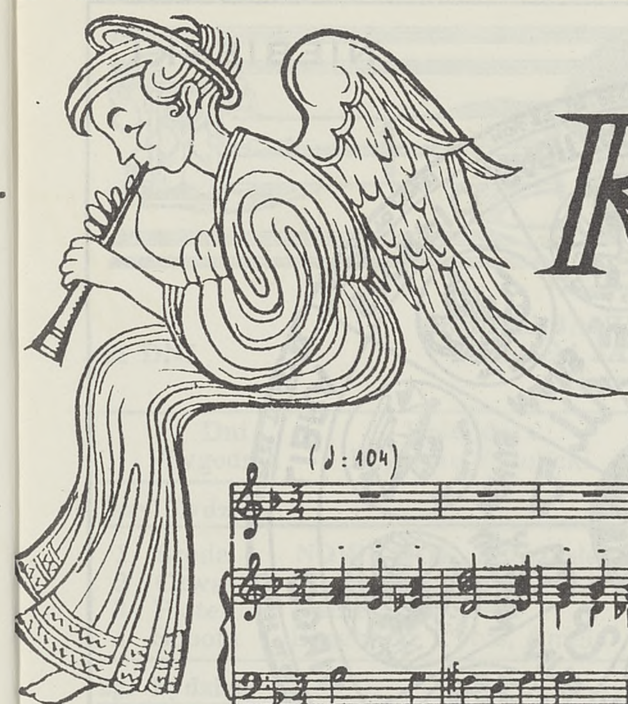
BOŻE COŚ POLSKĘ

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.
Coś Ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie



Nowy Rok bieży



Nowy Rok bieży, w jasełkach leży,
A kto, kto,
Dzieciątko małe, dajcie Mu chwałę,
Na ziemi.

Leży Dzieciątko, jako jagniątko,
A gdzie, gdzie,
W Betlejem mieście, tam się pośpieszcie,
Znajdziecie.

Jak Go poznamy, gdy Go nie znamy,
Jezusa,
Podło uwity, nie w aksamity,
Ubogo.

Wół, osieł ziewa, parą zagrzewa,
A jakoż,
Klęcząc, padając, chwałę oddając,
Przy żłobie.

Anieli grają, wdzięcznie śpiewają,
A co, co.
Niech chwała będzie zawsze i wszędzie,
Dzieciątku.

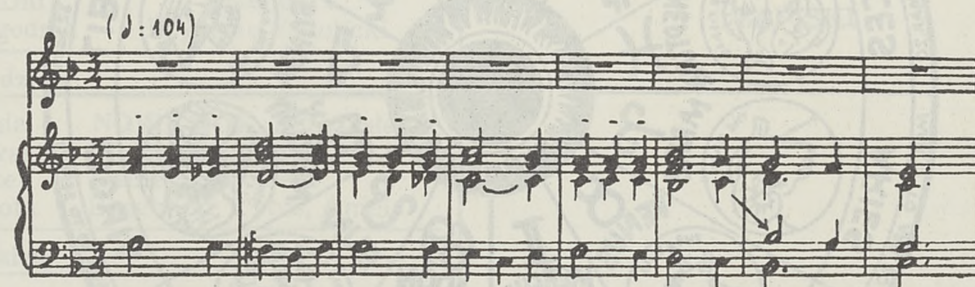
Królowie jadą z wielką gromadą,
A skąd, skąd,
Od wschodu słońca, szukają końca,
Zbawienia.

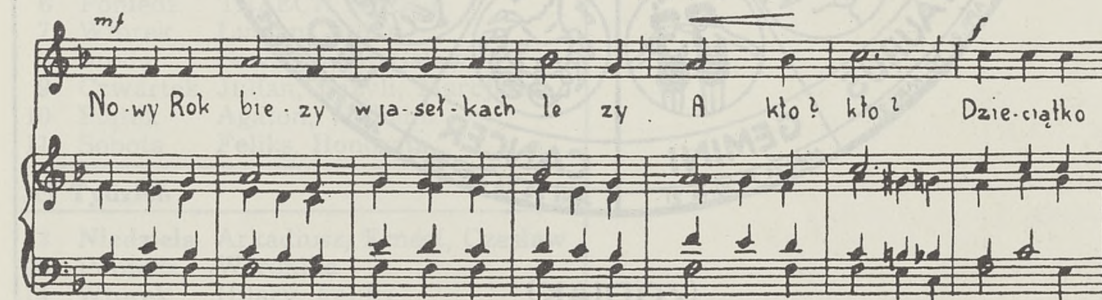
Skarb otwierają, dary dawają,
A komu,
Wielcy królowie, możni panowie,
Dzieciątku.

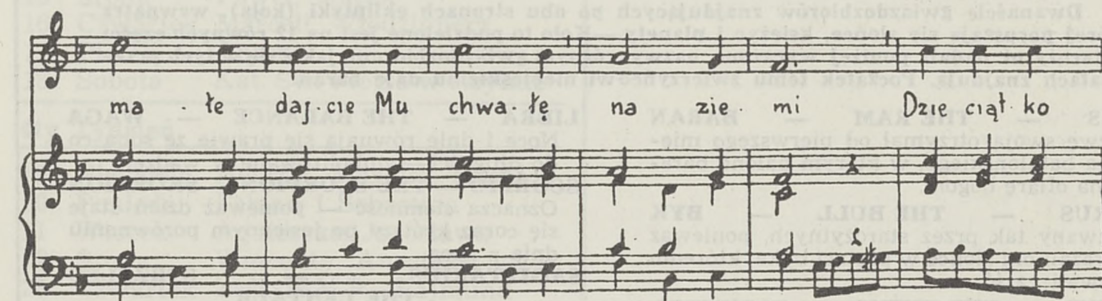
Pójdźcie kapłani do tej to stajni,
A proście,
Niech w rękach waszych, a ustach naszych,
Bóg rośnie.

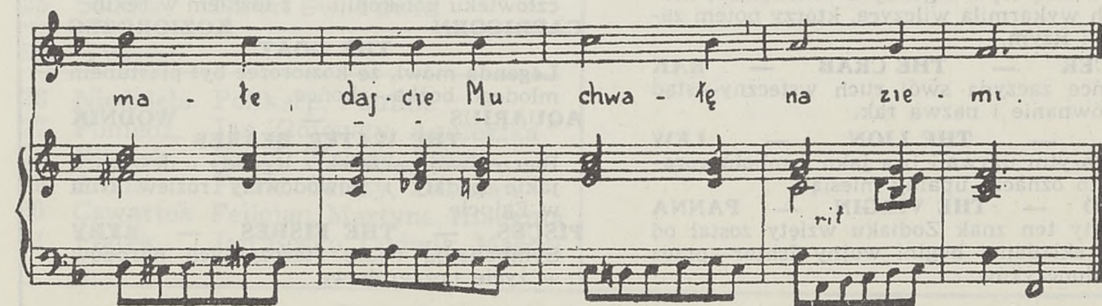
Pójdź miła młodzi, Jezus się rodzi,
W stajence.
Daryć przynosi, rączki podnosi,
Dziecięce.

Pójdźcie panienki do tej stajenki,
Klęknijcie.
Wasz oblubieniec da rajski wieniec,
Dziękujcie.









ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

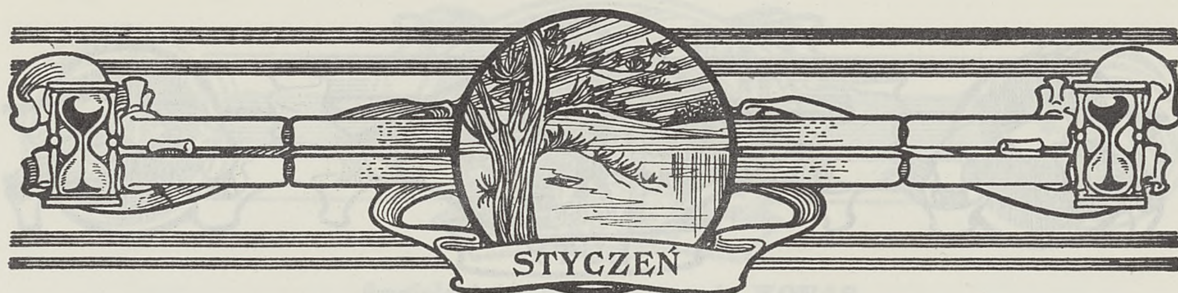
SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

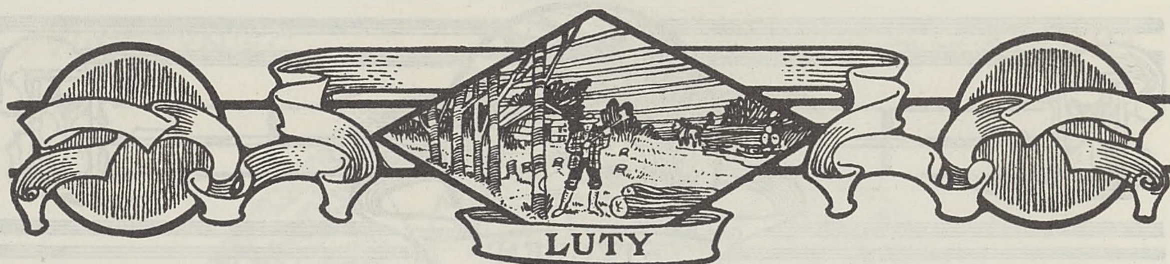
PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI | Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS | Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ | Rosyjski JANWAR | 31 DNI

Dni Tygodnia	Kalendarz Rzymsko-Katolicki	ZAPISKI
1szy Tydzień		
1 Środa	**NOWY ROK**, Mieczysław	
2 Czwartek	Najśw. Im. Jezus	
3 Piątek	Daniel, Genowefa	
4 Sobota	Eugeniusz, Tytus, Aniela	
2gi Tydzień		
5 **Niedziela**	Telesfor, Emilian, Edward	
6 Poniedz.	TRZECH KRÓLI	
7 Wtorek	Łucjan, Julian	
8 Środa	Seweryn, Mścisław	
9 Czwartek	Julian, Bazyli, Marcjanna	
10 Piątek	Agaton, Wilhelm	
11 Sobota	Feliks, Honorata	
3ci Tydzień		
12 Niedziela	Arkadiusz, Ernest, Czesław	
13 Poniedz.	Weronika	
14 Wtorek	Hilary, Feliks	
15 Środa	Paweł, Marek	
16 Czwartek	Marceli, Włodzimierz	
17 Piątek	Antoni	
18 Sobota	Kat. Św. Piotra w Rzymie	
4ty Tydzień		
19 Niedziela	Henryk, Mariusz, Marta	
20 Poniedz.	Fabian i Sebastian	
21 Wtorek	Agnieszka, Jarosława	
22 Środa	Wincenty, Anastazy	
23 Czwartek	Zaśl. N.M.P., Rajmund	
24 Piątek	Tymoteusz, Felicjan	
25 Sobota	Nawr. Św. Pawła	
5ty Tydzień		
26 Niedziela	Polikarp, Paulina	
27 Poniedz.	Jan Złotousty, Agnieszka	
28 Wtorek	Karol, Walery, Piotr	
29 Środa	Franc. Salezy, Zdzisław	
30 Czwartek	Felicjan, Martyna, Hiacynta	
31 Piątek	Jan Bosko, Ludwik, Marcel	

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31 stycznia



29 DNI | Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ | 29 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki	ZAPISKI
1	Sobota	Ignacy, Brygida	
6ty Tydzień			
2	**Niedziela**	M.B. Gromnicz., Mirosław	
3	Poniedz.	Błażej, Wawrzyniec	
4	Wtorek	Andrzej, Weronika	
5	Środa	Izydor, Albin, Agata	
6	Czwartek	Bogdan Tytus, Dorota	
7	Piątek	Romuald, Ryszard	
8	Sobota	Jan z Malty, Emilia	
7my Tydzień			
9	**Niedziela**	Cyryl, Apolonia	
10	Poniedz.	Jacek, Scholastyka	
11	Wtorek	NMP. z Lourdes, Honorata	
12	Środa	**Ur. Lincolna i Kościuszki. Po-pielec.**	
13	Czwartek	Grzegorz, Katarzyna	
14	Piątek	Walenty, Zenon	
15	Sobota	Faustyn, Klaudiusz	
8my Tydzień			
16	**Niedziela**	Bernard, Julianna	
17	Poniedz.	Donat, Wincenty, Julian	
18	Wtorek	Szymon, Marianna	
19	Środa	Konrad, Marceli	
20	Czwartek	Leon, Zenobiusz, Eustachy	
21	Piątek	Feliks, Robert, Eleonora	
22	Sobota	**Ur. Washing. i Pułaskiego**	
9ty Tydzień			
23	**Niedziela**	Piotr, Roman, Marta	
24	Poniedz.	Maciej, Cezary	
25	Wtorek	Wiktor, Izabela, Anastazja	
26	Środa	Aleksander, Mirosława	
27	Czwartek	Gabriel, Nestor	
28	Piątek	Teofil, Roman, Antonina	
29	Sobota	Roman,	

Post obowiązuje: 7, 12 14 19 21 22 28



31 DNI — Angielski MARCH—Litewski KOVAS / Niemiecki MAERZ—Ruski BEREZEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
10-ty Tydzień			
1	**Niedzięla**	Albin, Antonina	
2	Poniedz.	Helena, Amelia	
3	Wtorek	Kunegunda, Teresa	
4	Środa	Kazimierz	
5	Czwartek	Wacław, Euzebiusz	
6	Piątek	Jan B., Wiktor, Róża	
7	Sobota	Tomasz-z Akw.	
11-ty Tydzień			
8	**Niedziela**	Jan B., Wincenty, Emil	
9	Poniedz.	Franciszek, Mścisława	
10	Wtorek	40 Męczenników, Cyprian	
11	Środa	Konstantyn, Pelagia	
12	Czwartek	Grzegorz	
13	Piątek	Marek, Krystyna, Sabina	
14	Sobota	Leon, Matylda, Bożenna	
12-ty Tydzień			
15	**Niedziela**	Klemens, Longin	
16	Poniedz.	Hilary, Eufrozyna	
17	Wtorek	Jan, Patryk, Zbigniew	
18	Środa	Cyryl, Edward	
19	Czwartek	Józef, Bogdan	
20	Piątek	Aleksander, Anatol, Teodozja	
21	Sobota	Benedykt	
13-ty Tydzień			
22	**Niedziela**	**NIEDZIELA PALMOWA**	
23	Poniedz.	Feliks, Wiktor, Pelagia	
24	Wtorek	Ireneusz, Ernest, Marek	
25.	Środa	ZWIASTOWANIE N. M. P.	
26	Czwartek	WIELKI CZWARTEK	
27	Piątek	WIELKI PIĄTEK	
28	Sobota	WIELKA SOBOTA	
14-ty Tydzień			
29	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Cyryl	
30	Poniedz.	Jan Klimak, Aniela	
31	Wtorek	Benjamin, Balbina	

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27, 28 Marca

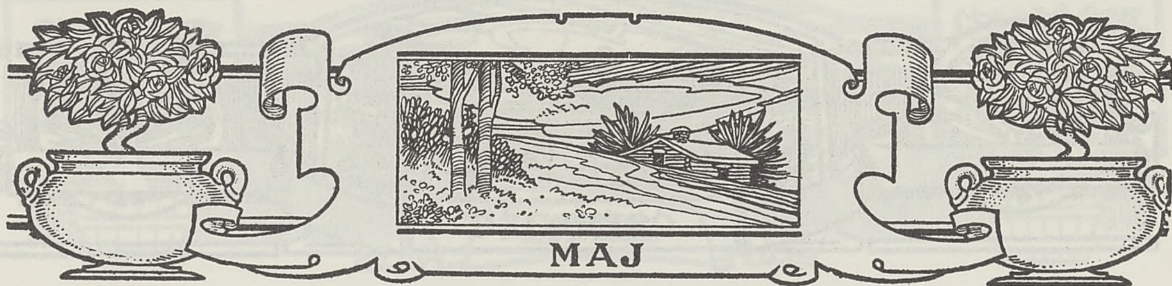


30 DNI Angielski APRIL—Litewski BALANDIS 30 DNI
Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1 Środa	Hugon, Teodor
2 Czwartek	Franciszek, Leopold
3 Piątek	Ryszard, Pankracy
4 Sobota	Izydor, Benedykt, Ambroży
15-ty Tydzień	
5 Niedziela	Wincenty, Irena
6 Poniedz.	Celestyn, Julianna
7 Wtorek	Herman, Saturnin
8 Środa	Dionizy, January
9 Czwartek	Hugon, Maria
10 Piątek	Michał, Apoloniusz
11 Sobota	Filip, Leon
16-ty Tydzień	
12 Niedziela	Juliusz, Wiktor, Zenon
13 Poniedz.	Hermenegilda, Krystyna
14 Wtorek	Walerian
15 Środa	Bazyli, Anastazja
16 Czwartek	Benedykt, Marcelian
17 Piątek	Inocenty, Robert
18 Sobota	Bogumił, Apoloniusz
17-ty Tydzień	
19 Niedziela	Zenobiusz, Emma
20 Poniedz.	Teodor, Agnieszka
21 Wtorek	Konrada, Anzelm
22 Środa	Soter i Kajus, Leon, Łukasz
23 Czwartek	Wojciech, Jerzy
24 Piątek	Fidelis, Grzegorz
25 Sobota	Marek, Jarosław, Grzegorz
18-ty Tydzień	
26 Niedziela	Marceli
27 Poniedz.	Teofil, Piotr, Zyta
28 Wtorek	Witalis, Paweł, Waleria
29 Środa	Piotr, Robert, Bogusław
30 Czwartek	Marian, Katarzyna

ZAPISKI

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24 Kwietnia



31 DNI | Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS | Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Filip, Jakub
2	Sobota	Zygmunt, Anastazy
19-ty Tydzień		
3	**Niedziela**	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Poniedz.	Florian, Monika
5	Wtorek	Pius, Izydor, Irena
6	Środa	Jan w Oleju
7	Czwartek	**WNIEBOWSTĄPIENIE**
8	Piątek	Stanisław, Michał, Joanna
9	Sobota	Grzegorz
20-ty Tydzień		
10	**Niedziela**	DZIEŃ MATEK, Izydor
11	Poniedz.	Mamert, Ignacy, Adolf
12	Wtorek	Pankracy
13	Środa	Robert, Serwacy
14	Czwartek	Bonifacy
15	Piątek	Jan, Izydor, Zofia
16	Sobota	Jan, Andrzej Bobola
21-szy Tydzień		
17	**Niedziela**	**ZIEL. ŚWIĘTA**, Brunon
18	Poniedz.	Feliks, Bogdan
19	Wtorek	Piotr, Mikołaj, Celestyn
20	Środa	Bernardyn, Zuzanna
21	Czwartek	Wiktor, Julia
22	Piątek	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Sobota	Dezydery, Jan
22-gi Tydzień		
24	**Niedziela**	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Poniedz.	Grzegorz, Urban
26	Wtorek	Filip, Augustyn
27	Środa	Jan
28	Czwartek	BOŻE CIAŁO, Augustyn
29	Piątek	Magdalena
30	Sobota	**MEMORIAL DAY**
31	**Niedziela**	Aniela, Petronela

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 16, 20, 22, 23, 29 Maja



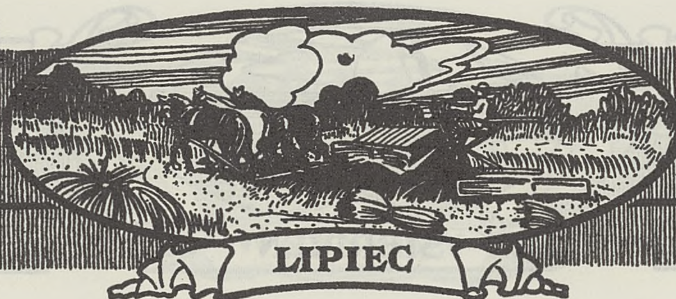
Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS
Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ

30 DNI **30 DNI**

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
23-ci Tydzień		
1	Poniedz.	Jakub, Konrad
2	Wtorek	Erazm, Marcelina
3	Środa	Leszek, Klotylda
4	Czwartek	Franciszek, Teodora
5	Piątek	Bonifacy, Marian, Waleria
6	Sobota	Norbert, Łucja
24-ty Tydzień		
7	**Niedziela**	Robert, Wiesław
8	Poniedz.	Medard, Seweryn, Elżbieta
9	Wtorek	Felicjan
10	Środa	Jan, Bogumił, Małgorzata
11	Czwartek	Barnaba, Feliks
12	Piątek	Jan, Onufry
13	Sobota	Antoni z Padwy, Łucjan
25-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	**DZIEŃ FLAGI**, Bazyli
15	Poniedz.	Wit i Modest, Jolanta
16	Wtorek	Benon, Justyna
17	Środa	Adolf, Inocenty, Marian
18	Czwartek	Marek, Elżbieta
19	Piątek	Gerwazy, Julianna
20	Sobota	Juliusz
26-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Alojzy
22	Poniedz.	Paulina
23	Wtorek	Zenon, Wanda, Agrypina
24	Środa	Jan Chrzciciel
25	Czwartek	Wilhelm, Łucja
26	Piątek	Jan, Paweł
27	Sobota	Władysław
27-my Tydzień		
28	**Niedziela**	Ireneusz, Leon
29	Poniedz.	PIOTR i PAWEŁ
30	Wtorek	Ernest, Lucyna, Emilia

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26 Czerwca

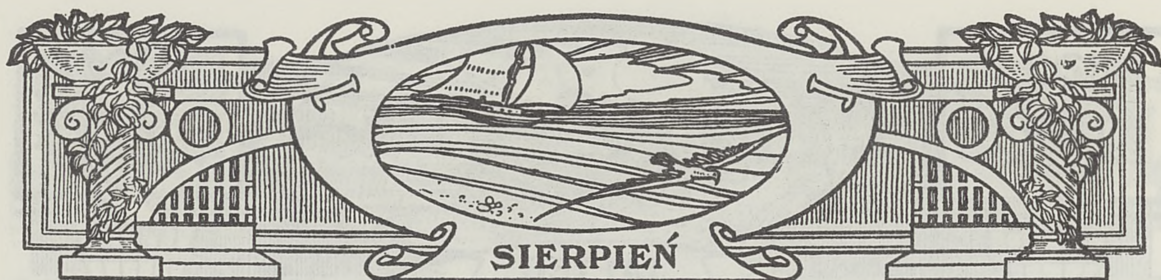





31 DNI **Angielski JULY—Litewski LIEPOS** 31 DNI
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	Przem. Krwi P. J., Juliusz	
2	Czwartek	Nawiedz. N.M.P., Urban	
3	Piątek	Anatol, Leon, Alfred, Jacek	
4	Sobota	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**	
28-my Tydzień			
5	**Niedziela**	Antoni, Filomena	
6	Poniedz.	Dominik, Romuald, Łucja	
7	Wtorek	Cyryl i Metody	
8	Środa	Prokop, Elżbieta	
9	Czwartek	Tomasz, Weronika, Mikołaj	
10	Piątek	7 Braci Męczen., Amelia	
11	Sobota	Pius, Olga, Pelagia	
29-ty Tydzień			
12	**Niedziela**	Jan, Gwalbert	
13	Poniedz.	Eugeniusz, Małgorzata	
14	Wtorek	Bonawentura, Marceli	
15	Środa	Henryk, Wit	
16	Czwartek	N.M.P. Szkapl., Andrzej	
17	Piątek	Aleksy, Bogdan	
18	Sobota	Kamil, Szymon	
30-ty Tydzień			
19	**Niedziela**	Wincenty a Paulo	
20	Poniedz.	Czesław, Hieronim, Małg.	
21	Wtorek	Wiktor, Andrzej, Prakseda	
22	Środa	Maria Magdalena	
23	Czwartek	Apolinary	
24	Piątek	Kunegunda, Kinga, Kryst.	
25	Sobota	Jakub, Krzysztof	
31-szy Tydzień			
26	**Niedziela**	Anna, Mierosława	
27	Poniedz.	Pantaleon, Natalia	
28	Wtorek	Innocenty, Wiktor	
29	Środa	Urban, Fel. Marta Beatr.	
30	Czwartek	Abdon, Donat, Rufin	
31	Piątek	Ignacy L., Justyn, Helena	

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31 Lipca



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS / Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Piotr w Okowach
32-gi Tydzień		
2	**Niedziela**	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Poniedz.	Znal. Relikwii św. Szczep.
4	Wtorek	Dominik
5	Środa	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Czwartek	Przemienienie Pańskie
7	Piątek	Kajetan, Donat
8	Sobota	Cyriak, Emilian, Justyn
33-ci Tydzień		
9	**Niedziela**	Roman, Jan
10	Poniedz.	Wawrzyniec, Bogdan
11	Wtorek	Tybercjusz, Zuzanna
12	Środa	Hilary, Klara
13	Czwartek	Hipolit, Jan, Helena
14	Piątek	Euzebiusz
15	Sobota	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
34-ty Tydzień		
16	**Niedziela**	Roch, Joachim, Ambroży
17	Poniedz.	Jacek, Paweł, Julian
18	Wtorek	Agapit, Włodzimierz
19	Środa	Bolesław, Ludwik, Marian
20	Czwartek	Bernard, Samuel
21	Piątek	Daniel, Joanna
22	Sobota	Tymoteusz, Hipolit
35-ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Filip, Apolinary, Wiktor
24	Poniedz.	Bartłomiej, Jerzy
25	Wtorek	Ludwik, Grzegorz
26	Środa	N.M.P. Jasnog., Konstant.
27	Czwartek	Józef Kalasanty
28	Piątek	Augustyn
29	Sobota	Ścięcie Św. Jana, Sabina
36ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Feliks, Róża z Limy
31	Poniedz.	Rajmund, Marek

ZAPISKI

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28 Sierpnia



30 DNI **Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS**
Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ **30 DNI**

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Idzi, Bronisława
2	Środa	Stefan
3	Czwartek	Szymon, Zenon, Izabela
4	Piątek	Rozalia, Róża
5	Sobota	Wawrzyniec, Justyna
37my Tydzień		
6	**Niedziela**	Zachariasz, Eugeniusz
7	Poniedz.	**ŚWIĘTO PRACY**, Regina
8	Wtorek	Narodzenie N. M. P.
9	Środa	Piotr, Sergiusz
10	Czwartek	Mikołaj, Łukasz, Łucja
11	Piątek	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Sobota	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
38my Tydzień		
13	**Niedziela**	Filip, Eugenia
14	Poniedz.	Podw. Św. Krzyża, Kalikst
15	Wtorek	M.B. Bolesnej, Nikodem
16	Środa	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Czwartek	Blizny Św. Fran. Jacek
18	Piątek	Józef, Tomasz, Irena
19	Sobota	January, Gustaw, Teodor
39ty Tydzień		
20	**Niedziela**	Eustachy, Filipina
21	Poniedz.	Mateusz
22	Wtorek	Tomasz, Maurycy
23	Środa	Tekla, Boguchwała
24	Czwartek	N.M.P. od Wyk. N. Gerard
25	Piątek	Władysław, Kleofas
26	Sobota	Cyprian, Justyn
40ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Władysław, Damian
28	Poniedz.	Wacław, Marek
29	Wtorek	Michał Archanioł
30	Środa	Hieronim, Grzegorz

ZAPISKI

Post obowiązuje: 4, 11, 16, 18, 19, 25 Września

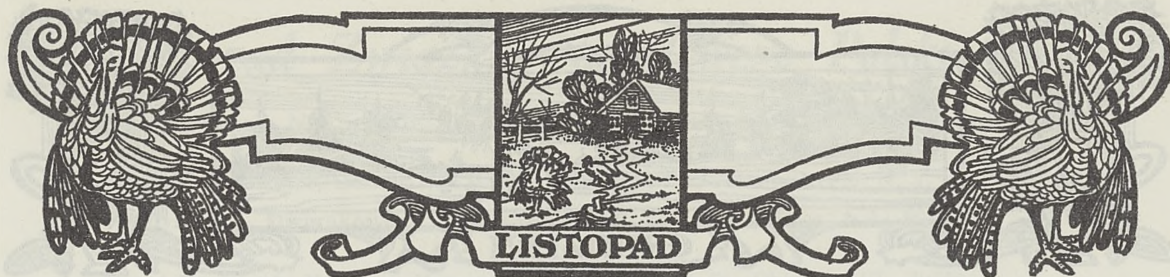


31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS / Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Czwartek	Jan z Dukli, Remigiusz
2	Piątek	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Sobota	Teresa od Dziec. Jezus
41szy Tydzień		
4	**Niedziela**	Franciszek z Asyżu
5	Poniedz.	Placyd, Apolinary
6	Wtorek	Brunon, Artur, Emil
7	Środa	N.M.P. Różańcowa, Marek
8	Czwartek	Brygida, Pelagia
9	Piątek	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Sobota	Franciszek Borg. Paula
42gi Tydzień		
11	**Niedziela**	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12	Poniedz.	**COLUMBUS DAY**, Serafin
13	Wtorek	M. B. z Fatima, Edward,
14	Środa	Kalikst
15	Czwartek	Jadwiga, Teresa
16	Piątek	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Sobota	Wiktor, Małgorzata, Maria
43ci Tydzień		
18	**Niedziela**	Łukasz Ewangelista
19	Poniedz.	Piotr, Pelagia
20	Wtorek	Jan Kanty, Irena
21	Środa	Hilarion, Urszula
22	Czwartek	Filip, Wojciech, Salomea
23	Piątek	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Sobota	Rafał Archanioł, Marcin
44ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Kryspin, Bonifacy
26	Poniedz.	Ewaryst
27	Wtorek	Sabina
28	Środa	Szymon, Tadeusz
29	Czwartek	Abraham, Narcyz, Euzebia
30	Piątek	Alfons, Edmund
31	Sobota	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla

ZAPISKI

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23, 30, 31 Października



30 DNI — **Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS** / **Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST** — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
45ty Tydzień			
1	**Niedziela**	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**	
2	Poniedz.	DZIEŃ ZADUSZNY	
3	Wtorek	Hubert, Sylwia	
4	Środa	Karol Borom., Witalis	
5	Czwartek	Zachariasz, Elżbieta	
6	Piątek	Leonard, Feliks	
7	Sobota	Ernest, Antoni, Salomea	
46ty Tydzień			
8	**Niedziela**	Bogdan, Sewer, Ida	
9	Poniedz.	Teodor, Orest	
10	Wtorek	Andrzej, Lubomir	
11	Środa	**DZIEŃ WETERANA**	
12	Czwartek	Mateusz, Witold	
13	Piątek	Stanisław Kostka	
14	Sobota	Józefat	
47my Tydzień			
15	**Niedziela**	Leopold, Wojciech	
16	Poniedz.	M.B. Ostrobram., Edmund	
17	Wtorek	Grzegorz, Salomea	
18	Środa	Katedry Św. Piotra, Roman	
19	Czwartek	Felicjan, Elżbieta	
20	Piątek	Feliks, Edmund, Anatol	
21	Sobota	Ofiarowanie NMP., Janusz	
48my Tydzień			
22	**Niedziela**	Marek, Cecylia	
23	Poniedz.	Klemens, Felicyta	
24	Wtorek	Jan od Krzyża, Aleksander	
25	Środa	Katarzyna, Erazm	
26	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Jan	
27	Piątek	Walerian, Jakub	
28	Sobota	Grzegorz	
49ty Tydzień			
29	**Niedziela**	1sza ADWENTU, Błażej	
30	Poniedz.	Andrzej, Zbysława	

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27 Listopada



31 DNI — Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS
Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Wtorek	Eligiusz, Natalia	
2	Środa	Hipolit, Balbina	
3	Czwartek	Franciszek, Ksawery	
4	Piątek	Piotr, Barbara	
5	Sobota	Anastazy, Saba, Krystyna	
50ty Tydzień			
6	**Niedziela**	Mikołaj, Emil	
7	Poniedz.	Ambroży	
8	Wtorek	**NIEP. POCZ. N. M. P.**	
9	Środa	Piotr, Wiesław, Leokadia	
10	Czwartek	N. M. P. Loret. Julia	
11	Piątek	Damazy, Sabina	
12	Sobota	Aleksander, Konstanty	
51szy Tydzień			
13	**Niedziela**	Władysław, Łucja, Otylia	
14	Poniedz.	Teodor, Alfred	
15	Wtorek	Walerian, Wiktor, Celina	
16	Środa	Euzebiusz, Adela	
17	Czwartek	Łazarz, Florian, Olimpia	
18	Piątek	Gracjan, Bogusław	
19	Sobota	Grzegorz, Urban	
52gi Tydzień			
20	**Niedziela**	Teofil, Juliusz, Bogumiła	
21	Poniedz.	Tomasz, Jan	
22	Wtorek	Zenon, Leon, Honorata	
23	Środa	Wiktoria, Sławomir	
24	Czwartek	WIGILIA, Adam, Ewa	
25	Piątek	**BOŻE NARODZENIE**	
26	Sobota	Szczepan	
Ostatni Tydzień Roku			
27	**Niedziela**	Jan Ewangelista	
28	Poniedz.	Młodziankowie, Teofil	
29	Wtorek	Tomasz	
30	Środa	Eugeniusz, Sabina	
31	Czwartek	Sylwester, Melania	

Post obowiązuje: 4, 11, 16, 18, 19, 24 Grudnia

Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 34-tym Z.N.P. w Philadelphii, Pennsylvania

Edward P. Kozmor, Cenzor Z.N.P., 809 Newark Ave., Jersey City 6, N. J.

Władysław L. Dworakowski, Wicecenzor Z.N.P. 606 Akron Svgs. & L. Bldg., Akron 8, Ohio

Karol Rozmarek, Krajowy Prezes, 1514 W. Division St., Chicago, Ill., 60622

Franciszka Dymek, Krajowa Wiceprezeska, 1514 W. Divsion St., Chicago, Ill., 60622

Franciszek M. Prochot, Krajowy Wiceprezes, 1514 W. Divsion St., Chicago, Ill., 60622

Adolf K. Pachucki, Krajowy Sekretarz, 1514 W. Divsion St., Chicago, Ill., 60622

Jan Ulatowski, Krajowy Skarbnik, 1514 W. Divsion St., Chicago, Ill., 60622

DYREKCJA Z.N.P.

Józef Dancewicz, 12 Locust St., New Bedford, Mass.

Irene Wallace, 536 - 6th St., Campbell, Ohio

Mieczyslaw Odrobina, 2700 Florian Ave., Hamtramck 12, Mich.

Bronisława Helkowska, 4305 N. Austin Ave., Chicago, Ill., 60634

Katarzyna Dienes, 12850 So. Green St., Chicago, Ill., 60643

Jan J. Ziemba, 3880 Jefferson St., Gary, Ind.

Melania Winiecka, 4040 W. 55th St., Chicago, Ill., 60632

Michał Hołodnik, 1000 George St., Sharon Pa.

Edward Moskal, 831 N. Ashland Ave., Chicago, Ill., 60622

Stanisław Józefiak, 5439 S. Racine Ave., Chicago Ill., 60609

RADA NADZORCZA ZNP

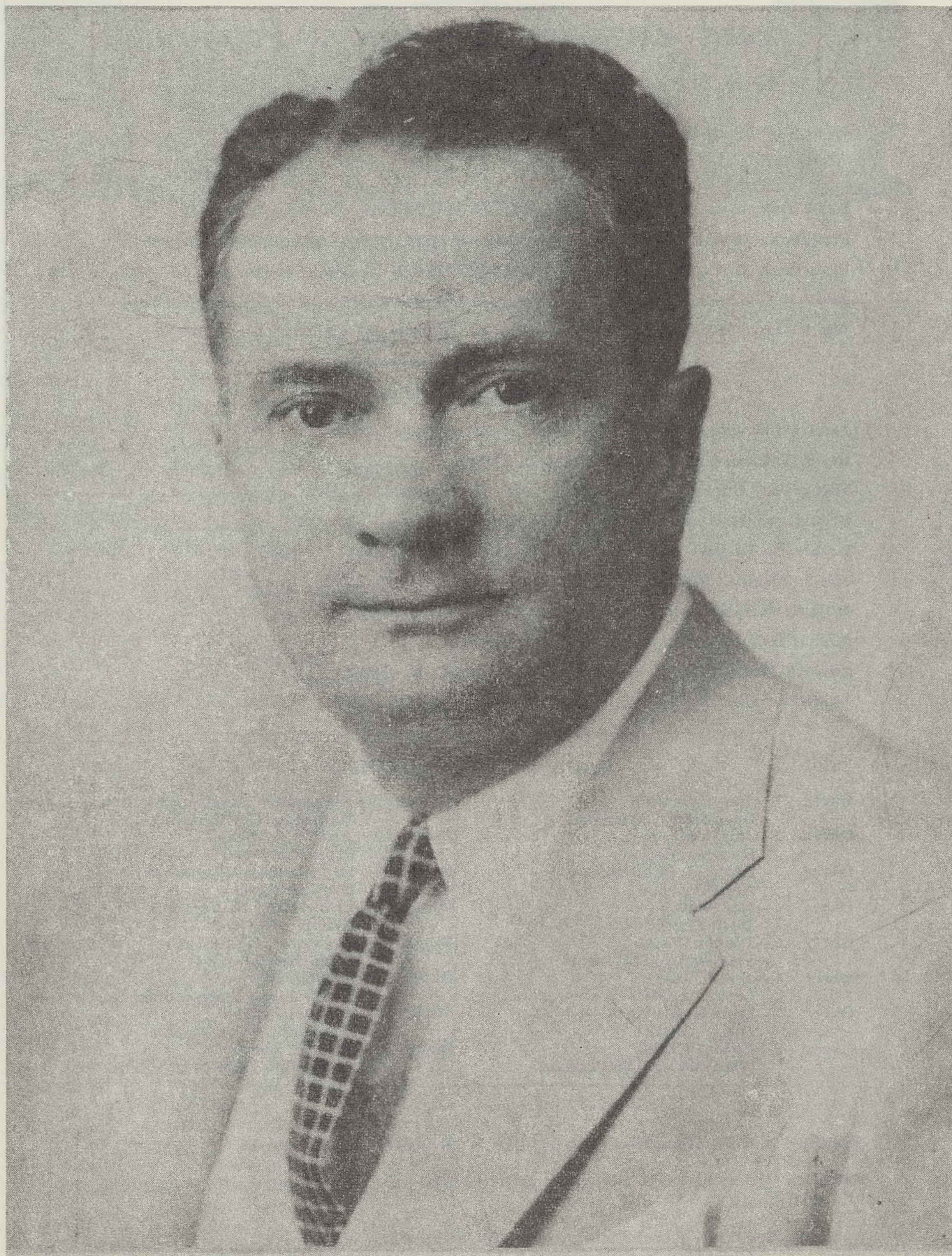
Okręg 1—Jan Siderski
Bronisława Niemyska
Okręg 2—Józef Zduńczyk
Ewelina Gawalis
Okręg 3—Leopold Babirecki
Anna Tuman
Okręg 4—Jan Nowak
Maria Tuchewicz
Okręg 5—Teodor Pająk
Stanisława Jedwabnik
Okręg 6—Jan J. Jaje
Leokadia Misiora
Okręg 7—Ludwik Sliwiński—
Zofia Wójcik
Okręg 8—Antoni Czeleń
Władysława Opatkiewicz
Okręg 9—Aleksander Kopczyński
Marianna Gołembiewska
Okręg 10—Józef Rychlicki
Bronisława Barć
Okręg 11—Dr. Stanisław Sulkowski
Paulina Górska
Okręg 12—Franciszek Jendryaszek
Helena Orawiec
Okręg 13—Zygmunt Sokolnicki
Zofia Buczkowska
Okręg 14—Jakób Fatla
Władysława Podkomorska
Okręg 15—Tadeusz Wachel
Władysława Wawrzyniak
Okręg 16—Sam F. Brown
Stanisława Nieder

Rzecznik Z. N. P., Kaz. Midowicz, 1514-20 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Zarządca Wydawnictw, J. Stanisław Świerczyński, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.

Naczelny Redaktor, Karol Piątkiewicz, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.

Lekarz Naczelny, Dr. Antoni Sampoliński, 1514 W. Division St., Chicago 60622, Ill.



EDWARD KOZMOR
Cenzor Z. N. P.



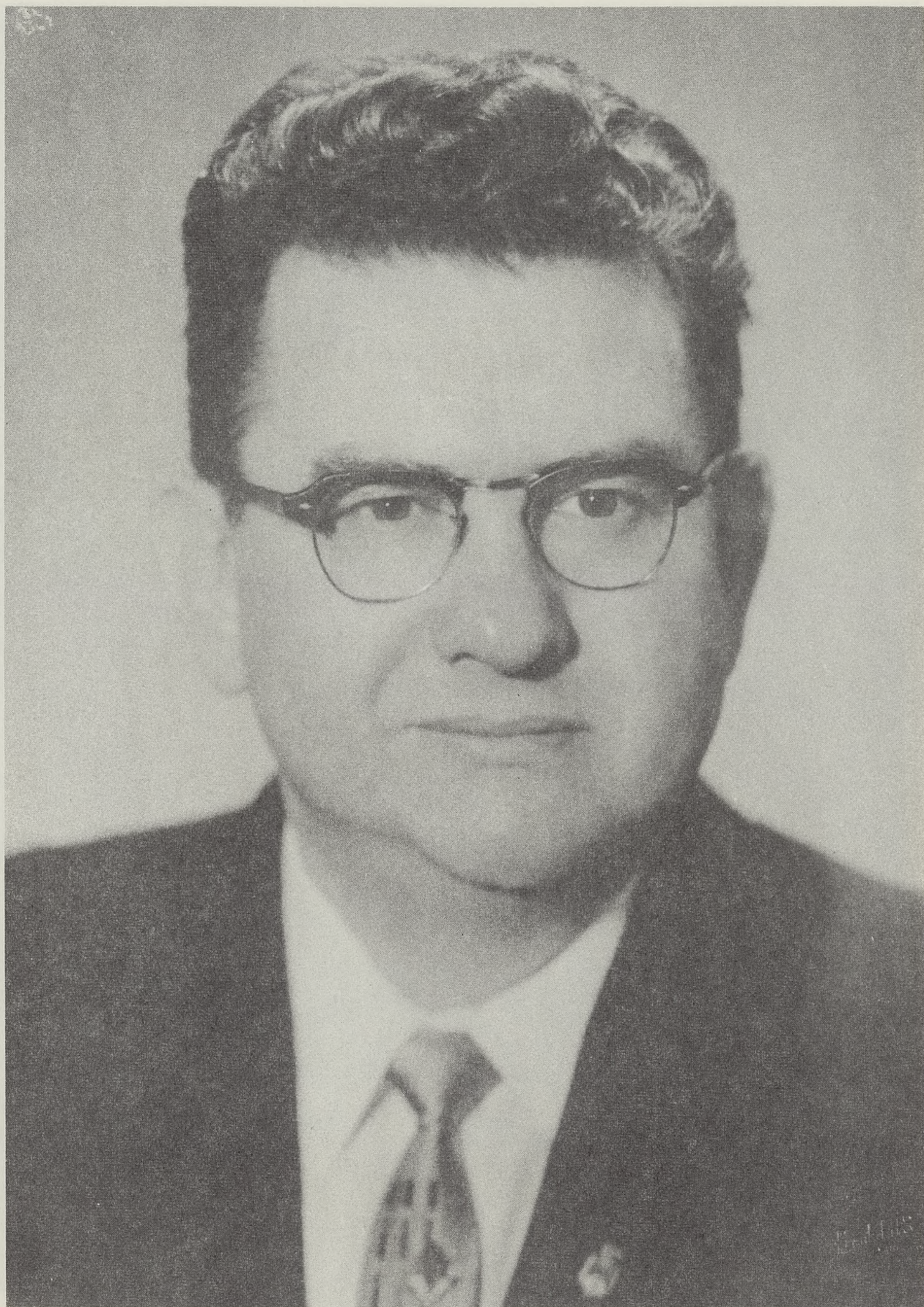
WŁADYSŁAW L. DWORAKOWSKI
Wicecenzor Z.N.P.



KAROL ROZMAREK
Krajowy Prezes Z. N. P.



FRANCISZKA DYMEK
Krajowa Wiceprezeska Z. N. P.



FRANCISZEK PROCHOT
Krajowy Wiceprezes Z. N. P.



ADOLF K. PACHUCKI
Krajowy Sekretarz Z. N. P.



JAN ULATOWSKI
Krajowy Skarbnik Z. N. P.

DYREKTORZY I DYREKTORKI

Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



Józef A. Dancewicz
Dyrektor



Irena Wallace
Dyrektorka



Mieczysław Odrobina
Dyrektor



Bronisława Helkowska
Dyrektorka



Katarzyna Dienes
Dyrektorka



Jan J. Ziemba
Dyrektor



Melania Winiecka
Dyrektorka



Michał L. Hołodnik
Dyrektor

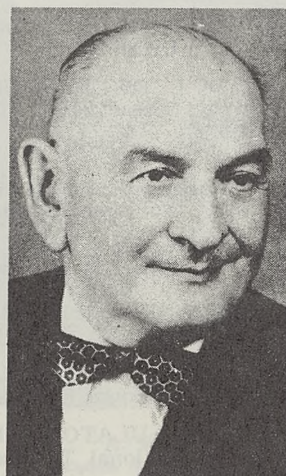




Edward J. Moskal
Dyrektor

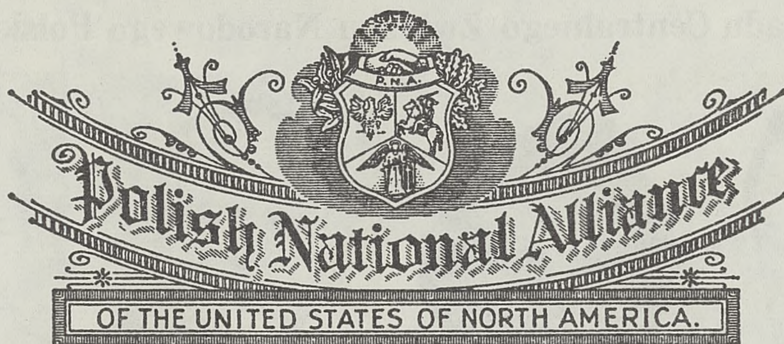


Stanisław Józefiak
Dyrektor



Dr. Ant. Sampoliński
Lekarz Naczelny Z. N. P.





THE LARGEST FRATERNAL SOCIETY OF AMERICANS
OF POLISH DESCENT

INSURING MEN, WOMEN AND CHILDREN

ORGANIZED IN 1880

Maintains Alliance College in Cambridge Springs, Pa.
Aids the Poor and Destitute
Publishes Two Newspapers — Daily and Semi Monthly
Promotes Sport Activities Among Its Members
Educational Activities — Schools, Libraries
The Alliance is a Very Important Factor In
The Cultural Life of Americans of Polish Descent

HOME OFFICE

1514-20 W. Division St., Chicago, Illinois, 60622

OFFICERS

EDWARD P. KOZMOR
Censor

W. L. DWORAKOWSKI
Vice-Censor

CHARLES ROZMAREK
National President

FRANCES DYMEK
National Vice-President

FRANK M. PROCHOT
National Vice-President

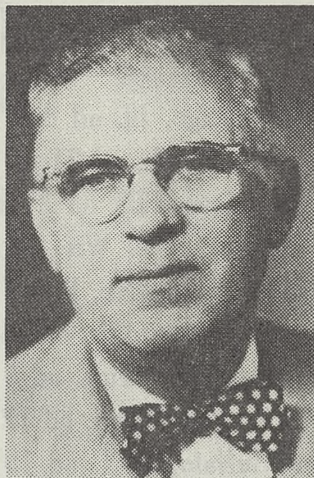
ADOLF K. PACHUCKI
National Secretary

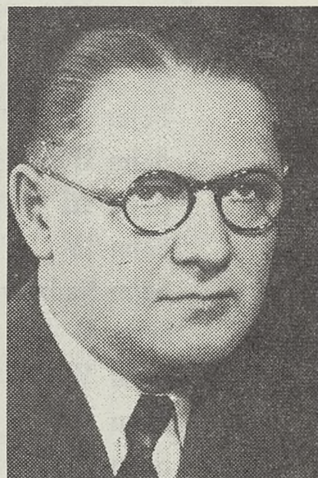
JOHN ULATOWSKI
National Treasurer

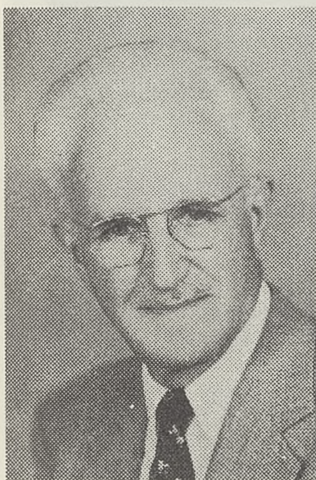
BOARD OF DIRECTORS

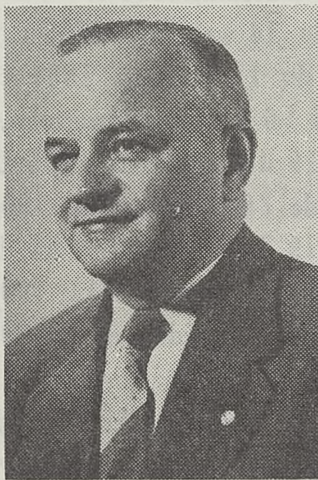
JOSEPH DANCEWICZ
IRENE WALLACE
MITCHELL ODROBINA
BLANCHE HELKOWSKA
CATHERINE DIENES
JOHN J. ZIEMBA
MELANIE WINIECKA
MICHAEL HOLODNIK
EDWARD MOSKAL
STANLEY JOZEFIAK

Szefowie Wydziałów Biur, Wydawnictw i Kolegium Związku Narodowego Polskiego

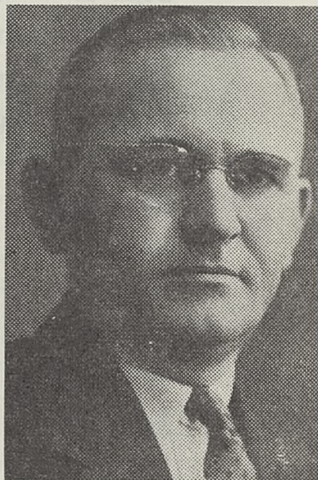

J. S. ŚWIERCZYŃSKI,
Zarządca Pism Z.N.P.

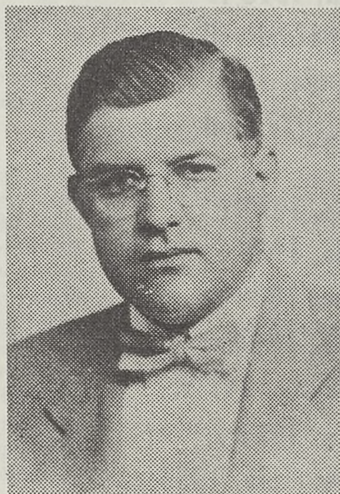

KAR. PIĄTKIEWICZ,
Redaktor Nacz. Pism Z.N.P.


K. MIDOWICZ,
Rzecznik Z.N.P.


TOM. PACZYŃSKI,
Gen. Organizator Z.N.P.


TAD. JASIORKOWSKI,
Szef Asekuracji Z.N.P.


J. BRONARS,
Kontroler Z.N.P.


JÓZEF R. MAJERCZAK
Szef Personalny Biur ZNP.


DR. H. J. PARCIŃSKI,
Prezydent Kolegium Z. N. P.


A. WOLANIN,
Zarządca Adm. Kolegium Z.N.P.

DATY SEJMÓW Z. N. P.

Sejm I	w Chicago, Ill. od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II	w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III	w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV	w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny	w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V	w La Crosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI	w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII	w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII	w Buffalo, N. Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX	w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X	w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI	w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII	w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII	w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny	w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV	w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV	w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI	w Buffalo, N. Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII	w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII	w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX	w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX	w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI	w Schenectady, N. Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII	w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII	w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV	w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV	w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od 27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI	w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII	w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII	w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX	w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX	w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI	w Buffalo, N. Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII	w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 września, 1955 r.
Sejm XXXIII	w Hartford, Conn. od 20 do 25 września, 1959 r.
Sejm XXXIV	w Philadelphia, Pa. od 15 do 20 września, 1963 r.

Wszystko Woła, Abyśmy Siłę Liczebną i Aktywność Związku Nar. Pol. Zwiększali

Może Jedynie Głusi Tych Głosów Rzeczywistości Nie Słyszą, a Zaspani Nie Widzą Co Się Wokół Nich Dzieje. — Praca Werbunkowa Nie Należy Obecnie Do Łatwych, Jak Nigdy Łatwą Nie Była. — Trzeba z Żywymi Naprzód Kroczyć

Obecnie przeżywamy taki okres, w którym wszystko woła, abyśmy siłę liczebną i aktywność Związku Narodowego Polskiego zwiększali Może jedynie głusi tych wezwań surowej rzeczywistości nie słyszą a zaspani nie widzą, co się wokół nich dzieje.

Rozbudowy aktywności ZNP domaga się także fakt odgrywania przez Związek w wysokim stopniu roli organizacji przewodniej w życiu Polonii amerykańskiej. Na nas się patrzą i dopatrują dobrych przykładów. Związkowcom nie wolno pogrążać się w bezczynności. A skoro gdziekolwiek ta plaga się zakrada, to należy ją, jak każdą chorobę zakaźną, zwalczać odpowiednimi środkami. Trzeba przede wszystkim, jak postępuje dobry lekarz, dokonać gruntownej diagnozy; trzeba najpierw poznać zło, chcąc je pokonać własnymi czy wspólnymi siłami.

Przeglądy są Koniecznością Życiową

W każdym przedsiębiorstwie, w każdym większym zespole ludzkim są dokonywane sporadyczne przeglądy zależnie od wymagań życiowych i istniejących prospektów.

Nawet w wojsku, gdzie zazwyczaj sprawność organizacyjna należy do rygorystycznej rutyny, różne przeglądy są na porządku dziennym.

Dlaczego?

Nakazuje je przezorność! Nakazuje je konieczność!

Wielu w życiu prywatnym może codziennie przegląda swą odzież i obuwie, aby nie narazić się na nieprzyjemne konsekwencje w rezultacie przeoczenia powstałego zużycia. Ludzie przewidują ewentualności i nabywają na nie zawczasu odpowiednią garderobę, aby nie ucierpieć na zdrowiu, czy też aby nie najeść się wstydu. Każdy dbający o dobrą własną opinię, stara się dostosować do wymagań czasu i obowiązującej etykiety, co należy do postępowania normalnego i kulturalnego w cywilnym otoczeniu

W Kulturalnym Życiu Organizacyjnym

W kulturalnym życiu organizacyjnym dzieje się nie inaczej Przeglądy sytuacyjne i ciągłe trzymanie ręki na pulsie, są niezbędne w interesie całego zespołu. Napotykane braki należy uzupełnić, przeżytki zastępować żywotnym elementem, słabe strony wzmacniać, naprawiać, dostosowywać do wymagań zmniejszającego się położenia i koniecznego reagowania na wyłaniające się groźby, jak i na powstające rywalizacje.

Oto ogólne mniej więcej wskazania, aby uniknąć przedwczesnego uwiądu czy zejścia do organizacyjnego grobu... w obliczu niezmiennego prawa do pełnego życia.

Aby z Żywymi Naprzód Kroczyć

Jeżeli jakikolwiek zespół ludzki, większy czy mniejszy, pragnie z żywymi naprzód kroczyć, to musi sumiennie swoje siły przeglądać, obserwować wszelkie przejawy sytuacyjne wokoło siebie i odpowiednio reagować na napotykane trudności Bo te zawsze były i zawsze będą może tylko w innej formie.

W każdej dziedzinie życia na świecie, toczy się od zamierzchłych czasów bezustanna, niemiłosierna walka o byt, o podstawy do egzystencji. W tej walce jednostki i całe zespoły ospałe, niezaradne są traktowane przez elementy żywotniejsze o wyższych aspiracjach życiowych.

Zgoda na to, że obecnie praca werbunkowa nie należy do łatwych. A czyż ona kiedykolwiek była łatwą? Może pod niektórymi względami dawniej było może lżej powiekszać szeregi ZNP i podtrzymywać i innych atrakcji technologicznych odciągających ludzi od udziału w życiu organizacyjnym..

Plany Ubezpieczenia Lepsze, Ludzi Więcej

Jednakże dawniej Związek Narodowy Polski nie posiadał tak korzystnych, tak doskonałych dla swego członkostwa planów ubezpieczenia, jakie ma do zaofiarowania dzisiaj z pełną gwarancją.

Dalej, jak wielu wiadomo, ulepszona, nowoczesna asekuracja nie stanowi całej istoty Związku To zaledwie jedna strona. Drugą stronę medalu ZNP stanowią całe ideowo-społeczne, a tych znajduje się moc we wszystkich kierunkach i leża one w interesie dobra materialnego i dobrego imienia obywatelstwa amerykańskiego polskiego pochodzenia. Są one aktualne i niektóre z nich najwyższej doniosłości w granicach zagadnień lokalnych, krajowych i międzynarodowych.

Zgnuśniałość Należy do Znanych Plag

Jeśli obecnie w jakimkolwiek towarzystwie życie usypia, to nie wskutek braku celowości Nie! Schodzi ono do martwoty organizacyjnej przeważnie wskutek zaniedbywania przeglądów sytuacyjnych dla poznawania swego faktycznego położenia wskutek zamykania oczu na rzeczywistość: jej wymagania, jej groźby i na nasuwane przez nią sposobności osiągnięcia wspólnymi siłami różnych wspólnych korzyści.

Znany sokoli hymn "Ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat ." dowodzi nam, że ospałość i gnuśność nie są żadnymi nowymi zjawiskami, ale starymi jak świat plagami, które należy metodycznie zwalczać i pokonywać.

Chcąc z żywymi naprzód kroczyć, trzeba przede wszystkim otrząsnąć się z ospałości, dokonać przeglądu swych sił i przeszkód na drodze, aby wszelkie trudności pokonać i cele osiągnąć. Trzeba zawsze posiadać ustalony program działania, bo bezplanowe postępowanie jest kroczeniem po omacku i nie daje pożądanych rezultatów.

Polska Gazeta Jest Twoim Przyjacielem!

Dziennik Związkowy Powinien Być w Waszym Domu!

Niezawodnie nieraz myśleliście o zaprenumerowaniu Dziennika Związkowego, najpopoczytniejszego pisma polskiego w Ameryce. Chcąc ułatwić rozpoczęcie prenumeraty już teraz, zwracamy się z naszą Ofertą Specjalną.

Dziennik Związkowy, omawia na swoich łamach najżywotniejsze kwestie polskie.

Dziennik Związkowy omawia codziennie zawiłe kwestie polityki światowej.

Dziennik Związkowy dociera do najdalszych zakątków Ameryki, a także jest czytany w Kanadzie, Europie, Brazylii i innych krajach Ameryki Południowej.

Dziennik Związkowy niesie najświeższe wiadomości w rodzimym języku i informuje dokładnie o wszystkim.

Poczta Dostarczy Wam Dziennik Do Domu!

Czytelnicy mogą prenumerować Dziennik Związkowy rocznie, półrocznie, lub kwartalnie i otrzymać Dziennik w domu regularnie przez pocztę!

Listonosz Przyniesie Wam Dziennik Związkowy Do Domu!

KUPON

DZIENNIK ZWIĄZKOWY,
1201 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.

Data..

Panowie:—Korzystając z oferty Panów zamawiam Dziennik Związkowy

na □ (½) roku $9:00	na □ (1) rok $15.00	na □ (2) lata $27.00
Chicago $9.50	$16.00	$29.50

na prenumeratę załączam sumę $..........................

Jako prezent proszę mi przysłać bezpłatnie Szklanki z Tańcami lub Książkę

(wymienić jaką)..

Imię i nazwisko ....

Numer Domu i Ulica..

Miasto...................................... **Zone**................. **Stan**................

Załączam Przekaz Pieniężny na $..

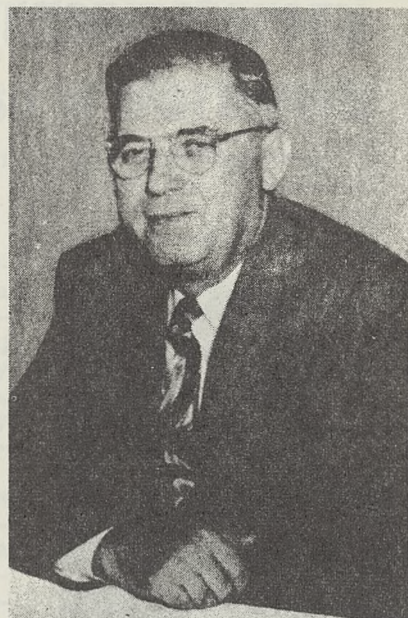
Jak wysyłać pieniądze: Pieniądze na prenumeratę prosimy wysyłać przekazem pieniężnym lub gotówką w registrowanym liście.

Premie: Do każdej prenumeraty na rok dodajemy darmo książki wartości $1, nie dajemy jednak premii do rocznej prenumeraty sobotniego wydania tylko

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

1201 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO 22, ILL.

Polskie Pisma w Stanach Zjednoczonych Ulegają Likwidacji



J. S. ŚWIERCZYŃSKI,
Zarządca Pism Z. N. P.

POLSKIE SPOŁECZEŃSTWO w Stanach Zjednoczonych jest zaniepokojone tragiczną sytuacją Prasy Polskiej w Ameryce.

Parę lat temu przestał się ukazywać w Buffalo zasobny dziennik i wytworzyła się tam luka w działaniu Polonii wprost nie do zastąpienia.

Uległ likwidacji inny poczytny dziennik polski w Bostonie i przeszedł na tygodnik—Polonia tamtejsza została bez trybuny, z której mogła się upominać o swoje prawa. Nie wychodzi już więcej jeden z najstarszych dzienników polskich w Milwaukee, gdyż został zmuszony przez ciężkie warunki do kapitulacji i stał się tygodnikiem.

Kurczy się stan posiadania prasy polonijnej. Wiele potężnych Organizacji na tym terenie zaprzestało wydawania swoich organów prasowych i likwidują się drukarnie.

POLSKIE SŁOWO pisane, przestaje docierać do czytelników.

Na tle tego upadku i zagrożenia, jak bastion prasy w polskim języku trwa na swoim posterunku DZIENNIK ZWIĄZKOWY.

Wydawnictwa Związkowe w oparciu o największą polską Organizację w wolnym świecie —Związek Narodowy Polski—pracują i wypełniają swoje zadania w służeniu całej Polonii Amerykańskiej.

Wydawnictwa Związkowe drukują urzędowy Organ Związku Narodowego Polskiego—ZGODĘ, która obchodzi 80-lecie swego istnienia. Również drukują co roku KALENDARZ ZWIĄZKOWY w formie książkowej i POLSKI KALENDARZ ŚCIENNY.

Tu przeszło od pięćdziesięciu lat nie milkną maszyny drukarskie i codziennie—za wyjątkiem niedziel—wychodzi spod prasy DZIENNIK ZWIĄZKOWY.

DZIENNIK ZWIĄZKOWY, który jest pismem wszystkich Związkowców, **który** jest Twoim przyjacielem i informatorem.

Dziennik Związkowy dociera wszędzie—od Kalifornii do New Yorku, od Florydy do Alaski. Prenumerują to pismo żołnierze polskiego pochodzenia w bazach zamorskich, posiada on czytelników w Europie, Australii i Afryce.

Nasze wysiłki nad podtrzymaniem polskiego pisma nie zdadzą się na nic o ile szerokie rzesze polonijne, a zwłaszcza uświadomiona Brać Związkowa nie poprze czynem naszych starań.

Organizacje, które polikwidowały swoje organy prasowe lub publikują je rzadziej, poniosły duże straty w członkostwie, utraciły kontakt ze społeczeństwem i straciły wiele na prestiżu.

Ambicją każdego członka Związku Narodowego Polskiego powinno być zjednanie chociaż jednego nowego prenumeratora dla Dziennika Związkowego. Zważywszy, że liczba członków Związku wynosi ponad 340,000, przy wspólnym wysiłku możemy być potęgą!

Apelujemy serdecznie do wszystkich, którym zależy na istnieniu polskiej gazety, aby przyczynili się do wzmocnienia Dziennika Związkowego.

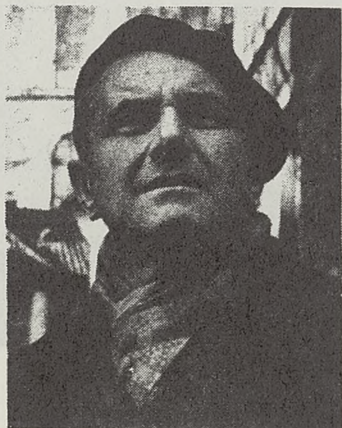
Dziennik Związkowy **przetrwa** wszystkie burze i przezwycięży wszelkie trudności, jak dotąd przetrwał, o ile będzie miał za sobą aktywne poparcie Wasze, Związkowcy i Związkowczynie!

Poprzyjcie czynem DZIENNIK ZWIĄZKOWY.



STANISŁAW JERZY LEC

DO ABLA I KAINA



Znany satyryk i poeta, Stanisław Jerzy Lec, urodził się w 1909 r. we Lwowie. Od 1929 r. publikował w prasie drobne utwory liryczne, a w 1933 wydał tom pt. *Barwy*. Pierwsze jego satyry ukazały się w r. 1933 w „Cyruliku Warszawskim". W 1935 wydał zbiór satyr pt. *ZOO;* w 1936 — *Satyry patetyczne*. Podczas wojny po ucieczce z obozu koncentracyjnego w Tarnopolu walczył w oddziałach partyzanckich.

Po wojnie w 1946 r. wydał wiersze partyzanckie pt. *Notatnik polowy*, w 1948 tom satyr *Życie jest fraszką*, w 1956 r., wiersze liryczne *Rękopis jerozolimski*, w 1957 *Myśli nieuczesane*.

Oprócz liryków, epigramatów, satyr, pisze drobne opowiadania pt. *Małe mity*, tłumaczy poezje, przeważnie z niemieckiego. W 1961 r. otrzymał nagrodę literacką ZAIKSu.

Najnowszy tomik Stanisława Jerzego Leca przynosi drobne liryki. Zaskakują one świeżością paradoksu, trafnością obserwacji, podtekstem filozoficznym.

NIE MA POETY

Nie ma poety
który nie zna chwili,
gdy przez skorupę żółwia,
przez tchórza sierść,
przez kaftan szaleńca,
przez ludzką prawdziwą skórę
tryśnie krew prosto z serca,
potem się znów zasklepi
skorupa żółwia,
porośnie sierścią tchórz,
zawiąże się kaftan szaleńca
i ludzka skóra zagoi
do następnego razu.

PATRZYŁ NA WSZYSTKO

Patrzył na wszystko
przez palce.
W pewnej chwili
zacisnął pięść.

CI, CO NIE MAJĄ

Ci, co nie mają
nic do powiedzenia,
niech milczą.
Jakże muzycznie wzmocnią
chorał ludzkości.

A CI, CO GO ŚCIGALI

A ci, co go ścigali,
chwalą się później
nie bez powodu:
stąpaliśmy jego
śladami!

JEŚLI POETA

Jeśli poeta
szarpie kraty,
nie mów:
Jakże inaczej
dźwięczą
harfy!

ODUCZYLIŚMY SIĘ

Oduczyliśmy się
starego pisma Indian,
pełnych znaczenia
węzłów
na sznurach.
Nie wtajemniczeni
przeczytają
bez błędu
jeden tylko węzeł —
na gardle człowieka.

Współpraca Członków z Organizatorami Stanowi Fundament Sukcesu w Werbunku

Związek Narodowy Polski łączy w sobie rozwój ubezpieczenia życiowego z rozwojem działalności ideowych dla dobra imienia polskiego i dobra obywatelstwa amerykańskiego, polskiego pochodzenia.

Rozwój ubezpieczenia i siły liczebnej ZNP polega głównie na umiejętnej — ścisłej współpracy ogółu członkostwa z organizatorami, bądź z sekretarzami, lub sekretarkami finansowymi Grup.

Bez takiej kooperacji rozwój będzie zawsze skazany na borykanie się z chronicznymi trudnościami. Na nic zdadzą się najlepsze plany ubezpieczenia, jeśli nie będą fachowo referowane i nie będzie wzajemnego korzystania z pomocy między tymi, którzy plany znają, a tymi, którzy znają kandydatów.

Bez tego ani rusz

Związek posiada przeszło dwadzieścia najbardziej korzystnych planów ubezpieczenia dla pełnoletnich do 65 roku życia i dla małoletnich, poczynając od urodzenia, czyli tak zwanego "wieku zero".

Do polecenia komuś członkostwa związkowego potrzeba gruntownej znajomości planów ubezpieczenia. Innymi słowy przy zapisie nowego członka jest konieczna pomoc organizatorska lub pomoc sekretarza finansowego dokładnie obeznanego z planami ubezpieczenia ZNP. i z całym kompleksem fachowego postępowania przy ustalaniu planu i wysokości sumy.

Bez tego ani rusz. Trafny wybór planu i sumy ubezpieczenia bez pomocy organizatorskiej może być najwyżej zdarzeniem przypadku. Czego powinno się unikać, bo wybór ubezpieczenia jest dla ludzi rzeczą bardzo ważną i nie powinno się nigdy załatwiać go po dyletancku. Od ubezpieczenia zależy bowiem często tryb życia jednostek i całych rodzin.

Nie ma innego wyjścia

Nie ma więc innego wyjścia. Pozostaje tylko jedna alternatywa: Członkowie powinni korzystać z fachowej pomocy organizatorskiej przy zapisie nowego członkostwa, a organizatorzy z pomocy członków w swym poszukiwaniu prospektów.

W tej kooperacji sukces zależy od możliwie najwcześniejszego kontaktowania organizatorów z zauważonymi prospektami. Czym wcześniej, tym lepiej.

Wymagania pewnej organizacji

Jedna z niepolskich organizacji bratniego ubezpieczenia — ciesząca się powodzeniem w powiększaniu swych szeregów, wymaga od swych członków, aby informowali organizatorów, skoro tylko zauważą w swym otoczeniu, że:

a) ktoś otrzymał lepszą posadę, więc może potrzebować więcej ubezpieczenia;

b) kupiec, któremu nieźle zaczęło się powodzić, myśli o dodatkowym certyfikacie na poważniejszą sumę;

c) znajomy kawaler zamierza ożenić się, więc niewątpliwie powiększy swe ubezpieczenie;

d) u sąsiadów bocian złożył wizytę i pozostawił 'tęgi" prospekt;

e) u krewnych znajdują się dzieci bez ubezpieczenia, a ponieważ ojciec dostał lepiej płatną pracę, wiec nie chciałby dłużej zwlekać z ubezpieczeniem swych pociech;

Państwo X kupili dom

f) państwo X kupili dom, zatem pan X myśli o nabyciu ubezpieczenia hipotecznego (Mortgage Protection);

g) w dzielnicy przybył nowy lekarz, dentysta, aptekarz awokat, więc dobry prospekt, lecz trzeba jak najwcześniej nawiązać z nim kontakt i zaproponować odpowiedni plan ubezpieczenia;

h) państwo A. myślą poważnie o zapewnieniu swym dzieciom wyższego wykształcenia i gotowi są nabyć dla nich odpowiednie sumy ubezpieczenia wyposażnego;

i) dziadkowie B. zachwycają się swoimi wnuczkami i stać ich na zapewnienie im potrzebnych sum "Endowment at Age 18" na pokrycie kosztu wykształcenia kolegialnego i uniwersyteckiego;

j) znani wujkowie i ciocie są gotowi zapewnić to samo swoim bratankom i siostrzeńcom, bratanicom — czy siostrzenicom, gdyż mogą, lecz niewiedzą jak do tego przystąpić.

Czyż są to wymagania zbyt wielkie?

Jeżeli takie i tym podobne informacje — brzmi konkluzyjna uwaga — będą komunikowane organizatorowi to powodzenie w werbunku nowego członkostwa będzie zawsze pewne, po prostu gwarantowane. Od organizatorów i organizatorek wymaga się zaś starania o to, aby ich adresy i telefony były znane przez wszystkich członków w obrębie ich terenu.

Czyż są to wymagania zbyt wielkie?

Nie. Bynajmniej. Czynienie im zadość wymaga całkiem mało: szczypty dobrej woli i szczypty prawdziwej życzliwości dla swej organizacji.

Zatem skoro inni mogą w ten sposób rozbudowywać swe organizacje, to czyż nasi Związkowcy i Związkowczynie nie mogą także tej samej metody użyć w rozbudowaniu swej potęgi liczebnej w interesie własnego, wspólnego dobra — i dobrego imienia całej Polonii amerykańskiej?

Dlaczego Werbujemy i Werbujemy Nowych Członków Do Związku N. P.?

Dlaczego werbujemy i werbujemy do Związku?

Dlaczego będziemy werbować jak długo niektórzy z przybyłych z Polski naszych rodaków i niektórzy z obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia będą chodzili luzem?

Będziemy werbować dlatego, aby takich nieświatłych rodaków, którzy nie rozumieją, że w wolnym demokratycznym ustroju zmysł organizacyjny odgrywa rolę czynnika decydującego w doniosłych dla wszystkich polskich ośrodkach. Te czasy przeszły.

Obecna sytuacja międzynarodowa i polsko-amerykańska nie wymaga od ogółu polonijnego chwytania za szable, za karabiny, ani regularnego uczęszczania wieczorami i w dni wolne od pracy zarobkowej, na uciążliwe ćwiczenia zwarte i polowe, jak to się ongi widziało na porządku dziennym po polskich ośrodkach.

Niewątpliwie wielu pamięta jeszcze te czasy? Wszak to nie takie dawne. Mija zaledwie ze czterdzieści lat od okresu, kiedy tak zwana ironicznie polska "emigracja zarobkowa" rozbudowywała polskie organizacje, opodatkowywała się na skarby narodowe, tworzyła polskie wojsko, budowała swą bezgraniczną ofiarnością polskie kościoły i szkoły, aby stworzyć tu własną siłę polityczną, pracując na chleb w mniej korzystnej niż obecnie koniukturze ekonomicznej.

No i ta "zarobkowa Polonia" zdała celująco egzamin ze swej dojrzałości politycznej, gdy wypadło jej wystąpić na arenie międzynarodowej i bronić praw narodu do wolności i niepodległości pod koniec pierwszej wojny światowej.

Obecnie, od drugiej wojny światowej naszą tu Polonię tworzą przeważnie zastępy urodzone na Wolnej Ziemi Washingtona polsko-amerykańskiej generacji i "emigracja polityczna". Ostatni napływ polskiego elementu przedstawia poważną siłę liczebną.

Wielu nie może, nie ma czasu lub też nie chce zrozumieć, że sprawa Polski i obrona demokracji wymagają od nas, abyśmy byli zorganizowani i przedstawiali na miarę swej liczebności odpowiednią siłę głosu.

Polonia amerykańska może bardzo dużo dokonać za pośrednictwem Stanów Zjednoczonych w obronie praw narodu polskiego do absolutnej wolności i niepodległości na swej odwiecznej ziemi, jeżeli rzecznicy polonijni będą reprezentować zorganizowaną siłę głosu obywatelskiego. Bo w naszym tutaj wolnym demokratycznym ustroju siła liczebna głosu odgrywa zazwyczaj rolę języczka przy wadze.

Dzisiaj nie mamy innego wyjścia. Jest ono tylko jedno: werbunek rozprószonych sił do silnego zespołu!

Dziś, gdy globalne rakiety weszły w rachubę, szable i konwencjonalne karabiny przestały być logiczną bronią. Bronią naszą może byé obecnie tylko zorganizowana siła głosu w tym kraju!

Zatem werbujmy i werbujmy! Werbujmy wszyscy dopóki nie bedzie tutaj takich rodaków, tu urodzonych lub tu przybyłych, żyjących samopas. — Obowiązkiem każdego światłego Polaka jest szerzyć to uświadomienie w swym otoczeniu.

Werbujmy do Związku Narodowego Polskiego, zapewniającego masom polonijnym na najbardziej korzystnych warunkach różne plany pełnego ubezpieczenia i godną pełnego zaufania, wypróbowaną reprezentację polityczną.

Wielki Obowiązek: — Dlaczego Winniśmy Się Uczyć Języka Polskiego i Pielęgnować Mowę Przodków

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy,
Polski my naród, polski lud
Królewski szczep piastowy.

x x x

Tak, przed pół wiekiem, Maria Konopnicka w Polsce pogrążonej w niewoli, broniła ojczystej polskiej mowy. Nie przypuszczała w ówczas Polonia amerykańska, że te mocne i twarde słowa poetki: "Nie damy pogrześć polskiej mowy"—wypowiedziane w obronie pięknego polskiego języka, staną się tak szybko ważne i aktualne dla nas i w naszych warunkach życia.

A stały się bardzo aktualne, bo język polski w zastraszającym tempie ginie i zamiera. Średnie nasze pokolenie, zarażone kompleksem niższości, od języka polskiego stroni—pisze Ks. W. Kłos w Nowym Świecie.

x x x

A co się stanie, gdy nasze dzieci, które dziś kończą szkoły parafialne, pozbawione polskiego języka, za parę lat dorosną i zaczną zajmować nasze miejsca w kościołach, na plebaniach, w szkołach, w organizacjach i domach ludowych?

Czy nie zniknie w ówczas, raz i na zawsze język polski z kościołów polonijnych, ze szkół, z organizacyj? Czy nie poupadają nasze czasopisma? Czy nie zamilkną nasze godziny radiowe?

x x x

Cóż nam w ówczas pozostanie? Parady, z roku na rok, pod względem frekwencji malejące, bankiety i bale ku czci zasłużonych dla Polonii mężów i niewiast, polki, oberki, mazurki—jako cała treść naszej narodowej i kulturalnej pracy?

A więc, jeżeli chcemy istnieć, jako Polonia, jako odrębna narodowościowo grupa, a nie stać się mierzwą dla innych grup narodowych, świadomych swojej narodowej i kulturalnej wartości, to sprawa odrodzenia znajomości polskiego języka musi stać się jednym z najważniejszych zagadnień . . .

Może ktoś powiedzieć, że łatwo rzucać hasła, wygłaszać apele, ale co należy robić w naszych konkretnych warunkach?

x x x

Tym odpowiadam, że dziś, w okresie renesansu językowego, jaki dokonał się w Ameryce, przy zrozumieniu i dobrej woli ogółu Polonii a przy poświęceniu i zapale tych, którzy temu problemowi chcieliby się poświęcić,— można zrobić dużo. Uważam, że w pierwszym rzędzie i to w jak największym zakresie należy wykorzystać istniejące już na naszym terenie Szkoły Sobotnie, rozbudować je i otoczyć moralną i materialną opieką.

Domagać się, aby język polski powrócił do naszych szkół parafialnych, nie jako dodatek, ale jako drugi, obok angielskiego, obowiązkowy język dla dziecka pochodzenia polskiego.

Bo pionierzy naszej Polonii po to je w cięższych,aniżeli my mamy, warunkach, z wielką ofiarnością i poświęceniem, budowali, aby dzieci ich synów i wnuków, mogły w nich uczyć się mowy swoich ojców.

x x x

Należy, aby rodzice, średnie szkoły polonijne, organizacje, stowarzyszenia, liderzy takich organizacyj młodzieżowych jak CYC i CYO apelowali do młodzieży uczęszczającej do szkół średnich, aby obierała, jako drugi język, dziś obowiązkowy—język polski. Należy na przykład w Buffalo doprowadzić do końca tak szumnie rozpoczęte dzieło Katedry Kultury Polskiej w Kolegium Kanizjusza, aby młodzież nasza, w olbrzymim procencie tam uczęszczająca, mogła zapoznawać się z dziejami polskiego narodu, z jego tysiącletnią kulturą i bogatym jego wkładem w chrześcijańską kulturę świata. A wtenczas łatwiej i prędzej będzie się mogła pozbyć kompleksu niższości, zaszczepionego jej przez rodziców i społeczeństwo polonijne.

x x x

Należy język polski, na wszystkich szczeblach jego nauczania, potraktować na serio, poważnie, a nie jako dodatek, dla oka, że się niby coś robi. Bo ani konkursy kultury, ani nauczenie dziecka paru religijnych, czy ludowych piosenek, ani recytowanych na pamięć, bez zrozumienia treści wierszyków,—jeszcze problemu języka polskiego nie rozwiązuje.

x x x

Dlaczego mamy się uczyć polskiego języka? Tym, którzy chcieliby postawić takie pytanie—odpowiadam:

Chcemy się uczyć polskiego języka, bo język polski—to język naszych ojców, język narodu, z którego pochodzimy, język którym dziś posługuje się 30 milionów naszych braci w kraju i ponad 10 milionów rozproszonych w świecie. Chcemy się uczyć polskiego języka, abyśmy mogli z naszymi braćmi w kraju, i rozproszonymi w świecie porozumieć się.

Jakże wstydzić się muszą rodzice a jaki żal musi mieć dziecko pochodzenia polskiego, gdy podczas odwiedzin swoich krewnych i kuzynów w Polsce, musi z nimi porozumiewać się na migi, bo zatraciło już zupełnie polski język.

Chcemy się uczyć polskiego języka, bo język polski to klucz do polskich dziejów, do polskiej kultury, do polskich tradycyj, a nawet do zrozumienia polskiej duszy i polskiego serca. Chcemy się uczyć polskiego języka, bo język polski należy do grupy języków słowiańskich, którymi mówi ponad 300 milionów ludzi.

Znając polski język, możemy lepiej lub gorzej z tymi ludźmi się porozumieć. Chcemy się uczyć polskiego języka, bo uczenie się obcych języków zalecają najwyższe administracyjne i szkolne władze dla dobra, pomyślnego rozwoju i bezpieczeństwa Ameryki. Chcemy się uczyć polskiego języka, bo pomijając nawet wszystkie **pobudki** wyższej natury, ze znajomości polskiego języka możemy mieć konkretną w wymiarach materialnych korzyść...

* * *

A więc, przerywając wyliczanie korzyści, jakie może dać znajomość języka polskiego, zwracam się z gorącym apelem w sprawie odrodzenia znajomości polskiego języka do szkół parafialnych, — do Sióstr Felicjanek, — zawsze szczerze i gorąco oddanych każdej dobrej i szlachetnej polonijnej sprawie, do organizacyj takich jak Związek, jak Zjednoczenie, jak Unia, do czasopism i programów radiowych, a przede wszystkim i w pierwszym rzędzie do Was Rodzice, bo tu chodzi o Wasze dziecko, o jego dobro.

* * *

Od Was zależy, czy znajomość mowy ojców powróci, czy się odrodzi, czy zostanie raz na zawsze zaprzepaszczona. Dziś zaistniała dla nas największa okazja, aby język polski stał się drugim obok angielskiego, językiem każdego polonijnego dziecka.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Prośba w Wigilię —

**W mojej ziemi Chrystusa wypędzają z kościołów,
w mojej ziemi łza spływa na biały opłatek,
ucichła radość przy wigilijnych stołach,
wśród choinkowych świateł.**

**Bóg się narodził, lecz nie struchlał moc,
potężnej twierdzy kłamstwa w murach Kremla
oto w tę świętą wigilijną noc
ofiara mego Kraju znów się krwawo spełnia.**

**Lecz Ty podniesiesz rękę, Boże Dziecię
i błogosławić będziesz mojej Ziemi,
albowiem wzruszy Cię cierpienie,
które nas smaga przez lat piętnaście.**

**Ty się zlitujesz nad naszym Krajem
nad bolesnymi tułacza łzami —
A słowo ciałem niech się stanie
i niech zamieszka między nami.**



Ubezpieczenia Związkowe — To Cenne Dary Gwiazdkowe

"Gwiazdka" w Postaci Certyfikatu Wyposażnego Na Wyższe Wykształcenie Jest Bardzo Pożądana i w Życiu Niezapomniana. — Ponadto Dar Taki Należy Do Pryncypalnych Celów Zw. Nar. Pol.

Znajdują się skarby, których ogień nie pożera, ani powódź nie zabiera, ani złodzieje skraść nie mogą.

Do takich pewnych, przezornych inwestycji ludzkich należy ubezpieczenie w Związku Narodowym Polskim i wyższe wykształcenie.

Związek zapewnia swemu członkostwu jedno i drugie. Jednakowoż jeszcze nie wszyscy, którzy powinniśmy korzystać z tego dobrodziejstwa, korzystają z niego.

Może niektórzy nie mieli dobrej sposobności poznać go, a drudzy może nie zgłebili go do sedna.

KAŻDY MOŻE JE NABYĆ

W Związku każdy Polak i Polka prawego charakteru, a nawet i osoby powinowate innego pochodzenia, mogą nabyć potrzebny rodzaj ubezpieczenia na miarę wymogów i swego usytuowania.

Nieomal wszystkie "plany" nadają się na "gwiazdkę" dla siebie i dla swych najdroższych. A niektóre z nich, na przykład, jak 18-to i 20-letnie wyposażne (endowment) wprost wołają wielkim głosem o nabywanie ich w okresie świąt Bożego Narodzenia.

CZY NASZYCH LUDZI STAĆ NA NIE?

W życiu zazwyczaj bywa tak, że rodziców podczas zakładania ogniska domowego nie stać na wszystko, co pragnęliby mieć zapewnione dla dzieci. Natomiast dziadkowie, a często i starsi wujkowie i ciocie, nie wyłączając chrzestnych ojców i matek, mają się lepiej. Tym wiele odpowiedzialności rodzinnych już odpadło, a zamożność wzrosła. Dla jednych wnuk lub wnuczka, dla drugich bratanki lub bratanice, siostrzeńcy lub siostrzenice, a dla innych jeszcze ich chrzestniacy—przedstawiają największe pociechy.

Dla takich ulubieńców niejedni są gotowi wiele poświęcić, byle ino ich pociechy wyrosły na ludzi przynoszących dumę otoczeniu, a zwłaszcza swym najbliższym. Są oni gotowi dopomóc im w osiągnieciu najwyższego wykształcenia. Nieraz marzą o tym codziennie lub przy każdej okazji. Wielu może tylko nie wie jak podejść do praktycznego rozwiązania takiego problemu.

WYŻSZE WYKSZTAŁCENIE KOSZTUJE

Wyższe wykształcenie—kolegialne i uniwersyteckie kosztuje najmniej kilka tysięcy dolarów, licząc minimalnie. Najtrudniej studentowi lub studentce jest przebrnąć przez cztery lata kolegium. Wyżej każdy i każda, posiadając stopień bakałarza (bachelor degree), może już sobie dać radę. Ma możność lepszego zarobkowania. Rozumie już gruntownie wartość wyższego wykształcenia, wie jak się zdobywa ostatnie szczeble naukowe... i osiąga je. A jeśli pozostaje na szczeblu kolegialnym, to też już ma prawo do zajmowania najwyższych stanowisk społecznych.

Wszystkim nam powinno więc zależeć na tym, aby jak największa liczba młodzieży polsko-amerykańskiej mogła wspinać się na najwyższe piedestały naukowe i przyświecać ogółowi. Od tego przecież zależy i zawsze będzie zależała w wysokim stopniu ocena polskiego elementu w wirze życia amerykańskiego.

JEDEN Z PRYNCYPALNYCH CELÓW ZNP

Każdy chyba też zdaje sobie dzisiaj sprawę, że z biegiem czasu wymagania naukowe będą rosły. Technologia i inne dziedziny naukowe naszej cywilizacji robią bezustanne postepy. Kto szuka dziś lepszej pracy i zapłaty, ten spotyka się na pierwszym miejscu z zapytaniem:

Jakie masz wyszkolenie?

Stopień wykształcenia decyduje obecnie nieomal o wszystkim. Nauka równa ludzi wywodzących się z najuboższych domów z najbogatszymi. Dzieci królewskie muszą mozolić się w szkole; muszą na równi z innymi zdobywać w wyższych zakładach edukacyjnych "nowoczesne szlachectwo" i podstawę

do egzystencji na górnym poziomie.

Podciąganie młodzieży polsko-amerykańskiej na najwyższe szczeble społeczne przez umożliwianie jej zdobycia wyższego wykształcenia należy do pryncypalnych celów Związku Narodowego Polskiego!

Każdy ze Związkowców jest poniekąd ideowo obowiązany do osobistego i do zbiorowego zabiegania o to, aby jak najwięcej naszej młodzieży znajdowało się w wyższych instytucjach naukowych.

SKĄD WZIĄĆ POTRZEBNE KILKA TYSIĘCY?

W Związku znajduje się specjalny plan: ubezpieczenie wyposażne (endowment) wypłacane ubezpieczonym po skończeniu 18-go roku życia.

To ubezpieczenie, jak inne, można opłacać miesięcznie, kwartalnie, półrocznie i rocznie. A można je także opłacić od razu, to jest z góry za wszystkie lata. Przy jednorazowej opłacie otrzymuje się poważny dyskont. Ubezpieczenie to posiada wysoką wartość gotówkową i pożyczkową. Po dojrzeniu jest ono wypłacane w pełnej sumie ubezpieczonemu. A w razie nieszczęścia—wypadku przedwczesnego zgonu—pełna suma jest wypłacona spadkobiercom bez względu na długość czasu do terminu dojrzałości certyfikatu.

Innymi słowy pieniądze są pewne jak w banku na dobry procent plus dywidenda i ubezpieczenie.

Dla chłopca lub dziewczyny jest to bardzo cenny posag naukowy. I coś więcej niż sama pomoc materialna: zachęta do nauki. Młodzi przeważnie pilniej się uczą. Tak obdarzeni starają się o lepsze stopnie już w szkole elementarnej i lepsze "kredyty" w szkole średniej (high school) — wymagane przy wstępie do kolegium.

CZY TAKICH WŚRÓD NASZYCH NIE MA?

Czy takich światlejszych obywateli, których stać na to, którzy mogą takie prezenty gwiazdkowe sprawić swoim ulubieńcom, nie ma wśród naszych rodaków?

Wśród innych narodowości w Stanach Zjednoczonych takich "Santa Claus" znajduje się co roku sporo. Żyją tacy i wśród naszej Polonii. Są tacy i w szeregach związkowych. Są! Na pewno są. A, że takie prezenty gwiazdkowe nie są jeszcze dość popularne, to dlatego, że wielu naszych rodaków nie zwróciło na nie uwagi. Albo nie wie jak się do nich zabrać.

Niejeden może nie wie, że organizatorzy i sekretarze finansowi grup posiadają dokładne szczegóły, że chętnie służą wszelkimi informacjami, że załatwiają wszelkie formalności, że Związek ubezpiecza na różne sumy bez egzaminacji lekarskiej do 50 roku życia, jeśli aplikacja nie przedstawia zbytniego ryzyka.

CHODZI O NASZE JUTRO POLSKO-AMERYKAŃSKIE

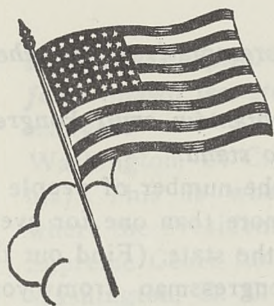
Wszystko, co trzeba uczynić, to zwrócić się w tej sprawie do organizatora lub sekretarza finansowego (organizatorki lub sekretarki) grupy. Albo w innym wypadku zasugerować takie ubezpieczenie komu należy i poinformować o istniejącym prospekcie organizatora lub sekretarza.

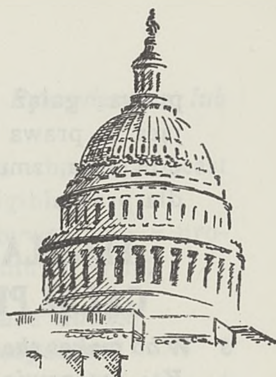
Naukowe wyposażenie młodzieży przez ubezpieczenie w ZNP—to cel polsko-amerykański niezmiernie ważny!

Wszak tu chodzi o naszą przyszłość—o nasze polsko-amerykańskie jutro!

Dla tego jednego celu—nie mówiąc o innych—już warto należeć do Związku, werbować do niego i pracować dla jego wielkości!







Czy Starasz Się o Obywatelstwo?



Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT

A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. *What is the form of our government?*
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. *What is a republic?*
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. *What is the Constitution of the United States?*
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. *What does the Constitution provide for?*
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. *How many branches are there in our government?*
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. *What are these three branches?*
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
G a ł ą ź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 *Who makes the laws of the United States?*
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. *How many parts has Congress?*
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. *How many members has the Senate?*
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. *Who presides over the Senate?*
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. *For what term is a Senator elected?*
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. *The House of Representatives consists of how many members?*
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. *How many Representatives are there from each state?*
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. *For what term is a Representative elected?*
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. *Who presides over the House of Representatives?*
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. *How are the laws of the United States made?*
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. *What is the capitol of the United States?*
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. *Who is our Chief Executive?*
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. *Who takes office if the President dies?*
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President,

Wice-Prezydent.

21. *Who elects the President and Vice-President?*
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. *Do the people vote directly for the President and Vice-President?*
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. *For what term are the President and Vice-President elected?*
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. *Is anyone eligible to be the President or Vice-President?*
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. *What are the President's duties?*
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. *How does he carry out the laws?*
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. *What is the Cabinet?*
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. *What is the highest court in the United States?*
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. ***What is the function of the Courts?***
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. ***Who makes the laws in the 48 states?***
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. ***What does the state legislature consist of?***
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanonowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. ***Who is the chief executive of each state?***
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. ***What is the highest state law?***
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. ***Outside of federal and state, what goverments have we?***
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. ***Who discovered America?***
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. ***Who was George Washington?***
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jakó Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. ***What is the Declaration of Independence?***
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. ***When was the Declaration of Independence adopted?***
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. ***Who was Abraham Lincoln?***
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. ***Who was Woodrow Wilson?***
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. ***The American flag has how many colors in it?***
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. ***How many stars and stripes are there in the American flag?***
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. ***What are the names of the 13 original states?***
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. ***What is the most important right of a citizen?***
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. ***What does the citizen do by voting?***
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. ***What is the Bill of Rights?***
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. *What rights are guaranteed by the Bill of Rights?*

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. *What do other amendments to the Constitution provide?*

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. *What are the duties of citizens?*

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

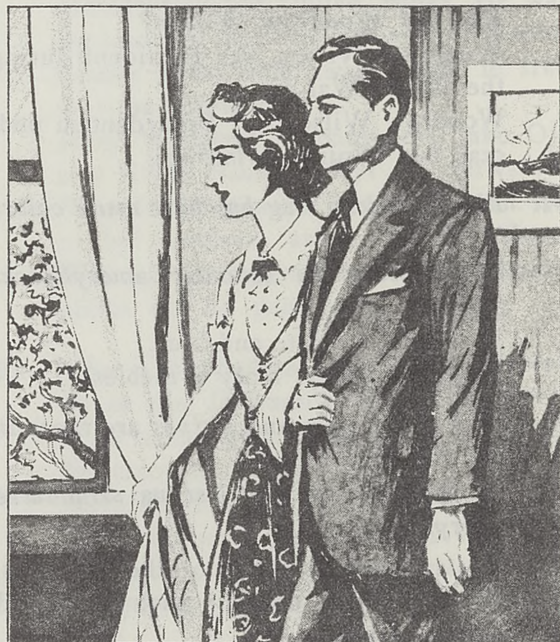
Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



Czy Posiadacie Dostateczne Zabezpieczenie Dla Rodziny?



Dostateczne Ubezpieczenie Na Życie Ojców Jest Ich Świętym Obowiązkiem Wobec Rodzin.



Młodzi, samotni mężczyźni i kobiety posiadający ambicję oszczędzania na przyszłość i zapewnienia ubezpieczenia dla rodzin, gdy mężczyna ożeni się, a panna wyjdzie za mąż, mają do wyboru dwa bardzo dobre plany w Związku Narodowym Polskim.

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI
1514-20 West Division Street
Chicago 22, Illinois

Ciekawostki apteki ludowej

Lekarz do kolegi: Udało mi się właśnie wynaleźć wspaniałe lekarstwo. Teraz tylko trzeba wynaleźć odpowiednią chorobę.

„Kuang-czung-ten i „pai cz'ang-ts'ao" leczą zapalenie wyrostka robaczkowego, pozwalając uniknąć operacji. Te niezwykle rzadkie rośliny występują wyłącznie w Chinach. Botanicy chińscy, po długich próbach, nauczyli się je uprawiać. W prowincji Syczuan znaleziono nową odmianę leczniczą korzenia żeń-szeń, a w górach Chin Południowych — krzew zwany aktinidią. Owoce aktinidii zawierają 10 razy więcej witaminy C niż cytryny.

Sok z młodej kapusty wpływa kojąco na system nerwowy i na bóle głowy. Kapusta, świeża oraz kiszona, pobudza apetyt i jest doskonałym środkiem przeciwko chronicznej niestrawności. Medycyna ludowa leczyła oparzenia zalecając przykładanie liści kapusty posmarowanych białkiem.

„Baraniec" — skuteczny środek antyalkoholowy. Lekarze radzieccy sporządzili nowy lek z wyciągu rośliny zwanej „barańcem". Skuteczność leku jest nadzwyczajna. W olbrzymiej większości wypadków powoduje trwałe obrzydzenie do alkoholu, które występuje już po jednorazowym zażyciu „barańca". Leczeni pacjenci odczuwają wstręt nie tylko do smaku i zapachu wódki — nawet widok butelki doprowadza ich do mdłości. Lekarstwo to wprowadziły początkowo tylko trzy szpitale (w Moskwie, Leningradzie i w Riazaniu), ale w miarę wzrostu produkcji zostanie on wprowadzony do innych szpitali ZSRR.

Użądlenia pszczół przeciwko reumatyzmowi. „Pszczołolecznicza" klinika w Tokio istnieje od 1934 roku. Z usług skorzystało przeszło trzysta tysięcy pacjentów. Dr Tomoni Ikuma leczy ludzi chorych na reumatyzm, nadciśnienie, bezsenność, stany załamania nerwowego, a ponadto podejmuje próby zapobiegania innym dolegliwościom, jak np. bezpłodność. Pacjent, w zależności od rodzaju choroby, otrzymuje w określone części ciała od 30 do 50 ukłuć żądłami. „Zastrzyki" powtarzane są co 2 dni. Pszczoły przed zabiegiem karmione są specjalną mieszanką miodu i pyłków kwiatowych, której skład jest znany tylko doktorowi Ikuma. Leczenie swe oparł on na starej ludowej medycynie chińskiej.

Pokrzywa ma właściwości bakteriobójcze. Wyciąg z pokrzywy używany jest do produkcji wielu lekarstw, między innymi do produkcji jodyny. Zalecane przez medycynę ludową okłady z pokrzywy, były dość skuteczne, ponieważ — jak stwierdziła nowoczesna medycyna — roślina ta posiada właściwości bakteriobójcze. Poza tym okłady wywoływały obniżenie temperatury, co było odległą zapowiedzią stosowanej obecnie dość często hibernacji.

Dieta jogurtowa usunęła szkodliwe następstwa lekkiego zatrucia wywołanego promieniami radioaktywnymi. Szczęśliwą kurację przeprowadził dr Higoczi z Tokio. Jogurt, rodzaj mleka zsiadłego, znany jest od dawna jako napój zdrowotny, a nawet leczniczy. Właśnie jogurtowi przypisywana jest długowieczność Bułgarów, którzy wynaleźli recepturę na kuracyjne mleko.

Żmija zabija i żmija leczy. Jad żmii wprowadzany w odpowiednich dozach do organizmu, jest pożytecznym lekarstwem. Używany jest on do produkcji preparatów przeciwreumatycznych i przeciwepileptycznych.

MIODOWA RECEPTA





Miód zdobył sobie uznanie nowoczesnej dietetyki. Wszyscy wiemy, że jest dobry i pożywny, Warto jednak wiedzieć o nim coś więcej. Zawiera przeciętnie od 72 do 76% cukrów, których wartość kaloryczna wynosi 330 kalorii na 100 g substancji brutto. Bogactwo energetyczne miodu jest duże. Różni się od innych „słodkich" pokarmów jakością cukrów. Zawartość sacharozy (podstawowego cukru buraków) w miodzie nie przekracza 6—8%, natomiast 68—70% to lewuloza i glukoza. Zarówno lewuloza jak i glukoza należą do cukrów najłatwiej przyswajalnych przez organizm.

Pszczoła czerpie surowce potrzebne do wyrobu miodu z nektaru kwiatów. Znajduje tam różne cukry (przede wszystkim sacharozę), które natychmiast przerabia na lewulozę i glukozę. Przeróbka możliwa jest dzięki diastazie produkowanej przez organizm pszczoły. Analizy wykazały, że diastaza przedostaje się częściowo do miodu i tam kontynuuje działanie. Miód zachowuje się jak „żywa substancja", która ulega stałemu rozwojowi. Po 5 latach zawartość sacharozy w miodzie maleje, spada do około 3%, a mniej więcej po 10 latach przekształcenie wszystkich cukrów w lewulozę i glukozę jest całkowite.

Już w 1926 r. pediatrzy zwrócili uwagę na dobre wyniki, jakie uzyskuje się przez dodanie pewnej ilości miodu do mleka. Dodatek miodu sprawia, że mleko „zabite" przez gotowanie jak gdyby regeneruje się i zyskuje na wartościach odżywczych.

Ostatnio dwaj badacze przeprowadzili doświadczenia, które ilustrują wpływ miodu na organizm dziecka. Badania przeprowadzili na dzieciach mających mniej niż jeden rok życia. Dzieci podzielono na 3 grupy. Wszystkie grupy otrzymywały tę samą dietę, poza cukrami. Pierwsza grupa otrzymała sacharozę, druga — maltozę, a trzecia — miód. Na podstawie analizy krwi badacze stwierdzili, że dzieci, które otrzymały miód jako dodatek do mleka, wykazywały najwyższy poziom hemoglobiny we krwi.

Miód wpływa dodatnio na skład krwi i z tego powodu trzeba w nim widzieć prawdziwy bodziec wzrostu dziecka. Nie należy oczywiście przesadzać i trzeba uważać, by dawki miodu dodawane do flaszki czy papki z jarzyn stopniowo rosły. Miód w stanie czystym można podawać dzieciom w małych ilościach. Łyżeczkę, już od wieku 3 miesięcy.

Nie dodawajmy miodowi cnót, których nie posiada. Jest bardzo ubogi w witaminy. Natomiast znajdziemy w nim prawdziwe bogactwo soli mineralnych i oligometali. Jakkolwiek chodzi tu o ślady zaledwie, to jednak miedź, kobalt, mangan, a przede wszystkim żelazo, odgrywają ważną rolę w procesach wymiany międzykomórkowej. Dzięki swej zawartości miód działa jako bodziec wzrostu i dynamiki mięśniowej. Zawiera on również liczne diastazy, które ułatwiają trawienie węglowodanów (skrobi).

Jedna z najwybitniejszych właściwości miodu polega na jego działaniu antybakteryjnym. Podczas gdy nektar, z którego miód pochodzi, jest doskonałą pożywką dla bakterii, miód — przeciwnie — nie pozwala na ich rozwój. Bakteriostatyczne właściwości miodu, potwier-

dzone wieloma badaniami przeprowadzonymi na bakteriach coli, stafilokokach (stafailococcus) bakteriach tyfusu, porównać można do pewnych antybiotyków. Sam fakt, że miód (nie nakryty) konserwuje się bez zmian przez długi czas, wskazuje na jego właściwości antybakteryjne i antygnilne.

Miód, w odróżnieniu od innych pokarmów zawierających cukry, posiada właściwości przeczyszczające. Para „mleko + miód" ma jeszcze tę wartość, że miód ułatwia asymilację wapnia i fosforu, w które mleko jest bogate.

Dzięki wysokiej zawartości łatwo przyswajalnych cukrów miód nadaję się doskonale dla rekonwalescentów, kobiet w ciąży, sportowców, a przede wszystkim dla ludzi cierpiących na serce. Lewuloza działa jak prawdziwy środek toniczny dla serca wzmacniając jego skurcze i zwiększając ukrwienie mięśnia sercowego.

Właściwości lecznicze, podobnie jak wygląd miodu, zależą od roślin, z których jest zbierany. Zależnie od kwiatów istnieją różne rodzaje miodu, z których każda posiada swój charaterystyczny kolor, zapach i smak. I tak np. miód z tatarki lub wrzosu zawdzięcza swój ciemny kolor pigmentom bogatym w żelazo.

Stare przepisy medycyny ludowej rozróżniają, zależnie od kwiatów z jakich miód pochodzi, wiele zastosowań leczniczych tego pokarmu-leku. Np.: miód z głogu dobrze działa na nerwicę i bezsenność, miód z sosny zaleca się dla astmatyków i na kaszel, miód z tymianku posiada wiele cech tej rośliny, której wywar łagodzi kaszel, ułatwia trawienie, działa przeciwskurczowo. Miód ten zaleca się przy bronchicie. Miód z tatarki dobry jest dla asteników i anemicznych, miód z lipy ma właściwości kojące i dobrze działa w wypadkach nerwicy żołądka, miód z wrzosu posiada działanie moczopędne.

Pewni ludzie nie mogą znieść miodu, który wywołuje u nich różne zaburzenia żołądkowe, zgagę, wzdęcia i biegunkę. Istnieją co prawda pewne, na szczęście wyjątkowe, miody mające działanie toksyczne, jak miody zbierane z tojadu, azalii i rododendronów, większość jednak miodów zawdzięcza swą agresywność obecności kwasu mrówkowego Miód jest w istocie rzeczy pokarmem posiadającym dosyć silną kwasowość. Ta właśnie cecha miodu usprawiedliwia zakaz jego spożycia obowiązujący przede wszystkim ludzi cierpiących na nadkwasotę żołądka, wrzody żołądka i dwunastnicy, ostre i chroniczne katary kiszek. „Guerir" (PAP)

Człowiek głodny nie interesuje się zupełnie jadłospisem, z którego będzie mógł korzystać w 1970 roku.

Savi de Tove
ambasador Togo w NRF

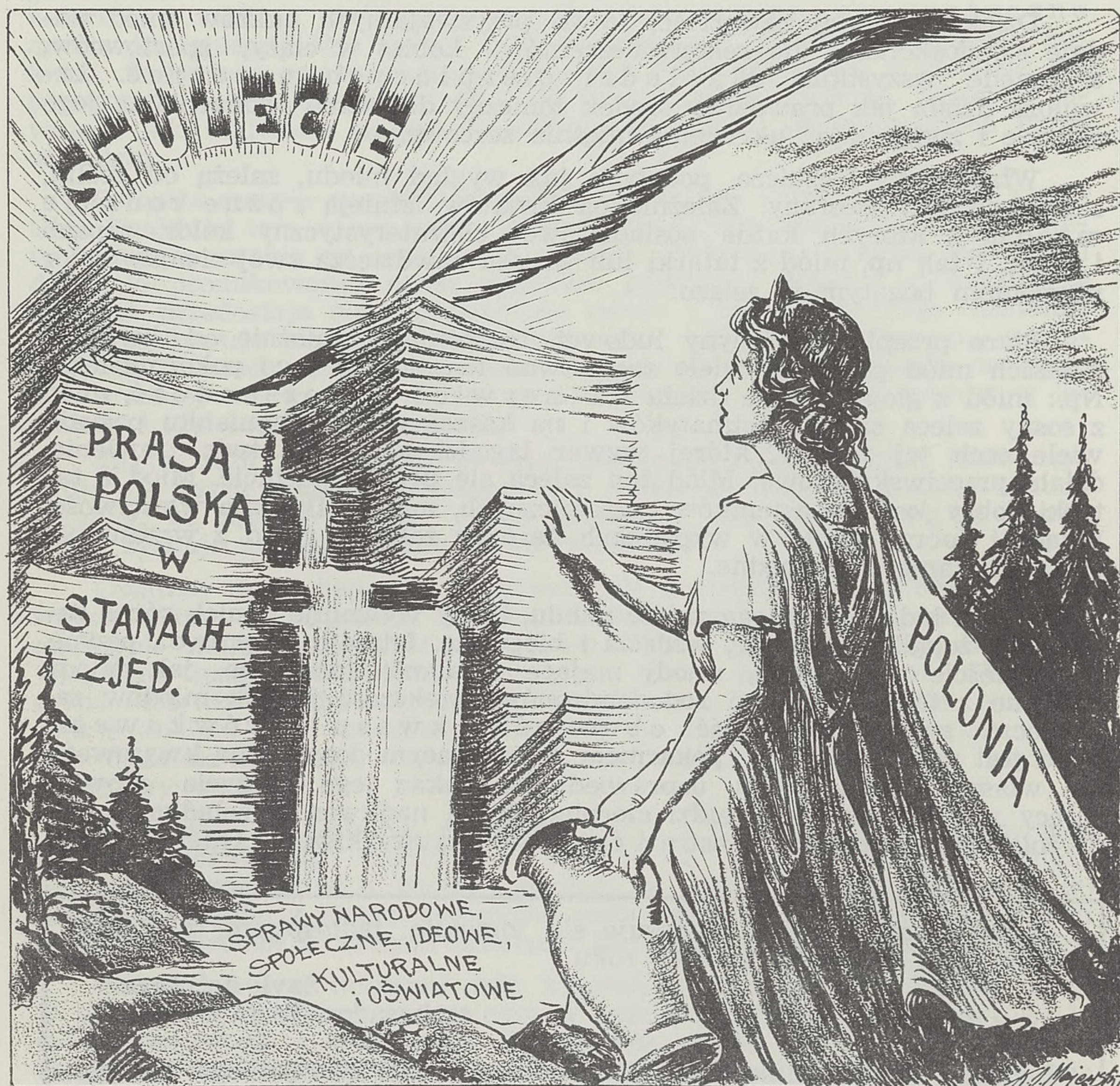
Badania w dziedzinie medycyny dokonały tak olbrzymiego postępu, że dziś — praktycznie biorąc — nikt już nie jest zdrowy.

Bertrand Russell
angielski filozof

Mój ojciec zawsze mówił mi, że businessmeni to łobuzy, ale ja do dziś w to nie wierzyłem.

prezydent Kennedy
komentując podwyżkę cen stali w USA

Przy Źródle


STULECIE
PRASA POLSKA W STANACH ZJED.
POLONIA
SPRAWY NARODOWE, SPOŁECZNE, IDEOWE, KULTURALNE I OŚWIATOWE
K.J. Majewski

Święto Nauki Polskiej





Dużą atrakcją dla wycieczek krajoznawczych stanowi muzeum skansenowskie pod Olsztynem, a w nim zwłaszcza stary



W dniu Święta Zmarłych mieszkańcy całej Polski odwiedzili groby swych bliskich, którzy odeszli. Szczególną opieką otoczone zostały mogiły tych, którzy oddali swe życie w walce o niepodległą Polskę.



Tańczy zespół góralski z Bukowiny Tatrzańskiej — jeden z najlepszych na Podhalu.

Dorobiony kluczyk

Gawęda góralska

Wybroł się roz Pon Jezus na śpacer po obiedzie. Poseł se za niebieskie ogrody, ka sie zacynoł las. Idzie se Pon takom leśnom pyrciom na wierch grapy, a tu w ubocy na polance widzi kierdelik owiec. Cosik mu sie nie zwidziały. Na zadku kierdla sła jakosi kulawo owca. Podchodzi Pon Jezus blizej i widzi, ze takich kulawych kalik więcyj. Hań jedna bez oka, haw inksa na usach parsywa, ta zasie jakosi kaprawa. Mało wtóre uściwie wymyte. Hę? Coze to za porządki? Markotno sie zrobiło Panu Jezusowi, skond sie takie stwory wzieny? Wrócił sie Pon Jezus z tego śpacyru i bierze świentego Pietra do galopu.

— Cóześ ty człeku najlepszego narobił? Napuściłeś mi jakisik kalek, sietniaków do nieba — hę? Nie bocys, co ci powiedziołek, ze nic zmazanego nie wlezie do nieba? Cosik ześ sie zepsuł. Jakosik płono psy tych wrotach wartujes!

Pieter świenty sie wystrachał, bo jesce nie widzioł w niebie Pana tak markotnego, i pada:

— Wybaccie Panie Przenoświentsy, bo ja tu nie winowaty.

— Ino kto? — pyto sie Pon Jezus. Przeciek tobie dał kluce syćkie. No to powiedz mi, człeku, skond sie wzieny te pokracne, chore, kaprawe jagnięta, cok je na upłazie spotkał?

Na to Pieter pada:

— Bez mojom brame nic koślawego, ani brudnego nie puscom.

— A moześ ty chłopie zaspoł na małom kwile i w ten cas ich ktosik prześwarcowoł?

— Ee — nie, Panie! Od tej kwili cok tak brzydko zaspoł w Łogrojcu, to sie trzymom i byle kiedy nie zdrzemnem!

— No to jako się stało? Cary jakie, cy co?

— Ja byk — pada Pieter Świenty — cosik pedział, ino sie bojem.

— Ze co? — psypiro go Pon Jezus.

— No — bojam sie, zebyście sie nie rozeźlili.

— Niby o co? Na kogo?

— To mnie strasznie markoci, ze to idzie o Świentom Panienke. No wicie, zrestom powim syćko, jako było, ino nie róbcie Jej kłopotu, piknie Was o to pytom . . .

W te świenty Pieter ułapił Pono Jezusa za kolana.

— No, gadajze, człeku, jak to beło?

—Ja ino teli wim—rzece świenty Pieter, ze kie roz bawili sie za



Stado owiec na polanie w Tatrach.

Pańskimi ogrodami na wysokich jaworach, to widzioł jako świenty Józef to je krencił sie przy tych bocnych wrotkach, co to sie ich nigdy nie otwiro.

— No, ale ty mos kluc od tych wrotków?

— Dyć mom, ale pamiętajcie Ponie, ze Swienty Józef to je majster. On sie tam krencił, cosik dłuboł, klepoł, rznął, a ino sie obzieroł, cy go kto nie widzi. Potem poseł do Świentej Panienki i do garści Jej cosik wetkół. Tak mi pedzioł ten janiołek: ale mi sie widzi, kie słysem o tych koślawych jagniętach, ze to Świenty Józef jakiś dorobiony klucyk zdłuboł, i tym klucykiem napuściła Świenta Panienka takiej bidoty do nieba. Ale sie ta Panie nie gniewojcie na Niom.

Poźrał wtedy Pieter na Pana, ale se scudowoł, bo Pon Jezus nie był rozeźlony, ino sie pod wonsem uśmieknon:

— Nie turbuj sie, Pietrze, kłopotu robić nie bede. I poseł . . .

Poziro Pieter, a Pon Jezus sie obrócił na śpacer ku temu upłazowi, ka był pirwej. Kie juz dosed do tego kierdelika kalik, stanon, podniósł renke, przezegnoł . . . i syćkie jagnięta ozdrowiały! Ej! wiera! . . .

NAUKA I TECHNIKA

Operacja Krótkowzroczności

Kilka lat temu możliwościami operacyjnego leczenia krótkowzroczności zainteresował się lubelski uczony prof. dr Tadeusz Krwawicz. Wynik przeprowadzanych przez niego badań stał się rewelacją.

Profesor opracował technikę operacyjną, przy której pomocy można wyciąć kawałek wewnętrznej warstwy rogówki, nie grubszy niż dwie dziesiąte milimetra. W ten sposób na powierzchni oka powstaje niewielkie wklęśnięcie. Zapadnięta w wyniku operacji powierzchnia rogówki zmienia swoją krzywiznę, a tym samym załamanie promieni światła padających na dno oka. Po operacji i zdjęciu opatrunku pacjent widzi normalnie.

Na podstawie doświadczeń przeprowadzonych na królikach lubelski naukowiec obalił dotychczasowy pogląd, iż rogówka jest nietykalna oraz, że chirurgowi nie wolno jej ruszyć bez szkody dla oka. Pięciu jego pacjentów, którzy zaryzykowali operację widzi już normalnie.

Ujawniona w ostatnich dniach wiadomość o operacjach przeprowadzących w Klinice Okulistycznej Akademii Medycznej w Lublinie wywołała poruszenie wśród największych autorytetów lekarskich. Metodą prof. Krwawicza można operować niemal w każdej klinice przy użyciu właściwie powszechnie dostępnych instrumentów chirurgicznych.

*

Rewelacyjny Stop

Rewelacyjny stop aluminium, cynku, magnezu i żelaza jest dziełem zespołu, kierowanego przez prof. Krupkowskiego z Akademii Górniczo-Hutniczej i prof. Poniewierskiego z Politechniki Warszawskiej. Ten konglomerat metali wyróżnia się szeregiem cennych właściwości: jest lekki a jednocześnie wytrzymały jak stal, posiada wielką odporność na korozję i w związku z tym nie trzeba stosować doń pokryć ochronnych. Po wypolerowaniu osiąga "wysoki połysk." W wielu fabrykach podejmuje się produkcję różnych wyrobów z tego stopu.

I tak np. krakowskie zakłady armatury wykonały z nowego stopu próbną partię t. zw. baterii wannowych (krany, urządzenia natryskowe), eliminując w ten sposób zużycie mosiądzu i uzyskując znaczne zmniejszenie ciężaru: "baterie" z mosiądzu mają ciężar 830 gr., a z nowego materiału, 270 gr. Trwają też próby nad produkowaniem z nowego stopu różnych akcesoriów stosowanych w pralkach, lodówkach, oraz w wagonach kolejowych (popielniczki, wieszaki itp.)

Nie Zabraknie Energii

Nowe i fantastyczne wręcz perspektywy otworzą się przed ludzkością, kiedy zdołamy opanować kontrolowane reakcje termojądrowe. Jednym ze sposobów przeprowadzenia takiej reakcji jest synteza helu i deuteru (izotop wodoru). Przekształcenie 1 grama deuteru w hel dałoby miliony razy więcej energii, niż spalenie grama węgla. Źródłem deuteru jest woda, a z dokonanych obliczeń wynika, że w 1 litrze wody zawarta jest potencjalna energia cieplna równa ciepłu uzyskanemu ze spalenia 160 kg węgla.

Energia termojądrowa może odegrać w przyszłości decydującą rolę w eksploracji planet naszego systemu słonecznego. Nadejdzie dzień, kiedy reaktory termojądrowe zainstalowane na Marsie umożliwią wytworzenie tam takich warunków atmosferycznych i klimatycznych, aby ludzie mogli przebywać na tej planecie np. przez kilkadziesiąt lat. Trzeba by tam przede wszystkim wytworzyć kilkaset tysięcy miliardów ton tlenu. Tlen można by otrzymać z wody, która jest na Marsie, a gdyby wody nie starczyło, wodór wyzwolony przy rozkładzie ograniczonych jej ilości mógłby posłużyć do redukowania (odtlenienia) minerałów marsjańskich zawierających tlen, co jednocześnie pozwoliłoby uzyskać wodę...

Możemy też snuć plany wykorzystania Księżyca dla zaopatrzenia Ziemi w energię. Ponieważ Księżyc nie posiada atmosfery, przeto jego powierzchnia otrzymuje 3 razy więcej promieniowania słonecznego, niż powierzchnia Ziemi. Gdyby więc człowiek zdołał pokryć powierzchnię Księżyca półprzewodnikami i fotoelementami o bardzo wysokiej sprawności i gdyby znalazł sposób przekazywania tak wyprodukowanej energii elektrycznej na duże odległości — Księżyc mógłby się stać gigantyczną elektrownią wysyłającą na Ziemię tysiące miliardów kilowatów...



NA WSZYSTKO JEST RADA...

Pisanki można kolorować jednobarwnie, ale można też wyczyniać z nich cuda i cudeńka. Na wsi technika robienia pisanek stanowi pewnego rodzaju sztukę, gorzej z mieszczuchami, którzy „odwalają" robotę, byle tradycji stało się zadość. Ale jeśli przyjdzie komuś ochota sięgnąć w tej dziedzinie po sukcesy, niech spróbuje jednego z najprostszych sposobów upiększania pisanek: Ugotowane na twardo jajka należy zanurzyć w roztworze specjalnej pisankowej farby (wywar z cebuli daje kolor brązowy), a po wysuszeniu delikatnie rysować wzór na skorupce grubą igłą lub cienkim ostrzem nożyczek.

Mycie okien to tradycyjnie ciężka robota. Ale o ile tradycja dobra jest przy pisankach, o tyle w gospodarstwie nie. Dlatego, przed dniem przeznaczonym na to zajęcie, radzimy kupić koniecznie specjalny płyn do mycia szyb pod nazwą „Silux". Przy użyciu tego środka praca nie nastręcza żadnych trudności, a jedno okno można umyć dosłownie w piętnaście minut. A chociaż, jak ktoś zabawnie powiedział, przez umyte okno widać ten sam śmietnik, tylko wyraźniej, wprowadza nas to jednak w odświętny nastrój.

Płyty długogrające są bardzo drogie. Niektóre nagrania cenimy sobie bardzo i chcemy aby przez długie lata pozostały nieskazitelne. Aby tak było rzeczywiście, trzeba się z płytami umiejętnie obchodzić. Płyty drobnorowkowe zrobione są z masy plastycznej, która napełnia się elektrycznością i przyciąga jak magnes wszystkie pyły z powietrza. Aby ją oczyścić, należy położyć płytę na krążku aparatu, puścić w ruch i strzepywać przez kilka obrotów

Co to są dobre rady? Dobre rady są to nauki dawane młodym przez starych, kiedy nie stać ich już na dawanie młodym złego przykładu.

Walka z Nadwagą

W ostatnich 10 latach liczba firm, wyrabiających żywność dietetyczną, wzrosła z 17 na przeszło 600. Samych niskokalorycznych napojów sprzedano w roku 1950 500,000 skrzyń, a w roku ubiegłym — 30 milionów. Jest już niskokaloryczne piwo, jest prawie bez tłuszczu "masło".

Produkcja polega na usuwaniu tłuszczu z mięsa, wyrabianiu niekalorycznych koloidów roślinnych zamiast oliwy, chemicznych środków słodzących itp. Zupełnie chudego mięsa używa się do wyrobu mięsnych knedlików i mięsa duszonego. W innej postaci mięso pozbawione tłuszczu jest niesmaczne. Duże zastosowanie ma drób, mający o 20 proc. mniej kalorii niż mięso ciemne, po usunięciu skóry. Smak poprawia się szerokim zastosowaniem korzeni.

Wytwarza się kompoty na sacharynie i konfitury niskokaloryczne. W wielu receptach figuruje zbierane mleko.

Większą przyszłość ma celuloza, uzyskana z drewna i trawy. Jest ona bez smaku i zapachu, bez kalorii i witamin, nadaje się więc po dodaniu smaków i zapachów do wypełnienia żołądka bez podwyższenia wagi.

Żywność ta jest jednak droższa od normalnej. N. p. puszkowa duszona wołowina w jarzynach kosztuje o 40 proc. więcej niż zwyczajna.



O KAWIE

CZY kawa szkodzi? Przez długie lata najczęściej spotykana odpowiedź na to pytanie brzmiała „tak". Teraz wygląda na to, że kawa została zrehabilitowana.

Kawa niewątpliwie ma własności podniecające, lecz jako taka nie jest trucizną dla ludzkiego organizmu — twierdzą dziś lekarze. — Z pewnością zaś jest korzystniejsza od wszelkich chemicznych środków pobudzających czyli tzw. „leków przeciw zmęczeniu".

Kawa, dzięki swemu pobudzającemu działaniu, ułatwia nie tylko pracę umysłową (co było znane od dawna), ale u wielu osób także i pracę fizyczną.

Nie szkodzi wątrobie, chyba w szczególnych przypadkach. Nie należy natomiast przeceniać jej właściwości trawiennych. Jeśli ma ułatwiać trawienie, należy ją pić bez cukru.

A jak jest z działaniem kawy na serce? Szkodzi czy nie szkodzi?

Zawarta w kawie kofeina jest znanym środkiem nasercowym i nie jest oczywiście dla serca obojętna: w wielu wypadkach pomaga, ale są także stany, w których jest przeciwwskazana. Dla zdrowego człowieka szkodliwa nie jest a bicie serca, które wywołuje czasem u ludzi nerwowych ma charakter nerwicowy i nie oznacza, że to serce zostało zaatakowane.

Dla ludzi o niskim ciśnieniu krwi kawa bywa wręcz wskazana, natomiast uwaga: nadciśnieniowcom szkodzi i im lekarze zwykle zabraniają pić kawę.

W sumie nie ma powodu, by wykluczać kawę z naszego pożywienia, o ile oczywiście lekarz inaczej nie zarządził.

Używanie kawy w nadmiernych ilościach (i to przez dłuższy czas) może wywołać rodzaj zatrucia objawiającego się bezsennością, nerwowością i brakiem apetytu, chudnięciem, drżeniem rąk. Zaburzenia te znikają, gdy przestanie się nadużywać kawy. W tym wypadku z kawą jest tak samo jak np. z kotletem wieprzowym: jeśli będziemy jeść po kilka kotletów dziennie to nam to zaszkodzi, choć kotlet jako taki szkodliwy przecież nie jest.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że rzadko kto zjada po kilka kotletów dziennie, natomiast kawą nas częstują, kawę pijemy z bardzo różnych okazji, kawą mamy skłonność pokonywać wszelkie zmęczenia i dlatego łatwo o jej nadużywanie.

Wniosek: jeżeli lekarz nie zabronił, kawa w miarę używana, nie szkodzi.



ROZMAITOŚCI

Miasto Beverly Hills, w Kalifornii (gdzie zresztą zamieszkuje dużo aktorów filmowych, reżyserów, techników itp.) posiada około 23,000 więcej telefonów, niż mieszkańców, jak podaje zestawienie firmy telefonicznej. A oto z tego powodu, że wielu mieszkańców posiada po kilka telefonów w swych rezydencjach.

* * *

Największym koncernem hotelowym świata jest firma Hilton Hotels Inc., która posiada 40 hoteli na całym świecie, zatrudnia 30,000 osób i ma 31,523 pokoje.

* * *

Największa księgarnia znajduje się w Londynie i nazywa się W & G Foyle. — Foyle posiada na składzie 4,000,000 książek i 30 mil półek. Sklep znajduje się w Londynie na Carring Cross Road. Zatrudnia 600 osób i odpowiada na 9 milionów listów rocznie.

* * *

Najwięcej papierosów pali biała część ludności Południowej Afryki. Na drugim miejscu są mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, gdzie pali papierosy 58 proc. dorosłych mężczyzn i 36 proc. kobiet, i gdzie w roku 1960 wypalono 475,000,000 papierosów.

* * *

W Niemczech zachodnich psy policyjne noszą zawieszony na szyi głośnik radiowy i zwierzę na odległość posłuszne jest głosowi swego pana.

* * *

CZY WIECIE ŻE:

Sprzedaż niecietych diamentów biżuteryjnych i szorstkich diamentów fabrycznych w roku 1962 wyniosła rekordową sumę 269,559,752 dolarów.

* * *

James Allen z pierwszego pułku stanowej milicji Rhode Island wprowadził obsługę "lotniczą" do armii 9 czerwca 1861 r., gdy dokonał lotu balonem ponad Waszyngtonem.

Odbicie o Meteory

Polski ultrakrótkofalowiec podjął udane próby nawiązania łączności radiowej na znaczną odległość za pośrednictwem odbicia od śladów meteorów. Po wielu żmudnych zabiegach udało się Edmundowi Masajda z Warszawy nawiązać łączność z angielską stacją G-3-LTF znajdującą się w odległości ok. 1,5 tys. km. Połączenie to stało się możliwe dzięki śladowi meteorów roju Persejdy. Jak bowiem wiadomo, zasięg stacji pracujących na falach ultrakrótkich wynosi od 150 do 200 km. Drugie połączenie tego rodzaju uzyskał Masajada tym razem za pośrednictwem meteorów roju Orionidy ze stacją belgijską ON-4-TO położoną od Warszawy ok. 1,200 km.

Atomowa Latarka Kieszonkowa

Rozpoczęto we Francji produkcję kieszonkowych latarek atomowych, w których odpowiednio izolowana mała pałeczka ceramiczna wytwarza prąd elektryczny. Latarka jest wielkości paczki papierosów (20 szt.)

Pałeczka zrobiona jest z tytanianu strontowego, jeden z jej końców zawiera w większej nieco proporcji stront 90. Ten promieniotwórczy izotop strontu w toku swego rozpadu wytwarza ciepło, które z kolei przetwarzane jest w tytanianie strontu na zasadzie efektu termoelektrycznego na prąd.

Moc prądu elektrycznego wytwarzanego przez to nowe urządzenie wynosi zaledwie ułamek jednego wata. Dla latarki kieszonkowej moc ta jest wystarczająca.

MYŚLI

Dąsy w miłości są jak sól: powinno być ich w miarę. (przysłowie sankryckie)

Los ludzkości, jako całości, będzie taki, na jaki ona zasługuje.

Nic piękniejszego niż klucz, tak długo jak się nie wie co on otwiera. (Maurycy Meaterlinck)

Pamiętajcie, że nic na tym świecie nie ma stałego z wyjątkiem zmienności. (Budda)

Większość ludzi wolałaby raczej umrzeć, niż pomyśleć; tak też robią. (Bertrand Russel)

Polityk to osoba, z której polityką się nie zgadzasz; a jeśli zgadzasz się z nim, to jest to mąż stanu. (Lloyd George)

* * *

NAUKA I TECHNIKA

Udar Mózgu Można Uprzedzić

Zdaniem lekarzy można zapobiec ¼ udarów mózgu przez dość wczesne usunięcie tworzącego się skrzepu w arterii. Skrzep powstaje nie, jak do niedawna sądzono, w mózgu, lecz w jednej z tętnic szyjnych, skąd w krytycznym momencie wędruje do mózgu. Skrzep można z tętnicy usunąć na drodze operacyjnej.

Skąd jednak można wiedzieć, że taki skrzep powstaje? Z pewnych objawów, świadczących, że dopływ krwi do mózgu natrafia na przeszkodę. Tymi objawami są zawroty głowy, zamglone widzenie, utrata równowagi i niekiedy trudność w mówieniu. Objawy te trwają od 15 sekund do 3 minut, poczem ustępują.

Ciekawostki o Bawełnie

Znana Była w Chinach i Indiach Już w Starożytności

Elana, stylon, nylon . . . to znane dziś już dobrze nazwy sztucznych włókien, zastępujących wszystko, jednak do dnia dzisiejszego bawełna zajmuje we włókiennictwie jedno z najważniejszych miejsc.

I warto wiedzieć, że bawełna już w starożytności była znana w Chinach i Indiach, początkowo jako roślina dekoracyjna, później zaś zaczęto wykorzystywać ją i dla celów tkackich.

Główne Źródło Surowca

Do rozpowszechnienia bawełny w Europie przyczynili się Arabowie, którzy po zawojowaniu Hiszpanii wprowadzili tam uprawę tej egzotycznej rośliny. Niemałe znaczenie dla rozwoju przemysłu bawełnianego miały również wyprawy krzyżowe, które spowodowały ożywienie stosunków handlowych Zachodu z krajami muzułmańskimi, będącymi wówczas głównym źródłem surowca bawełnianego dla Europy.

Nowym okresem w historii przemysłu bawełnianego było odkrycie Ameryki, gdzie znaleziono moc krzewów bawełny. W 19 wieku rynki europejskie były dosłownie "zalane" importowaną bawełną amerykańską.

Obecnie czołowe miejsce w produkcji bawełny zajmują: St. Zjedn., Indie, Egipt, Brazylia, Meksyk i Afryka Środkowa.

Krzewy Bawełniane

W przeciwieństwie do lnu i konopi, których włókna znajdują się w łodygach roślin, u bawełny znajduje się one na jej nasionkach, w postaci cieńkiego białego lub żółtego puchu, podobnego do puchu ostu.

Krzewy bawełniane są zazwyczaj wieloletnie. Niektóre gatunki dochodzą nieraz do kilkumetrowej wysokości. — Dość charakterystyczną cechą wielu odmian bawełny są kwiaty początkowo o barwie żółtej, następnie przechodzącej w kolor purpurowy.

Owoc

Owoc bawełny stanowi kulistą, jajowato wydłużoną torebkę wielkości małego jaja. Wewnątrz torebka jest podzielona na kilka części, w których mieszczą się nasiona pokryte włóknem. Po dojrzeniu torebki owoce bawełny pękają i zawartość ich wydobywa się na powierzchnię w postaci kłaczków waty, w której znajdują się małe ziarenka, stanowiące właściwe nasiona.

Zbiór bawełny polega właśnie na zbieraniu kłaczków waty z nasionami, z których wytłacza się olej. Kłaczki waty składają się z cieniutkich włókienek.

Bawełnę importuje się w postaci sprasowanych dużych bel. Najwięcej bawełny eksportują Stany Zjednoczone i Egipt.

Czy Wiecie, Że...

Na artretyzm choruje 12 milionów Amerykąnów, co kosztuje kraj 2 biliony dolarów rocznie. Choroba ta jest głównym powodem absencji robotników w przemyśle. Same straty w zarobkach dochodzą do półtora biliona dolarów.

Bezsenność nie sprzyja twórczości. Pewien malarz, który na Uniwersytecie Oregon zgodził się malować bez snu przez 88 godzin, wymalował wprawdzie 7 obrazów, ale z tych tylko 2 najwcześniejsze miały wartość.

* * *

Z 70 milionów samochodów w Stanach Zjedn. już 4.5 miliona posiada pasy bezpieczeństwa, zmniejszając niebezpieczeństwo śmierci lub ciężkiego okaleczenia o 35 procent.

* * *

W jednej ze skalnych grot w Ojcowie pod Krakowem, archeolodzy stwierdzili na podstawie znalezionych tam różnych narzędzi z kamienia, że okolice te zamieszkiwali ludzie już 70 tysięcy lat temu.

Podobnego odkrycia dokonano w jaskini pod Skarżyskiem.

Z ŻYCIA LEKARZY







Odrestaurowana kapliczka im. Stefana Żeromskiego na górze św. Katarzyny w Puszczy Jodłowej (Góry Świętokrzyskie).

✦ ROZMAITOŚCI ✦

Pasy Bezpieczeństwa w Samochodach

Już przeszło rok mówi się o tak zw. pasach bezpieczeństwa w samochodach. Mają być one zastosowane w nowych samochodach, a później będą zapewne obowiązkowe.

Jednak jest dużo przeciwników we Francji. Powiedziano mi np.: "Niebezpiecznie jest być przywiązanym. Przypuśćmy, że samochód się wywróci a ranny nie może się wydostać, bo jest przywiązany".

"Pas bezpieczeństwa niszczy ubranie i zmusza jadącego do pozostania w tej samej pozycji podczas wielu kilometrów'.

"W razie uderzenia, wyższa część ciała rzucona jest naprzód. Staje się to niebezpieczne dla pasażerów małych samochodów francuskich, w których niewiele miejsca; wówczas pas wcale nie zabezpiecza przed rozbiciem głowy o blachę. Szwedzcy chirurdzy uważają, że pas zapięty w pasie powoduje liczne pęknięcia aorty".

"Niektóre pasy są bezpośrednio przytwierdzone do karoserii. Ich punkt przeczepienia jest słaby i pomysł nie jest estetyczny".

Wreszcie, w wielu wypadkach, pas wcale nie zabezpiecza przed pęknięciem kręgów szyi.

Różne jednak organizacje bezpieczeństwa twierdzą, opierając się na cyfrach, że zastosowanie pasa bezpieczeństwa przez kierowcę i pasażerów zaoszczędziłoby 20 proc. istnień ludzkich. Co najmniej 6 rannych na 10 odniosłoby wówczas mniej ciężkie rany.

Pasy bezpieczeństwa stosowane są w Anglii; królowa Elżbieta kazała je zastosować we wszystkich swych samochodach. Również w Danii wszystkie nowe samochody mają pasy bezpieczeństwa.

W tych krajach jest w handlu 11 różnych modeli pasów bezpieczeństwa. We Francji są 3 modele, których cena waha się od 40 do 100 franków. Można więc wybrać: pas podobny do pasów stosowanych w samolotach transportowych. Są one zapinane w pasie, niewidoczne na zewnątrz, tylko nieco krępują kierowcę. Ten system jest bardzo mocny.

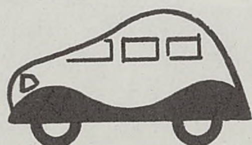
Drugim modelem jest pas poprzeczny. Jest to pierwszy ze znanych pasów i najwięcej krytykowany ponieważ mało estetyczny i krępujący, gdyż przypomina zawsze o sobie. Prócz tego musi być dopasowany na miarę i pasażer nie może zmieniać miejsca.

Trzeci model jest równocześnie poprzeczny i zapięty w pasie. Jest to typ najbardziej skuteczny, lecz również najbardziej niewygodny.

Nie należy sobie wyobrażać, aby pas bezpieczeństwa obowiązywał tylko w bardzo szybkich samochodach. Pasy bezpieczeństwa nie mają żadnego znaczenia, gdy jadąc z szybkością 140 km na godzinę uderzy samochód o drzewo. Przeciwnie, pasy bezpieczeństwa pomyślane są dla zwykłych samochodów turystycznych. Celem ich jest ochrona pasażerów, w szczególności dzieci od skutków zbyt nagłego hamowania.

Zresztą pasy te są bardzo łatwe do odpięcia. Wystarczy pół sekundy, aby się od nich uwolnić.

*



Gruszki Na Jabłoni

Po raz pierwszy w historii sadownictwa powiodła się w NRD próba wegetatywnego skrzyżowania gruszy z jabłonią. Jak podaje czasopismo "Kleingartner", pewien ogrodnik-amator dokonał udanego zaszczepienia pędu szlachetnej gruszy na jabłoni. Po pewnym czasie zawiązały się drobne owoce o kształcie gruszki, ważące ponad 200 gramów.

Dokładne badania dojrzałych owoców wykazały obecnie pojawienie się wielu nie obserwowanych dotychczas cech, odbiegających znacznie od właściwości szczepu gruszy, który rozwinął się na pokładce z jabłoni. Owoce te odznaczają się przede wszystkim silnym aromatem, zbliżonym do niektórych odmian jabłek. Miąższ utracił charakterystyczną dla gruszek kaszkowatą konsystencję, stał się bardziej masłowaty, z zachowaniem jednak właściwej gruszkom soczystości. W owocach krzyżówki zanikł lekki gorzkawy posmak gruszek, ustępując miejsca bardziej zbliżonej do smaku jabłka, lekkiej orzeźwiającej kwaskowatości.

*

Bakterie w Odrzutowcach

...Drobnoustroje niewidoczne dla oka wtargnęły do lotnictwa i stały się problemem pilnym do rozwiązania — twierdzą technicy Linii Lotniczych Delta. Rzecz w tym, że paliwo do silników turboodrzutowych okazało się zakażone przez pewne drobnoustroje, które w znacznym stopniu powodują korozję metalu, szczególnie wewnątrz paliwowych zbiorników skrzydła. Nie wchodzi tu w grę bezpieczeństwo lotu, lecz kosztowne wymiany i przyspieszone remonty.

Dawne polskie miary i wagi

Na przestrzeni tysiąclecia na ziemiach polskich były w użyciu następujące ważniejsze miary i wagi:

Bałwan — miara soli od czasów Kazimierza W., 20 do 30 cetnarów, później 8 lub 6 cetnarów, a także: 2,5 stopy długości i 1,5 stopy szerokości.

Beczka — miara piwa (również miara dla zboża) od 1565 r. liczyła 72 garnce czyli 157 litrów, dzieliła się na półbeczki — 36 garncy, ćwierćbeczki czyli antały — 18 garncy i achtele; połową antału był antałek (beczułka do piwa lub wina z drzewa dębowego) — 9 garncy. Beczka nowopolska — 25 garncy warszawskich. Od 1822 r., w Kongresówce beczka piwa — 27 garncy.

Cal — dawna polska miara długości, równa 2,4 cm.

Cetnar — 50 kg lub 100 funtów, cetnar metryczny — 100 kg, przed rozbiorami istniał c. warszawski — 160 funtów, lwowski — 156 funtów, krakowski — 126 funtów.

Ćwierć — czwarta część korca.

Funt — w wiekach średnich równał się 32 łutom, funt gdański miał 398 gramów, warszawski — 477 g, krakowski (od 1565 r.) — 405 g, obecny — 500 g.

Garniec — 4 kwarty, w przybliżeniu 4 litry; z g. piwnego wytworzył się warszawski; g. zbożny (dla zboża) był 2 razy większy od piwnego. Istniał jeszcze g. litewski. Na Mazowszu garniec nazywano olla.

Grzywna — jedna z najstarszych miar słowiańskich, pewna ilość skór zwierzęcych, zwykle 40; w Polsce od XI w. moneta o wadze 103 g srebra, od XIV w. — 197 g srebra (48 groszy).

Korzec — miara notowana już w 1242 r., równa 120,61 litra; k. warszawski miał 128 l, korczyk krakowski — 43,7 l. Jako miara ciężaru miał 98,28 kg (6 pudów). Nazwa pochodzi od kory świerkowej, z której k. do miary płynów był wyrabiany.

Kwarta — miara ciał płynnych i sypkich, równa 1/4 garnca lub litrowi.

Łan — obszar ziemi dany osadnikowi do wykarczowania; ł. kmiecy albo polski — 22,5 morgi, ł. mniejszy — 7,5 morgi, chełmiński — ok. 32 morgi co odpowiadało włóce polskiej. Wcześniej (już w XIII w.) stosowano łan królewski albo staropolski — 126 do 228 morgów, ł. wójtowski — 90 morgów.

Łaszt — miara zboża, 30 korcy, 3.484 litry.

Łokieć — miara długości, od ramienia do dłoni. Ponieważ szerokość wielkiego palca stanowi mniej więcej dwudziestą czwartą część tej długości, podzielono łokieć na 24 cale. Łokieć krakowski w XIII w. miał 60,6 cm, ł. polski w 1764 r. — 59,55 cm, ł. śląski w XIX w. — 57,6 cm.

Łut — jednostka wagi, 1/32 funta.

Miarka — 1/8 korca, posługiwano się nią głównie na Podkarpaciu; w wielu okolicach nadal w użyciu.

Mierzyca — miara żyta w dobrach zakonnych, ok. 1/25 tony.

Mila polska — 7 wiorst, dokładnie 7.467 metrów. Pierwsze wzmianki z 1140 r. Istnieją jeszcze mile: geograficzna — 7.420 m, rzymska — 1000 kroków, angielska — 1609 m, morska — 1852 m.

Mórg (morga) — w dawnych wiekach jutrzyna; do czasów zniesienia pańszczyzny za m. liczono dzień orki sochą, później jeszcze jako wymiar jednodniowej pracy parobka — ok. 200 prętów; m. nowopolski — 300 prętów, równych 5600 m².

Oko — równoznaczne było w mowie staropolskiej z pojęciem jednostki liczebnej, mówiono tyle a tyle ok albo oko — zamiast jeden lub jeden raz.

Pokowa — miara miodu z XIII w., równała się 1/4 grzywny, albo 4 rączkom, wielkość rączki 15 do 60 litrów; w XVI w. rączka miodu równała się 10 i 1/4 garnca; 3 pokowy stanowiły tunnę. (Na Śląsku — 6).

Pręt — polska jednostka długości (pierwotnie laska lub tyczka) 15 stóp polskich. Pręt dzieli się na 10 pręcików i 100 ławek, co równało się 4,22 m. 300 prętów stanowiło mórg. P. kopany czyli kwadratowy (o bokach 7,5 łokcia) zwał się pólko.

Pud — rosyjska miara ciężaru, używana też w b. zaborze ros., równa 16,38 kg; 10 p. — 1 berkowiec.

Sążeń — powstał z pierwotnej staropolskiej miary ramion wyciągniętych w bok, od sięgać, siągać. S. nowopolski albo warszawski równał się 3 łokciom czyli 6 stopom, czyli 1,728 m i 0,81 sążnia rosyjskiego. S. kopalny (w XVI w. miał półczwarta łokcia). W gwarze ludowej do dziś siąg. Sąg — sążeń drzewa opałowego.

Staje — dawna miara długości 220 kroków, czyli 1/36 mili polskiej. S. geometryczne — 125 łokci, statutowe — 84 łokcie. Stajanie — przestrzeń pola długa 60 kroków zaorana przez oracza.

Stopa — jednostka długości, polska stopa koronna — 0,29777 m, litewska — 0,32485 m, chełmińska stara — 0,28811 m, chełmińska nowa — 0,29266 m, polska nowa — 0,288 m.

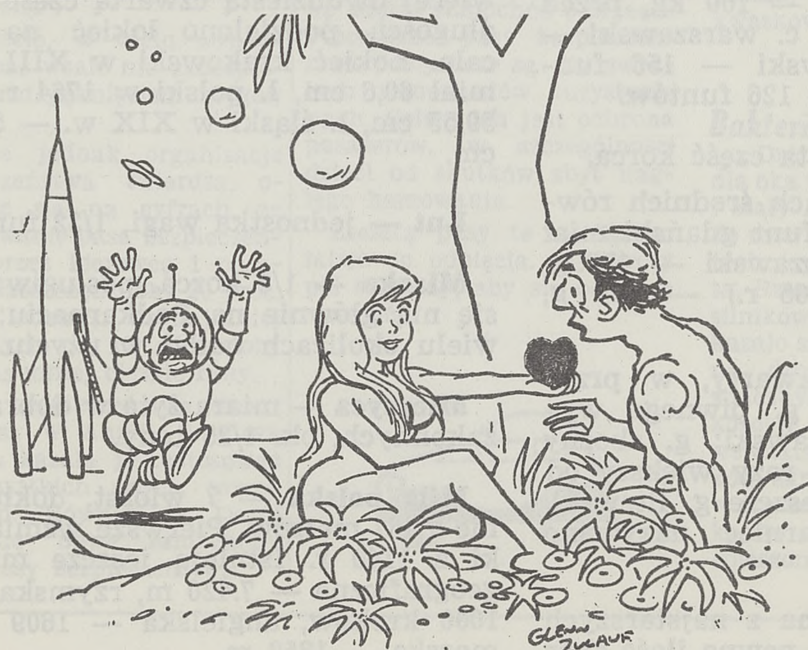
Sznur — staropolska jednostka długości, równa 10 prętom, tj. 42,20 m. Wcześniej sznur miał długość 3 lasek czyli sześciu prętów.

Wiorsta — rosyjska miara długości, używana w b. zaborze rosyjskim, równa 1066,79 m.

Włóka — polska miara powierzchni ziemi, równa 30 morgom, czyli 16,8 ha. Powstała wtedy, kiedy morgiem lub jutrzyną nazywano obszar ziemi zaorany w ciągu dnia. Bronowanie lub włóczenie odbywało się szybciej, stąd też włóka była większa od jutrzyny.

„Kulisy"

„True"



— Zaczekaj!!!



POT-POURRI MEDYCZNE

P r z e c i ę t n a d ł u g o w i e c z n o ś ć starożytnych Egipcjan wynosiła 22 lata. Taż sama „przeciętna” wywindowała się dla Greków do lat 30, a dla mieszkańców Wysp Brytyjskich w XV wieku — do 33 lat. Na przełomie XVI i XVII wieku Europejczyk żył przeciętnie 40 lat. Dziś natomiast mężczyźni osiągają średnio 64 — 67 lat, a kobiety 66—69 lat.

*

Zespół Naukowców Instytutu Substancji Chemicznych i Roślinnych Uzbeckiej Akademii Nauk wykrył nowy lek, który likwidować ma całkowicie paraliż powstały po chorobie Heinego Mediny. L e k n o s i n a z w ę K a r a n t o ń i n y, a wytwarzany jest z pewnego ziela lekarskiego rosnącego w Azji Środkowej. Nowy lek wypróbowany został w kilku klinikach moskiewskich i okazał się w pełni skuteczny. Wiadomość o tym podała prasa amerykańska.

*

Prawie c o d z i e s i ą t y c z ł o w i e k w krajach uprzemysłowionych jest uczulony na różne materiały, z którymi ma do czynienia w swojej pracy zawodowej. Jak wynika z wypowiedzi na VII Kongresie Niemieckiego Towarzystwa dla Badań Alergii, które obradowało w roku ubiegłym, w Bad Lippspringe, rozpowszechnia się coraz bardziej alergia z takimi objawami chorobowymi jak katar, wysypki skórne, bronchit, zaburzenia żołądka i jelit oraz bóle głowy. W pracach kongresu wzięło udział ponad dwustu uczonych z krajów zagranicznych.

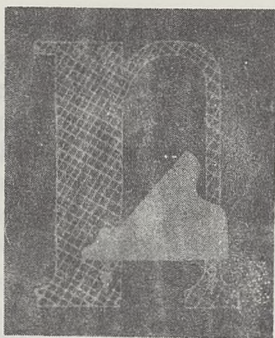
W miejscowości Hamlnstad, w zachodniej Szwecji, monter pracujący przy przewodach został porażony prądem o napięciu 50 tysięcy volt. Wbrew wszelkim dotychczas znanym przypadkom, monter zachował życie przede wszystkim dzięki wyjątkowo silnemu sercu. W c i ą g u k i l k u s e k u n d s t r a c i ł 30% w a g i, gdyż z ciała jego wyparowało wiele wody. Uratowała go natychmiastowa transfuzja 3 litrów krwi oraz 12 litrów soli fizjologicznej.

*

Fizjologów od dawna interesowała praca serca w czasie wysiłku fizycznego, a nie podczas spoczynku. Uczeni radzieccy skonstruowali aparat, który stanowi „s k r z y ż o w a n i e” r a d i a z e l e k t r o k a r d i o g r a f e m. Człowiek podejmujący jakąś pracę, np. lekkoatleta, biegacz, zakłada hełm z anteną, a na piersi szelki z elektrodami. Bioprądy serca biegacza, odpowiednio przekształcone i wzmocnione, przesyłane są przez nadajnik krótkofalowy umieszczony w hełmie. Impulsy te odbiera specjalne urządzenie, które je rozszyfrowuje i przekazuje do zwykłego elektrokardiografu. Zadanie lekarza ogranicza się do obserwacji odbiornika połączonego z urządzeniem samopiszącym.

*

Od 20 lat uczeni jugosłowiańscy, pod kierownictwem profesora Uniwersytetu Belgradzkiego, dra Jefrema Nedeljkowića, pracowali nad nowym lekiem przeciwgruźliczym, któremu nadali nazwę „filtrat Nedeljkowića”. Filtrat nie atakuje bakterii gruźlicy, lecz wzmaga odporność organizmu. Zasadę działania można ująć następująco: n i e l e k, l e c z o r g a n i z m m a z a b i j a ć b a k t e r i e. Apteki jugosłowiańskie sprzedają lek pod nazwą „Biofil”. Korzystają z niego chorzy na gruźlicę płuc, otrzewnej, gruczołów limfatycznych, kostnostawową.



Alfabet

NAZWY DŹWIĘKÓW. Zaczynamy dochodzić do spraw dających nam coraz więcej pojęcia o nomenklaturze muzycznej. Coraz bardziej poszerza się nasz wspólny język. Nazwy dźwięków — to już będzie duży krok naprzód. Otóż nazwy te rozróżniamy w dwóch zestawach: sylabowym i literowym. Sylabowy to ten, który zapewne znacie ze szkoły: do, re, mi, fa, sol, la, si... A literowy, również już przez nas cytowany, to: c, d, e, f, g, a, h... Znaki te powtarzają się kolejno w każdej oktawie (poczekajcie do „O", już niedługo!) i odpowiadają białym klawiszom fortepianu. Dźwięk „c", lub „do", jak kto woli, to właśnie ten klawisz, o którym kilkakrotnie mówiliśmy: pierwszy biały klawisz przed grupą dwóch czarnych. Jeżeli potem uderzymy kolejno następne białe klawisze aż do następnego pierwszego przed dwoma czarnymi — i będziemy sobie przy tym mówili ich nazwy, to będziemy już wiedzieli, jaki symbol odpowiada jakiemu klawiszowi.

Pozostają klawisze czarne. Ich nazwy powstają od nazw literowych (nie sylabowych) jako podwyższenia (krzyżyki) albo obniżenia (bemole) tej naturalnej, „białej" skali dźwięków. Jeżeli dźwięk „biały", podwyższamy o pół tonu — dodajemy do jego nazwy literowej końcówkę „is"; jeśli o cały ton — „isis". Jeżeli dźwięk „biały" obniżamy o pół tonu — dodajemy do jego nazwy literowej końcówkę „es". Jeżeli o cały ton — „eses". Tak więc, z jednym wyjątkiem (as równa się gis), każdy dźwięk ma trzy różne nazwy. Wiem, że to niełatwe. Proszę przeczytać jeszcze parę razy.

NOKTURN. To bardzo nastrojowa muzyka. Zresztą — czy to dziwne? Nocturne — znaczy po francusku: nocny.

Bywa to przeważnie dość krótki utwór. Czasem na orkiestrę, częściej na instrument solowy, najczęściej na fortepian. Zgodnie z tą nieledwie programową już nastrojowością nokturnu — charakteryzuje się on szeroką, śpiewną, tęskną melodią. Ale nie przez cały czas trwania utworu. Bo jego środek wypełnia część szybka, burzliwa, namiętna, kontrastująca mocno z początkiem i zakończeniem, a przez ten kontrast jeszcze bardziej podkreślająca cechy zasadnicze nokturnu. Jednym z największych mistrzów tej formy był Fryderyk Chopin.

muzyczny



OKTAWA. Znów, dla lepszego zrozumienia, odwołajmy się do łaciny. Octava znaczy po łacicienie: ósma. Tu: ósma nuta. Jednym słowem oktawa w muzyce, to jest odległość między dwoma dźwiękami odpowiadająca ośmiu miejscom na pięciolinii. Odległość, to w muzyce — jak? INTERWAŁ, prawda?

A miejsca na pięciolinii, to zarówno linie, jak przestrzenie między nimi. Każda linia i każde pole między liniami — to miejsce wysokości jednego dźwięku.

Kiedy spojrzymy na klawiaturę i policzymy sobie klawisze, to zobaczymy, że każdy ósmy klawisz odpowiada położeniem między klawiszami białymi i czarnymi swojemu poprzednikowi, uderzonemu osiem miejsc wcześniej. Usłyszymy także, iż dźwięki obu tych klawiszy są właściwie bardzo podobne, tyle że jeden brzmi wyżej, drugi niżej.

OPERA. Przedstawienie, w którym cały tekst jest śpiewany. Można się długo zastanawiać czy rzecz ma sens, czy też go nie ma; czy nie lepiej, nie prościej i nie naturalniej powiedzieć to, co tam — na scenie — każą śpiewać... Cokolwiek byśmy jednak powiedzieli, nie zmienimy faktu, że opera ma szeroki krąg wielbicieli.

OPERETKA — taka „lżejsza" opera. Też dużo śpiewają, ale także i mówią, a poza tym tańczą. Np. cancana. Libretto, czyli treść operetek, bywa zazwyczaj dość nieprawdopodobne i raczej zabawne, właśnie: „operetkowe" — które to wyrażenie weszło nawet na stałe do codziennego języka. Datą urodzin operetki jest druga połowa XIX wieku, a jej ojcem chrzestnym Jakub Offenbach. Operetki pisali, i jako ich twórcy zasłynęli również Jan Strauss, Zeller, Millöcker, Lehar, Kalman, Abraham a ze współczesnych Linke, Kern, Frimml.

OPUS. Słowo, którym jak „bemolami" czy „symfoniami" straszą nas w listach do radia wrogowie muzyki. Czyli ci, którzy jej w ogóle nie znają. A tymczasem „opus" to po łacinie: dzieło. W praktyce oznacza to utwór, albo — uwaga, uwaga! — kilka kolejnych utworów pisanych w jednym okresie, czy też pod wpływem jednego nastroju. Kompozytor, rzecz prosta, ciągle pozostaje ten sam. W ten sposób dzieło jego życia zamyka się szeregiem — dłuższych lub krótszych, zależnie od płodności — opusów. Teraz już zwyczaj „opusowania" zanika. Ale u wszystkich dawniejszych kompozytorów czytamy: sonata taka i taka — opus 24... Mówimy: opus dwudzieste czwarte — bo — przypominam — opus to DZIEŁO, rodzaj nijaki.



PILNUJ JAK OKA W GŁOWIE

„**Detektorem przeszkód**" nazwano aparat dla niewidomych, wynaleziony przez dra Benhama. Aparat posiada kształt i wymiary latarki kieszonkowej. Rzuca on przez reflektor wąski strumień światła podczerwonego, które odbijając się od przeszkody wraca przez drugą soczewkę do detektora i powoduje drgania membrany. Drgania te wyczuwa niewidomy palcami i orientuje się, w jakiej odległości przed nim znajduje się martwy przedmiot lub żywa, poruszająca się istota.

15 milionów ludzi cierpi na jaglicę, a trzykrotnie więcej osób, stykając się z nimi, naraża się na infekcje. Są to dane (ogłoszone przez Światową Organizację Zdrowia), dotyczące ludności Europy, Turcji, Algierii i Maroka. Najwięcej wypadków tej choroby notuje się w rejonie Morza Śródziemnego. Światowa Organizacja Zdrowia podjęła w wielu krajach europejskich masową akcję zwalczania jaglicy przy pomocy sulfonamidu i antybiotyków. W wyniku prowadzonej akcji 4 miliony chorych odzyskało zdrowie.

Okulary przeciwsłoneczne męczą oczy i są niewskazane dla kierowców — stwierdził zachodnioniemiecki okulista, dr Hans Spiecker.

Wszyscy myśliwi muszą się poddać badaniom u okulistów. Takie zarządzenie opublikowały władze stanu Nowy Jork w związku z coraz większą liczbą myśliwych oraz w związku z coraz większą ilością wypadków na polowaniu. Jedną z poważniejszych przyczyn tych wypadków był fakt, iż wielu spośród myśliwych cierpiało na krótkowzroczność. Farmerzy posiadający gospodarki w pobliżu terenów łowieckich, w sezonie polowań malowali białą farbą poszczególne sztuki swego inwentarza, pisząc wielkimi literami koń, krowa, świnia.

Szkła kontaktowe, tj. **cienkie i małe szkiełka**, zakładane bezpośrednio na gałkę oczną, pod powiekę, można nosić zamiast okularów. Szkła takie wynaleziono już 40 lat temu, lecz nie cieszyły się one uznaniem, ponieważ były niepraktyczne w noszeniu i sprzyjały powstawaniu różnych wad wzroku. Dopiero, gdy kilka lat temu zmieniono kształt szkieł i wynaleziono tzw. „pływającą soczewkę", którą wyjmuje się raz na kilka miesięcy — zdobyły one sobie powodzenie. W wielu wypadkach szkła kontaktowe są praktyczniejsze, bardziej wzmacniają wzrok, aniżeli szkła oprawkowe. Zarówno aktorzy jak i sportowcy stają często przed koniecznością zdejmowania okularów, co utrudnia im wykonywanie pełnionych czynności.

Polski okulista, dr Karpowicz przeprowadza **badania oczu kandydatów na malarzy i rzeźbiarzy.** Okazało się, iż wśród studentów uczelni plastycznych jest bardzo wielu ludzi o różnych wadach wzroku, m. in. jest wielu daltonistów, których prace określane są jako maniera „oryginalnego widzenia świata". Porównując obrazy sławnych a nie żyjących już malarzy, z dziełami nowoczesnymi, dr Karpowicz znalazł w nich pewne wspólne cechy, które przemawiają za tym, iż artyści minionych wieków cierpieli na takie same wady wzroku, jakie dokuczają współczesnym twórcom. Dr Karpowicz przypuszcza, że El Greco i Cézanne cierpieli na astygmatyzm. Wybitny uczony zaleca wprowadzenie obowiązkowych badań oczu młodych ludzi, zamierzających kształcić się w artystycznym kierunku.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Szkoła małżeńska

Moja babunia, Parzęczewiczowa de domo... Parzę-cz-wi-czo-wa... No tak! Dziś to nazwisko nic nie mówi! Dawniej zaraz znalazłby się ktoś z lepszej sfery, kto by zapytał:

— Pardon... A z których to Parzęczewiczów?

A dziś? Kto się interesuje Parzęczewiczami?! Chyba tylko obywatel blokowy, który czasem zagląda, żeby sprawdzić, czy babunia jest prawidłowo zagęszczona!

A nasz ród prastary, zarania millennium sięga korzeniami! Bożywój Parzęczewicz bił się u boku Chrobrego... Zbyszko Parzęczewicz bił się u boku Jagiełły! Marcin bił się u boku Sobieskiego!

A ostatni z rodu, Gucio Parzęczewicz, też się bił. Ale nie u boku. W piersi się bił, gdy mu kazano wygłosić samokrytykę!

A babunia taka jest skromna, jak by w ogóle przodków nie miała! Do dozorcy Bańduły mówi „panie sąsiedzie" — chociaż nie tak dawno tak samo mówiła do Radziwiłła... Ogromnie postępowa staruszka! A najbardziej cieszy ją, że Polska jest krajem ludzi kształcących się.

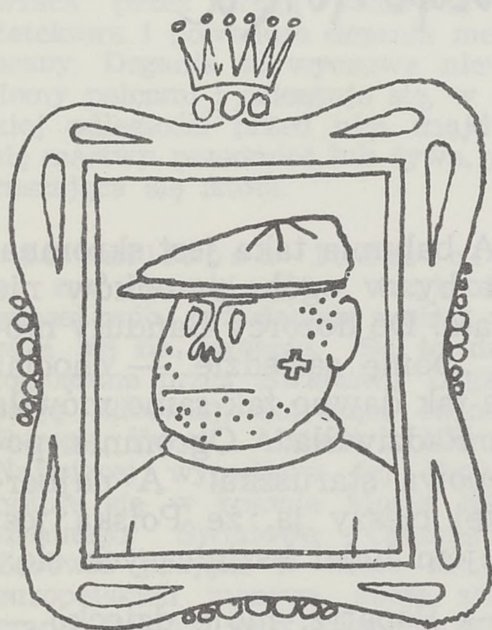
— Popatrz, moje dziecko — mówi do mnie — jaki to ogarnął ludzi pęd do nauki! Prości robotnicy zostają inżynierami, prości dyrektorzy kończą na gwałt powszechniaka... A wszyscy uczą się obcych języków! W gazecie ogłoszenie — „kurs języka arabskiego"... Otwieram radio — kurs języka angielskiego... Wsiadam do tramwaju — kurs łaciny... Aż dusza rośnie!

Któregoś tu dnia odwiedziłam babunię — a babunia rozpromieniona!

— Co się stało? — pytam — Może babunia wygrała milion w totolotka? A babunia na to:

— Nie, kochanie, jeszcze nie wygrałam, dopiero przyśniły mi się szczęśliwe numerki... Ale wyobraź sobie — w Łodzi otwierają uczelnię dla narzeczonych!

— Babuniu, do tego nie potrzeba kończyć wyższych studiów... Wszyscy znają, że tak powiem, ABC pożycia małżeń-



skiego — a niektórzy już przed ślubem poszli jeszcze dalej w alfabecie...

Ale babunia nie dała mi dojść do słowa i wygłosiła wielki wykład o małżeństwie:

— Dawniej, moje dziecko, panienka, gdy wychodziła za mąż, musiała mieć posag i wyprawę. A dziś wystarczy, żeby miała w p r a w ę! A przecież to nie jest w małżeństwie najważniejszy problem! Nie trzeba zapominać, że dzień składa się także z dnia!

Toteż żona, jeśli chce szczęśliwie żeglować wśród raf życiowych, musi posiadać więcej wiedzy niż kapitan „Batorego"! Bo jeżeli na przykład inżynier, który reguluje rzeki, musi pięć lat studiować — to ileż lat powinna studiować żona, jeśli chce uregulować męża, żeby nie wyskakiwał na boki?! I w ogóle żeby zachowywał się jak spokojny Świder, a nie jak kapryśny Dunajec!

A świat się zmienił i mężczyźni na nim — również! Dawniej mężczyzna był, jak ten dąb w surducie. A żona przy nim, jak wątły powój w gorsecie! A dziś role się odwróciły. Kobieta jest jako ta limba, której żaden wichr nie złamie — o hej! — a mężczyzna przy niej, jak ta tuja...

Bo przez cały dzień słychać tylko:

— Tu ja, tu mnie, tu dla mnie...

A w gruncie rzeczy — drzewko nieważne, służące tylko do ozdoby!

I to właśnie ta łódzka szkoła powinna wbić do głowy męskiej młodzieży matrymonialnej! Mężczyźni powinni zrozumieć, że skończyły się czasy, kiedy mąż był głową domu, a żona — wręcz odwrotnie, nie miała nic do powiedzenia. I dlatego nie powinni narzekać, jeśli żona od rana do nocy mówi: „A nie pij! A nie oglądaj się za kobietami!"

Bo dlaczego tak mówi? Dlatego, ponieważ każda kobieta

jest pełna uczuć macierzyńskich i męża uważa za swoje najstarsze dziecko.

A czy dobrze wychowane dziecię pije wódkę? Rzadko — i to najwyżej sto gramów! A czy pacholę ogląda się za kobietami? Nigdy! A jeżeli nawet, to tylko w tym celu, żeby pokazać język!

Tu babunia tak się rozogniła, aż zaczęła się wachlować „Trybuną Ludu". Uspokoiwszy się nieco, ciągnęła dalej:

— Czym jest mężczyzna bez żony? Żołnierzem bez dowództwa, orkiestrą bez dyrygenta, handlem bez PIH-u! Dzięki komu mąż ma wszystkie guziki w porządku? Dzięki żonie, która zawsze powie mu w porę:

— Przyszyj sobie guzik, bo ci odpadł!

Kto dba o to, żeby mąż rozszerzał zakres swojej wiedzy, żeby czytał nie tylko pisma sportowe? — Żona, gdy podsuwa mu żurnal i mówi:

— Tę sukienkę wybrałam, jesteś winien krawcowej tysiąc złotych!

Tu babunia zastukała palcem w Ludwika szesnastego i zawołała:

— A jeżeli mąż wraca czasem do domu, gdy poranek świta? To wiemy, jak żona niewykwalifikowana traktuje tego zmęczonego człowieka... Nie korzysta z najnowszych zdobyczy naukowych, o nie! Co najwyżej stosuje jeden jedyny test, czyli mówi: „Chuchnij, łajdaku!" I od razu zachowuje się nie jak wyrozumiała towarzyszka życia, ale jak Pietrzykowski w trzeciej rundzie...

Natomiast żona, podbudowana naukowo, najpierw wybada sfatygowanego małżonka przy pomocy psychoanalizy... Bo może miał trudne dzieciństwo? Może rodzice nigdy nie dawali mu skosztować tatara, ani śledzika po japońsku — i stąd to uczulenie na lokale z wyszynkiem?...

Tak, tak, bez podstaw naukowych kobieta ani marzyć nie może o szczęśliwym pożyciu!



Toteż przeczytałam z radością, że do tej szkoły małżeńskiej zgłasza się mnóstwo kandydatek! Natomiast kandydatów — niestety mało...

Cóż się dziwić — mężczyźni! Teoria ich nudzi... Oni by chcieli, żeby w programie były wyłącznie — zajęcia praktyczne!

Z repertuaru I. Kwiatkowskiej

ARMIA KRAJOWA

Błyskawiczne tempo kampanii wrześniowej i rozmiary poniesionej klęski oszołomiły naród polski, ale nie załamały w nim woli do walki. Jeszcze nie ucichły ostatnie strzały w Warszawie, na Helu i pod Kockiem, gdy w całym kraju zaczęły wyrastać samorzutnie liczne sprzysiężenia, które stawiały sobie za cel kontynuowanie walki w formie konspiracyjnej i przygotowanie kraju do wystąpienia zbrojnego w chwili, gdy najeźdźca niemiecki padać będzie pod ciosami sprzymierzonych.

Niebawem nowe władze naczelne Rzeczypospolitej postanowiły powołać do życia na terenie kraju tajną organizację wojskową z zadaniem „stworzenia ośrodków oporu narodowego, przeciwdziałającego załamaniu się sił moralnych polskiego społeczństwa na terenie obu okupacji" (niemieckiej i sowieckiej), oraz z zadaniem „współdziałania w odbudowie państwa polskiego na drodze walki orężnej." Organizacji tej dano nazwę „Związku Walki Zbrojnej".

Stosunkowo szybko, bo w ciągu pierwszych dwóch lat, zostały scalone w Z.W.Z. prawie wszystkie organizacje wojskowe niepartyjne. Z organizacji podległych kierownictwu partyjnemu od początku 1940 roku podporządkowana była Z.W.Z. organizacja bojowa P.P.S.-W.R.N. oraz organizacja wojskowa Związku Syndykalistów Polskich („Wolność i Lud").

Na początku 1942 roku Naczelny Wódz, chcąc jeszcze bardziej podkreślić oficjalny i państwowy charakter Z.W.Z., przemianował go na „Armię Krajową" (A.K.) i przy tej okazji ponownie podkreślił wyłączność mandatu dowódcy Armii Krajowej, generała Stefana Roweckiego, do kierowania całokształtem spraw wojskowych na terenie kraju i dowodzenia całością konspiracyjnych sił zbrojnych w kraju.*)

Armia Krajowa w roku 1944 liczyła w swoich szeregach około 400 tysięcy żołnierzy. Rekrutowali się oni ze wszystkich sfer i klas społecznych. Żołnierzami A.K. były też kobiety, które służyły głównie w łączności i w sanitariacie. Miliony Polaków współdziałały z Armią Krajową na rozległych odcinkach jej działalności organizacyjnej i bojowej. Armia Krajowa obejmowała cały teren Rzeczypospolitej, sięgała do najbardziej odległych rejonów na wschodzie i na zachodzie, ale na tych terenach kresowych była znacznie słabsza i o wiele mniej aktywna niż w Polsce centralnej.

Z Armią Krajową związany jest cały naród pięcioma latami walki z najazdem, latami udręki okupacyjnej. Nic więc dziwnego, że A.K. w kraju jest symbolem nieugiętej walki o wyzwolenie, o całość i niepodległość Rzeczypospolitej.

Jako organizacja działająca z ramienia państwa polskiego, organizacja masowa, jednocząca przy żołnierskim obowiązku wszystkich obywateli, bez różnicy poglądów, Armia Krajowa była w czasie wojny największym narodowym ośrodkiem walki. Obok A.K. i we współdziałaniu z nią zadanie czynnego oporu realizowała sieć cywilnej administracji państwa podziemnego, stronnictwa i ugrupowania polityczne, a także i organizacje społeczne. W zagadnieniu tym wielką rolę odegrał Kościół katolicki, oraz organizacje innych wyznań chrześcijańskich.

W zagadnieniu organizowania oporu słowo pisane miało ogromne znaczenie. Tajny komunikat, tajne pismo, tajna ulotka, broszura i książka stały na straży niezłomnej postawy społeczeństwa. Utrzymaniu tej postawy służyły też prawa i normy Polski podziemnej zakazując współpracy z okupantem. Prawa te były surowe i bezwzględne. Współdziałanie z okupantem na odcinku politycznym karane było śmiercią.

W działalności Armii Krajowej opór czynny splatał się ściśle z walką orężną. Działalność ta obejmowała przygotowanie kraju do powstania powszechnego i walkę bieżącą i wyrażała się w szerokim zakresie aktywności A.K., obejmującej dywersję bojową, partyzantkę, eksterminację ludzi okupanta oraz odstępców i zdrajców własnych, sabotaż w przemyśle i w komunikacjach, wywiad, wydawanie tajnej prasy i różnych wydawnictw i ich kolportaż, propagandę dywersyjną przeciwniemiecką, produkcję i magazynowanie uzbrojenia i różnego rodzaju materiału wojennego, odbiór zrzutów z powietrza (ludzi i materiału bojowego), oraz utrzymanie łączności kurierskiej i radiowej wewnętrznej i zagranicznej. Wiele z tych czynności, nie mających w sobie bezpośredniego celu bojowego, wymagało ochrony zbrojnej, która często wchodziła w akcję.

Obok tego biegł drugi tor pracy A.K. Było to przygotowanie siły uderzeniowej do końcowego zrywu bojowego, którym miało być powstanie powszechne. Odbywało się więc w całym kraju stałe wyszkolenie oddziałów powstańczych, szkolenie niższych dowódców na kursach typu podoficerskiego, przeszkalanie dowódców różnego szczebla w myśl wypracowanej w Komendzie Głównej doktryny walki powstańczej. Wyszkolenie prowadzone było pod znakiem praktycznego przygotowania kadr dowódczych i oddziałów bojowych do oczekujących ich w powstaniu zadań, które wypływały z planu opracowanego w porozumieniu ze sztabem Naczelnego Wodza.

Bieżąca działalność bojowa była kierowana centralnie i nasilana lub osłabiana stosownie do instrukcji Naczelnego Wodza, który normował ją zależnie od ogólnej sytuacji wojennej. Była ona też regulowana wewnętrznymi potrzebami kraju. Z punktu widzenia przygotowania kraju do powstania myślą przewodnią bieżącej działalności bojowej było stopniowe nasilanie

---

*) Generał dywizji Stefan Rowecki (pseudonim „Grot"), Komendant Główny Związku Walki Zbrojnej, a później dowódca Armii Krajowej, aresztowany został przez Niemców 30 czerwca 1943 r. w Warszawie i stracony w Sachsenhausen w sierpniu 1944 r.

jej tak, aby zaprawiła ona społeczeństwo do ostatecznego szturmu powstańczego.

Na wiosnę 1940 r. początkowa dzika działalność sabotażowa i dywersyjna w kraju została opanowana i zdyscyplinowana. Gdy Niemcy w roku 1941 posunęli się w głąb Rosji, Z.W.Z. rozszerzył teren swej działalności dywersyjnej i sięgnął nią na linie komunikacyjne niemieckie, leżące pomiędzy wschodnią granicą Rzeczypospolitej a linią Dniepru. Począwszy od roku 1942 nasilenie działań dywersyjnych było już stale wzmagane, a od połowy tegoż roku przystąpiono do organizowania nowej formy działania bojowego — partyzantki.

Pierwsze użycie do akcji na większą skalę oddziałów leśnych miało miejsce w nocy z 31 XII 1942 na 1 I 1943 na Zamojszczyźnie. Niemcy wysiedlali ludność polską z całego tego rejonu i osadzali tam niemieckch kolonistów. Notabene wysiedlanie robili po bestialsku. Oddziały partyzanckie okręgu lubelskiego zostały użyte do zniszczenia osadnictwa niemieckiego. Działanie nie było łagodne. Spowodowało ucieczkę kolonistów niemieckich. Okupanci rozpoczęli obławę przy pomocy oddziałów policji, wojska i lotnictwa. Walka trwała około dwóch tygodni. Obie strony miały duże straty. Akcja kolonizacyjna została osłabiona i zachwiana.

Rok 1943 — to już okres dużego nasilenia działań dywersyjnych i partyzanckich, głównie na terenie Lubelszczyzny, Radomskiego, Wileńszczyzny i Nowogródzkiego.

W tym to czasie na Europę padał już cień sowieckiego udziału w zwycięstwie nad Niemcami. Ofensywa sowiecka obejmowała cały front wschodni. Stawało się jasne, że Niemcy nie są w stanie pokonać rozległych przestrzeni Związku Sowieckiego, ani rozgromić ostatecznie sowieckich sił bojowych. Coraz bardziej prawdopodobne stawało się, że Niemcy cofać się będą ze wschodu pod naporem wojsk rosyjskich, które wkroczą na ziemie Rzeczypospolitej i zajmą je całe w dalszym marszu na zachód.

Jakkolwiek nie można było wykluczyć wypadku, że Niemcy załamią się ostatecznie, zanim front wejdzie na polskie ziemie, co stwarzałoby moment do powstania powszechnego, to jednak możliwość taka coraz słabiej się rysowała. Trzeba było liczyć się z powolnym przetaczaniem się frontu bojowego poprzez ziemie Rzeczypospolitej.

Na ten wypadek trzeba było powziąć decyzję, jak się ma kraj zachować zarówno w stosunku do Niemców, jak i w stosunku do Rosjan.

W stosunku do Niemców — sprawa była jasna: z Niemcami Rzeczpospolita była w wojnie i walka przeciwko nim toczyć się miała aż do końca.

W stosunku do Rosji sprawa była skomplikowana. Wprawdzie Sowiety były również w wojnie z Niemcami, ale wkroczenie ich na ziemie polskie stanowiło groźbę dla całości i niepodległości Polski. Sąd ten ugruntowany był na doświadczeniach historycznych i na wrogim w stosunku do Polski zachowaniu się Rosji sowieckiej w okresie toczącej się wojny.

Wymiana myśli na ten temat pomiędzy Naczelnym Wodzem i dowódcą Armii Krajowej toczyła się w latach 1942 i 1943.

Gdy pod koniec 1943 r. front wschodni zaczął się zbliżać ku granicom Rzeczypospolitej, zostały w Londynie i w kraju powzięte ostateczne decyzje. Rozkazy wydane w teren nakazywały podejmować wzmożoną walkę z Niemcami w momencie uchodzenia ich z terenu pod naporem sowieckim. Walka ta miała być podejmowana sukcesywnie, od wschodu ku zachodowi, w miarę przesuwania się frontu bojowego w głąb ziem polskich. Wobec wkraczających Rosjan nakazano ujawniać się dowódcom i oddziałom, które wezmą udział w walkach przeciw Niemcom, i wraz z nimi przedstawicielom administracji podziemnej. Ujawniający się występować mieli w charakterze przedstawicieli władz Rzeczypospolitej. Mieli być reprezentantami państwa polskiego i prawowitymi gospodarzami w jego granicach. Całe to działanie nazwano „Burzą".

„Burza" wykonywana była przez okręgi Armii Krajowej w ciągu roku 1944. Obejmowała je kolejno, począwszy od wschodu, w miarę przesuwania się frontu bojowego. Oddziały A.K., grupowane w wielkie jednostki lub w mniejsze formacje, staczały wtedy dziesiątki bitew z Niemcami.

Rosjanie wszędzie zachowali się wrogo w stosunku do A.K. i do reprezentantów polskich władz państwowych. Po wykorzystaniu do zwalczania Niemców oddziałów A.K. rozbrajali je podstępnie, więzili i wywozili w głąb Rosji. Tak było na Wołyniu, na Wileńszczyźnie, we Lwowie, na Lubelszczyźnie i na Podlasiu. Wszędzie na tych terenach oddziały A.K., zgrupowane w większe lub mniejsze zespoły, stoczyły dziesiątki bitew i potyczek z Niemcami.

Władze krajowe, zarówno cywilne jak i wojskowe, które nakazywały oddziałom A.K. taki tryb postępowania w stosunku do Sowietów, nie liczyły bynajmniej na przyjazną postawę Rosji, wkraczającej na ziemie polskie. Czynniki te, tak jak i wszyscy Polacy, oceniały postawę sowiecką jako zdecydowanie wrogą wobec Polski. Tym niemniej uważały, że legalne władze państwowe Rzeczypospolitej w momencie wkraczania Rosji na ziemie polskie muszą być reprezentowane.

Ofensywa sowiecka w lipcu 1944 r. dosięgła Wisły, a nawet przekroczyła ją pod Puławami i przy ujściu Pilicy. Ofensywa ta szła na zachód z wielkim rozmachem, przesuwając potężnymi uderzeniami front bojowy o setki kilometrów. Front niemiecki na ziemiach polskich przestał egzystować. Jego szczątki były w rozproszonym ruchu wstecznym, a odwodów potrzebnych w tym czasie na wszystkich frontach, Niemcy już nie mieli. W dowództwie Armii Krajowej sądzono, że armia rosyjska bez trudności przekroczy Wisłę w środkowym jej biegu i że na zachodnim brzegu Wisły opanuje pas terenu dostatecznie głęboki dla zorganizowania podstawy wyjściowej do następnej ofensywy, wymierzonej już w głąb Niemiec.

W dowództwie A.K. sądzono, że armia czerwona w najbliższym czasie zajmie Warszawę. Trzeba było zdecydować, jak w tym momencie zachowa się sto-

lica Polski. Dowódca Armii Krajowej w porozumieniu z władzami cywilnymi Polski podziemnej powziął decyzję, że Warszawa odebrana będzie Niemcom wysiłkiem żołnierza polskiego. Walkę podjęto 1 sierpnia. Trwała ona 63 dni. Była dziełem bohaterstwa żołnierzy i ludności, zbratanych w boju i ofierze.

W pierwszym szturmie powstańczym opanowane zostały duże połacie miasta. Rychło jednak Niemcy wzmocnili swe siły i przeszli do uporczywego koncentrycznego ataku, który szczerbił się i załamywał na twardym oporze powstańców. Walka była nierówna. Niemcy rozporządzali całą potężną techniką wojenną. Wprowadzili do walki czołgi i różne wozy pancerne, artylerię wszelkiego rodzaju nie wyłączając najcięższej (moździerze 600 mm), miny szturmowe poruszające się na gąsienicach, miotacze ognia i ogromne ilości broni maszynowej i granatników piechoty. Z powietrza bombardowały miasto samoloty, latające bezkarnie na dowolnej wysokości. Pomoc odległego Zachodu była trudna i nie mogła przechylić szali na korzyść polską. Zwiększenie tej pomocy uniemożliwiała Moskwa, wykorzystując fakt, że Warszawa była w jej strefie działania. Jedyną skuteczną akcją na rzecz powstania mogła być ofensywa sowiecka, ale dowództwo sowieckie wstrzymało wszelką aktywność na froncie w rejonie Warszawy. Nawet lotnictwo sowieckie, które 1 sierpnia panowało w powietrzu nad miastem, na długie tygodnie zeszło z nieba nad stolicą Polski.

Czym było powstanie warszawskie w czasie, gdy przez ziemie polskie przewalały się dwie niszczycielskie wrogie nam potęgi? Czym było ono na tle całej drugiej wojny światowej? Było najmocniejszym wyrazem nieustępliwej i bezkompromisowej walki narodu polskiego o godność i prawa suwerenne Rzeczypospolitej.

Gen. bryg. Tadeusz Pełczyński

SAMOLOTY POLSKIE NAD PŁONĄCĄ WARSZAWĄ

Można śmiało powiedzieć, że nie było poza granicami Polski ani jednego polskiego żołnierza, który sercem i myślą nie byłby z żołnierzami Armii Krajowej. Śledziliśmy z niepokojem przebieg wydarzeń w Kraju. Chłonęliśmy skąpe wiadomości o poczynaniach tych naszych kolegów, którzy tam zostali. Przeżywaliśmy do głębi każdy bohaterski wyczyn, każde tragiczne niepowodzenie. Wszyscy pragnęliśmy mieć skrzydła, aby móc wzlecieć ponad kordony, granice i fronty i choć na chwilę być w Kraju, w szeregach A.K.

Te upragnione skrzydła posiadaliśmy my: lotnicy. Toteż gdy tylko Armia Krajowa zażądała współpracy, stawiliśmy się z zapałem i dumą na wezwanie.

Stało się to w roku 1941, kiedy potrzeby walki Armii Krajowej wymagały ścisłej łączności z dowództwem polskim w Londynie. Pierwszy lot wykonany przez załogę polską miał miejsce 7 listopada 1941 roku.

Współpraca lotnictwa polskiego z A.K. musiała być w czasie wojny osłonięta największą tajemnicą. Tajemnicą była trasa lotów, tajemnicą zrzuty broni, pieniędzy czy ludzi. Niemniej wiedzieli dobrze o tej tajemnicy Polacy w Kraju i krzepiła ich ona w chwili zwątpienia.

Po wojnie dopiero ogłoszono ściślejsze dane obrazujące współpracę lotnictwa z Armią Krajową i stało się jasnym, że lotnik polski zrobił co tylko mógł, aby wykorzystać fakt, że posiadał skrzydła.

W zimie roku 1941/1942 wykonano 11 lotów do Polski, mimo że warunki atmosferyczne jak wiatry, mgły, opady, a co za tym idzie — częste oblodzenie maszyn było dużą przeszkodą. Samoloty oddane do naszej dyspozycji, typu Halifax, nie były odpowiednie na trasę tej długości, zasięg Halifaxa wynosił bowiem 3.500 kilometrów, a odległość do Warszawy i z powrotem — 3.300 kilometrów, sam więc lot w obie strony, i to bez żadnych przygód, już zużywał cały zapas paliwa. Halifax mógł poza paliwem zabrać więc co najwyżej 1.100 kg ładunku. Lot w obie strony trwał od 12 do 14 godzin.

Na loty specjalne był przeznaczony dywizjon 138, którego jedna eskadra była polska. Dywizjon ten po inwazji Włoch przeniesiono na południe, co skróciło trasę o 500 kilometrów.

Eskadra polska w kwietniu 1944 roku wykonała do Polski 100 lotów, zabierając broń, amunicję, lekarstwa, pieniądze i skoczków. W maju odbyto 72 loty, w czasie Powstania, od 2 sierpnia do 2 października, wykonano 213 lotów nad Warszawę, a trzy — nad inne cele w Polsce. Łącznie wykonano 423 loty do Polski.

Zarówno poprzednia trasa poprzez Niemcy, jak ostatnia poprzez kraje okupowane, nie należała do specjalnie bezpiecznych; były więc wypadki, że samolot nie dotarł do celu.

Gdy rozpoczęło się powstanie, każdy chciał pomóc; niestety, największy wysiłek nie był w stanie dać należytych rezultatów. Wystarczy wspomnieć, że z powodu minimalnej powierzchni, wyznaczonej do zrzutów naszej eskadry, prawie 50% zrzutów dostawało się w ręce niemieckie.

Straty naszej 12-załogowej eskadry za okres sierpnia i września 1944 roku wynosiły 17 załóg. Prócz załóg polskich, udział w lotach nad Polską brały załogi brytyjskie, amerykańskie i południowo afrykańskie; największe straty mieli Południowo-Afrykańczycy, bo w ciągu 2 tygodni dywizjon liczący 24 załogi stracił załóg 21 i z trzema odleciał do Afryki.

Ogółem straty, jakie poniosła eskadra polska nad terytorium polskim, wynosiły 34 załogi, to jest 234 ludzi z personelu latającego, w tym 65 oficerów i 169 podoficerów. Stanowi to 10.37% ogólnych strat lotnictwa polskiego w czasie ubiegłej wojny.

Wśród personelu latającego nad Polskę, na uwagę zasługuje 54-letni generał Rayski, ojciec niepodłego lotnictwa polskiego.

Bibl. Jag.

Jak taki lot wyglądał, opowie jeden z uczestników lotu nad Warszawę.*)

— Czy mógłby pan odtworzyć historię lotu nad Warszawę w czasie powstania?

— Oczywiście. Ponieważ ostatni odbyłem w nocy 20/21 sierpnia, opowiem, jak ten lot właśnie wyglądał. Jak zwykle, nie było danych meteorologicznych z terenów okupowanych. Jak zwykle, trasa lotu nie mogła być z góry wytyczona, a wiadomy był jedynie cel: Warszawa. Bo chociaż na odprawie wyznaczono jeden cel jako właściwy.
inne cele, to jednak polskie załogi znały tylko ten

— Ile załóg miało lecieć w tym dniu nad Polskę?

— Dziewięć. Cztery stare już w dywizjonie i 5 nowych, niedawno przydzielonych z dywizjonów bombowych, które latały nad Niemcy.

— Jaki ładunek otrzymał pan i dokąd miał pan lecieć?

— Otrzymałem 4 skoczków, których miałem zrzucić w Kieleckiem, oraz zrzut na Warszawę.

— O której godzinie nastąpił start?

— Wystartowaliśmy o godzinie 17.45.

— Jaki był według planu pana kierunek lotu?

— Według planu, wziąłem początkowo kierunek na wschód, lecz po półgodzinnym locie zmieniłem ten kurs na właściwy i zeszedłem do lotu koszącego, tak nisko jak tylko mogłem, by nie zaczepić śmigłami o wodę. Tak niski lot zabezpieczał nas w części przed wykryciem przez radar i atakiem myśliwców. O zmroku przekroczyliśmy brzeg Jugosławii i musiałem zwiększyć wysokość.

— Czy przelot nad Jugosławią był bezpieczny?

— Niemcy w Jugosławii mocno ostrzeliwali przelatujące samoloty. W tę właśnie noc z wyspy na Dunaju artyleria grzała do jakiejś naszej maszyny, którą prowadzono już światłami reflektorów.

— Czy przyszliście jej z pomocą?

— Oczywiście. Nakazałem załodze, aby była gotowa do gaszenia reflektorów. Podszedłem do wyspy. Załoga mojej „Urszuli" sypnęła ogniem po światłach. Zanim zdążyłem zatoczyć koło po brzegach wyspy, już ani jeden reflektor nie był czynny. Wyrównałem „Urszulę" i wszedłem na właściwy kurs.

— Jaki odcinek drogi uważał pan za najbardziej niebezpieczny?

— Przelot przez Tatry. Musieliśmy nabrać wysokości, a byliśmy łatwi do wykrycia przez myśliwców. Toteż po przejściu Tatr odetchnęliśmy i poczuliśmy się nawet bezpieczni.

— Bezpieczni?

— No tak, bo jeżeli samolotowi zdarzyła się przygoda nad Polską, to zawsze niemal przychodził mu z pomocą jakiś oddział A.K.

— Jak znajdowaliście teren do zrzucenia skoczków?

— Teren był ustalony z grubsza z góry. Poza tym mieliśmy zawsze podaną literę rozpoznawczą dnia, nawiązywaliśmy kontakt radiowy z placówką A.K. Trzeba przyznać, że specjalne oddziały A.K., przygotowane do odbioru skoczków w terenie, działały sprawnie i fachowo.

— W tym dniu również?

— Tego dnia mieliśmy, niestety, jeden tragiczny wypadek. Po odnalezieniu placówki po błyskach świateł i nawiązania łączności przez naszego radiotelegrafistę, zrobiłem rundę na światła, ostrzegłem skoczków, że czas skoku się zbliża, wypuściłem klapy, redukując szybkość do krytycznej. Skoczkowie wyskoczyli. Wziąłem kurs na Warszawę. Ale maszyna stała się dziwnie nerwowa, zaczęła tańczyć w powietrzu, szybkość jej, mimo zrzucenia żywego ładunku, wcale się nie zwiększyła. Stery nie działały sprawnie Po sprawdzeniu okazało się, że jeden ze skoczków wisi na spadochronie pod samolotem, bo linka zrywająca nie została zerwana. Robiliśmy wszystko, aby skoczka uratować. Próbowaliśmy go wciągnąć do samolotu — na nic. Nie mogłem dalej tak lecieć. Wiedzieliśmy już, że skoczka nic nie uratuje. Jeżeli jeszcze żyje, umrze w ciągu dalszego lotu, jeżeli będziemy go ciągnąć pod maszyną — zginiemy wszyscy. Skoczka odcięto.

— Czy dotarł pan nad Warszawę już bez dalszych przygód?

— Raczej tak. Początkowo usiłowaliśmy nadlecieć od wschodu, przez teren zajęty przez Rosjan, ale „sprzymierzeńcy" powitali nas tak silnym ogniem i tak nie respektowali naszych sygnałów nadawanych przez radiotelegrafistę, że zrobiłem gwałtowny skręt na zachód i nad Warszawę nadleciałem od strony północnej.

— Jak wyglądała Warszawa?

Warszawa była cała w ogniu. Był to jeden ogromny słup dymu i ognia. Właśnie w ten ogień trzeba było lecieć. Lecieliśmy.

— Czy Niemcy skierowali do was silny ogień?

— To nie był ogień. To była lawina ognia. Wtedy, w tę noc, uświadomiłem sobie jasno, że poprzednie moje naloty na Kolonię, Hamburg, Essen, Bremen i inne cele w Niemczech były poprostu turystyczną wycieczką w porównaniu do tego co nas tu czekało. Zaczęto do nas prać tuż przed linią Wisły. Straciliśmy wtedy tylnego strzelca.

—Jak w tym morzu ognia odnalazł pan miejsce przeznaczone na cel zrzutu?

— Na szczęście znam Warszawę. To jest moje miasto. Znam tam każdy kamień. Wiedziałem, że zrzut ma dotrzeć na Plac Krasińskich, więc nie szukałem nawet rozpoznawczych znaków świetlnych, tym bardziej, że Niemcy identyczne znaki ustawiali na terenie zajętym przez nich. Zniżyłem „Urszulę" do maksimum, aby ładunek spadł dokładnie i w całości, a nie rozrzucony. Zdawało mi się, że leje się

---

*) Jak nam wyjaśnił autor, ta część artykułu oparta jest na relacjach różnych załóg polskich, które niosły pomoc walczącej Warszawie, — **Red.**

na nas morze ognia i żelaza. Otworzyłem drzwi bombowe i klapy. Szybkość spadła. Wreszcie sygnał do zrzutu. Odciążona maszyna podskoczyła do góry. Po kadłubie samolotu bębnił grad pocisków. Usłyszałem jęki. Zacząłem wołać po imieniu załogę. Mocowałem się ze sterami, nie mogłem zamknąć klap, urządzenie hydrauliczne było przestrzelone, podwozie zwisało z łożysk — mocowałem się z „Urszulą", ale i mnie siły opuszczały. Wrócił Zygmunt. Nawigator był ranny. Reszta nie żyła. Obaj z Zygmuntem usiłowaliśmy trzymać stery — ale to był próżny wysiłek. Musiałem lądować. Pamiętam jak jeszcze wyłączyłem iskrowniki. Potem straciłem przytomność.

Obudziłem się w jakiejś stodole, a raczej obudził mnie silny ból nóg. Po chwili weszła kobieta ubrana po wiejsku. „Niech pan będzie spokojny — powiedziała — jest pan pod opieką Armii Krajowej." Dała mnie dwa zastrzyki, po których usnąłem. Gdy obudziłem się, wieziono mnie na jakimś wozie.

— **Dokąd?**

— Nie wiem. Powiedziano mnie tylko, że Niemcy mnie szukają i że trzeba mnie ukryć. Przywieziono mnie do jakiejś piwnicy, przyniesiono mleka. Sanitariuszka A.K. była cały czas ze mną. Po południu usłyszałem głośną rozmowę po niemiecku. Otworzyły się drzwi i do piwnicy weszło dwóch osobników ubranych w mundury oficerów Gestapo.

— **Gestapo?**

— Tak. Nie umiem powiedzieć co przeżywałem. Nie chodziło o mnie, ale bałem się, że Niemcy wystrzelają całą wieś za ukrywanie lotnika. Sanitariuszka z A.K. zachowała nadzwyczajny spokój. Gestapowcy podeszli do mnie i jeden z nich przemówił po polsku. „To pan jest lotnikiem polskim?" — zapytał. Potwierdziłem. „Jesteśmy lekarzami A.K. Przyszliśmy panu pomóc." Zapytałem o Zygmunta. Nie odpowiedzieli mnie. Zrobili mi zastrzyki. Po obudzeniu się byłem obandażowany i obie nogi miałem w gipsie.

— **Czy przez cały czas przebywał pan w tej piwnicy**

— Nie. Po dwu dniach przewieziono mnie do jakiegoś schronu w lesie, a potem tułaczka od wsi do wsi, od lasu do lasu.

— **Czy wie pan, co się stało z resztą pańskiej załogi i z innymi załogami, które tej nocy leciały nad Warszawę?**

— Wiem zupełnie dokładnie. Jeszcze w Polsce, po powrocie do sił, odwiedziłem miejsce mego przymusowego lądowania. Znalazłem tam grób, a na krzyżu napis: „6 lotników polskich zginęło z dn. 20/21 sierpnia 1944 roku. Cześć ich pamięci."

— **A inne załogi?**

— Już w Anglii dowiedziałem się, że z 9 załóg, które startowały tej nocy, wróciły dwie, to znaczy 14 ludzi. Wróciła załoga Małego Jasia i załoga majora L. Kazik, którego broniliśmy nad Jugosławią, musiał zawrócić. Torpedowiec wyłowił go z Adriatyku. Z pięciu nowych załóg, nie wróciła żadna.

— **Chciałem zadać panu jeszcze jedno pytanie, tym razem ostatnie. Pytanie, na które trudno odpowiedzieć, ale panu na pewno i mnie nieraz już to pytanie zadawano. Czy pan jako uczestnik lotów nad Warszawę uważa, że nasze wysiłki były skuteczne?**

— Uważam, że nasze wysiłki były konieczne. Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, nie wiedzieliśmy, że Warszawa została przez Rosjan skazana na śmierć. Wtedy wiedzieliśmy tylko jedno: że Warszawa jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że naszym obowiązkiem jest przyjść jej z pomocą.

F. Rybicki
układ mgr. W. Fuksa

POLSKIE ZWYCIĘSTWA W MIĘDZYNARODOWYCH ZAWODACH LOTNICZYCH

Rozwój lotnictwa niepodległej Polski przed drugą wojną światową postępował różnymi drogami. W pierwszym rzędzie czynniki odpowiedzialne za ten rozwój starały się kłaść główny nacisk na postawienie i utrzymanie na możliwie wysokim poziomie tej dziedziny lotnictwa, która w wypadku zagrożenia niepodległości państwa miała mieć za zadanie jego obronę przed napastnikiem w powietrzu, czyli lotnictwa wojennego. Napotykały one na duże trudności w swej pracy w tym kierunku, co częściowo było zupełnie naturalną konsekwencją faktu, że Polska nie była jeszcze dostatecznie zamożna, by sprostać olbrzymim kosztom budowy lub nabycia nowoczesnego sprzętu lotniczego w odpowiedniej ilości, jak również skomplikowanego szkolenia i treningu licznego personelu latającego i technicznego. Niezależnie od tego ówczesne sfery rządzące nie chciały zgodzić się na przyznanie lotnictwu należnego mu miejsca w rozbudowywanych polskich siłach zbrojnych, jako ich części co najmniej równorzędnej z faworyzowanym przez nie dość licznym wojskiem i niewielką, aczkolwiek w pewnym stopniu samodzielną choćby ze względu na jej bezkonkurencyjne w stosunku do wojska stacjonowanie i działanie na wodach, marynarką wojenną. Z konieczności więc, a szczególnie ze względu na tę drugą, wymienioną wyżej, przyczynę, nasze lotnictwo wojenne istniało jako jedna z broni wojska, zwana popularnie lotnictwem wojskowym. W tej trudnej sytuacji, tak odpowiedzialne czynniki lotnicze, jak i wszyscy lotnicy, zdający sobie dobrze sprawę z tego, jaki los może spotkać nasze siły zbrojne w wypadku wojny bez silnego samodzielnego lotnictwa wojennego, zmuszeni byli do szukania innych okrężnych dróg przekonania względnie zmuszenia sfer rządzących do zmiany ich niesłusznego stosunku do naszego lotnictwa. Najskuteczniejszą do tego

drogą wydawało się trafienie do serc i umysłów całego społeczeństwa polskiego, ażeby, przez wzbudzenie w możliwie najszerszych jego warstwach, a szczególnie jego patriotycznej młodzieży, zrozumienia i zamiłowania do skrzydlatej służby dla ojczyzny, wywrzeć od wewnątrz narodu potrzebny wpływ i, co za tym idzie, nacisk na sfery rządzące w kierunku spowodowania wydatniejszego poparcia rozwoju lotnictwa. To było właśnie głównym motywem powstania w Polsce społeczno-państwowych instytucji popierania rozwoju lotnictwa w postaci Aeroklubu Rzeczypospolitej i aeroklubów lokalnych oraz Ligi Obrony Powietrznej Państwa, jak również znacznego udziału w ich istnieniu i działalności lotników wojskowych.

Szereg wybitnych wyczynów w dziedzinie sportu lotniczego, a mianowicie długodystansowych lotów z Polski do różnych części świata i rekordów lotniczych na polskich samolotach, zaczął wkrótce zwracać coraz baczniejszą uwagę naszego społeczeństwa, którego olbrzymia część uznała odpowiedni rozwój lotnictwa polskiego za konieczny warunek istnienia niepodległości państwa. Gdy w ten sposób lotnicy polscy dali się dobrze poznać na światowej arenie lotnicze, niezbędnym stał się ich udział w międzynarodowych zawodach lotniczych.

Pierwszy taki udział zaznaczył się w okresowych okrężno-europejskich lotach wojskowych lotników i samolotów Małej Entente'y i Polski, w których jednak, ze względu na niedostateczny jeszcze poziom naszej techniki lotniczej i przemysłu lotniczego, nie potrafiliśmy zająć czołowych miejsc. Następnie, w 1930 roku, polski samolot i jego polska załoga wzięły po raz pierwszy udział w międzynarodowym challenge'u lotniczym, którego celem było szlachetne współzawodnictwo sportowych samolotów i lotników poszczególnych państw, zainteresowanych rozwojem lotnictwa. Ten pierwszy czynny udział w międzynarodowej sportowej imprezie lotniczej nie dał, niestety, Polsce żadnego zwycięskiego miejsca. Niepowodzenie w niej pobudziło jednak tak naszych lotników, jak i inżynierów konstruktorów lotniczych, do wytężonej pracy w kierunku zmiany sytuacji na lepszą, a przede wszystkim przygotowania się należycie na przyszłość.

Oto już w następnym challenge'u lotniczym, w 1932 roku, polskie lotnictwo zdobyło pierwsze miejsce przez wspaniałe zwycięstwo por. pil. Franciszka Żwirki i jego mechanika, którą to rolę wziął ofiarnie na siebie jeden z trzech młodych i doskonale zapowiadających się konstruktorów zwycięskiego tym razem polskiego samolotu sportowego R.W.D.6, inżynier J. Wigura. To pierwsze polskie zwycięstwo na międzynarodowej arenie sportu lotniczego wywołało ogromny entuzjazm naszego społeczeństwa. Niestety, wkrótce zostało ono okryte żałobą, gdy w kilka dni po zakończeniu challenge'u, Żwirko i Wigura ponieśli śmierć w katastrofie ich samolotu, w czasie lotu z Warszawy do Pragi, dokąd udawali się na zaproszenie lotnictwa Czechosłowacji. Lotnictwo polskie nie upadło jednak na duchu i starało się iść nieugięcie naprzód przyjętą przez nie drogą. Jeszcze w tym samym roku entuzjazm społeczeństwa polskiego w stosunku do swego lotnictwa odżył na nowo przez udany długodystansowy lot autora niniejszego artykułu z pasażerem-mechanikiem Rogalskim na polskim samolocie R.X z Warszawy do Kabulu, ze specjalnie dokonanym lotem w drodze powrotnej do Egiptu i Ziemi Świętej. Następnie w 1933 roku kapitan pilot Stanisław Skarzyński dokonał rekordowego samotnego przelotu na samolocie sportowym R.W.D.5 ponad Atlantykiem południowym z Afryki do Południowej Ameryki. Równocześnie wrzała nieprzerwana praca nad przygotowaniem się do następnego międzynarodowego challenge'u lotniczego. Wytwórnie lotnicze P.Z.L. i D.W.L. zdołały wyprodukować w ciągu dwuletniego okresu nowe typy doskonałych samolotów sportowych do tego celu. Wytwórnia D.W.L., mająca za sobą duże doświadczenie, zdobyte na skutek poprzedniego zwycięstwa Żwirki i Wigury na samolocie R.W.D.6, przygotowała nowy, jeszcze bardziej doskonały typ samolotu sportowego R.W.D.9, wybierając równocześnie jako jego pilota kapitana Jerzego Bajana.

Międzynarodowy challenge lotniczy 1934 roku był bardzo trudną imprezą sportu lotniczego, w której, poza Polską, zgłosiły swój udział przemysł lotniczy i lotnicy Czechosłowacji, Italii, Anglii i Niemiec. Lotnicy polscy mieli więc w tej konkurencji lotniczej do pokonania nie tylko ciężkie warunki konkursu, lecz również doskonały sprzęt i świetnych lotników państw obcych, których lotnictwo stało wtedy wyżej od polskiego. Pamiętamy do dziś tę zaciętą walkę, jaka toczyła się wtedy w powietrzu ponad Europą. Załogi samolotów, biorące udział w challenge'u, podobnie jak w poprzednich latach, były złożone z pilota i mechanika, którego zadaniem było dbanie o dobry stan samolotu i silnika przez cały czas trwania konkursu. Mechanikiem kapitana pilota Bajana był, wybrany przez niego, sierżant Pokrzywka. Głównym wydarzeniem challenge'u, niezależnie od szeregu uciążliwych prób wytrzymałości maszyny i zdolności pilota, był lot okrężno-europejski w postaci wyścigu lotniczego, który rozpoczynał się w Warszawie, w związku z poprzednim polskim zwycięstwem Żwirki i Wigury, i kończył się również w Warszawie.

Jako jeden z tych, co od zarania polskiego lotnictwa wojskowego byli w jego składzie bez przerwy, przeżywałem wtedy głęboko wraz z całą Polską ten lot Polaków w ostatnim międzynarodowym challenge'u lotniczym. Biorący w nim udział lotnicy polscy nie zawiedli pokładanych w nich nadziei całego narodu. Kapitan Bajan z sierżantem Pokrzywką zdobyli pierwszą nagrodę, a znany pilot naszego cywilnego lotnictwa komunikacyjnego Płonczyński z mechanikiem Ziętkiem drugą nagrodę. Zwycięstwo polskie było tym razem całkowite i oszałamiające dla wszystkich Polaków. Wówczas to puchar przechodni chal-

lenge'u, ze względu na drugie z kolei zwycięstwo polskie, po pierwszym Żwirki i Wigury w 1932 roku, przekazany został na własność Aeroklubowi Rzeczypospolitej Polskiej.

Wspominając te zwycięstwa z perspektywy 25 lat, możemy śmiało sobie powiedzieć, że poziom naszego lotnictwa był wtedy stosunkowo wysoki tak pod względem sprzętu technicznego, jak i wyszkolenia personelu latającego. Zupełnie słusznie żyliśmy nadzieją na dalszy owocny rozwój naszego lotnictwa, który zresztą, w ramach możliwości finansowych Polski i w warunkach braku jego samodzielności w polskich siłach zbrojnych, postępował, ogólnie biorąc, w dobrym kierunku, nie licząc niektórych, zupełnie zrozumiałych w tego rodzaju sytuacji, ludzkich błędów. Wojna 1939 roku przerwała, niestety, ten rozwój. Po klęsce wrześniowej polskich sił zbrojnych w nierównej walce z dwoma najeźdźcami, Niemcami i Rosją, które dysponowały druzgocząco przeważającą siłą ich lotnictwa, lotnictwo polskie na otrzymany rozkaz przeszło na teren zachodnich państw sojuszniczych, najpierw Francji a potem Wielkiej Brytanii, do dalszej walki, gdzie lotnicy polscy wykazali w ciągu ubiegłej wojny światowej, że tradycje lotnicze, zapoczątkowane przez wybitne czyny lotników polskich, do których niewątpiwie należało zwycięstwo Jerzego Bajana w ostatnim międzynarodowym challenge'u lotniczym, zostały przez nich w pełni utrzymane.

Tą myślą połączeni ze zwycięzcą ostatniego międzynarodowego challenge'u lotniczego, a obecnym prezesem Stowarzyszenia Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii, patrzymy z wiarą w przyszłość, pomimo że wciąż jeszcze ciemne chmury niewoli wiszą nad Polską.

Gen. bryg. pil. Stanisław Karpiński



Król Jerzy VI i gen. Sikorski *u lotników*

H U M O R

KALKULACJA

Australijczycy bawiący w Europie, gdy zapytano ich, czy nie martwią się o jedynaka pozastawionego w domu na drugiej półkuli, odparli:

— Nawet byłoby nam trudno się martwić. Na przykład, teraz jest tu druga po południu, to znaczy, że w Brisbane jest piąta rano — jesteśmy więc spokojni, bo mały śpi. Kiedy znów w Brisbane jest piąta po południu, tu jest druga rano i, oczywiście, my śpimy.

ŚWIETNA KUCHARKA

Świeżo upieczony małżonek, jedząc obiad przygotowany przez żonę:

— Kochanie, może Azor zjadłby mój obiad?

— Co? Chyba nie chcesz oddawać swego obiadu psu?!

— Oddawać? Skądże, tylko wymienić.

U DENTYSTY

— Tadziu, powiedz „a", bo pan doktor nie może wydobyć swego palca z twojej buzi.

HUMOR Z 1945 ROKU

W jednej z londyńskich restauracji pewien żołnierz amerykański nie tknął prawie zupełnie podanego mu obiadu. Mały kawałek mięsa był przypalony, jarzyny wodniste, zimne i jak zawsze bez smaku. Amerykanin zażądał rachunku, pozostawiając pełne talerze.

Stary kelner był oburzony.

„Takie marnotrawstwo! Czy pan wie, że jedzenie może wygrać wojnę?"

„Możliwe — odparł Amerykanin — ale kto zmusi nieprzyjaciół, aby jadali w londyńskich restauracjach".

WIECZNA MŁODOŚĆ

Gwiazda filmowa odprawiła lokaja. Gdy ją zapytano o przyczynę, odparła:

— Narażał mnie na śmieszność opowiadając wszystkim, że był u mnie w służbie przez trzydzieści lat!

SAM NIE DA RADY

Sędzia do oskarżonego:

— Oskarżony tak nieumiejętnie kłamie, że radzę jednak wziąć adwokata.

LOGIKA

Lekarz w szpitalu wariatów przechodzi przez salę i widzi, że jeden z pacjentów pisze list.

„Do kogo pan pisze?" — pyta lekarz.

„Do siebie" — pada odpowiedź.

„A jaka jest treść tego listu?"

„A skąd ja mogę wiedzieć — odpowiada wariat — przecież ja ten list otrzymam dopiero jutro".

ASTRONOMIA

Dwóch wielkich astronomów obserwowało księżyc przez największy na świecie teleskop na Mont Wilson.

— Oho — powiedział jeden przylepiony okiem do teleskopu — będzie deszcz.

— Nie rozumiem — zaciekawił się drugi — na podstawie jakich zjawisk to twierdzisz?

— Odcisk mnie piecze.

HISTORYJKA OBRAZKOWA PT. „RANO"

1



2



3

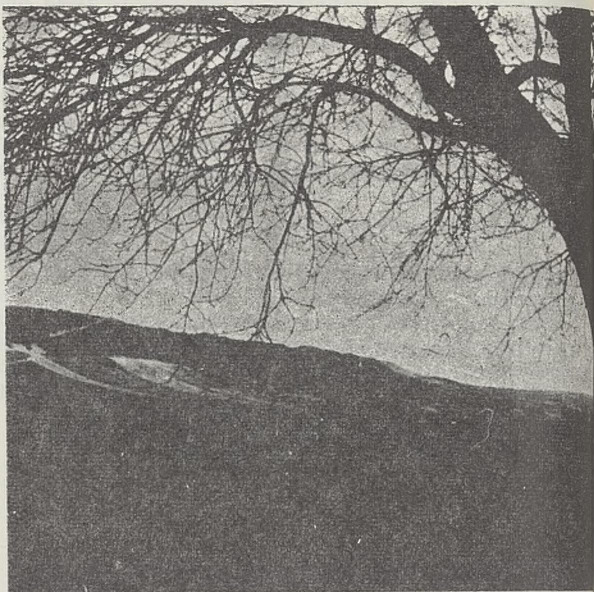


PRZYRODA POLSKA

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

ZOFIA JUNOSZA





Skowronno Dolne k/Pińczowa

LESZCZYNA

Bazie... Kiedy pojawią się na ulicach w koszach sprzedawców, wydaje się, że wiosna tuż, tuż... A tu jeszcze niekiedy mróz i śnieg — i zima wcale nie ma zamiaru ustąpić. Ale nim jeszcze cienkie witki wierzby pokryją się srebrzystymi i tak ukochanymi przez nas „kotkami", już zakwita uparta leszczyna. Zakwita na przedwiośniu, w końcu lutego, jako pierwsza spośród naszych roślin. Chociaż jej pąki liściowe otulone są szczelnie łuskami, na bezlistnych gałązkach krzewu złocą się bazie. Inne, mniejsze niż wierzbowe, a przecież równie puszyste i miłe. Sypie się z nich pyłek i pada na czerwone znamiona kwiatów słupkowych, wysuwających się spośród łusek pąków. Wyrosną z nich tak chętnie zbierane jesienią przez ludzi, wiewiórki, dzięcioły i nawet... niedźwiedzie orzechy leszczyny.

I któż by przypuszczał, że owe śliczne, puszyste bazie zawierają w sobie zarodek tak bardzo pożytecznego owocu. Bo orzech leszczyny — to nie tylko przysmak. To jednocześnie ważny, a niedostatecznie jeszcze przez nas w Polsce wykorzystany rezerwuar tłuszczu roślinnego, białka, cukru i witamin. Dlatego prowadzone są teraz prace, mające na celu zarówno zwiększenie racjonalnej uprawy leszczyny, jak i lepszego jej wykorzystania. W niektórych krajach już wyrabia się ze świeżych orzechów laskowych mleko i śmietankę i wytłacza olej jadalny, bardzo łatwo przyswajalny przez organizm. A ponieważ w Polsce leszczyny nie brak, może już w niedługim czasie korzystać będziemy nie tylko z jej bazi — pierwszego daru wiosny — i orzeszków w ich „naturalnym wydaniu".

BRZOZA

Jasnożółtą zielenią odbijają się w kwietniu nasze smukłe brzozy od ciemnego tła sosnowego lasu. Lasy brzozowe zachwycają o każdej porze roku lekkością i bielą pni i wiotkością gałązek.

Brzoza nie jest zbyt długowieczna — w porównaniu z naszymi dębami czy lipami. Żyje do 120 lat, wyrasta do 20 m. wysokości. Dlatego stanowi ulubioną ozdobę nie tylko naszych lasów, ale i dróg, alei, zagajników — i niezmiernie ważnych dla ochrony naszych pól pasów leśnych. Wiosną — w tajemnicy przed starszymi — chłopcy wiejscy nacinają brzozy i spływający do kubka kroplami jej sok — oskołę — piją jako wielki przysmak, słodki, smaczny i orzeźwiający. Dlatego niekiedy wiosną w miejscach uszkodzenia pnia brzozy wycieka przeźroczysty płyn. Ludzie mówią wtedy, że „brzoza płacze".

PIERWIOSNEK

Już w marcu zakwitają na słonecznych wzgórzach, łąkach i w zaroślach pierwiosnki — kluczyki i kwitną do maja. Kilka kwiatków złocisto jasnej barwy, osadzonych na szczycie pędu kwiatowego, pochyla się wdzięcznie w jedną stronę i z lekka zwisa ku dołowi. Trudno nie zachwycać się nimi, zwłaszcza że pojawiają się w porze, kiedy jeszcze niewiele roślin kwitnie.

Jednak w Anglii czy Holandii zwraca się uwagę nie na kwiaty, lecz na pomarszczone liście pierwiosnków, z których przyrządzana jest wyśmienita podobno sałata. W tym celu nawet uprawia się pierwiosnek w ogrodach jako roślinę sałatową, dostarczającą witamin, m. in. witaminy C. A ponieważ liście pierwiosnka spożywa się w tym czasie, kiedy brak jest jeszcze innych roślin, cieszą się więc dużym popytem. Ale nie tylko liście pierwiosnka są pożyteczne — jego kłącza i korzenie zawierają ponadto saponinę.



Fot. Z. Zwolińska





Jerzy Pytiakowski

Dwadzieścia cztery godziny śmierci

Wiktor obejrzał się i spostrzegł człowieka, który patrzył na niego uważnie. Spojrzenie nieznajomego było tak mocne — czuł na twarzy niemal fizyczny ucisk pary błękitnych oczu — że Wiktor, chociaż bardzo zamyślony i przejęty dzisiejszym niepowodzeniem, odpowiedział spojrzeniem równie mocnym i uważnym.

W mroku marcowego przedwieczerza sylwetka nieznajomego, ukrytego we wnęce bramy, była tylko białą miazgą twarzy opatrzonej dwoma świetlnymi punktami oczu wysyłających w kierunku Wiktora niepokojące fale uwagi i niezrozumiałej ostrości.

Wiktor stracił nagle poczucie niezależności. Wydało mu się, że jest kiepskim aktorem na jaskrawo oświetlonej scenie i że surowy krytyk, który zna lepiej od niego samego przebieg scenicznej akcji, obserwuje i wydrwiwa jego nieudałą grę. Oczywiście ani nie zwolnił, ani nie przyśpieszył kroku — rutyna uczyniła swoje.

Musiało mu być gorąco, gdyż z prawdziwą przyjemnością poddał twarz chłodnemu powiewowi, który szedł od Wisły. W chwili, gdy wieżowy zegar Instytutu Głuchoniemych zaczynał wydzwaniać godzinę szóstą, Wiktor dostrzegł dwóch ludzi, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i szli ku niemu szybkim, wojskowym krokiem. Teraz aż przylepił się do zimnej, chropowatej ściany kamienicy. Prawą ręką ujął kolbę dobrze ukrytej broni i powoli, jakby nie chcąc spłoszyć snu i czyichś drzemiących oczu, tyłem cofał się do bramy. Mężczyźni zbliżali się szybko. Chciał właśnie odbezpieczyć broń, gdy na obu swych rękach poczuł mocne uchwyty obcych dłoni, a w uszach jego, jak ogłuszająca, nieoczekiwana detonacja, wybuchł wyraz „Polizei".

Musiał puścić jeszcze nieodbezpieczone parabellum i rozkrzyżować ręce tak, jak pokierowali nimi dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu. Trzeci szedł tuż za Wiktorem i trzymał automat gotowy do strzału. Ci dwaj, których widział już przedtem, zbliżyli się. Jeden z nich wydobył z kieszeni gwizdek, przybliżył go do ust i dał przeraźliwy sygnał. Natychmiast pojawił się samochód. Tam właśnie poprowadzili Wiktora. Czuł przeraźliwą słabość w kolanach, a w ustach brakło mu śliny. Badał drobnymi na pozór ruchami siłę policyjnego uchwytu, lecz raraz otrzymał potężny cios kolbą w plecy z odpowiednim napomnieniem. Zrezygnował więc z doświadczeń i bez sprzeciwu dał się posadzić na tylnym siedzeniu między dwoma opiekunami. Dwaj inni usadowili się obok szofera i konwój ruszył.

W nieoświetlonym aucie Wiktor starał się zebrać myśli. Zdołał to uczynić tylko z niemałym trudem, gdyż bardzo mu przeszkadzał oddech obcych ust, który z obu stron łechtał niemile naskórek twarzy.

Samochód jechał niezaprzeczenie w kierunku alei Szucha — co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Przez okno zerkała ku Wiktorowi uli-

ca — jakby polecała się jego pamięci. Auto było niskie i świeżo upieczonemu aresztantowi zdawało się, że wystarczy jeden krok, a znajdzie się sam w mroku ulicznym, znów jak przed chwilą — zagubiony przechodzień.

Usiłował odtworzyć w swej wyobraźni przebieg przypuszczalnej reakcji straży na próbę ucieczki i szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans. Mimo to nie stracił spokoju, był bowiem jeszcze związany ściśle ze swoimi kolegami i osobami bliskimi, z pracą oraz z tym wszystkim, co nadawało jego młodej postaci charakter człowieka żywego i mającego niezaprzeczone miejsce w życiu. Nie dramatyzował, bo znajdował się już w niejednej opresji i nie tracił nadziei, gdyż jeszcze myślał o uwolnieniu, a więc nie poddawał się.

Ostatecznie stało się tylko to, na co czekał, czego spodziewał się i obawiał każdy z ludzi pracujących w konspiracji. Teraz opadła obawa i lęk — już mu nic więcej nie groziło. Już nie musiał rozglądać się uważnie, idąc ulicą, unikać tłoku tramwajowego, ani przemykać się między przechodniami jak zgoniony zaszczuty, wściekły pies.

Dobrze schowany, a dziś nieużyty rewolwer palił go wyrzutem śmiesznego, bezbronnego poddania się. Tytuły gazetek, które miał przy sobie, stanęły mu żywo przed oczami, a na tle ich czarno skreślonych liter pojawiły się twarze i sylwetki znajomych redaktorów, zecerów, kolporterów. Wszyscy dużo mówili i żywo gestykulowali.

Wiktor westchnął ciężko i dopiero teraz poczuł, że obie ręce zdrętwiały mu zupełnie — tak bardzo były skrępowane przez trzymających je gestapowców.

Jeden z mężczyzn siedzących obok szofera przerwał milczenie.

— Jak się nazywasz? — spytał po polsku chropowatym, bezdźwięcznym głosem.

Wiktor nie odpowiedział.

Nie dlatego, żeby chciał pokryć milczeniem zapytanie. Po prostu nie wiedział, który z jego pseudonimów był znany policji. Wiktor, Zbyszek, Jasiński, czy może, nie daj Bóg, Ostrowski?

— Wiktor, co? — sam sobie odpowiedział gestapowiec. Pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ten drwiący śmiech poruszył w więźniu poczucie godności osobistej.

Z nieco sztuczną, nonszalancką pewnością siebie wkroczył Wiktor do wielkiego gmachu Sicherheitspolizei przy alei Szucha.

Blask elektryczności omamił go najpierw jakby nadludzkim przepychem tej świątyni niemieckiej sprawiedliwości, a nieznajome, poważne twarze ludzi, którzy go otaczali, tłumaczyły mu, że uczestniczy w czyimś pogrzebie — tak bowiem miarowo, uroczyście, milcząco kroczyli ci ludzie, jak księża konwojujący trumnę z nieboszczykiem. W duchu uśmiechnął się — śmieszna wydała mu się pompatyczna powaga, z jaką policjanci otaczali jego wychudłą postać przyobleczoną w nędzne, zniszczone ubranie.

Zaprowadzono go w podziemia. Tutaj oddał rewolwer wraz z całą zawartością kieszeni. Za rewolwer i gazetki otrzymał pięć uderzeń w twarz, aż krew poszła z dziąseł. Działo się to w korytarzu obok kancelarii. Tak już wyjałowionego z bagażu, lecz mimo piekącego bólu twarzy jeszcze zupełnie opanowanego, popchnięto do znajdującej się obok kancelarii. Tu jakiś starszy feldfebel spisał z kennkarty personalia Wiktora i starał się daremnie otrzymać od niego adres żony, rodziców lub jakichkolwiek innych krewnych.

Wiktor tak był pochłonięty odczuwaniem politowania dla ubogiego umysłu kancelisty, że nie zauważył wcale, gdy Scharfsturmführer dał znak owemu kanceliście, aby opuścił kancelarię.

I zostało ich trzech prócz Wiktora, Scharfsturmführer Frost, wysoki blondyn o twarzy angielskiego sportsmena i rękach zowodowego muzyka, czarny jak kruk tłumacz — Ukrainiec, niski i tęgi, oraz młody Volksdeutsch, silny, wysoki o atletycznej budowie drab. W rękach tłumacza znalazł się od razu pejcz, Volksdeutsch zaś zaopatrzył się w grubą laskę.

W kącie kancelarii na małym stoliku stało radio. Głośnik pełen był dźwię-

ków bardzo rytmicznego i bojowego marsza.

Kazano Wiktorowi zdjąć palto, co też posłusznie uczynił. I następnie, bez żadnych pytań ani indagacji, w rytmie muzyki, spadły na niego perwsze uderzenia. Smakował je przez chwilę jak nową emocję, lecz rychło przeraził się ich bolesnością. Wydało mu się, że wszystko się kończy. Cały jego długo i pracowicie konstruowany świat, pojęcia, którymi żył on i jego otoczenie, wszystko co piękne i wszystko co złe, i jego matka, którą uwielbiał, i żona, którą kochał, i idea, której wierzył, i praca, którą zapełnił swoje życie, i przyjaciele, których obdarzał przyjaźnią — oni wszyscy i to wszystko przestało istnieć w jednym krótkim, strasznym momencie, zniweczone ciosami hitlerowskiego pejcza. Doszedł do niepomyślnego wniosku, że przemoc i ból mogą zdławić w człowieku wszystkie jego myśli i uczucia, i stworzyć coś zupełnie nowego, mianowicie: tylko ból.

Wiktor pełzał właśnie brzuchem po podłodze owej podziemnej kancelarii i przyjmował na plecy, uda, ły‹ ki, kark i ramiona istną fontannę ciosów.

Nie mógł się pogodzić z tą niezasłużoną, w jego mniemaniu karą. Nie mógł ocenić wielkości i potęgi przemocy, która nim poniewierała, gdyż całe życie walczył z przemocą. Dławił go niewypowiedziany protest. Niczego nie rozumiał. Teraz już tylko czuł: cięcie rozpalonego metalu na plecach, pośladkach, udach, łydkach. Głuche uderzenia laską odbijały się głośnym echem w płucach, nerkach, sercu i wywoływały w całym organizmie Wiktora zupełny chaos.

Organizm chory walczy z chorobą. Organizm zdrowy cieszy się zdrowiem. Organizm wystawiony na mękę — buntuje się.

Krakanie. Miauczenie. Niekrakanie i niemiauczenie. Krakanie oszalałego ptaka. Miauczenie ginącego we wrzącej wodzie kota. Krzyk tysiąca zarzynanych dzieci. To organizm Wiktora broni się przed gwałtem.

Śmieszne byłoby, gdyby porucznik Wiktor, dowódca grupy operacyjnej „Szakal", dawny, jeszcze przedwojenny działacz robotniczy, gdyby to Wiktor tak krzyczał! Tak wił się na podłodze. Tak starał się uchronić plecy od razów; przykrywał je rękami, piersiami, brzuchem — lecz nie, już znów cofnął się — ciosy w piersi i brzuch gorzej doskwierają. Gdyby tak spróbował wstać i umknąć ciosom — nie, obalają go od razu.

Frost uśmiechnął się dyskretnie: machina działa sprawnie. Bandyta pozna, co to jest organizacja niemiecka.

A Wiktor wił się jak piskorz i krzyczał. Nie on — jego organizm.

Scharfsturmführer Frost z uśmiechem ubolewania wzmocnił transmisję bojowych marszów niemieckich — bandyta ryczał przeraźliwie. Następnie Scharfsturmführer Frost wziął laskę od Volksdeutscha, który już bardzo się zasapał — brak rutyny — i przepisowo, pokazowo, rytmicznie puścił w ruch swoją prawicę wraz z laską. Młody gestapowiec nie spuszczał oczu z szefa — studiował. Wiktor zaś przestał krzyczeć. Stracił przytomność po raz pierwszy.

Z omdlenia ocucił go ból. Dwaj posługacze podnosili go i chcąc nie chcąc urażali obolałe ciało. Powstał sam, chociaż był bardzo osłabiony. Sam także szedł podtrzymywany tylko z lekka przez posługacza. Zaprowadzono go do separatki i tu dopiero, odczytując bez żadnej potrzeby dziesiątki razy napis niemiecki zabraniający surowo rozmów i palenia, odzyskał pełnię świadomości. całe ciało, nie tylko skatowane jego części, paliło i piekło. Przy najdrobniejszym ruchu ból potęgował się wielokrotnie. Korytarzowy przyniósł mu w aluminiowym kubku zupę z brukwi i kawałek chleba. Wiktor jedzenia nie tknął.

Korytarzowy nie spuszczał z Wiktora oczu i w ubikacji, gdzie więzień obmył sobie twarz i ręce, polał włosy zimną wodą i napił się jej, aby się nieco orzeźwić.

Dziwnym trafem pozostawiono mu na ręce zegarek. Był uszkodzony; wskazówki zatrzymały się na godzinie pół do siódmej.

Wiktor zagadnął korytarzowego, który go przyszedł zakuć na noc, o godzinę. Była dopiero ósma.

Korytarzowy z hałasem zatrzasnął kratę i odszedł. Co chwila jednak wracał i patrzył na Wiktora. Miał to czynić przez całą noc, choć może o trzeciej czy czwartej nad ranem zdrzemnie się nieco i zapomni o służbie. Ale to i tak nie zmieni sytuacji, Wiktor bowiem nie myślał o samobójstwie: nie miał trucizny. Było to poważne zaniedbanie.

Z pobliskiej kancelarii, dochodziły dźwięki muzyki. Właśnie jakiś niezły tenor śpiewał po włosku tragniczną arię Cavaradossiego z czwartego aktu „Toski". Wiktor był muzykalny i ocenił od razu należycie charakter utworu zharwonizowany z jego obecną sytuacją. Gdzieś dalej, na korytarzu, gestapowcy strzelali z wiatrówki do tarczy, a odgłosy tych strzałów dochodziły Wiktora jako głuche, drażniące uderzenia.

Powoli na korytarzu ruch ustawał, a wkrótce także przycichło radio i strzały. Teraz Wiktor został zupełnie sam ze swymi myślami, ze skatowanym ciałem i z wszystko widzącym cieniem zaglądającego co chwila korytarzowego.

Chciało mu się pić — musiał mieć gorączkę. Skute do tyłu kajdanami ręce drętwiały, a twardy ucisk żelaznych obręczy nieznośnie doskwierał. Nieustannie czuwający blask lampy elektrycznej raził łzawiące z bólu oczy.

Spróbował usiąść na twardym krześle: syknął z bólu; jakby elektryczna iskra przeszła po całym ciele. Stał przez chwilę pod ścianą, lecz nogi go bolały. Był zmęczony, chodził dzisiaj dużo. W końcu brzegiem lewego pośladka nieco mniej zmasakrowanego zahaczył o płaszczyznę krzesła krzywiąc się z bólu i jęcząc cicho. Rychło jednak zapomniał o swych fizycznych dolegliwościach, tak bardzo bowiem pochłonęły go rozmyślania.

Uznał nagle — myśl ta olśniła go zupełnie nieoczekiwanie — że umrze z całą pewnością jutro, pojutrze lub za dwa dni. Wstrząsnął nim niepomierny, gwałtowny żal za życiem. Niemal łkał wewnętrznie z rozpaczy. Drobne, nic nie znaczące zdawałoby się szczegóły dnia codziemnego nabrały olbrzymiej wagi. Kąt noclegowy, stolik w jadłodajni, gdzie jadał ostatnio obiady, urywki przeczytanych książek, słyszanych melodii, barwy znajomych krajobrazów oszołomiły go nieosiągalnym pięknem. Żona, matka — postacie kochające — wizerunki ich wzruszyły go niemal do łez, tak bardzo wydała mu się nierealna ich miłość i dobroć. Wyszły z dzieciństwa młode wspomnienia, późniejsze — skarby przeżyć, które każdy człowiek kryje w sobie. Wszystko to było doskonałe i nadludzko przyjemne. Fragmenty czynów i prac, które spełnił orzeźwiły go na chwilę swoim męskim, rzeźkim i skromnym wyrazem. Zazdrościł sobie samemu swojego utraconego życia. Pełne szczęście, którego nigdy nie zaznał, odnalazł obecnie w sobie samym z dnia wczorajszego jeszcze. Czuł najwyraźniej, jak bardzo był bogaty codziennie, gdy mógł poruszać się swobodnie i spełniać swoje czyny. To dziwne, lecz praca, która najbardziej wypełniała jego życie, teraz była tylko mało ważnym fragmentem, głupstwem i niepotrzebną naleciałością. Życie osobiste zaś — zawsze uważał je za rzecz drugorzędną — obecnie stało się bezsprzecznie pierwszo-planową treścią jego jestestwa.

Gorączkowo i nieprzytomnie zaczął szukać ratunku. Historie udałych ucieczek, o których słyszał i cudownych ocaleń ożywiły go bardzo. Ogladał ściany celi. Wstał, aby zbadać wytrzymałość krat. Wszystko to zajęło mu sporo czasu i byłby chętnie przez całą noc szukał drogi wyjścia z celi, gdyby nie oczywista bezsensowność tych prób. Zrezygnował więc, chociąż nie stracił nadziei. Oostatecznie jutro może przynieść jakąś korzystną sytuację. Znów pogrążył się we wspomnieniach. Przecież to one tylko łączyły go jeszcze z życiem.

Myśli Wiktora stawały się coraz mniej jasne: fragment parku Paderewskiego wraz ze znajomą ławką z okresu narzeczeństwa i późniei działalności konspiracyjnej przylgnął do jego wyobraźni. I w końcu orzech włoski i

krzak bzu, otaczające ławkę, łagodnym szumem liści, powiewnym głaskaniem opowiadały mu coś kojącego i nierealnego, coś, czego nawet nie rozumiał, co tylko czuł, czuł tak bardzo, że odległe czasy wróciły, a teraźniejszość odeszła i Wiktor usnął głaskany gdzieś tam w zakamarkach wyobraźni zebranymi podmuchami drzew i krzewów jego minionego życia.

Rano obudził go hałas. Przypędzono jakichś ludzi, porozmieszczano ich obok. Ludzie ci kaszlali, stękali, a oczy ich, więzienne, wielomówiące oczy, napełniły Wiktora lękiem. Po korytarzu chodzili gestapowcy, radio już grało i strzały z wiatrówki znów się rozpoczęły. Korytarzowy rozkuł Wiktora i odprowadził go do toalety. Ledwie Wiktor powrócił do celi, natychmiast pojawił się Volksdeutsch.

— Chodź! — zawołał na Wiktora głośno i zwięźle jak na psa.

Wiktor szedł przodem — tak bowiem iść musiał. Co chwila oglądał się na Volksdeutscha, gdyż nie wiedział, dokąd ma iść. Okazało się, że celem był pokój na trzecim piętrze opatrzony cyfrą 317. Wszedłszy do pokoju Wiktor zauważył, że tak referent, jak i tłumacz; są w mundurach. Odczytał z łatwością ich szarże i obrzucił wzrokiem pokój; jasne ściany, wielkie okno, dużo światła, poza tym zwykłe umeblowanie biurowe: dwa biurka„ kilka krzeseł, szafa — wszystko to sprawiało wrażenie normalne i nawet przyjemne. Volksdeutsch tu właśnie przyprowadził Wiktora, lecz sam zaraz opuścił pokój.

Przez chwilę Wiktor stał bez ruchu pod drzwiami. Nie wiedział, co ma z sobą zrobić, był zażenowany. Gestapowcy spoglądali na niego uważnie ze swych foteli.

— Siadaj — rzekł wreszcie tłumacz, nawet dość uprzejmie.

— Sprichst du deutsch? — spytał Frost.

— Nie — odpowiedział Wiktor po polsku.

W tym momencie bzyknęła mucha i Wiktor zdziwił się, że w marcu są już muchy.

— No, nie udawaj. Dlaczego nie chcesz mówić po niemiecku? — tłumacz poparł swego zwierzchnika.

Wiktor zmieszał się. Niesłusznie posądzono go o kłamstwo, a nie wiedział jak udowodnić, że mówi prawdę. Nic nie odpowiedział i zresztą nikt więcej nie nalegał. Frost zaczął uderzać o kant stołu laską znaną Wiktorowi z wczorajszego wieczoru, tłumacz zaś uderzał również znajomym pejczem o nogę fotela. Milczenie trwało przez chwilę. Słychać było tylko suche uderzenia laski i wilgotne mlaskanie pejcza. Wiktor sapał głośno i patrzył jak zahypnotyzowany na ruchy laski.

Nagle Frost zagulgotał gwałtownie. Tłumacz uśmiechnął się i zadał Wiktorowi pierwsze pytanie:

— Więc poruczniku Wiktorze, lub też Janie Jasiński, jak się nazywasz?

Wiktor znów nic nie odpowiedział. Dopiero zbierał myśli Frost znów zagulgotał. Tłumacz znów rzucił pytanie i znów nie czekał na odpowiedź. Wiktor czuł, że w powietrzu unosi się coś odrębnego, niezwiązanego z chwilą obecną. Zdawało mu się, że coś, co już się stało, ciąży nieodwołalnością dokonania i na nim, i na obu gestapowcach. Przestał brać na serio zadawane mu pytania, gdy nagle tłumacz zadziwił go. Bardzo grzecznie zaczął tłumaczyć, że oni dokładnie wiedzą, kim jest Wiktor i co robi. I poparł te słowa faktami: udział w pracy wojskowej, politycznej, przytoczył pseudonimy osób, z którymi Wiktor współpracował, adresy lokalów, które były już martwe, daty i przedmiot akcji, w których ostatnio uczestniczył. Tłumacz wyraził nawet swoje ubolewanie z powodu przysłania przez okręg instruktora: a więc mimo takiej pracy, mimo takiego oddania się idei, twoje dowództwo uznało, że trzeba cię kontrolować. Przysłano ci szefa. Oto masz zapłatę.

Przez cały czas trwania tej przemowy — trwała ona około pół godziny — Frost nie spuszczał oczu z Wiktora. Co mógł wyczytać z twarzy porucznika?

Wiktor zdziwił się, a następnie przeraził dokładnością zebranych przez policję informacji. Było jasne, że gdzieś,

może nawet wśród „Szakali", znajdował się prowokator. Oceniał pośpiesznie postacie towarzyszy i nie mógł znaleźć szpiega. Jednakże przytoczone fakty były świeże — nikt nie wpadł i nie sypał. Informacje z całą pewnością pochodziły z wolności.

— Muszę ich ostrzec — myślał — koniecznie ostrzec.

Zapomniał o wszystkim, tylko to jedno pragnienie opanowało go.

— A teraz powiesz nam — kończył tłumacz swoje wywody — kto to jest instruktor i gdzie go można zastać.

Zapadło milczenie. Frost wymownie bawił się laską, tłumacz zaś pieścił pejcz. Obaj nie spuszczali oczu z Wiktora.

— Mów! — ryknął tłumacz.

Drzwi się otworzyły i wpadł Volksdeutsch. Stanął tuż obok Wiktora i zerwał mu z ramion palto.

Wiktor chciałby powiedzieć coś, co miałoby sens i nie szkodziłoby nikomu, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Milczał więc. Zauważył, że Frost spojrzał wymownie na tłumacza. Ten wstał, stanął przed Wiktorem i powiedział:

— Będziesz robił tak.

Obie ręce wyprostował przed sobą w linii poziomej i ćwiczył przysiady.

— Zrozumiałeś? — spytał na zakończenie.

— Tak — odparł Wiktor.

Był zadowolony, że żądają od niego tylko tyle.

Z trudem udawało mu się utrzymać równowagę. Ciało bolało go bardzo, a przecież wyprostowanie ramion napinało mięśnie pleców i piersi, przysiady zaś forsowały obolałe mięśnie pośladków i nóg. Był osłabiony i chwiał się. Gdy znalazł się w pozycji kucznej, musiał podeprzeć się dla utrzymania równowagi. Było mu wstyd i czuł śmieszność sytuacji: on, Wiktor, dorosły człowiek, dobry gimnastyk, niezdarnie się gimnastykuje, a trzej wrogowie patrzą na to. Zresztą nie dano mu długo rozmyślać o tym W chwili, gdy był już w pozycji półprzysiadu i zdążał do zrobienia drugiego przysiadu, Ukrainiec odbarzył go świszczącym dotknięciem pejcza. Dobrze wycelowany cios zawisł na udach nieco poniżej pośladków i oparł się całą siłą na wyprostowanych w tym właśnie momencie i najbardziej pionowo zwisających przewodach nasiennych, utrzymujących jądra.

Efekt tego ciosu był znakomity: Wiktor skoczył naprzód — jest taka figura w kozaku — i upadł na twarz — czego w kozaku nie ma. Nie krzyknął wcale. Był oszołomiony tą nową metodą śledztwa. Nawet nie dziwił się tak bardzo: wszyscy przecież wiedzą, które miejsce ciała mężczyzny jest najsłabsze. Czuł tylko wielką niechęć do swojego ciała za kłopot, jakiego mu przysparzało. Długo byłby tak leżał z głową w kwadracie, słońca, które zaglądało przez okno i docierało aż do podłogi, gdyby nie Ukrainiec i Volksdeutsch. Poczęli go kopać z pasją i wołać z nerwowym pośpiechem:

— Dalej! Dalej!

Krzyki i uderzenia zrobiły swoje: Wiktor zupełnie mechanicznie znowu stanął na nogach i znów z wyciągniętymi ramionami gimnastykował się. W tym samym momencie i w to samo miejsce trafił drugi cios. Tym razem Wiktor nie upadł, lecz usiadł. Czuł ból niezwykle przejmujący, przerastający wszystko, co można sobie wyobrazić. Nie mógł nawet krzyczeć z osłupienia, że człowiek jest zdolny znieść tak wielkie cierpienie. Ogarnął go skurcz, spazm, coś w rodzaju porażenia nerwowego: paraliż ten szedł do lędźwi, a kończył się aż w gardle. Nie mógł się ruszyć ani jęknąć. W oczach miał czerwień, w uszach cały ocean szumu. Był zupełnie pokonany. Ciosy, razy i wymysły potrafiły go zmusić do dalszej gimnastyki. Szał zaczynał go ogarniać. Szał bezsilności, protestu, trwogi. Charczał, z ust jego płynęła piana, z oczu ciekły łzy — zachowywał się tak, jak gdyby wymiotował. Stale upadał i stale wstawał, by kontynuować przysiady, zmuszany do tego przez tłumacza, który znał najdokładniej wszelkie arkana tresury ludzi. Aby uniknąć mniejszego bólu, ułatwiał zadawanie większego, ponieważ żądano tego od niego. Wola o-

prawców była silna, potrafiono go złamać.

Wreszcie słońce dopomogło Wiktorowi: oślepiało go, gdy kucał, z bestialską, okrutną radością raziło, przez okno wpadając; gdy wstawał, cień zapełniał łzawiące oczy Wiktor upadł i nie mógł wstać, stracił bowiem równowagę. Choć kopano go po głowie, tratowano i bito, leżał bez ruchu jakby w półnarkozie. Czuł ból, lecz nie reagował na niego Oprawcom zdawało się, że stracił przytomność Zaprzestali ciosów. Byli zresztą zmęczeni. Tłumacz usiadł i ocierał spocone czoło. Frost patrzył na zaczynająca się za oknami wiosnę. Tylko Volksdeutsch badał ofiarę: zaglądał Wiktorowi w oczy i podkopywał go jeszcze z lekka.

Chwila spokoju otrzeźwiła Wiktora.

— Muszę zdobyć nieco czasu — szalonym wysiłkiem woli zdołał się zmusić do myślenia. — Muszę ich zawiadomić.

Nagle wstał i zaskoczył tym przeciwników. Nawet Volksdeutsch dał mu spokój. Wszyscy trzej patrzyli na Wiktora jak na ducha.

Pierwszy tłumacz ochłonął.

— No, będziesz mówił? — spytał ironicznie.

Wiktor milcząco skinął głową.

— Mówić nie mam co — wycharczał.

— W mieście, na ulicach — tragicznie to mówił. Miasto było dla niego jakby bezpowrotnie utraconą ojczyzną. — Kręcą się ludzie. Lokalu nie ma. Nie znam. Nie wiem, gdzie instruktor mieszka, ani jak się nazywa. Wiem, gdzie może być.

Starał się odgadnąć, która jest godzina. Zdobyć choć godzinę czasu — myślał.

— O dziesiątej — zakończył.

Wrócili go. Po schodach ledwie szedł. W celi, chociaż głowa jego była tylko zlepkiem bólu i krwawych wrażeń, nie stracił ani chwili czasu. W kieszeni znalazł ołówek i skrawek papieru. Trzęsącą się ręką wypisał adres pewnej czcigodnej matrony. Rozglądał się, zadając sam sobie ból. Po korytarzu chodzili gestapowcy. Stale musiał uważać.

„Klimat ciężki" — pisał. — „Poza tym bakcył musi tkwić w organizmie któregoś z szakali. Strzeżcie się. Szukajcie zarazka. Żegnajcie. Wiktor".

Wydawało mu się, że znajduje się w celi dopięro pięć minut, gdy przyszli po niego wszyscy trzej, w cywilnych ubraniach. Przed wejściem do auta tłumacz pokazał Wiktorowi rewolwer i rzekł:

— Jak będziesz uciekał, to...

Wiktor przyjął te słową bez żadnego wrażenia. Tkwiła w nich przecież ironia. Gorsze było co innego.

Wożili go po mieście wczorajszym autem. Wybrał sobie Plac Teatralny.

— Tu stęknął.

Samochód zatrzymał się. Pomogli mu wyjść. Szedł pierwszy, oni trzej za nim. Myślał nad tym, jak rzucić kartkę. Rękę z kartką wziął przed siebie. Upadł na tę rękę. Podnieśli go. Ludzie zaczęli się przyglądać. Kartka została na chodniku. Dalszy jej los nie interesował go, gdyż nie zależał od niego. Stanął w bramie domu przy ulicy Wierzbowej i udawał, że przygląda się przechodniom. Wiosenne, ciepłe powietrze upoiło go, przez chwilę był nawet szczęśliwy: nie myślał o niczym i nie czuł bólu. Wreszcie poczuł zmęczenie.

— Wracajmy — szepnął. — Nikogo nie widać.

Gestapowcy nic nie odpowiedzieli. Wepchnęli Wiktora do auta. Auto ruszyło.

I gdzieś na rogu Brackiej i Chmielnej stało się nieszczęście. Wiktor zupełnie bezmyślnie patrzył przez okno na ulicę. Patrzył i właściwie nic nie widział. Lecz ją dojrzał. Swoją żonę. Szła powoli, przygnębiona i smutna, z pochyloną głową. Oczywiście nie widziała go. Ożywił się cały. Przybliżył się do szyby. Chciał zawołać coś, cokolwiek krzyknąć, lecz powstrzymał się. Gestapowcy zauważyli jego nagłe ożywienie.

— Kogo widziałeś? — spytał tłumacz.

— Nikogo — odparł prawie wesoło.

— Nikogo?

— Nie.

— Czekaj — warknął tłumacz.

I znów zapadło milczenie.

Wiktora ogarnęła gorączka. Móc jeszcze jeden raz uścisnąć żonę. Przez pięć minut widzieć ją. Spojrzeć w jej oczy. Ucałować. Skatowane ciało kryło jeszcze w sobie miłość.

Jak wpadł na to? — Instruktor. Chcą od niego instruktora. Wie przecież, gdzie go można zastać.

Z instruktorem to był oczywisty skandal. Wiktor znał swoich ludzi, pracował z nimi już od lat. Praca szła dobrze i nagle dowództwo przysłało mu instruktora, który zaraz na wstępie zaznaczył: dużo musi się tu zmienić. Było to tego dnia właśnie, gdy go aresztowano. Jątrzył w sobie tę ranę jadąc autem i idąc do celi. Dopiero w samej celi przestał, gdyż Frost, tłumacz i Volksdeutsch przystąpili zaraz do akcji. Bili go wszyscy trzej jednocześnie — Volksdeutsch jakimś żelaznym prętem — nie patrząc gdzie: po głowie, po karku, po całym ciele. Metoda ta okazała się łaskawsza dla Wiktora: dosyć szybko stracił przytomność.

Kiedy obudził się? Jak długo leżał bez przytomności? Sam nie wiedział. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z rzeczywistości. Ból siekł go niemiłosiernie. Głowa pękała. Na lewe oko nic nie widział, tak było zapuchnięte. Można powiedzieć, czuł cale swoje ciało. Nigdy jeszcze nie miał ciała tak wielkiego, złożonego z tylu cząstek i włókienek. Rozpadał się na tysiące drobnych kawałków bólu i znów zlewał w jedną gorejącą całość. Raz mu było zimno, to znów gorąco. Szeptał coś do siebie i stękał.

Zaczął myśleć. Skończy z instruktorem. Muszą go puścić Wtenczas wróci do żony. Będzie żył spokojnie i cicho. Bez polityki. Tylko dla żony i matki. Chciał krzyczeć i wołać, żeby go puścili, że zrobi co zechcą, lecz nie miał siły. Targał się więc wewnętrznie zupełnie bezcelowo, gdyż przyszli do niego wszyscy trzej, z nahajami.

— Będziesz mówił? — zagaił tłumacz.

— Tak — szepnął.

Tłumacz, doskonały znawca psychiki swoich klientów, rzekł z uśmiechem:

— Wydasz łącznika, puścimy ciebie. Ty nie jesteś nam potrzebny. O niego nam tylko chodzi.

Wiktor był szczęśliwy. Oczywiście. Jego puszczą. Im chodzi tylko o instruktora.

Znów jeździli autem. Wiktor kazał się wozić wszędzie tam, gdzie wiedział, że instruktora nie spotka. Przestał się łudzić, stracił nadzieję. Bał się bowiem spotkania z instruktorem. Wiedział, że nigdy i za nic go nie wyda, a chciał za wszelką cenę mieć w zapasie dla siebie choć iskierkę nadziei.

Jeździli więc po Żoliborzu, Wiktor zaś wiedział, że instruktora można spotkać na Mokotowie. Chodzili po cukierniach, barach, restauracjach, to znaczy gestapowcy chodzili, bo Wiktor słaniał się tylko na nogach. Czekali ukryci po wnękach bram. Szpiclowali, rozglądali się — najzupełniej bezowocnie. Wreszcie Frost zdenerowował się. Kazał wracać. Powrócili więc. I w celi Wiktor znów otrzymał cięgi. Za nieudały wypad, za kłamstwo, za stratę czasu.

Krzyczał głośno, tłumaczył się, że to nie jego wina. Tłumaczenia nic nie pomogły, swoje dostał. Zostawili go w spokoju, gdy już zupełnie bierny, półżywy, bez skargi pozwalał się katować.

Długo leżał oszołomiony, ogłupiały, z dręczącym wyrzutem bolących członków, z napęczniałą od krwi śliską koszulą na grzbiecie, z piekącymi ranami sączącymi krew. Był prawie martwy, choć ciepiał. Znajdował się jakby w agonii. Nie liczył się już za żywego, nie był także umarłym. Cierpiał i *w* niczym nie mógł sobie ulżyć.

Nachodzić go zaczęły najrozmaitsze widziadła i majaki. Zapadał w gorączkową drzemkę i budził się co chwila z okrzykiem lęku: sny także nie dawały mu spokoju. Budził się więc, ogarniał nieprzytomnym spojrzeniem celę i znów zapadał w sen graniczący z letargiem. Na zegarach wskazówki posuwały się naprzód; godziny następowały jedna po drugiej, lecz dla Wiktora czas stał na miejscu: niezmienna rzeczywistość otoczyła go oparami majaków i trwał tak — zniszczony, obrzmiały, sennie nieprzytomny — niegdyś człowiek.

Obudziło go pragnienie. Język wprost przysechł mu do podniebienia. Gardło paliło niemiłosiernie. Nie miał sił wołać o wodę, zresztą byłoby to zupełnie bezcelowe. Jak na złość stanęły mu przed oczyma kiście bujnych, soczystych, zielonych winogron. Obraz ten był tak realny, że aż czuł w sobie ich kulisty kształt i ożywczy zapach. Nie mógł tylko napoić się bujną soczystością wyimaginowanych owoców.

Tłumacz i Volksdeutsch odwiezili Wiktora. Weszli bez słowa, uzbrojeni jak zwykle w pejcz i kij. Chodzili przez chwilę po celi obserwując leżącego.

Wiktor patrzył na nich pytająco, jak pies na swego złego pana, myśląc: co też im strzeli do głowy?

Tłumacz ryknął:

– Wstawaj! Idziesz na badanie.

Wiktor nie poruszył się nawet. Chciał gestapowcom dać do zrozumienia, że z nim także trzeba lię liczyć. On także ma tutaj coś do powiedzenia. Jest pobity, chory i nie może wstać. Gdyby go tak nie bito, wstałby, i owszem.

Bardzo szybko wytłumaczyli mu, że ma siłę wstać, a nawet wejść na trzecie piętro. W pokoju 317 czekał już Frost. Spokojny, obrażony, niechętnie patrzył na Wiktora.

Pytano Wiktora, od kogo kupił broń i gdzie drukuje się prasa. Odpowiadał wymijająco słabym głosem, choć z pewną stanowczością.

Bili go teraz po rękach i palcach. W ten sposób można było bić i bić, a delikwent nie tracił przytomności.

Wiktor cierpiał bardzo, lecz starał się nie krzyczeć. Było mu wstyd. Zgrzytał więc tylko zębami i wyczyniał twarzą najokropniejsze grymasy. Czasem jednak nie mógł się opanować i krzyknął raz, dwa — znów się opanowywął i cichł. Oprawcy zmieniali się — Volksdeutsch luzowął Ukraińca i przeciwnie. Ręce Wiktora powoli stawały się jedną krwawą raną. Wzięto pod uwagę uda. Wiktor siedział na krześle i uda stanowiły doskonale uwypukloną płaszczyznę. Zaczął się wyrywać. Nie mógł już znieść bólu. Trzymano go. Szarpał się. Zupełnie machinalnie, bez planu zdobył się na krańcowy wysiłek i skoczył ku oknu. Tam, za szybą, chciał szukać ocalenia. Dlaczego upadł, potłukł się silnie, skręcił rękę? Tłumacz, doskonały fachowiec w tych sprawach, podstawił mu nogę.

Teraz już Wiktor nie miał nic w zapasie.

Obalono go na podłogę i poczęto bić zwyczajnie po skrwawionym ciele. Bito go straszliwie, bez pardonu, na śmierć. Z ust Wiktora płynęła ślina, odór kału wypełniał powietrze: kiszki zareagowały swoiście na ból. Kalesony napęczniały i uderzenia laski w pośladki wydawały dźwięk podobny do odgłosu kijanki, jaką wiejskie kobiety piorą bie . nę.

Dopiero, gdy był półprzytomny, w malignie, podjął obronę. Skamlał, prosił, przysięgał, że powie prawdę, niech tylko przestaną go bić. Zaklinał się na miłość do matki i żony. Płakał, rzucał się, jak gdyby był poddany działaniu prądu elektrycznego.

Oprawcy przestali bić Wiktora. Po prostu zmęczyli się.

Kazał się wieźć na miasto — pokaże im instruktora.

Gestapowcy nie mieli nic do stracenia. Udali, że mu wierzą.

W aucie uspokoił się nieco, a świeże powietrze wpadające przez otwarte okno wróciło mu przytomność. Był zupełnie złamany fizycznie i psychicznie. Wpadł w apatię tak wielką, że gdyby w tej chwili zapytano go o cokolwiek, najpewniej byłby udzielił wszelkich informacji. Nie mógł już odczuwać ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, co dotychczas było dla niego ważne, czy nawet bardzo ważne, obecnie nie przedstawiało absolutnie żadnej wartości.

Tłumacz spytał go o miejsce, gdzie można spotkać instruktora. Odpowiedział coś grzecznie, sam nie wiedział co.

W pewnym momencie otrząsnął się z apatii. Był jeszcze senny i cichy, lecz już zadowolony, i czynny. Łudził się, że wie, co go czeka, gdyż powziął postanowienie. Ogarnął go nagle wewnętrzny, nerwowy pośpiech: rozglądał się dokoła, oglądał do tyłu, mrugał oczami, szeptał coś do siebie, słowem niecierpliwił się, tak bardzo bowiem nę-

ciła go nicość. Dojrzał do niej, był jej godzien, gdyż jej pożądał.

Auto stanęło. Gestapowcy wyszli na jezdnię i wyciągnęli Wiktora. Zmasakrowane ręce kazali mu trzymać w kieszeniach, chociaż poranionej twarzy przecież nie mógł ukryć. Stanęli w bramie. Wiktor, który ledwie mógł się utrzymać na nogach, znajdował się tuż przy wylocie bramy, nieco z tyłu za nim tkwili trzej gestapowcy. Spojrzał na nich z uśmiechem, obrzucił wzrokiem pustą w tej chwili ulicę i ruszył przed siebie niepewnym truchcikiem.

Miał szczęście: Frost akurat zapalał papierosa, Volksdeutsch oglądał się poza siebie, tłumacz zaś wycierał nos.

Wiktor zatrzasnął bramę i biegł poprzez ulicę, a właściwie kolebał się na pobitych nogach, trząsł się, podskakiwał do przodu. Kał wypełniający kalesony, kołysał się rytmicznie i raził potłuczone pośladki nawet swym znikomym dotykiem.

Volksdeutsch chciał dogonić Wiktora, lecz Frost, zdobył się wspaniałomyślnie na wymowny gest ręką: nie mógł już patrzeć na tego człowieka. Miał go dosyć, szkoda było czasu. Volksdeutsch zorientował się od razu, o co chodzi szefowi. Wyjął automat i puścił serię strzałów za uciekającym.

Kule dosięgły Wiktora w chwili, gdy zrozumiał, że nie może już ani biec, ani iść i że zaraz upadnie. Całą siłą woli starał się przedłużyć choć o sekunde swój żywot i tak dosięgły go kule.

Pobliski zegar wieżowy wydzwaniał godzinę, szóstą, gdy Wiktor został olśniony granicą, która zamyka życie. Ręce z palcami niewiarygodnie wyprężonymi podniósł do góry, usta zacisnął, oczy przymknął jakby z nadmiernej rozkoszy i upadł już martwy twarzą na bruk ulicy. Tak przylgnął do ziemi na zawsze.



PORTRET MARII LESZCZYŃSKIEJ ŻONY KRÓLA FRANCJI LUDWIKA XV

Muzeum Polskie w Ameryce obok poważnych zbiorów Poloniców Amerykańskich, posiada również ciekawe Polonica francuskie m.in. listy Napoleona, Królowej Marii Leszczyńskiej, żony króla Sobieskiego oraz poważną ilość manuskryptów i dokumentów z okresu wojen Napoleońskich i Wielkiej Emigracji (Francja 1831), w tym manuskrypt ks. Poniatowskiego, gen. Dąbrowskiego, Adama Czartoryskiego i in.

Liczne tłumy zwiedzają w nowootwartym skrzydle (Sterling Morton Wing) wspaniałego Muzeum Sztuki, znanego jako Art Institute of Chicago (Michigan and Adams Ave.), niezwykle bogatą i wspaniałą wystawę bezcennych dzieł sztuki, sprowadzoną z Francji. Wystawa ta obejmuje drogocenne skarby pałacu Wersalskiego. Rzadko kiedy zdarza się tak wyjątkowa okazja, oglądania dzieł sztuki o tak wielkim znaczeniu historycznym.

Wystawa obejmuje 184 obrazów, rzeźb, gobelin, arrasów i dywanów, jak też mebli z pałacu rezydencyjnego, który Ludwik XIV zbudował w XVII w., wokoło królewskiego pałacu myśliwskiego, w pobliżu Paryża, gdzie kolejno następujący władcy gromadzili i ozdabiali wnętrze pałacu cennymi dziełami sztuk pięknych. Ten okres dwustu lat w rzeczy samej, przedstawia okres największej chwały Francji, zarówno pod względem historycznym, jak też doborem cennych dzieł objawiający w pełni talent mistrzów palety i dłuta.

Wśród ogromu przepychu historycznego zabytku, natychmiast po wejściu do pierwszej sali, w której zawieszone są 4 olbrzymie gobeliny z XVIII w. i w której mieści się popiersie z marmuru Ludwika XIV, dłuta Coysevox'a, odczuwa się majestat przepychu przeszłości. W drugiej sali uczucie to powiększa się. Obrazy, zwłaszcza portrety potęgują to uczucie. Trzecia sala, znacznie większa od poprzednich, zachwyca oko jeszcze większym doborem dzieł sztuki.

I tu właśnie zobaczyć można wspaniały obraz — dzieło Nattier'a, zatytułowany „Madame Leszczynska".

Portret przedstawia córkę króla Polski Stanisława Leszczyńskiego, żonę króla Francji, Ludwika XV. Maria Leszczyńska nie była z nim szczęśliwa, lecz przykładnym i świątobliwym życiem zjednała sobie poważanie i miłość Francuzów. Przyznać jednak trzeba, że po śmierci Augusta II, Ludwik XV usilnie popierał Leszczyńskiego na tron polski. Elekcja niemal jednogłośnie przyznała Stanisławowi koronę. Król Stanisław, choć prawnie wybrany, nie mógł się ostać w Polsce przed naciskiem rosyjskim i schronił się do Gdańska, gdzie oczekiwał, że mu Ludwik XV morzem nadeśle zbrojną pomoc. Rosja i Sasi tymczasem przeprowadzili wybór Augusta III. Wojska rosyjskie obległy Gdańsk



i tak zagroziły miastu, że Stanisław ledwo zdołał w przebraniu wymknąć się na okręt i odpłynąć do Francji. Ludwik XV powierzył swemu teściowi Lotaryngię w dożywotni zarząd, a Leszczyński panował tam łagodnie i mądrze tak, że po dziś dzień kraj ten błogosławi pamięć „dobrego króla Stanisława" a stolica Nancy jest pełna pamiątek po królu Stanisławie Leszczyńskim.

Portret Nattier'a przedstawia królowę Francji, która jako Polka zjednała sobie **miłość narodu francuskiego.**

„STWIERDZAM, ŻE KOMPANIA COMMANDOSÓW POLSKICH DOBRZE ZASŁUŻYŁA SIĘ OJCZYŹNIE"

Gen. Kazimierz Sosnkowski
NACZELNY WODZ

(Z przemówienia wygłoszonego dnia 9. IV. 1944 w Bojano)

GWIAŹDZISTY ZLOT

„Major Road" — napis ostrzegawczy przed główną szosą. Na szosie lewostronny ruch. Nocy tej wozy przemykały się ukradkiem, nie świecąc świateł a, nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju jazdy, kierowcy trzymali się białej linii, biegnącej środkiem nawierzchni. Na słupie narożnikowym strzałka, wskazująca w prawo, pod nią napis: „London 63 miles". „Jeszcze półtorej godziny, a będę na miejscu" — pomyślał, siedzący za kierownicą Antak. „Tam przenocuję a jutro załatwię formalności w konsulacie i pojadę do Polski, do wojska. Dziwna rzecz wojna..." Westchnienie wydobyło mu się z piersi.

Był 17 wrzesień 1939 rok... Matka, jak zwykle, pocałowała go i wysłała do szkoły. W oddali słychać było huki dział. Front zbliżał się do rodzinnego miasta. Wiedział o tym Zdzisiek. Zawsze marzył, aby zostać żołnierzem, ale nigdzie nie chcieli go przyjąć. Mówili, że jest za młody. Tego dnia jednak Zdzisiek postanowił działać — miał przecież 15 lat. Wskoczył na przejeżdżającą furmankę wojskową i pojechał... w świat... na wojnę..,

---

Szedł wolnym krokiem i wspominał: „Kaśka jednak fajna dziewucha. Nie powiedziała ojcu nic, jak ja te buty zabrałem. A przydały mi się w Karpatach. Coprawda poznali po nich „Lengiel'a" i do cytadeli budapeszteńskiej wpakowali, lecz tym razem nie złapią już mnie tak łatwo — o, nie. Szkoda, że te buty sprzedałem, ale jeść trzeba. Ktoby pomyślał, że tych „kataniarzy" tak nabiją i przyjdzie raz jeszcze przez granicę się przekradać. No' ale co Anglicy — to Anglicy, a tym „Szwabom" to się jeszcze dostanie".

„Si, si, si — to włóczęgi serenada" — zaczął pogwizdywać Wojtek. Dokoła niego wrzał gorączkowy ruch. Na peronie stał pociąg. Na wagonach widniały napisy: „Madrid — Lisboa". Kusiły go wygodne, miękkie siedzenia, jednak bez biletu i bez dokumentów a, co gorsza — bez pieniędzy, nie sposób było tam siąść, aby w następstwie nie znaleźć się w jakiejś „Mirandzie".

Tragarz hiszpański zaplątał się z walizkami w drzwiach „pullmana", korzystając z tłoku, wsunął się Wojtek z platformy pod wagon. Chwila strachu i siedział już pod wagonem ,,wygodnie", oparty o rurę wylotową ,,00" i osie kół. Nie spostrzegł go nikt. Nazajutrz był w Portugalii, obolały lecz szczęśliwy. W kilka dni później lądował w Anglii. To takie proste; gdy się chce...

Drugi rok wojny dobiegał końca...

Głowa wystawała nad ziemią. W regularnych odstępach czasu wylatywały z ziemi grudy iłu, aby paść opodal. Każda z nich coraz bardziej zasłaniała pracującego.

Jeszcze jeden „sztych" i stanowisko będzie, ,,jak ta lala" a po tym fajrant. — Sztychu jednak nie dokończył Józio gdyż d–ca plutonu zawołał go i kazał mu się pakować. Wyjeżdżał do „Commandosów".

Drzwi od aresztu otworzyły się i wszedł profos. Miał minę uśmiechniętą. Uścisnął grabę Jurkowi i rzekł: „Jesteś wolny". Ale Jurkowi dobrze było siedzieć na „średnim", więc wcale się nie śpieszył z wyjściem. Profos jednak ponaglał, wreszcie rzekł: „Zostałeś przeniesiony do „Commandosów"... Nim dokończył zdania, Jurka już nie było.





„Ledwie rozprowadzili mnie na posterunek, a już idzie zmiana. Co to może być? Czyżby pomylili się z czasem?" Ciekawość Edka została wnet zaspokojona: odjeżdżał do „Commandosów". A nowy wartownik z zadrością patrzył za oddalającym się kolegą.

Fale Atlantyku monotonnie rozbijały się o wybrzeże Szkockie...

Październik, 1942 rok...

Był to pamiętny dzień, gdy Antek i Felek spotkali się pod kościołem w Cupar, szukając raz jeszcze, tym razem z powodzeniem, drogi wyjścia ze... zbyt spokojnego życia w Szkocji.

Późnym wieczorem, przy świetle elektrycznym, w rogu sali, przy pięciu kartach powstawały zawiązki nowych przyjaźni. Dolatywały do mnie urywki rozmów — „...jakem Franek - legionista, obywatel Indochin, afrykańskich kazb i wszystkich godnych spelun europejskich, które zamierzam na nowo zwiedzić — wam wszystkim tu oświadczam, że nie jest ten „Commandos", kto z tej flachy nie pociągnie..."





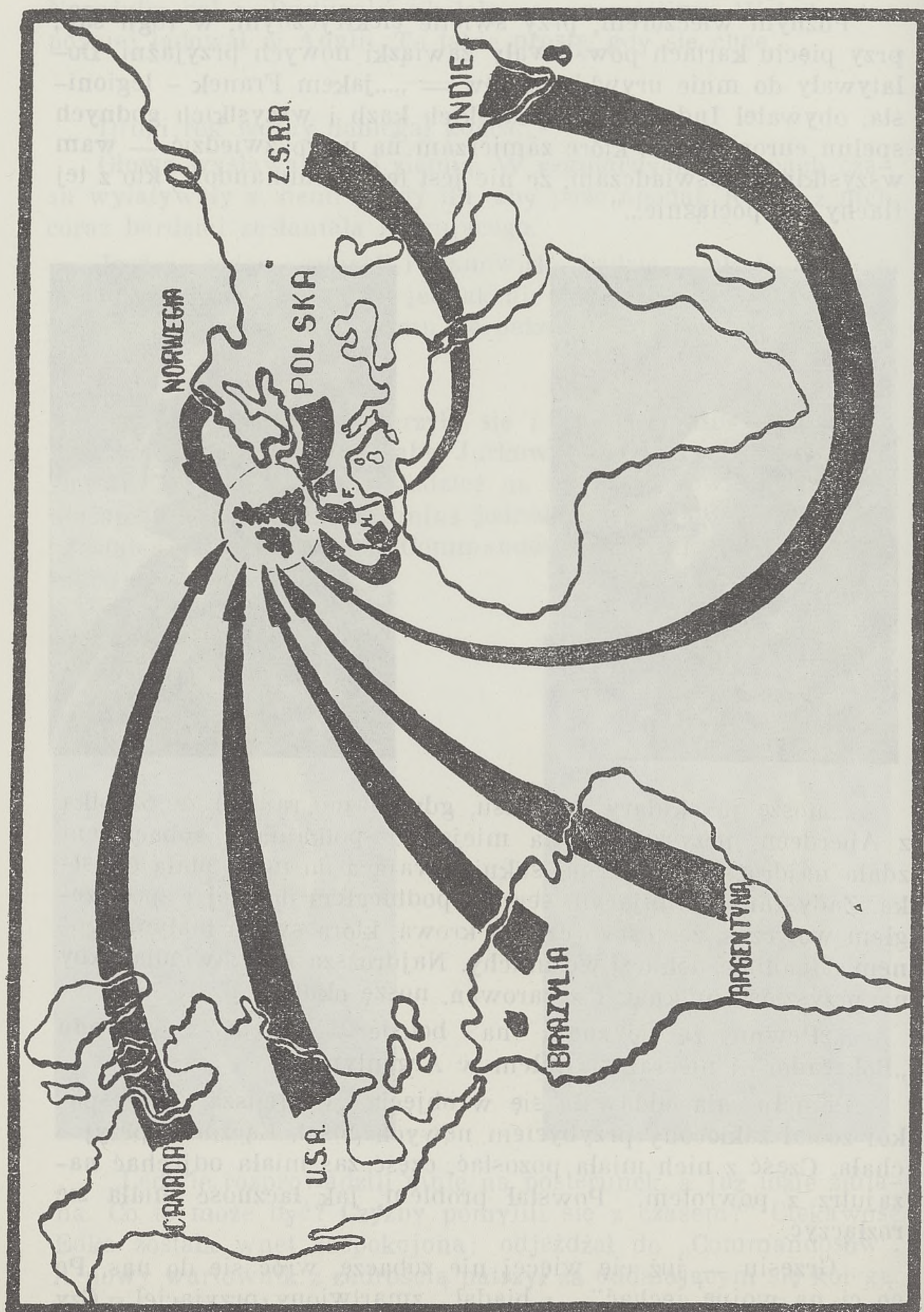
.....noszę ja okulary od czasu, gdy mając randkę ze Szkotką z Aberdeen, przyszedłem na miejsce spotkania i zobaczyłem zdala najdroższą w czarnej sukni kiwającą do mnie białą chustką. Zadyszany i z bijącym sercem podbiegłem do niej i spostrzegłem wówczas, że jest to czarna krowa, która swym białym ogonem odganiała dokuczliwe muchy. Najdroższa zaś zawiodła. Aby na przyszłość uniknąć rozczarowań, noszę okulary..."

„....Pewnie, że się znam na boksie — jestem z zawodu „Bokseador" i nie raz się biłem w Argentynie..."

Pomału sala oddawała się w objęcia „Morfeusza", lecz spokój został zakłócony przybyciem nowych gości. Łączność przyjechała. Część z nich miała pozostać, część zaś miała odjechać nazajutrz z powrotem. Powstał problem, jak łączność miała się rozłączyć.

„Grzesiu — już cię więcej nie zobaczę, wróć się do nas. Po co ci na wojnę jechać" — biadał zmartwiony przyjaciel. „Czy

ci nie lepiej czytać książkę o tych okrucieństwach?" Lecz Grzesio był niewzruszony i z natchnieniem wieszcza odpowiadał: „Ten, kto umrze wolnym będzie—ten, kto umarł wolnym już". Przyjazny but ze świstem przeleciał przez salę — nastała cisza a organ



Skąd przybyli ochotnicy...

służbowy przysłuchiwał się już tylko echu melodyjnego chrapania.

Nie mogłem zasnąć tej nocy. Czułem się podniecony tym nowym zbiorowiskiem ludzi, przybyłych ze wszystkich zakątków świata. Myśl moja podróżowała po przestrzeniach ziemi, zastanawiała się nad przebytą przez nich drogą, ich doświadczeniem i celem wędrówki. „Księga Pielgrzymstwa Polskiego" przewijała się przed moją wyobraźnią. Większość tych ludzi musiała cechować twardość charakteru, pociąg do przygód i ryzykownych przedsięwzięć oraz świadomość celu, w jakim tu przyszli...

„Pobudka, pobudka, pobudka — wstać."

Słowa te zerwały mnie na nogi, przypomniały mi, że jestem w wojsku, o zmianach, jakie zaszły w mym życiu i nowych obowiązkach. Godzina po godzinie mijała a chwila mego pierwszego zetknięcia się z dowódcą była coraz to bliższą. W ogonku do kancelarii panowała cisza. Drzwi tylko dzieliły mnie od „starego" — tak go przezwali moi poprzednicy. Niektórzy znali go z Kanady, gdzie organizował Wojsko Polskie. Mówiono o nim, że się dzielnie bił w Polsce i we Francji. Znalazłem się twarz w twarz ze „starym". Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, jak dobry kupiec ocenił mą skromną wartość — kupił mnie. Kupił — wraz z sercem. Cieszyłem się, że zostałem przyjęty do Kompanii. Wiedziałem bowiem, że chwila ta była dla mnie chwilą decydującą.



Dzień po dniu mijał w gorączkowych przygotowaniach do odjazdu. Rozpoczęto wstępne ćwiczenia, które miały podnieść naszą kondycję. Słowo „kondycja" było ulubionym wyrazem zastępcy „starego", od tej pory zapomnieliśmy wszyscy o jego właściwym nazwisku i nikt więcej w Kompanii inaczej go nie nazywał, jak „Kondycja".

Nastąpiły mowy, mówki, przemówienia, parady i defilady wstępne. Po czasie — znów mowy, mówki, przemówienia, parady i defilady pożegnalne. Wszystkie wg planu z góry przygotowanego.



Niezwykłe plotki i opowiadania krążyły na temat naszego przyszłego życia. Któregoś dnia o tych opowieściach z „Tysiąca i jednej nocy" usłyszeliśmy z ust „starego". Okazało się, że jedziemy do Północnej Walii, gdzie czekały na nas „billetingi", tj. prywatne kwatery. Prócz tego nasze przyszłe gospodynie miały nas żywić.

Kara w postaci aresztu została zniesiona i zastąpiono ją karą potrącania z żołdu, następnym zaś wymiarem było wydalenie z Kompanii. Uzyskiwaliśmy całkowitą niezależność w życiu poza godzinami służbowymi a za regularne uczęszczanie na zajęcia każdy z nas był osobiście odpowiedzialny. Była to istna rewolucja w dotychczasowym życiu żołnierskim i niejeden z dowódców zastanawiał się nad skutkami, jakie to za sobą pociągnie. Dochodziło jeszcze do tego zetknięcie się i współzawodnictwo z reprezentacjami armii francuskiej, holenderskiej, belgijskiej, brytyjskiej, norweskiej i jugosłowiańskiej, gdyż Nr. 10 (I. A.) Commando składało się z „troopów" tj. kompanii wyżej wymienionych narodowości. Słowo „troop" niemiło brzmiało w naszych uszach lecz do tego szybkośmy się przyzwyczaili, jak i do myśli o przyszłych zmianach.

Zachować mieliśmy nasze zwyczaje wojskowe, język, dystynkcje itd., a inowacją miały być — zielone berety, angielskie

napisy na rękawach bluz. Wyszkolenie — wyszkoleniem Commandosów brytyjskich.

W związku z tym, zrobił nam „stary" exposé tego, czego będzie od nas wymagał i, jak w stosunku do nas będzie postępował. Duży nacisk położył on na koleżeństwo, które ma cechować oddział, na wzajemne zaufanie przełożonego do podwładnego i vice-



versa. Przypomniał o celu, z jakim przyszliśmy do oddziału i o roli, jaką będziemy odgrywać, rzuceni samotnie wśród obcych narodowości i wojsk.

W przededniu naszego odjazdu poszliśmy na mszę św. Typowym przykładem, jak patrzyli na nas koledzy wojskowi, których opuszczaliśmy, było kazanie kapelana. Z bólem serca włożył on nas wszystkich żywcem do trumny i przepowiedział rychłą i bohaterską śmierć.

Nazajutrz — z pewną otuchą — pożegnaliśmy gościnną ziemię szkocką.

J. J.

TRAFNA ODPOWIEDŹ

Nauczyciel: — Dlaczego bocian ma długie nogi?

Uczeń: — Aby dzieci nie wlókł po ziemi, gdy je przynosi mamie...

— Pan się nazywa Daniel. To okropne . . .

— Co to znaczy okropne? Co pan przez to rozumie? Jest dyrektor u siebie, czy nie?

— Tak jest — ale on właśnie kazał mi, gdy pan przyjdzie, wyrzucić pana za drzwi.

POCZĄTKI PIŚMIENNICTWA

WIESŁAW SZYMAŃSKI



GDY we Francji, Włoszech, Niemczech szereg miast tętniło już gwarnym życiem, gdy wznoszono coraz więcej zamków, kościołów, a nawet gotyckich katedr, gdy powstawały pierwsze uniwersytety (Bolonia, Paryż — XII wiek), a w pieśni i poezji chwalono mężnych rycerzy i wdzięki pięknych dam, w Polsce ludzie wychodzili dopiero nieśmiało z puszczy, patrząc nieufnie na wielkie murowane domy, w których nieznani ludzie w obcej mowie odprawiali jakieś tajemnicze nabożeństwa. Przyjęte przez Mieszka I chrześcijaństwo (966 r.) bardzo wolno wypierało kult Światowida i innych bóstw słowiańskich.

Dużo wysiłku musieli włożyć księża i duchowni, przeważnie czescy, by przezwyciężyć nieufność i nakłonić naród do nowej wiary. Czasami nawet za jej krzewienie ponosili śmierć. Panujący królowie czy książęta zdawali sobie jednak sprawę, że jedynym warunkiem, aby Polska przybliżyła się do państw zachodnich jest umocnienie w niej religii chrześcijańskiej, bardzo silnej więzi wszystkich narodów średniowiecznej Europy. Stolicą polityczną Europy był bowiem w tych czasach Rzym. On więc także narzucał przyjęty przez wszystkich język liturgii i dyplomacji — łacinę. Przez wszystkich? Oczywiście że tylko przez księży, panujących i dworzan. Dla szerokiego ogółu język ten nigdy nie był dostępny. Od razu więc zarysował się podział. Ludzie wykształceni posługiwali się łaciną, cała reszta mówiła językiem dawnym, narodowym. Duchowni jednak wiedzieli, że chcąc utwierdzić w społeczeństwie wiarę chrześcijańską muszą do niego przemówić językiem, który ono rozumie. Stąd najdawniejszymi zabytkami w języku polskim są kazania, żywoty świętych, pieśni religijne (XIII i XIV wiek). Zachowały się one przeważnie we fragmentach. Zapisywane bardzo nieudolnie, najczęściej są tłumaczeniami. Do połowy XVI wieku przeważało bowiem w Polsce piśmiennictwo łacińskie. Początkowo były to przeważnie kroniki. Pisarz przebywający na dworze króla czy księcia chwalił jego czyny i cnoty, wyolbrzymiając je i koloryzując. (Najstarsza kronika tzw. Galla-Anonima doprowadzona do 1113 r.). Dopiero w XV wieku sytuacja zmieniła się na lepsze. Z kilku powodów. Utrwaliło się już chrześcijaństwo, było sporo szkół i klasztorów, dzięki połączeniu rozbitych dzielnic i zwycięstwu nad Krzyżakami Polska stała się najpotężniejszym mocarstwem w Europie Środkowej, coraz lepiej rozwijał się odnowiony w 1400 roku uniwersytet w Krakowie (założony w 1364 r.). Duże znaczenie miał zwłaszcza dla kultury ten ostatni czynnik. Na uniwersytet krakowski przyjeżdżali studenci z różnych krajów, a uczeni polscy byli bardzo cenieni zagranicą (Kopernik). Zwłaszcza ważki był głos teologów na soborach, gdzie rozpatrywano różne zagadnienia wiary chrześcijańskiej (Wojciech z Brudzewa). Piśmiennictwo polskie było jednak nadal bardzo ubogie, w dalszym ciągu o charakterze religijnym. Tłumaczono psalmy i biblię, przeważnie dla kobiet, bo najczęściej one tylko umiały czytać, a czasami jedynie jakiś znudzony przepisywaniem młody zakonnik, czy żaczek dopisywał na marginesie potężnej książki, lub u spodu kartki liścik miłosny do ukochanej, czy swawolną fraszkę. Większe utwory literatury świeckiej można by policzyć na palcach jednej ręki. Mają one przeważnie charakter obyczajowy i satyryczny. Trudno tu właściwie mówić o literaturze. Są to rymowane traktaty, rozprawy dydaktyczne, moralne, rymowane dlatego, by lepiej dało się je zapamiętać. O literaturze będzie można dopiero mówić od drugiej połowy XVI wieku. Dopiero wtedy utrwalił się bowiem w Polsce przewrót, który nieco wcześniej ogarnął całą Europę. Skończyło się średniowiecze. Dla człowieka nie jest już jedynym ideałem asceza, wznoszenie się do Boga, modlitwa. Zwraca on o wiele więcej uwagi na życie, na jego bogactwo i przyjemności. Nowy ten okres nazwano „Odrodzeniem".

Bogurodzica

Bogurodzica Dziewica,
Bogiem sławiena Maryja,
U Twego Syna, Gospodzina,
Matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam Kyrielejson

Twego dzieła krzciciela, Bożycze,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
A dać raczy, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrielejson.

Najstarszy zachowany utwór poezji polskiej. Powstał w XIII wieku. Stał się niejako hymnem narodowym. Jeszcze w XV i XVI wieku śpiewało go rycerstwo idące do boju. Znany jest jedynie z odpisu pochodzącego z 1410 r.

Wiersz Słoty

O zachowaniu się przy stole

[G]ospodnie! Da mi to wiedzieć
Bych mogł o tem czso powiedzieć,
O chlebowem stole.
Zgarnie na się wszytko pole,
Czso w sto[do]le i tobole,
Czsole się na niwie zwięże,
To wszytko na stole lęże.
Przetoć stoł wieliki swieboda:
Staje na nim piwo i woda,
I k'temu mięso i chleb,
I wiele jinych potrzeb,
Podług dostatka tego,
Ktolę może dostać czego.
Z jutra wiesioł nikt nie będzie —
Aliż gdy za stołem siędzie,
Toż wszego myślenia zbędzie;
A ma z pokojem sieść,
A przytem się ma najeść.
A mnogi idzie za stoł,
Siędzie za nim jako woł,
Jakoby w ziemię wetknął koł;
Nie ma talerza karmieniu swemu,
Eżeby ji ukroił drugiemu,
A grabi się w misę przod,
Iż mu miedźwno jako miod —
Bogdaj mu zaległ usta wrzod!
A je z mnogą twarzą cudną,
A będzie mieć rękę brudną,
Ana też ma k niemu rzecz obłudną.
A pełną misę nadrobi,
Jako on, co motyką robi.
Sięga w misę prze drugiego,
Szukają kęsa lubego,
Niedostojen nic dobrego.
Ukrawaj często a mało,
A jedz, byleć się jedno chciało!

Fragment (początek) dydaktycznego wiersza bliżej nieznanego SŁOTY. Pochodzi z początku XV wieku.

JAN OSTRORÓG

O praw rozmaitości

Taka rozmaitość praw nie jest wcale dobrą, iż innem szlachta, innem plebejusze się sądzą, iż jedno polskiem, drugie niemieckim się zowie i to znowu jest jeszcze różniącem się, a tak zacięcie bywa zachowywanem, jak gdyby Niemcy sami wyłącznie rozum wszelki posiedli. Takowa mięszanina w jednem państwie nie zgadza się z rozumem. Niech więc będzie jedno prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnej osób różnicy; na rany i zabójstwo kara pieniężna i kryminalna niech będzie taż sama zachowaną, jaka dawnego była zwyczaju. Jeśliby zaś poczytywano za potrzebne prawo odmienne dla plebejuszów, odmienne dla szlachty, dla różności stanów, niech wszelako i tamto cywilnem a nie niemieckim się zowie, lubo ja mniemam: że jednem i temże samem prawem zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinni się rządzić.

JAN OSTRORÓG (ok. 1436 — 1501) jeden z pierwszych polskich pisarzy politycznych. Widać już u niego wpływ humanizmu. Dawał interesujące projekty reformy skarbu, sądów, prawodawstwa, wojska. Przytaczamy fragment z „Traktatu o naprawie Rzeczypospolitej" (1475) — tłum. z łaciny.

ŻUBRY





Puszcza Niepołomicka — niegdyś olbrzymi obszar leśny, dziś jeszcze świadczy wiekowymi drzewami o swej borowej przeszłości.

Szumiał tu niegdyś ostęp nieprzebyty, w którym gruba zwierzyna: niedźwiedzie, tury, łosie i jelenie miały dogodne schronienie dla wypasu i rozmnażania się. W czasach królów polskich: Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego — puszcza była świadkiem wielkich łowów. Zwierzynę upolowaną na wielkich łowach urządzonych przez Wł. Jagiełłę przed wyprawą grunwaldzką, spławiano Wisłą w szczelnych beczkach na zapasy dla wojsk polskich.

Pobliska stolica — Kraków — na krótkie okresy nieoficjalnie przenosiła się do Niepołomic. Tutaj w łowieckim zamku niepołomickim, wybudowanym przez Kazimierza Wielkiego, niejednokrotnie ważyły się ważne sprawy państwowe — między innymi sprawa małżeństwa Jagiełły po śmierci Jadwigi, tutaj Czesi ofiarowywali Jagiellonom koronę czeską...

Zapiski ówczesnych kronikarzy opowiadają ciekawie o sprawach tamtych czasów. Odmiennym trybem płynęło ówczesne życie. Kiedy w Puszczy Niepołomickiej zabrakło już niedźwiedzi, Zygmunt Stary stęskniony za polowaniem na grubego zwierza, kazał aż z dalekich litewskich puszcz przywieźć do Niepołomickiej Puszczy tęgiego misia — potem odbyło się polowanie zakończone niezbyt miłymi wypadkami. Oto królowa Bona, uciekając przed rozjuszonym niedźwiedziem, spadła z konia i urodziła przedwcześnie syna — pochowano go w Niepołomicach. Tylko dzięki oszczepnikom polowanie nie zakończyło się tragicznie. Stańczyk, błazen królewski — który brał udział w tym polowaniu został przez niedźwiedzia zrzucony z konia, król potem kpił z niego: „...począłeś sobie nie jak rycerz ale jak błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał...". Stańczyk nie pozostał dłużny i odpalił królowi „...większy ten błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę".

Zamilkły dawno echa rogów myśliwskich wśród puszczy — stoi dziś ona szumiąca starymi dębami, pod którymi odpoczywali królowie — stoi opustoszała od grubego zwierza, którego człowiek wyniszczył. Czasem przez przecinkę puszczańską przemknie stadko jeleni z łaniami, zaszeleszczą młodym zagajnikiem płochliwe sarny uciekające przed podejrzanym dźwiękiem rozmów odwiedzających puszczę wycieczek — i cisza znowu opada między drzewa...

Grubego zwierza oglądać można już tylko w rezerwacie, który tutaj stworzono w dbałości o zachowanie świadków czasu, który tworząc nowe, pozostawia po sobie jedynie ślady dawnego... jest to rezerwat żubrów.

Nieliczne okazy olbrzymich zwierząt żyją tu na wielkiej ogrodzonej przestrzeni leśnej w stanie zupełnie dzikim. Należy wspomnieć, że Polska zajmuje pierwsze miejsce w świecie co do ilości zachowanych żubrów.

Z wieży obserwacyjnej w rezerwacie można całymi godzinami śledzić ich życie i zachowanie — przychodzą wówczas na myśl te odległe czasy, gdy ojcowie i pradziadowie ich żyli pod koronami puszczańskich drzew na pełnej swobodzie, walcząc o życie swoje potężnymi rogami z człowiekiem uzbrojonym w oszczep...

Szumią stare drzewa, a kto umie słuchać ich szelestu być może usłyszy w tym szumie opowieść o dawnych zapomnianych dziejach, które one przekazują młodym, wzrastającym pod ich opieką — drzewom, aby te z kolei przekazały historię puszczy następnym — podobnie jak my przekazujemy historię naszego kraju wzrastającemu, nowemu pokoleniu...

Zdjęcia i tekst
HENRYK HERMANOWICZ

KARIERA BAB i BABEK



Z pewnością mało kto z was wie o tym, że słowa „baba" i „babka" posiadają bodaj najwięcej znaczeń w języku polskim. Trudno dzisiaj już dociec, dlaczego właśnie te a nie inne słówka stały się tak modne. To sprawa językoznawców — etymologów. My tylko chcemy podać czytelnikom kilkanaście znaczeń słów „baba" i „babka".

A więc zaczynamy...

Baba — kobieta zamężna (niemłoda)

Babka — matka ojca lub matki

Babka — akuszerka bez kwalifikacji (znachorka)

Baby — ciasto wielkanocne

Baba — tchórzliwy mężczyzna

Baba jaga — czarownica

Baby — posągi pogańskie

Baba — hetman w szachach

Babka — szałowy kociak

Baba i babka — gatunki gruszek

Baba — armata (starop.)

Baba — przyrząd do wbijania palów

Baba — snop obrzędowy podczas żniw

Baba — sieć rybacka

Baba — kwoka

Baba — stara sosna (starop.)

Baba — wiązka grochowin (starop.)

Baba — część kołowrotka

Babka — małe kowadełko do klepania kos

Babka — drobny pieniądz (starop.)

Baba — narzędzie, używane przez flisaków

Baba — ptak błotny (Pelicanus onocrytylus)

Baby — ryby

Babka — owad

Baby — grupa gwiazd (starop.)

Babka — gatunek rośliny leczniczej (plantagineae)

Ślepa babka — gra dziecinna.

To są tylko niektóre znaczenia słów „baba" i „babka".



Ponadto można wymienić wiele nazw wsi i miast oraz nazwisk. Dla przykładu:

Babia Góra, Babice, Baby, Babusza, Babino, Babi Dół.

Również w województwie białostockim mamy nazwy wsi utworzone od słowa „baba": Babki Oleckie oraz Babiki.

No, i na zakończenie jeszcze jedna ciekawostka. Słowa „baba" i „babka" można znaleźć w ponad stu przysłowiach!

„Gazeta Białostocka"

AneGdoTy

REPREZENTANT

Król Henryk IV wysłał z poselstwem Bassompierre'a na dwór króla hiszpańskiego. Po powrocie poseł drobiazgowo relacjonuje królowi swą podróż.

— Do Madrytu — mówi dyplomata — wjechałem na najmniejszym mule świata.

— To musiało komicznie wyglądać — przerwał z uśmiechem król — największy osioł na najmniejszym mule!

— Reprezentując Waszą Królewską Mość — odciął się poseł.

DALEKA DROGA

Tenże sam król Henryk IV odwiedził pewnego razu piękną damę, w której się kochał. Dama na prośbę króla oprowadzała go po wszystkich pokojach zajmowanego mieszkania, unikając dyskretnie wejścia do sypialni.

Na pytanie króla — którędy idzie się do jej najświętszego przybytku — odrzekła:

— Przez ślub — Wasza Wysokość.

KRÓL I FRYZJER

Fryderyk August miał fryzjera, który podobnie jak i on nie uznawał wstrzemięźliwości.

Któregoś dnia podczas golenia, fryzjer zaciął króla. Ten krzyknął:

— To wszystko przez ten przeklęty alkohol!

— Słusznie, słusznie — perorował fryzjer — alkohol czyni skórę szorstką.

HERBATY NIE PIJĄ

Paganiniego często proszono na różne przyjęcia, zwykle jednak w tym celu, by je uświetniał swą grą.

Kiedy otrzymał pewnego razu pisemne zaproszenie na herbatkę z dopiskiem: „Mistrzu, prosimy nie zapomnieć skrzypiec", odpisał:

— Za pamięć serdecznie dziękuję, lecz moje skrzypce herbaty nie piją.

Ucieczka od życia

We Francji liczba samobójców jest równie wysoka, jak liczba ofiar wypadków samochodowych. W ciągu roku około 8 tysięcy osób pozbawia się życia.*)

Myśl o samobójstwie (w jakimś okresie życia) nawiedza prawie każdego człowieka. Czy ten, który wykonał swój zamiar jest człowiekiem anormalnym? Ogół odpowiada przecząco; psychiatrzy natomiast sądzą inaczej. Problemem są szczególnie zainteresowane towarzystwa ubezpieczeniowe. Wprawdzie prawo z roku 1930 zwolniło towarzystwa od przymusu wypłacenia polisy w wypadku, kiedy ubezpieczony popełnił samobójstwo. Są jednak instytucje, które dobrowolnie zobowiązują się do wypłacania gotówki rodzinie zmarłego, nawet gdy ten sam targnął się na swe życie, pod warunkiem, iż czyn ten nastąpił w dwa lata po wpłaceniu pierwszej składki ubezpieczeniowej.

Psychiatrzy twierdzą, że wszystkie samobójstwa są wynikiem zaburzeń patologicznych. Gdy mamy do czynienia z maniakami, schizofrenikami, nałogowymi alkoholikami określenie ich stanu psychicznego nie nastręcza trudności. Ale — zdaniem lekarzy — są ludzie, którzy robią najnormalniejsze wrażenie, posiadają pełnię władz umysłowych, a mimo to dręczy ich choroba psychiczna. Poważna ilość niewytłumaczalnych dla otoczenia samobójstw może być złożona na karb „melancholii". Melancholik na ogół zachowuje się normalnie, a postępowanie jego nie budzi żadnych zastrzeżeń. Najbliższa rodzina nie dostrzega u niego żadnych zmian w postępowaniu. Tymczasem melancholik zatruwa sobie życie myślami, że jest człowiekiem bez przyszłości, że staje się ciężarem dla otoczenia, że jego śmierć stanie się dobrodziejstwem dla najbliższych mu osób.

Neurolog, dr Wolinetz, który w melancholii dostrzega przyczynę trwałej niechęci do życia, przytacza przykład z własnej praktyki: 62-letni adwokat, prowadząc samochód potrącił motocyklistę, który w wyniku wypadku zmarł w szpitalu. Dochodzenia dowiodły, iż adwokat nie ponosi winy za spowodowanie katastrofy, ale on wciąż powtarzał, że jest zbrodniarzem i że nie ma prawa dłużej żyć. Zaniepokojona rodzina przyprowadziła go do kliniki. Po kilku dniach zwrócił się do naczelnego lekarza z prośbą o zwolnienie. „Panowie oddaliście mi wielką przysługę. Nie wiem, co mi się stało. Ale teraz chcę jak najprędzej wrócić do normalnego życia. Poza tym, koszty pobytu w klinice są bardzo wysokie."

Ostatni argument nie posiadał znaczenia, dlatego że pacjent był człowiekiem zamożnym, w związku z czym lekarz przestrzegł rodzinę i zlecił jej pilnie obserwować człowieka, który wbrew własnemu oświadczeniu wymagał troskliwej opieki i dalszego leczenia. W kilka dni później adwokat wbił sobie nóż w okolicę serca. Udało się go uratować i po dłuższej kuracji umieszczony został w klinice dla nerwowo chorych. Minęło kilka miesięcy i chory zwrócił się do lekarza: „Wiem, że popełniłem głupstwo. Ale z tym już skończyłem. Muszę wrócić do mej pracy, inaczej moja kariera adwokacka będzie skończona."

Zwolniono go z kliniki, a jednocześnie polecono rodzinie, by nigdy nie spuszczano go z oczu. Jego krewni skrupulatnie stosowali się do polecenia, ale zdarzyło się, że pewnego dnia, kiedy adwokat pozostał w domu w towarzystwie służącej, udało mu się zrealizować starannie ukrywany zamiar. Powiedział dziewczynie, że chce wziąć kąpiel. „Chyba nie zechcesz ze mną wejść do wanny?" — zażartował. W godzinę później leżał w wannie nieżywy. Samobójstwo popełnione z premedytacją przez człowieka, który jednak nie był odpowiedzialny za swe czyny.

Oczywiście należy odróżnić melancholię od przejściowej depresji nerwowej. Wielu ludzi przeżywa okresy upadku ducha. Przygnębienie wyraża się wówczas pospolitymi powiedzeniami: „Mam wszystkiego dosyć! Mam dość życia!" Prawdziwy melancholik nie skarży się i nie zdradza zamiaru popełnienia samobójstwa. Jeśli jednak zapytać go, czy jest ciężarem dla otoczenia, odpowiada z naciskiem: „Tak!" Tego rodzaju wypowiedzi należy uważać za alarmujące.

Samobójstwa melancholików, popełniane są pod wpływem motywów nie pojmowanych przez ogół ludzi. Są jednak nieszczęśliwcy, którzy popełniając ten czyn w pełni świadomie, znajdują dla siebie zrozumienie. Usprawiedliwiamy nieuleczalnie chorych, usprawiedliwiamy pozbawionych opieki, samotnych starców, nie jesteśmy w stanie potępić ludzi, którzy w sposób nagły, niespodziewany dowiadują się o jakiejś tragedii, pozbawiającej ich w jednej chwili wszystkich ukochanych. Pewnym pobłażaniem, a niekiedy uznaniem cieszą się samobójstwa popełniane w imię fałszywie pojmowanego honoru. Zwróćmy tylko uwagę na opisy śmierci kapitanów, idących na dno morza na pokładach swych okrętów, albo na japońskich „kamikaze", którzy jako „żywe torpedy" niszczyli sprzęt bojowy przeciwnika.

Psychiatrzy, socjolodzy i psycholodzy zgodnie wyrażają pogląd, że samobójstwo nigdy nie jest następstwem jakiejś jednej, bezpośredniej przyczyny. Cały splot okoliczności kształtuje osobowość samobójcy, aż wreszcie następuje wydarzenie, które staje się ostateczną pobudką, staje się kroplą przelewającą wypełniony kielich.

Psycholog i socjolog A. Lhotelier zwrócił się do kilkudziesięciu naukowców z prośbą o odpowiedź na pytanie: „Kto najczęściej popełnia samobójstwo i w jakich okolicznościach?"

Na podstawie zgromadzonych danych ustalił co następuje:

a) **ludzie starzy** częściej kończą życie samobójczą śmiercią aniżeli ludzie młodzi;

b) **mężczyźni** — częściej niż kobiety. (W tym wypadku L. Lhotelier brał pod uwagę samobójstwa zakończone śmiercią. Kobiety znacznie częściej próbują targnąć się na życie, ale czynią to w sposób niezdecydowany i sporo samobójczyń, po zabiegach lekarskich, odzyskuje zdrowie i ochotę do życia);

c) **mieszkańcy eleganckich dzielnic** — częściej niż mieszkańcy ubogich przedmieść;

d) **oficerowie** — częściej niż szeregowcy;

e) **w Stanach Zjednoczonych**: „biali" — trzykrotnie częściej niż „czarni";

f) **wdowcy**, rozwodnicy i kawalerzy — częściej niż ojcowie rodzin;

g) **chorzy umysłowo** — dziesięć razy częściej niż ludzie normalni.

Stwierdzono również, że ilość samobójstw zmniejsza się podczas wojny, a wzrasta w okresie kryzysów ekonomicznych. W szpitalach dla nieuleczalnie chorych (rak, paraliż) wielu samobójców wykazywało na 24 godziny przed śmiercią objawy szczególnego zdenerwowania, na które personel nie zwra-

*) W Polsce w roku 1959 — 1564 wypadki (przyp. tłum.).

cał dostatecznej uwagi. Francuscy lekarze są zdania, że skłonność do samobójstwa nie jest dziedziczna, ale świadomość, iż ktoś w rodzinie w ten sposób rozstał się ze światem, może pobudzić człowieka (znajdującego się w trudnej sytuacji życiowej) do szukania drogi wyjścia w taki właśnie sposób.

Socjolodzy amerykańscy zauważyli, że Murzyni z południowych stanów (USA) znacznie rzadziej popełniają samobójstwo niż Murzyni zamieszkali w stanach północnych, w których stosunek „białych" do „kolorowych" jest znacznie przyzwoitszy. Biorąc pod uwagę stosunek procentowy, wśród Murzynów znajduje się trzy razy mniej samobójców niż wśród „białych", ale jednocześnie z ich środowiska rekrutuje się trzy razy większa ilość morderców i bandytów. W latach kryzysu zmniejsza się ilość przestępstw popełnianych przez Murzynów, natomiast „biali" wykazują większą skłonność do stosowania prawa linczu. Te obserwacje świadczą, iż zabójstwo i samobójstwo wyrastają na wspólnym podłożu. W okresach rozkwitu gospodarczego Murzyn amerykański znacznie boleśniej odczuwa różnego rodzaju upokorzenia, które go nastrajają agresywnie. W latach kryzysów gospodarczych biali współobywatele stają mu się bardziej bliscy. Łączy ich wspólność losu.

Samobójca jest samotnikiem, który żywione wewnętrznie uczucia wrogości, zniechęcenia i pogardy kieruje przeciwko sobie samemu. Jest szczególnym rodzajem mordercy, który sobie wyznaczył rolę ofiary. Nienawiść odczuwana do ludzi nie zawsze prowadzi do morderstwa. Czasem — tak jak i nienawiść odczuwana w stosunku do samego siebie — staje się pożywką dla myśli o samobójstwie.

Psychiatrzy nie utrzymują, iż myśl o samobójstwie ma w sobie coś patologicznego. Zdają sobie sprawę, że w wielu wypadkach człowiek potrafi wplątać się w sytuację, dla której trudno znaleźć inne wyjście poza samobójstwem. Z tym wszystkim podkreślają siłę instynktu życiowego. A k t s a m o b ó j c z y może być popełniony, kiedy zawiedzie kontrola rozsądku, kiedy stracą na znaczeniu wszelkie zasady i przekonania — krótko mówiąc — kiedy człowiek nie będzie znajdował się w pełni władz umysłowych.

Psychiatrzy, Schneidman i Farberow dokonali następującego eksperymentu. Znając przyczyny i okoliczności, jakie zmusiły kilkadziesiąt osób do popełnienia samobójstw, zgromadzili podobną ilość ludzi, zupełnie zdrowych i zrównoważonych (w wieku od 25 do 60 lat), każdemu z nich, z osobna wyjaśnili przyczyny, dla których mieliby powód targnąć się na życie, i kazali im napisać listy pożegnalne do żon, matek czy przyjaciół. Potem — te listy pisane na zamówienie zostały porównane z oryginalnymi listami samobójców. Dawano je nawet osobom postronnym, prosząc o dokonanie wyboru, które listy są prawdziwe, a które fałszywe. Okazało się, iż w większości wypadków czytelnicy zdołali trafnie przeprowadzić rozróżnienie. Listy fałszywe były nadto logiczne, nadto po literacku malo-

M Y Ś L I

Zawsze mamy dość siły, aby znieść cudze nieszczęścia.

Interes przemawia wszystkimi językami i odgrywa wszystkie role, nawet bezinteresowności.

Nie ma uczciwych kobiet, które by nie były znudzone swoim rzemiosłem.

Powaga jest obrządkiem ciała, wymyślonym dla ukrycia braków ducha.

La Rochefoucauld

wały wzruszenia. Listy prawdziwe są bardziej oschłe, chłodne, a jednocześnie bardziej chaotyczne. Autorzy ich — stylem telegraficznym — przekazują rodzinie błahe rady, zgoła zbędne wskazówki, przy czym kreślą ostatnie pożegnania niezwykle pośpiesznie, jak by „na pięć minut przed odejściem pociągu".

Nawet te społeczeństwa, których prawa zwyczajowe uznają i pochwalają samobójstwa, w ceremoniale tego aktu narzucają pewne restrykcje, przerzucające odpowiedzialność za zadanie ostatniego ciosu na inną osobę lub obciążając nią, zbiorowo, całe plemię. Japończyk decydując się na harakiri wzywa przyjaciela. Sam zadaje sobie przewidzianą rytuałem ranę, a przyjaciel — oszczędzając mu długich cierpien — pozbawia go życia, uderzeniem miecza. Stary Eskimos, który dochodzi do przekonania, iż na skutek niedołęstwa stał się ciężarem dla plemienia, otrzymuje rację żywnościową na jeden dzień (lub na kilka dni), po czym plemię wyrusza w dalszą drogę, a samobójca oczekuje śmierci na opuszczonym obozowisku.

Pewien misjonarz przygotowywał młodych Eskimosów do przyjęcia religii chrześcijańskiej. Na jednej lekcji prosił uczniów by podali przykłady miłości bliźniego wzięte ze swego życia. Zabrała głos młoda dziewczyna:

— Ubiegłej zimy, babka prawie zupełnie oślepła. Powiedziała mi, że już od dawna myśli, że czas skończyć z życiem, ale brakuje jej odwagi. Kilka razy próbowała skoczyć z wysokiej skały, ale zawsze w ostatniej chwili decydowała się odłożyć samobójstwo na później. Obiecała mi dać piękny prezent, jeżeli pójdę z nią i pomogę jej umrzeć. Kiedy stanęłyśmy nad urwiskiem zrobiło mi się bardzo smutno. Powiedziałam babce, że ją kocham i że nie chcę żadnej zapłaty. Wtedy dopiero zepchnęłam ją ze skały...

„Realites"

Opr. **Roman Chrząstowski**



STANISŁAW HISZPAŃSKI

Kazimierz nad Wisłą

Kazimierz tonący w zieleni sadów — to małe miasteczko. Niegdyś kwitło ono i bogaciło się, potem nastąpiły okresy kataklizmów i upadków, ciężkich zniszczeń i pożarów. Jednak to co przetrwało jest godne, aby było kochane, podziwiane i ochraniane.

Wbrew legendzie miasto jest znacznie starsze niż panowanie Kazimierza Wielkiego, który je w drugiej połowie XIV wieku tylko rozbudował, stworzył zeń port zbożowy i wzniósł pierwsze, gotyckie spichrze. Miasto to lubił zresztą szczególnie i niewątpliwie często odwiedzał, tym bardziej, że w zameczku w pobliskiej Bochotnicy osadził (jako że mimo wielkiej mądrości i zasług dobry król nie był pozbawiony słabości ludzkich) ukochaną swoją Esterkę. W samym miasteczku Kazimierz Wielki zbudował także zamek — dziś leżący w ruinie. Istnieją natomiast dane, że położona w pewnej odległości od zamku potężna, okrągła baszta, jest od niego znacznie starsza. W każdym razie o mieście Kazimierzu wspominają już dokumenty z czasów Władysława Łokietka, a więc z czasów o kilkadziesiąt lat wcześniejszych.

Dzięki korzystnemu położeniu nad brzegiem spławnej Wisły, w dolinie rzeczułki zwanej Grodarzem, wśród wzgórz osłaniających od wiatrów i łagodzących klimat, dzięki oddaleniu zaledwie o 40 km od poważnego ośrodka miejskiego — Lublina oraz wyjątkowo żyznej glebie kryjącej pod wielometrową warstwą lessu piękny wapniak budowlany — miał Kazimierz od wieków wielkie możliwości rozwojowe. Przez Kazimierz prowadził stary szlak handlowy z Kijowa przez Lwów do Gdańska, a Wisła była najdogodniejszym szlakiem transportowym dla pszenicy sandomierskiej czy miejscowej. Natomiast dawne szlaki strategiczne, niosące wojnę, leżały daleko na północ, na południe i na wschód od Kazimierza. Dzięki temu miasto rozwijało się w spokoju i szybko bogaciło.

Przywileje Jagiellonów, dbałych o rozwój miast i mieszczaństwo, sprzyjały rozkwitowi Kazimierza. Już za czasów Jagiełły odbywały się tutaj — oprócz większych jarmarków — cotygodniowe targi. Handlowano nie tylko zbożem, lecz także słynnym piwem z miejscowych browarów, produktami gospodarki hodowlanej i wyrobami rzemieślników. Na jarmarkach rozkładali swe nęcące i efektowne towary również kupcy ze Wschodu.

Po wyzwoleniu Gdańska i Pomorza z rąk krzyżackich za króla Kazimierza Jagiellończyka, rozpoczął się na wielką skalę wywóz polskiego zboża do Holandii, Anglii a nawet Hiszpanii. Centralą tego eksportu był Kazimierz.

Za czasów króla Zygmunta I Starego, a więc w początku XVI wieku, musiał istnieć w Kazimierzu jakiś most przez Wisłę (choć ślady jego znajdujemy jedynie w dokumentach). Most ten tworzył dla miasta dodatkowy szlak handlowy wschód—zachód. Szlakiem tym wędrowało do Kazimierza kieleckie zboże i srebro z kopalń olkuskich.

Dzięki swym świetnym warunkom ekonomicznym Kazimierz ściągał do siebie nie tylko kupców krajowych czy zagranicznych, lecz także mistrzów budownictwa i rzemiosła, z których wielu osiadło tu na stałe i później spolszczyło się, jak rodzina Cellich-Celejów. Bogaci mieszczanie łożyli ogromne sumy na upiększenie zarówno własnych domów mieszkalnych jak i na budownictwo kościelne. Poważne sumy obracano na budowę spichrzów zbożowych. Było ich niegdyś 24. Do dzisiaj pięknie zrekonstruowano 4 (w jednym mieści się schronisko wycieczkowe). W czasach poprzedzających celową odbudowę Kazimierza, w ruiny 2 spichrzów wbudowano budynki mieszkalne w ten sposób, że pozostałości murów spichrzów stanowią obmurowanie podwórza.

Kataklizmem, który jak prawdziwy „potop" zniszczył bogate i piękne miasto, był najazd szwedzki. Zamek zburzono, ludność rozpędzono.

Za czasów Jana III Sobieskiego, a więc zaledwie 30 lat po „potopie" miasto było tak zubożałe i wyludnione, że król pozwolił się w nim osiedlać Ormianom, Żydom i Grekom oraz wszelkiej biedocie. Wpłynęło to na wygląd miasta. Bogata architektura ustąpiła miejsca tandetnej zabudowie straganów, bud i budek. Rabunkowa eksploatacja opuszczonych domów powodowała zagęszczenie, brud i prymityw.

Nic dziwnego, że w takich warunkach wybuchła w początku XVIII w. epidemia cholery. Trzecia część mieszkańców wymarła. Ostateczną klęskę przyniósł miastu powtórny najazd szwedzki za Augusta II Sasa. Więcej niż 75 proc. kamienic uległo zniszczeniu. W dzisiejszym Kazimierzu charakterystycznym ich śladem są podwóreczka na tyłach niektórych domków stojących wzdłuż ulicy. Podwóreczka te wkopane są w zbocza wzgórz i omurowane wapniakiem do wysokości pierwszego piętra. Takie są resztki niewidocznych już ponad ziemią i pozbawionych ścian frontowych kamienic dawnego mieszczaństwa.

Jak wyglądał Kazimierz w okresie swego rozkwitu — trudno dziś mówić, trudno nawet sobie wyobrazić. Niezbyt rozległe miasto musiało być oszałamiająco wspaniałe. To co z tych czasów pozostało co dziś stanowi siłę przyciągającą do Kazimierza ludzi kochających piękno — to parę kamieniczek renesansowych, kościół farny, kościół OO. Reformatów — zawierą tyle wartości zabytkowych i artystycznych, że mało im równych jest w Polsce, a nawet poza nią.

Potężna i jednocześnie lekka sylweta Fary góruje nad Kazimierzem. Jest to jeden z najpiękniejszych pomników polskiej architektury renesansowej. Za Farą, tonącą dziś w zieleni kasztanowców, znajduje się malutki, zarośnięty bujną roślinnością, cmentarzyk, na którym leżą również powstańcy z lat 1831 i 1863.

Poniżej Fary rozpościera się kazimierski rynek. Cichy przez większą część tygodnia, barwny i pełen ruchu w dni targowe. Królują nad nim prawdziwe, o ścianach pokrytych bez reszty rzeźbami, symbolicznymi postaciami ludzi i zwierząt, a nawet wypisanymi pięknie sentencjami łacińskimi, dwie kamieniczki: „pod Krzysztofem" i pod „Mikołajem". Figury tych świętych stanowią główne motywy dekoracji rzeźbiarskiej ścian frontowych. Kamieniczki te zbudowali dwaj bracia — Krzysztof i Mikołaj Przybyłowie, zapewne pod wpływem nieco wcześniej zbudowanej (przy ulicy Senatorskiej za potokiem Grodarz kamienicy — kupca Cellego-Celeja).

Po drugiej stronie rzeczki Grodarz, za ulicą Senatorską zaczynają się znów wzgórza. Z uliczki Klasztornej, bocznicy Senatorskiej, wchodzimy przez osobliwe, długie, w korytarzyk z portalem, ujęte schody wprost przed kościół OO. Reformatów.

O Kazimierzu i jego urokach można by pisać wiele, ma przecież dużo innych cennych zabytków.

Obecnie Kazimierz jest pod specjalną opieką konserwatorską. Według starych sztychów i obrazów odtwarza się wygląd rynku, ulic i poszczególnych kamienic. Frontowe ściany odbudowanych kamienic są ścisłą rekonstrukcją zabytku, wnętrza natomiast są przystosowane do wymogów nowoczesnych. Cała zachodnia strona rynku kazimierskiego jest już w ten właśnie sposób odbudowana.

Kazimierz jest jednym z nielicznych w Polsce miast, którego rekonstrukcją zajęto się pieczołowicie. Miejmy nadzieję, że za kilka lat będzie można oglądać to miasto w całej jego średniowiecznej krasie.

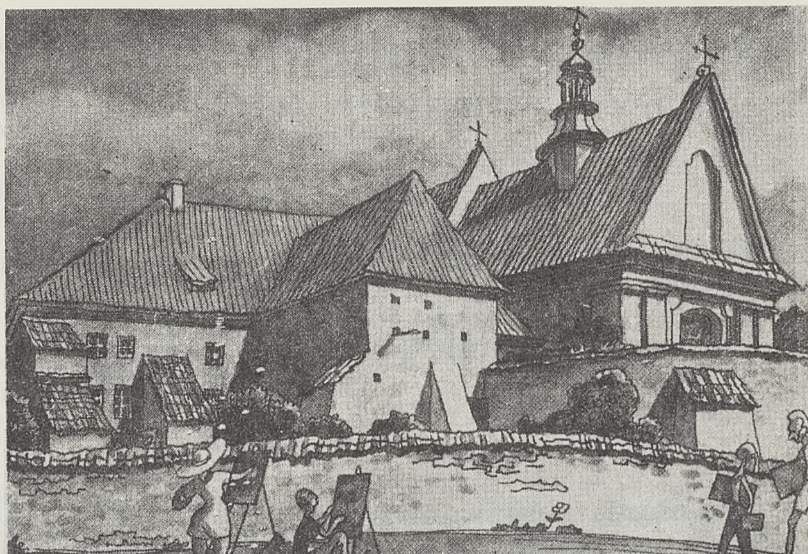
1 *Kaplica Górskich przy Farze*

2 *Podwórko*

3 *Klasztor: Kościół Reformatów*

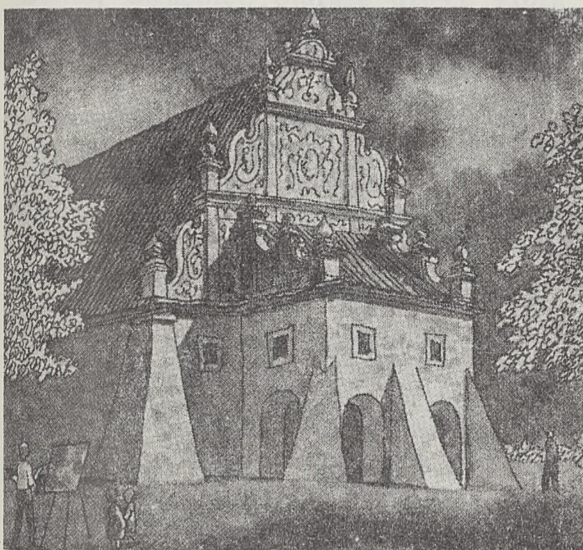
4 *Kamienice: „Pod Mikołajem" i „Pod Krzysztofem" w Rynku*

5 *Spichrz przy ulicy Puławskiego*

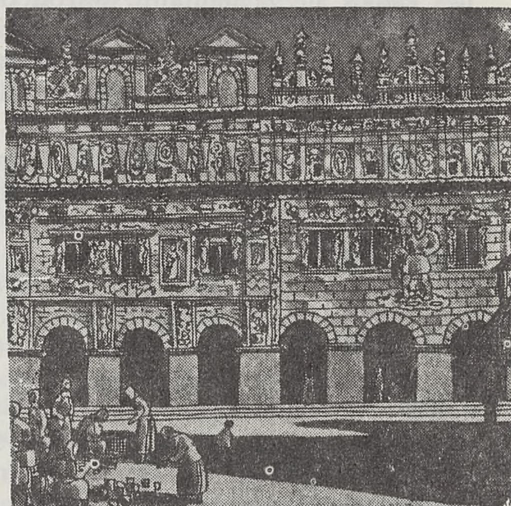


3

1



RYSUNKI: STANISŁAW HISZPAŃSKI



4

2



5



Stanisława Kuszelewska

Pociąg

Mieszkanie państwa Rozenfeldów nadawało się do tego celu najlepiej. Bo salon jest duży, staromodny, gospodyni nie cacka się z meblami, wśród portier można bawić się w chowanego, a stół w jadalni jest tak duży, że dziesięcioro mieści się przy podwieczorku doskonale.

Dlatego też właśnie u państwa Rozenfeld na Mokotowskiej zbierały się dzieci co niedziela po południu przez całą tę miłą zimę 1936. Czasem przyszła któraś mamusia, ale dzieci najlepiej lubiły, kiedy przychodził tylko Stary Pan Doktór. Potem i jemu tak się to spodobało, że zaczął przychodzić co niedziela. Dopóki jego dzwonek — inny niż wszystkie — nie rozległ się w przedpokoju, dzieciom było nudno. Ale kiedy Doktór wchodził do salonu, dzieci robiły powitalny zgiełk, rzucały się na niego, właziły mu na ramiona jak koty na drzewo — i zaczynała się prawdziwa uciecha.

— Pociąg! Pociąg!

— Dobrze, niech będzie pociąg — zgadzał się zdyszany Doktór, przytrzymując wypukłe okulary i otrząsając z siebie dzieci. — Znosimy krzesła, robimy bilety.

Wtedy z całego mieszkania ściągano krzesła, przewracano je rzędzikiem pośrodku salonu, czyli robiono z nich wagony. Lokomotywą była komódka, na komódce siadał siedmioletni Staś i sapał, wypuszczając parę. Miś i Lala, pięć lat i siedem, wycinali nożyczkami bilety z tektury. Reginka i Oluś bazgrali na nich czerwonym ołówkiem: „Piotrków“, „Pińsk“, „Paryż“, albo „Pekin“ — jeśli akurat litera P wypadała na dzisiaj. Klasa była dla wszystkich pasażerów ta sama, bo uznawano równe prawa i naturalnie klasa była druga, żeby na świecie było dobrze i żeby każdy podróżował wygodnie.

Kiedy pociąg stał już na szynach, czyli na chodniku przywleczonym z przedpokoju, a bilety były gotowe, przystępowano w porządku i spokojnie do ich sprzedawania. Dzieci ustawiały się w ogonku do kasy, płaciły po orzechu i dostawały bilet od kasjerki Melańci, urzędującej przy stoliku w kącie. Doktór stawał również w kolejce, płacił jeden orzech i brał bilet. Kto w czasie podróży opowie najciekawszą lub najładniejszą historię, ten wygrywa wszystkie orzechy z pudełka w kasie. Głupstwo orzechy — ale jaki honor!

Kto w podróży zachową się nieodpowiednio: wychyli się oknem, albo zgubi bilet — płaci karę: orzech. Może zostać nawet usunięty z pociągu, ale to już jest kara hańbiąca na którą jeszcze nikt nie zasłużył.

Pasażerowie, idąc od kasy do wagonów, przechodzą ciasnym przejściem między fotelami, gdzie pan kontroler sprawdza i stempluje bilety, robiąc na nich krzyżyk zielonym ołówkiem. Dopiero potem ma się prawo wejść do wagonu.

Jeśli publiczność zaczynała tłoczyć się w pociągu. Doktór mówił z uśmiechem:

— Spokojnie wchodzić, dzieci, spokojnie.

— Panie doktorze! — krzyknęła Reginka. — Tak to na nic. Ktoś może

sobie sam narysować zielony krzyżyk na własnym kawałku tektury i wejść do pociągu od strony stołowego pokoju.

— A po co miałby to robić — zapytał naiwnie Doktór.

— Pan Doktór nie rozumie? Żeby nie płacić za bilet.

— Eee, — skrzywił się Doktór, — przecież my jesteśmy przyzwoici ludzie. Kontroler jest po to, żeby nie był bezrobotny a nie po to, żeby nas pilnował.

Podczas podróży było bardzo wesoło. Pani Rozenfeldowa twierdziła zawsze, że dzieci bawią się znakomicie, ale Doktór najlepiej. Starsze dzieci, które już uczyły się geografii, opowiadały przez jakie miasta jedzie się do Pińska, Piotrkowa lub Paryża. Z Pekinem było gorzej. Zosia, która lubiła rysować, opowiadała, że widzi z okna pociągu śliczne góry, pokryte śniegiem. Melańcia dodawała do tego zbójców, którzy się w tych górach kryją, dziesięcioletnia Wika wolała narciarzy, sunących z daleka po śniegu; Staś, który będzie inżynierem, opowiadał, jaki piękny nowy most zbuduje przez rzekę, którą właśnie mijano, a Doktór lubił bajać, jak żyją zwierzęta w tym dzikim, ciemnym lesie, przez który właśnie pędził pociąg. Mówił takim samiutkim głosem, jak zwykle mawiał przez radio. Cicho, krótkimi zdaniami, prawie bez czasowników. I tak samo wszystko się od razu widziało jak żywe.

Nie zawsze jednak Doktór wygrywał orzech. Raczej wygrywał go bardzo rzadko. Zwykle bowiem najciekawsze historie opowiadał po drodze ośmioletni Zdzisiek, który naczytał się już rozmaitych książek, a nawet gazet. Lubił opowiadać, co widzi na mijanych stacjach, a zawsze działy się tam zabawne awantury. Dziś założył się z Wiką, że wygra wszystkie orzechy. Więc zaczął:

— Do Paryża jedzie się przez Berlin. O, patrzcie, w Berlinie na peronie stoi Żyd. Brudny, paskudny Żyd Podbiega do niego hitlerowiec i raz go w mordę, i drugi raz go w mordę! A na to ten Żyd...

— Zdzisiek — przerwał rzeczowo Doktór, wychylając się nieostrożnie z okna wagonu.

— Przypatrz się dobrze. Czy ten Żyd to przypadkiem nie twój tatuś?

— Jak to, mój tatuś?

— A no tak. Przecież twój tatuś jest Żyd i ty jesteś Żyd i my tu wszyscy w tym pokoju jesteśmy Żydzi.

Staś przestał robić lokomotywę. Pociąg stanął.

— My jesteśmy Polacy — odezwała się nieśmiało kasjerka Melańcia.

— Jesteśmy Polacy żydowskiego pochodzenia — odpowiedział Doktór nie po swojemu. Jakby nie ten zwykły Pan Doktór. Jakby całkiem inny. — Polska jest naszą ojczyzną. Polacy i Żydzi są braćmi. To, co robią Niemcy, zasługuje tylko na pogardę. Zdzisiowi nie udało się dzisiaj opowiadanie. No, jedziemy dalej. Maszynista, dawać parę! Jaki to komin widać na horyzoncie? Czy to huta szklana? Kto będzie wiedział, jak się robi szkło?

— Ja! Ja! — krzyczały dzieci. — Ja opowiem.

— Proszę na czekoladę z pianką — zawołała uśmiechnięta pani Rozenfeldowa, stając w drzwiach salonu.

— Stacja! Idziemy do bufetu! Postój pół godziny!

Incydent zatonął w czekoladzie. Nie zapomniał go tylko Zdzisiek. Przegrał zakład, nie wygrał kasy i jeszcze Doktór porównał tatusia z brudnym, paskudnym Żydem. Tego nie można przebaczyć. Doktór, stary przyjaciel, ulubiony towarzysz zabaw, stał się nagle przedmiotem nienawiści.

Do następnej niedzieli Zdziś obmyślał zemstę.

— Pociąg! Pociąg! — zakrzyczały jak zwykle dzieci, kiedy w tydzień później Doktór wszedł do mieszkania na Mokotowskiej, już pełnego pasażerów.

— A dokąd dziś jedziemy? — zapytał ciekawie.

— Dziś jest litera R!

— To do Radomia.

— E, to nieciekawe...

— Do Raju! — zawołał Oluś.

— Nie ma takiego miasta, nie pleć.

— Dlaczego nie ma być? — upierał się malec. — Właśnie niech będzie. Ja chcę, żeby było!

— Rzeczywiście, dlaczego nie ma być? — uśmiechnął się Doktór. — Ja też chcę, żeby było.

Prędko zakrzątnięto się koło przygotowań, każdy podróżny z biletem w ręku przeszedł między fotelami i każdemu Zdzisiek, który był dziś kontrolerem, narysował, jak zwykle, znak na bilecie. Prędko usadowiono się w wagonach. Doktór wsunął bilet do kieszeni i, cisnąwszy pluszową poduszkę na przerwrócone krzesło, rozsiadł się wygodnie w swoim przedziale.

— Ruszać! ruszać; — wołał chór.

— O, dziś pan kontroler sprawił sobie nowy stempel — zaśmiała się Lalusia, oglądając bilet. — Dziś błękitne kółko, nie zielony krzyżyk.

— Ma rację — zawyrokowała Reginka. — To dla uniknięcia nadużyć. Za każdym razem powinien być inny znak.

— Więc dokąd jedzie ten pociąg? — niecierpliwił się Oluś, kiedy maszynista gwizdnął, zasyczał i zaczął sapać:

— Sssss, puf, puf, puf, ph, ph, ph, ph...

— Przecież chcieliśmy jechać do Raju — wtrącił Doktór. — A może wolicie do Raguzy?

— Nie, nie! Do Raju! Przecież już na biletach napisano: „Raj“.

— Też! — sarknęła Reginka. — Nikt nawet nie wie, jak ten Raj wygląda.

— Panie Doktorze, jak wygląda Raj? — zawołano z ostatniego wagonu.

— Raj... hm... bo ja wiem. Pewnie tak, jak go sobie każdy wyobraża.

— Jakto?

— A no po prostu. Niech każde z was powie, jak sobie wyobraża Raj, swój Raj, Raj dla siebie. I właśnie tam na pewno zajedzie. No, Zosiu?

— Żeby domy były z czekolady...

— Ech, głupia, to już w każdej bajce piszą — zgniewała się Mela. — I może jeszcze dachy z piernika? Ja wiem! Raj to takie miasto, gdzie każdy jest ładny, ślicznie ubrany i ciągle chodzi na spacer...

— Też wymyśliła! — krzyknął Miś. — Któż by w Raju piechotą chodził? Zamiast tramwajów są kucyki, a każde dziecko ma prawdziwy samochód.

— Nie, w Raju wcale nie ma dzieci — zaperzyła się Lalusia. — Człowiek ma od razu szesnaście lat, chodzi spać o jedenastej i robi wszystko co mu się podoba.

— A pan Doktór? A pan Doktór? — wołały dzieci.

— Raj starych ludzi nie jest ciekawy — odrzekł z uśmiechem.

— Już ja wiem, jak pan Doktór wyobraża sobie miasto Raj — zawołała blondyneczka Wika, wychylając się oknem.

Wika ma już dziesięć lat.

— Wika, zapłacisz karę! — przestrzegł Zdziś

— To zapłacę, nie przerywaj, Zdzisiek. Pan Doktór chciałby, żeby wszystkie domy były jak. Jasny Dom na Bielanach. Żeby w nich mieszkały „Józki, Jaśki i Franki“, a tuż obok „Mośki, Joski i Srule“, i żeby Pan Doktór mógł być z nimi całe życie.

— Hm, masz rację, Wika — przyznał Doktór.

— I żeby nigdy nie zrobili się dorośli i nie skończyli wszystkich klas — dodała dziewczynka.

— Co to, to nie. Ci, co skończyli, też do mnie wracają. Ale ja wiem, czego bym jeszcze chciał. Chciałbym, żeby w tym mieście nikt nie nienawidził, nie kłamał, nie oszukiwał...

— A ja chciałabym mieć dziesięć kotów — przerwała Lalusia.

— Kontrola biletów! — huknął nagle Zdziś.

— Nie przerywaj, Zdzisław — skrzywiła się Wika.

— Owszem, czemu nie, jak pociąg, to kontrola — zgodził się lojalnie Doktór, sięgając do kieszeni kamizelki. — Pan kontroler ma prawo.

Pociąg stanął, kontroler wysiadł i

chodził od wagonu do wagonu. Dzieci dumnie okazywały swoje bilety z niebieskim kółkiem, a Zdziś rysował na każdym czerwoną kreskę.

— Bilecik pana szanownego poproszę...

Doktór podał bilet.

— To nie ten — stwierdził rzeczowo kontroler.

Doktór poszperał w kieszonce. Pusta.

— Nie ten? — zaniepokoił się.

— Nie. To stary bilet. Ma zielony krzyżyk. Dziś mamy niebieskie kółka — oświadczył lodowato kontroler. — Pasażer obowiązany jest wykupywać świeży bilet na każdą podróż.

— Wiem, wiem, naturalnie proszę pana — tłumaczył się Doktór. — Ja właśnie wykupiłem... ja naprawdę...

Ze wszystkich okien wychyliły się zaciekawione głowy.

— Nic nie poradzę. Muszę pana wysadzić na tej stacji — stwierdził urzędowo kontroler. Ten bilet jest fałszywy.

— Zdzisiek! Czyś ty zwariował? — krzyknęła Wika.

— Wikusiu, kontroler jest w porządku — mówił Doktór, mocno nieswój. — Gdzież mi się mógł zapodzieć tamten bilet? Pan pozwoli, że jeszcze poszukam — nerwowo szperał po kieszeniach marynarki.

Kontroler czekał niewzruszony, trzymając czerwony ołówek w pogotowiu. Oparł się nawet wygodnie o drzwi gabinetu, zasłonięte portierą. Nie spieszyło mu się zupełnie.

Ale biletu z niebieskim kółkiem — nie było.

— Przecież doskonale pamiętam, jak kupowałem w kasie — mruczał Doktór do siebie, a ręce zaczynały mu drżeć.

— Kasjerką była dziś Wika. Wika! Jak to było? Czy ty pamiętasz?

Ale Wika znikła z pociągu. Gdzież się podziała Wika? Pewnie poleciała do stołowego, zobaczyć, co słychać z podwieczorkiem. Dzieci, siedząc nieruchomo na przewróconych krzesełkach, szukały oczami Wiki, to znów spoglądały na Doktora. Doktór wyraźnie zbladł.

— Mamy do czynienia z niedopuszczalnym nadużyciem — stwierdził dobitnie kontroler, a na czoło Doktora wystąpiły kropelki potu.

Czarne oczy Zdzisia błyszczały okrucieństwem.

— Mam cię! — wrzasnęła nagle Wika, wyskakując spoza portiery tuż za Zdzisiem, jak sprężyna z pułapki na myszy.

Z kieszeni kontrolera wyciągnęła już nowiutki bilet z niebieskim kółkiem i podnosiła go wysoko, żeby wszyscy widzieli.

— To tyś zamienił bilety, podlecu! — syczała.

— Wikusiu, Wikusiu, jakże można, to jakieś nieporozumienie... — odetchnął Doktór, wycierając chustką czoło.

— Proszę na czekoladę z pianką — zjawiła się w porę uśmiechnięta pani Rozenfeldowa.

Od tej pory nikt już nie chciał bawić się w pociąg.

*

1942. Warszawa. Ghetto.

Kto nie widział, kto nie widział, kto nie zobaczył własnymi oczami, ten niech nie próbuje zrozumieć, niech — nie — próbuje — zrozumieć.

Na ulicach głowa przy głowie. Tak ciasno, że trudny jest każdy krok. Obdarci ludzie, woskowe twarze, w oczach czarny głód. Gdzie na chodniku trochę luzu, tam leży trup pod gazetą. Domy obszarpane, sklepy rozbite, okna ślepe.

Postać Niemca, opięta w mundurowe sukno, przeciska się przez tłum. Wygląda jak trzy ogromne dynie, położone jedna na drugą. Najmniejsza z trzech dyń, to głowa, podkreślona czerwonym wałkiem karku. Średnia dynia, to rozrosłe plecy. Podkreślenie znów inne: ciasny rzemień pasa. Za pasem rewolwer. Trzecia dynia, to rozbuchany zad. Pod nim dwa czarne lakierowane słupy: to nogi.

Akcja! Akcja! Pięć tysięcy ludzi co dzień na rampę. To na roboty, gdzieś na wschód. Ale nikt z tych robót nie pisał, nikt nigdy nie dał znać.

Akcja! Akcja! Za mundurem Trzech Dyń drepczą policjanci. Sami Żydzi. Granatowe czapki, gumowe pałki, deszczowe płaszcze. Jeszcze są rumiani, jeszcze dostają żreć. Ale już w oczach szaleństwo.

— Schneller, schneller. Dziś znowu pięć tysięcy na rampę. — Biała rękawiczka wskazuje blok domów. — Dziś — stąd.

— Jawohl, Herr Oberleutnant — prężą się policjanci, a strach tańczy im w oczach.

Niejeden już własną rodzinę pakował do ciężarówki i wiózł na rampę. Mówił im wtedy:

— To nic, im prędzej, tym lepiej.

A myślał: „Ja jeszcze nie dziś. Może zdarzy się bombardowanie? Ucieknę".

Czy już wiedzą? Czy jeszcze wierzą w ten wschód, w te roboty?

W bloku domów, wskazanych białą rękawiczką, jest wiele mieszkań. Górne piętra będą ostatnie. Na najwyższym piętrze szarego domu jest pięć brudnych pokoi. Tu właśnie, do tych pokoi, spędzono pięćdziesięciu chłopców z Jasnego Domu, który stoi piękny i biały daleko pod Bielanami. Do niedawna wychowywał tych chłopców. W mądrości, w prawie, w pracy, w dobroci i w pogodzie. Żydowskie dzieci. Sieroty Przybłędy. Jak popadło.

Nie ma chleba, już prawie nie ma wody, nie ma światła, nie ma sienników, już prawie nie ma życia — ale jest z dziećmi Stary Doktór, nieodstępny wychowawca, Janusz Korczak: Henryk Goldszmidt.

Cóż im pomoże? Nic. Bo już nie ma co. Tyle że czasem poklepie któregoś chłopca po ramieniu i powie:

— No, trzymaj się, stary, pojedziemy na roboty, zarobimy na dobry obiad. A tymczasem trzeba wytrzymać.

— Pan Doktór pojedzie z nami?

— A cóżeś ty myślał, Josek?

Tego ranka, kiedy biała rękawiczka wskazała policjantom ten blok domów, inne domy odetchnęły do jutra, a na górne piętro wskazanego domu wbiegła zdyszana dziewczyna. Rozejrzała się niespokojnie.

— Doktór jest?

— Co nie ma być — burknął któryś chłopak.

— A gdzie?

— Po wodę poszedł.

Wyskoczyła znowu na schody. Na tych schodach go dopadła. Postawił kubełek i dyszał ciężko. Był żółty, brudny, jak ten mur.

— Wika.

— Natychmiast ze mną, Doktorze! Zaraz tu zaczną brać. Dziś wasz blok na rampę.

— Wikusiu, ty już dorosła panna, szesnaście lat i taka ładna, ho, ho!

— Detal, że ładna. Ale blondynka. Nikt mnie nie weźmie za Żydówkę, jak będę chodzić po Warszawie. Siedzę tu dla matki, mamy jeszcze co w gębę włożyć. Chodzę na roboty za mury, zawsze coś przyniosę. Wczoraj dałam brylant za trochę masła. Ale też detal. Jutro wyprowadzam matkę. Policjant na mnie leci. Obiecał pomóc. Mam jeszcze jeden brylant, duży, w sam raz. Pan idzie ze mną. Schowają was Polacy na Mokotowskiej, a ja pójdę na wolność. Blondynka!

Zbrakło jej tchu. Wlekła go w dół po schodach wczepiona w jego ręce. Był słaby jak złamana gałąź.

Oparł się nagle.

Ja zostaję z chłopcami, Wikusiu,

— Co Doktór za głupstwa gada! Natychmiast ze mną. Parter już biorą. Chłopcom Doktór nic nie pomoże, a ja wszystkich nie mogę wziąć.

— Zostaję, Wikusiu.

— Doktór chyba nie wie. Ten policjant mi wyśpiewał. Najpierw na rampę, tam całą noc, a rano do towarówki. Po stu na wagon, do sufitu. Pociąg nic, zwyczajny, tylko podłoga wysypana wapnem. Zamkną wagony i trochę odjadą w pole. Wapno się zlasuje. Po trzech dniach wygarną trupy i spalą koło toru.

Wrzask ludzki bił już od parteru ku piętrom. Wywlekali po kolei, mieszkanie za mieszkaniem.

— Uciekaj, Wika, bo i ciebie zagarną — powiedział Doktór.

Już przerażeni chłopcy sypali się z mieszkania na schody.

— Panie Doktorze!

— Jestem, jestem z wami.

Nie zdążyli już wypić tej wody, którą im przyniósł.

Akcja! Akcja! Cały blok w godzinę.

*

Wika powiedziała prawdę. Na rampie przesiedzieli całą noc — wokoło druty — a nad ranem podstawiono pociąg. Długi. Towarowy. Pusty. Przez otwarte drzwi widać było podłogę, grubo białą od wapna.

Doktorowi nie drżały ręce, pot nie wilżył czoła.

— Spokojnie wchodzić, dzieci, spokojnie.



ADAM MICKIEWICZ.

DO MATKI POLKI

O matko Polko! Gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genjuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność,

Jeśli rzuciwszy rówienników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje,
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje —

O matko Polko, źle się syn twój bawi!
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się przymierzą rządy, ludy, zdania —
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Każ - że mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumanie, zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mowę truć ścicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.
O matko Polko, jabym twoję dziecię
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza...

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo, jak świata nowego żołnierze,
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyśle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy —
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy.



Kalina Jędrusik

W Polsce, tak jak i wszędzie, publiczność kinowa ma swoich ulubieńców i ulubienice, i — jak wszędzie — jest raczej zmienna w swych upodobaniach; kto wie, czy nawet nie bardziej kapryśna niż gdzie indziej. Od 1956 roku co najmniej trzy aktorki pełniły kolejno rolę faworytki, gwiazdki nr 1 (chodzi o gwiazdki raczej niż wzięte aktorki, cenione za ich umiejętności, jak np. Lucyna Winnicka): Basia Kwiatkowska, Teresa Tuszyńska i Kalina Jędrusik. Dwie pierwsze zostały „odkryte" w konkursach piękności i bez przygotowania zawodowego, zrobiły błyskawiczną karierę w filmie,. Miłościwie nam dzisiaj lśniąca Kalina Jędrusik zdobywała swą obecną popularność trudniejszą drogą.

Mimo młodych wciąż lat jest ona aktorką o sporym już doświadczeniu. W roku 1953 ukończyła wydział aktorski krakowskiej Szkoły Teatralnej i rozpoczęła karierę zawodową w Teatrze „Wybrzeże". Następnie przeniosła się do Teatru Narodowego w Warszawie, a obecnie występuje w „Teatrze Współczesnym". Na warszawskiej scenie kreowała między innymi role Rebeki w „Naszym mieście" T Wildera, Luzzi w „Pierwszym dniu wolności" Kruczkowskiego, Polli Peachum w „Operze za trzy grosze" Brechta.

Ale popularność swą zawdzięcza Kalina Jędrusik głównie telewizji. Występuje tam często w ekranizacjach sztuk dramatycznych i powieści, w teatrze „Kobra" i w ,,Kabarecie starszych panów". W plebiscycie na najlepszą aktorkę polskiej telewizji, organizowanym przez „Express Wieczorny", otrzymała I nagrodę, tzw. „Złotą maskę".

Kalina Jędrusik jest również znaną pieśniarką i występuje często przed mikrofonem polskiego Radia.

W filmie debiutowała epizodyczną rolą w „Ewa chce spać". Występowała też w „Kaloszach szczęścia", ,,Sygnałach", „Niewinnych czarodziejach", ,Dziś w nocy umrze miasto". Jej pierwszą dużą kreacją jest dopiero rola Percykówny w filmie „Jutro premiera" J. Morgensterna (na naszym zdjęciu). Film jest komedią, opartą na sztuce Jerzego Jurandota pt. „Trzeci dzwonek". Jej tematem są obyczaje świata teatralnego.

KTO GORSZY

W towarzystwie wre dyskusja na temat czy kobiety są gorsze od mężczyzn:

— Nie spotkałam jeszcze kobiety — odzywa się jedna z dyskutantek — która by goniła za mężczyzną, dlatego że ma ładne nogi.

TRUDNE?

Pewna pani prosiła Alberta Einsteina, by do niej zadzwonił. Mój numer jest jednak trudny do zapamiętania, proszę sobie zapisać: 24-361.

— Nic tu nie widzę trudnego — zdziwił się Einstein. — Dwa tuziny i dziewiętnaście do kwadratu.

TREMA

W pewnym salonie dama zamierza śpiewać w obecności Rossiniego jedną z jego arii. Zwraca się do kompozytora:

— Ach, mistrzu, jaką ja mam tremę!

— Ba, a cóż dopiero ja — odparł Rossini.

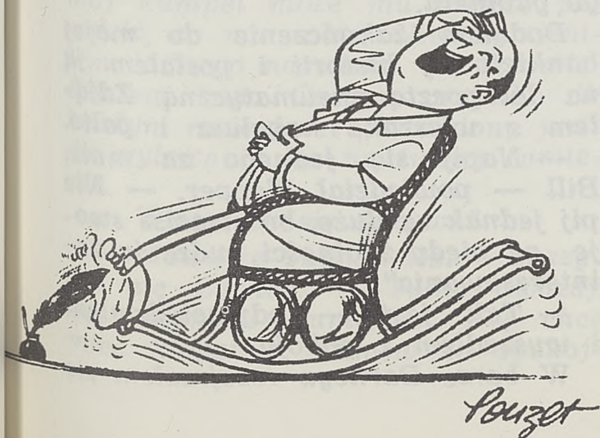
MĄŻ

— Twój mąż zmienił uczesanie.

— Ależ skąd, to ja zmieniłam męża.

NIE!

Zapytane ośmioletnią dziewczynkę, czy wyjdzie w przyszłości za mąż.



— Nie — odpowiedziała mała filozofka — bo teraz małżeństwa żyją ze sobą najwyżej rok, a potem biedna kobieta zostaje sama z czworgiem dzieci na karku.

BOCIAN

— Synku — mówi mama — bocian przyniósł ci siostrzyczkę. Chcesz ją zobaczyć?

— Siostrzyczkę? Nie, ale chciałbym zobaczyć w grudniu bociana...

W KAWIARNI

Rodzice z małym synem wchodzą do kawiarni.

— Proszę o dwa wina — zamawia ojciec.

— To mama nic nie będzie piła? — dziwi się mały.

RÓŻNICA

— Kiedyś byłeś dobry, kochałeś mnie — mówi żona do męża. — Pamiętam jak głaskałeś mnie po podbródku.

— Tak, ale wtedy miałaś tylko jeden.

PRETENSJE

— Widzisz — mówi żona do męża — ten Malinowski z przeciwka tc żegna żonę serdecznie, kiwa jej ręką, posyła całusy — a ty?

— Co ty chcesz moja droga, przecież ja jej prawie nie znam.

PODSŁUCHANE

Wieczór. Młode małżeństwo przygotowuje się do snu. Żona leży już w łóżku, a mąż marudzi, nastawia telewizor, potem radio, potem przegląda gazety. Żona odzywa się z nutką rozczarowania w głosie: — Moja mama to zawsze mnie wieczorem pogłaskała, przytuliła na dobranoc...

— Zwariowałaś? Chcesz, żebym o pierwszej w nocy leciał po mamę?

Ostatni Marsjanin

Był to wieczór niczym nie różniący się od innych, tyle, że może nieco nudniejszy. Obsłużyłem nużący bankiet, na którym jedzenie było tak podłe, że chociaż nic mnie to nie kosztowało, czułem się oszukany. Wróciłem do redakcji i w pokoju reporterów, przeklinając przyjęcie, pisałem o nim długie i entuzjastyczne sprawozdanie, na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt wierszy. Redaktor odpowiedzialny za numer mógł to oczywiście skrócić do beznamiętnych dwóch czy trzech akapitów.

Slepper siedział trzymając nogi na biurku, ostentacyjnie nie zajmując się niczym, a Johnny Hale zakładał nową taśmę do maszyny. Reszta chłopców była na mieście, zajęta swą zwykłą pracą.

Cargan, kierownik działu miejskiego, wyszedł ze swego gabinetu i zbliżył się do nas.

— Czy ktoś z was wie, kto to jest Barney Welch? — zapytał.

Głupie pytanie. Barney prowadzi „Bar Barneya", po drugiej stronie ulicy, akurat naprzeciwko „Trybuny". Nie ma reportera w „Trybunie", który znajomości z Barneyem nie doprowadziłby do tego stopnia zażyłości, jaka upoważnia do niewielkiego kredytu czy pożyczki. Tak więc wszyscy skinęliśmy głowami.

— Telefonował właśnie — powiedział Cargan. — Ma tam u siebie faceta, który twierdzi, że jest z Marsa.

— Pijany czy wariat? — zapytał rzeczowo Slepper.

— Barney nie ma pojęcia. Mówi tylko, że może być z tego dobra historia do gazety, jeśli ktoś wpadłby do niego i porozmawiał z tym gościem. Jest to akurat naprzeciw redakcji, a wy, zbóje, wygrzewacie tylko stołki. Jeden z was mógłby tam skoczyć. Tylko żadnego picia na rachunek „Trybuny".

— Ja pójdę — zaofiarował się Slepper.

Wzrok Cargana zatrzymał się jednak na mnie.

— Wolny jesteś, Bill? — zapytał. — Jeśli coś z tego wyjdzie, to będzie śmieszna historia, a ty od biedy potrafisz zainteresować czytelnika.

— Oczywiście — mruknąłem — pójdę.

— Być może, że to wygłupia się jakiś pijuk, ale jeśli się okaże, że facet jest rzeczywiście pomylony, zadzwoń po policję. Chyba, że będziesz mógł napisać coś wesołego. Jeżeli go aresztują, zrób z tego zwykłe sprawozdanie.

— Cargan — zauważył Slepper — ty byś dał aresztować własną babkę, żeby złapać coś do gazety. Mogę iść razem z Billem? Tylko żeby się rozruszać.

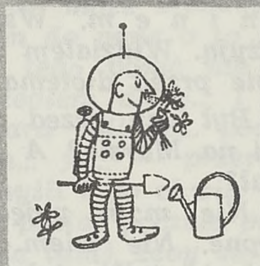
— Nie. Ty i Johnny, zostaniecie tutaj. Nie przenosimy jeszcze pokoju reporterów do Barneya — oświadczył Cargan i poszedł do swego gabinetu.

Dodałem zakończenie do mojej bankietowej historii i posłałem ją na dół pocztą pneumatyczną. Zdjąłem z wieszaka kapelusz i palto.

— Napij się jednego za mnie, Bill — powiedział Slepper. — Nie pij jednak za dużo, bo stracisz swoje „od biedy zdolności budzenia zainteresowania".

— Tak jest — odpowiedziałem i wyszedłem z pokoju.

W barze Barneya rozejrzałem się



dokoła. Kilku dziennikarzy piło gin przy stoliku. Poza Barneyem, który stał za barem, znajdował się tam jeszcze tylko jeden człowiek. Wysoki, chudy i blady. Siedział sam w loży, zagapiony posępnie w pustą już prawie szklankę piwa.

Postanowiłem przede wszystkim dowiedzieć się czegoś od Barneya.

— Jedną „szybką" — zamówiłem. — Wodę daj oddzielnie. Ten tam „sztywniak", to Marsjanin, o którym telefonowałeś do Cargana?

Skinął potakująco głową i napełnił kieliszek.

— Jak mam z nim rozmawiać — zapytałem. — Czy on wie, że reporter ma z nim rozmawiać? Czy może postawić mu kielicha i ciągnąć co się da? Na ile jest pomylony?

— Mnie się pytasz? Mówi, że tylko co dostał się tu z Marsa. Przed dwiema godzinami. I stara się dojść co się z nim stało. Twierdzi, że jest ostatnim żyjącym Marsjaninem. Nie wie, że jesteś reporterem, ale przygotowany jest do rozmowy z tobą. Zorganizowałem to.

— Jak?

— Powiedziałem, że mam kumpla cwańszego niż każdy jeden i że ten mój kumpel może mu dobrze poradzić, co ma robić. Nie wymieniłem żadnego nazwiska, bo nie wiedziałem kogo Cargan przyśle. W każdym razie facet „ustawiony jest" do wylewania łez na twoim ramieniu.

— Wiesz jak się nazywa?

— Mówi, że Yangan Dal — skrzywił się Barney. — Tylko uważaj, bez żadnych numerów. Nie chcę mieć kłopotów. Załatw to spokojnie.

Wychyliłem kieliszek i łyknąłem trochę wody.

— Okey, Barney — powiedziałem. — Przygotuj dla nas dwa piwa. Wezmę je tam ze sobą.

Barney napełnił dwie szklanki i ściął gładko pianę. Wydzwonił na kasie sześćdziesiąt centów i wypłacił mi resztę. Poszedłem do loży z dwoma piwami.

— Pan Dal? — zagadnąłem. — Nazywam się Bill Everett. Barney mówił mi, że ma pan jakieś kłopoty, w których mógłbym panu pomóc.

Popatrzał na mnie.

— Pan jest tym, do którego on telefonował? Proszę spocząć panie Everett. I dziękuję bardzo za piwo.

Wśliznąłem się do loży, siadając za stołem naprzeciw niego. Dal wypił łyk z pierwszej szklanki i nerwowo splótł dłonie na tej, którą przyniosłem.

— Pomyśli pan sobie, że jestem szaleńcem — powiedział. — I być może, że będzie pan miał rację, ale... ja sam tego pojąć nie mogę. Barman sądzi że zwariowałem. Tak mi się też zdaje. Czy pan jest lekarzem?

— Nie — odpowiedziałem. — Raczej niech pan mnie traktuje, jako konsultanta psychologicznego.

— Czy uważa pan, że jestem niespełna rozumu?

— Większość ludzi będących niespełna rozumu — zauważyłem — nie przyznaje się do tego. Ale ja jeszcze nic nie wiem o panu.

Wypił duży łyk piwa i znów odstawił szklankę, ściskając ją dłońmi, być może, ażeby opanować ich drżenie.

— Jestem Marsjaninem — powiedział. — O s t a t n i m M a r s j a n i n e m. Wszyscy pozostali nie żyją. Widziałem ich zwłoki zaledwie przed dwiema godzinami.

— Był pan przed dwiema godzinami na Marsie? A jak pan się tu dostał?

— Nie mam pojęcia. To jest okropne. Nie wiem. Wszystko co wiem, to tylko tyle, że tamci nie żyją, ich ciała zaczęły się już rozkładać. To straszne. Było nas sto milionów, a teraz ja jestem ostatni, jedyny...

— Sto milionów. Tyle wynosi ludność Marsa?

— Około tego. Może nieco więcej. Tylko, że tyle w y n o s i ł a ludność Marsa. Poza mną wszyscy już nie żyją. Byłem w trzech miastach, w trzech największych miastach. Byłem w Skar i kiedy stwierdziłem, że wszyscy tam nie żyją, wziąłem t a r g a n — nie było nikogo, kto by mnie powstrzymał — i poleciałem do Undanel. Nigdy przedtem nie prowadziłem targanu, ale okazało się, że to zupełnie łatwe. W Undanel też wszyscy byli martwi. Uzupełniłem zapas paliwa w zbiornikach i poleciałem dalej. Szybowałem dość nisko, ale nie dostrzegłem nikogo żywego. Poleciałem do Zandaru, naszego największego miasta — ponad trzy miliony mieszkańców. I tam też wszyscy byli martwi, też zaczynali się już rozkładać. To było potworne, mówię panu, potworne. Nie mogę dojść do siebie po wstrząsie, jakiego doznałem.

— Wyobrażam sobie.

— Nie może pan sobie wyobrazić. To był już właściwie umierający świat. Nie mieliśmy przed sobą więcej niż tuzin pokoleń. Przed dwoma wiekami było nas trzy miliardy. Większość głodowała. A potem przyszedł k r y l; zaraza, którą sprowadził pustynny wiatr. Nasi lekarze nie potrafili jej pokonać. W ciągu dwóch stuleci wytrzebiła nas do jednej trzydziestej liczby mieszkańców i dalej zbierała swoje śmiertelne żniwo.

— A więc pańscy rodacy zmarli na ten... kryl?

— Nie. Kiedy Marsjanin umiera na kryl, usycha. A zwłoki, które ja widziałem nie były wysuszone.

Wstrząsnął się i wypił resztę piwa. Zorientowałem się, że nie piłem dotąd mojego i wychyliłem całą szklankę. Uniosłem dwa palce, dając znać Barneyowi, żeby przygotował następne. Barman obserwował nas i wyglądał na zakłopotanego.

Mój Marsjanin mówił dalej.

— Próbowaliśmy rozwinąć astronautykę, ale nie udało się. Myśleliśmy, że może część z nas ucieknie przed krylem, jeśli uda się dostać na Ziemię, albo na inne światy. Usiłowaliśmy, ale bez powodzenia. Nie potrafiliśmy nawet dostać się na Deimos i Phobos, nasze księżyce.

— Nie rozwinęliście astronautyki, a więc w jaki sposób...

— Nie wiem. N i e w i e m, i mówię panu, że doprowadza mnie to do szału. Nie wiem, jak się tu dostałem. Jestem Yangan Dal, Marsjanin. I z n a j d u j ę s i ę t u t a j, w t e j p o s t a c i. Doprowadza mnie to do szału, mówię panu.

Barney przyniósł dwa piwa. Był dość zafrasowany, odczekałem więc, aż znalazł się poza zasięgiem naszych głosów, zanim zapytałem:

— W tej postaci? Czy pan chce przez to powiedzieć, że...

— Naturalnie. To nie jestem JA, to nie jest moje ciało. Nie przypuszcza pan chyba, że Marsjanie wyglądają identycznie jak ludzie? Miałem metr wysokości, ważyłem — licząc ziemską miarą — około 10 kilogramów. Miałem cztery ramiona i po sześć palców u każdej dłoni. A ta postać, w której się znalazłem, przeraża mnie. Nie mogę tego pojąć, tak jak nie mogę pojąć jak tu się w ogóle znalazłem.

— A w jaki sposób potrafi pan mówić po angielsku? Czy potrafi pan to wyjaśnić?

— No... w jakiś sposób potrafię.

Widzi pan, to ciało... ono nazywa się Howard Wilcox. Ono jest buchalterem. Poślubione jest z samicą tego samego gatunku. Pracuje w instytucji, która nazywa się Humpert Lamp Company. Ja przejąłem wszystkie wspomnienia tej postaci i potrafię wszystko to, co ona robiła. Wiem wszystko co ona wiedziała, względnie wie. W jakimś sensie jestem Howardem Wilcox. Mam w kieszeniach różne dokumenty, które fakt ten potwierdzają. Tylko, że to jednocześnie nie ma sensu, ponieważ jestem Yangan Dal... jestem Marsjaninem. Odziedziczyłem smaki i gusty tej postaci. Smakuje mi piwo. A kiedy myślę o żonie tej postaci, no... kocham ją. Popatrzyłem na niego i wyjąłem paczkę papierosów.

— Zapali pan? — wyciągnąłem pudełko w jego stronę.

— Ta postać — Howard Wilcox — nie pali. Dziękuję. I pozwoli pan, że zamówię dla nas piwo. W tych kieszeniach są pieniądze.

Dałem znak Barneyowi.

— Kiedy to się stało? Mówi pan, że zaledwie przed dwiema godzinami? Czy kiedykolwiek przedtem podejrzewał pan, że jest pan Marsjaninem?

— Podejrzewał? Ja byłem Marsjaninem. Która godzina?

Popatrzyłem na zegar wiszący nad barem.

— Kilka minut po dziewiątej.

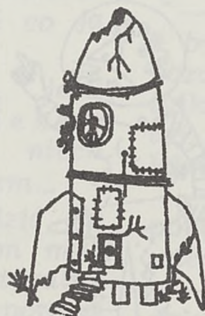
— A więc trochę dłużej niż myślałem. Trzy i pół godziny. Było chyba pół do szóstej, kiedy znalazłem się w tej postaci. Wracała ona właśnie z pracy, a z jej wspomnień wiem, że wychodziła z miejsca pracy pół godziny wcześniej, a więc o piątej.

— I czy pan... czy ta postać... poszła do domu?

— Nie. Byłem zbyt wstrząśnięty tym co się stało. To nie był mój dom. Ja jestem Marsjaninem. Czy pan tego nie może zrozumieć? Zresztą nie mam do pana o to pretensji, bo i ja tego pojąć nie potrafię. Ale poszedłem dalej... I ja... to znaczy Howard Wilcox... poczuł pragnienie i on... ja... — przerwał, jakby zbierał myśli i po chwili mówił dalej. — Ta postać poczuła pragnienie i wstąpiła tutaj, żeby się napić. Po dwóch czy trzech piwach pomyślałem, że może barman mógłby mi coś poradzić...

Pochyliłem się w jego stronę, poprzez stół.

— Słuchaj, Howard — powiedziałem — miałeś pan być w domu na obiedzie. Zmartwisz pan żonę, jeśliś do niej nie telefonował. Rozmawiał pan z nią?



— Czy ja rozmawiałem... Oczywiście, że nie. Nie jestem Howardem Wilcox.

Na twarzy jego zarysowała się jakaś nowa wątpliwość.

— Niech pan lepiej do niej zadzwoni — powiedziałem. — Co ma pan do stracenia? Czy jest pan Yanganem Dalem, czy Howardem Wilcoxem, to w domu siedzi kobieta martwiąca się o pana. Niech pan będzie łaskaw do niej zatelefonować. Czy zna pan numer?

— Naturalnie. To mój własny... to znaczy Howarda Wilcoxa...

— Proszę dać spokój z tymi personalnymi komplikacjami. Niech pan pójdzie zadzwonić. Nie fatyguj się pan zmyślaniem jakiejś historii. Jest pan zbyt zdenerwowany. Najlepiej powiedzieć po prostu, że wyjaśni pan wszystko po powrocie do domu i że nic się nie stało.

Wstał jak ślepiec i skierował się do kabiny telefonicznej. Ja poszedłem do baru na jeszcze jedną „szybką, czystą".

— Czy on jest... hm?... — zapytał Barney.

— Jeszcze nie wiem — odpowie-

działem. — Jest w tym coś, czego dotąd nie mogę zrozumieć.

Wróciłem do stolika. Tamten uśmiechnął się lekko.

— Głos ma gorszy niż ropucha. Kiedy wrócę... kiedy Howard Wilcox wróci do domu, będzie musiał chyba opowiedzieć coś bardzo wykrętnego. — Napił się trochę piwa. — W każdym razie coś bardziej zmyślonego niż historia Yangan Dala.

Stawał się jednak coraz bardziej podobny do człowieka. Po chwili jednak wrócił do swego. Popatrzył na mnie:

— Powinienem był może opowiedzieć od samego początku, jak to się stało. Byłem zamknięty w pokoju na Marsie. W mieście Skar. Nie wiem dlaczego mnie tam wpakowano, ale w każdym razie tam się znalazłem. Byłem zamknięty. A potem, przez długi czas nie przynosili mi jedzenia i stałem się tak głodny, że obluzowałem jeden kamień w podłodze i tym kamieniem zacząłem wywalać otwór w drzwiach. Umierałem z głodu. Trwało to trzy dni — marsjańskie dni, około sześciu ziemskich dni — zanim się wydostałem. Słaniałem się po budynku, aż wreszcie trafiłem na magazyny żywności. Nikogo tam nie było. Najadłem się, a potem...



— Proszę mówić — dodałem mu odwagi. — Ja słucham.

— Wyszedłem z tego budynku. Wszyscy leżeli na dworze, na ulicach, martwi. Rozkładali się. — Dłońmi zasłonił oczy. — Zajrzałem do paru domów, do innych budynków. Nie wiem czego, czy kogo szukałem. Nikt jednak nie umarł w domu. Wszyscy leżeli martwi na dworze i żadne z ciał nie było wysuszone. Tak więc nie zabił ich kryl.

Następnie, jak już mówiłem, ukradłem targan... Chociaż właściwie wcale go nie ukradłem, bo nie było od kogo go ukraść... i poleciałem rozejrzyć się za kimś żyjącym. Na wsi było podobnie. Wszyscy leżeli na dworze, w pobliżu domów, wszyscy martwi. I w Undanel, i w Zandar — wszędzie to samo.

Czy wspomniałem panu, że Zandar jest największym miastem, stolicą? W środku Zandar jest wielki otwarty teren, Plac Igrzysk, mający ponad kwadratową, ziemską milę powierzchni. I wszyscy mieszkańcy Zandaru byli na tym placu. W każdym razie wyglądało to tak, jakby tam znajdowali się wszyscy. Trzy miliony trupów, jeden obok drugiego, jak gdyby zebrali się tam, żeby umrzeć, wszyscy na wolnym powietrzu. Jak gdyby wiedzieli o tym i wyszli specjalnie z domów. Tak, jak wszędzie, wszyscy byli na wolnym powietrzu, na dworze, tylko, że tu wszyscy byli razem, całe trzy miliony.

Widziałem to z powietrza, kiedy leciałem nad miastem. I coś było tam w środku placu, na c z y m ś *w rodzaju estrady. Opuściłem się niżej i krążyłem targanem — zapomniałem powiedzieć, że on jest mały, jak wasze helikoptery — krążyłem nad tą estradą, żeby zobaczyć co tam jest. Było to coś takiego jak kolumna, wykonana z czystej miedzi. Na Marsie miedź jest tym, czym złoto na Ziemi. Na kolumnie tej znajdowała się tablica z przyciskiem oprawionym w drogie kamienie. I jakiś Marsjanin w błękitnej łodze leżał martwy u stóp kolumny, tuż pod przyciskiem. Tak, jak gdyby nacisnął go i potem umarł. I wszyscy pozostali umarli także, razem z nim. Wszyscy na Marsie z wyjątkiem mnie.*

Wylądowałem targanem wprost na estradzie i nacisnąłem przycisk. Również chciałem umrzeć. Wszyscy nie żyli, a więc i ja chciałem umrzeć. ALE NIE UMARŁEM. JECHAŁEM TRAMWAJEM NA ZIE-

MI, JECHAŁEM Z PRACY DO DOMU I NAZYWAŁEM SIĘ...

Dałem znów znak Barneyowi.

— Słuchaj, Howard — powiedziałem następnie. — Napijemy się jeszcze po jednym piwie i ty chyba pójdziesz do domu, do twojej małżonki. I tak ci zrobi piekło, a czym dłużej będziesz z tym zwlekał, tym gorzej. A jeśli będziesz mądry, to kupisz gdzieś po drodze jakąś bombonierkę albo kwiaty, wymyślisz, jakąś naprawdę dobrą historię, tylko nie tę, którą mi opowiedziałeś.

— Ale...

— Zostaw te wszystkie „ale" — mówiłem dalej. — Nazywasz się Howard Wilcox i wracaj lepiej do żony. Powiem ci, co się m o g ł o zdarzyć. Zbyt mało wiemy o umyśle ludzkim... Być może było trochę prawdy w średniowiecznej wierze w opętanie. Chcesz wiedzieć co ja myślę o twojej przygodzie?

— Co? Na litość boską, jeśli mógłby mi pan dać j a k i e k o l w i e k wyjaśnienie... tylko niech pan nie mówi, że zwariowałem...

— Myślę, że możesz wpędzić się w obłęd, jeśli będziesz o tym myślał. Przyjmij, że istnieje naturalne wyjaśnienie sprawy i zapomnij o tym. Mogę spróbować odgadnąć co się stało.

Barney zbliżył się z piwem. Odczekałem aż pójdzie z powrotem, na swoje miejsce za barem.

— Howard — ciągnąłem dalej — być może, że jakiś człowiek, to znaczy Marsjanin, nazwiskiem Yangan Dal rzeczywiście umarł dzisiaj po południu na Marsie. Może i rzeczywiście był ostatnim Marsjaninem. I może w jakiś sposób umysłowość twoja pomieszała się z jego umysłowością w chwili jego śmierci. Nie twierdzę, że tak właśnie było, ale nie jest przecież wykluczone, że tak się stało. Przyjmij, że tak było, Howardzie i odrzuć wszystkie inne myśli. Postępuj po prostu tak, jakbyś był Howardem Wilcox i popatrz w lustro, jeżeli masz jakieś wątpliwości. Wracaj do domu, wytłumacz się przed żoną, a jutro idź normalnie do pracy i zapomnij o wszystkim. Czy nie uważasz, że tak będzie najlepiej?

— Może pan ma rację. Świadectwo moich zmysłów...

— Oprzyj się na tym świadectwie. W każdym razie do czasu aż będziesz miał lepsze...

Skończyliśmy nasze piwa i wpakowałem go do taksówki. Przypomniałem raz jeszcze, żeby wstąpił po bombonierkę, albo po kwiaty i żeby wymyślił jakieś dobre i rozsądne alibi, zamiast myśleć o tym, co mnie opowiedział.

Wróciłem na górę do redakcji, poszedłem do gabinetu Cargana i zamknąłem za sobą dokładnie drzwi.

— Już wszystko w porządku, Cargan — powiedziałem. — „Wyprostowałem" gościa.

— Co się stało?

— Jest rzeczywiście Marsjaninem. I był ostatnim Marsjaninem, który pozostał na Marsie. Nie wiedział tylko o tym, że dostaliśmy się tutaj. Przypuszczał, że wszyscy umarliśmy.

— Ale, jak... W jaki sposób został pominięty? W jaki sposób mógł nie wiedzieć?

— To jest imbecyl. Był w zakładzie dla psychicznie chorych w Skar i ktoś zapomniał o nim, zostawiając go w pokoju, kiedy naciśnięto guzik i posłano nas tutaj. Znajdował się w zamkniętym pomieszczeniu i dlatego nie dosięgły go fale m e n t a u o r t u, które poprzez kosmos przeniosły naszą świadomość. Uciekł potem z tego swego pokoju, odnalazł platformę w Zandarze, na której przeprowadzono ceremonię i sam nacisnął guzik. Musiało jeszcze pozostać dość płynu, żeby wysłać go za nami.

WYSPAŁ SIĘ

Mały Michaś do dziadka:

— Niech dziadzio odpocznie sobie na kanapie i wyciągnie zmęczone nogi.

— Dziękuję ci, kochany wnuku — powiada rozczulony dziadzio. — A cóż ty tak dbasz o mnie?

— A bo mama nam nieraz mówi, że jak dziadzio wyciągnie nogi, to dostaniemy nowego Forda.

Cargan gwizdnął cichutko.

— Powiedziałeś mu prawdę? Czy jest dość sprytny, żeby trzymać język za zębami?

— Nie. Nic mu nie powiedziałem. Według naszych testów, inteligencja jego nie przekracza chyba piętnastu punktów. Ale to tyle ile osiągnąłby przeciętny Ziemianin. Tak więc da sobie tutaj radę. Utwierdziłem go w przekonaniu, że jest rzeczywiście tym Ziemianinem, który udzielił schronienia jego świadomości.

— Całe szczęście, że trafił do Barneya. Zadzwonię do niego i powiem, że wszystko jest z facetem w porządku. Dziwię się tylko, że Barney go nie „sztuknął", zanim do nas zadzwonił.

— Barney jest jednym z naszych — wyjaśniłem. — Nie pozwoliłby mu wyjść z baru. Trzymałby go tak długo, aż zgłosiłby się któryś z nas.

— Ale ty go puściłeś. Jesteś pewien, że to bezpieczne? Nie lepiej było...

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałem. — Podejmuję się mieć go na oku do czasu aż przejmiemy władzę. Myślę, że potem będziemy go musieli znów zamknąć w domu wariatów. Ale cieszę się, że nie trzeba było go zabijać. Mimo wszystko, to przecież jeden z naszych, wariat czy nie. I kiedy się dowie, że nie jest ostatnim Marsjaninem, chyba z uciechy zgodzi się wrócić do zakładu.

Poszedłem z powrotem do pokoju reporterów. Usiadłem za moim biurkiem. Sleppera już nie było. Wysłano go gdzieś w jakiejś sprawie. Johnny Hale zerknął na mnie znad stronic trzymanego w ręku magazynu.

— Masz co? — zapytał.

— Nieee — odpowiedziałem. — Po prostu pijaczyna, z którego wszyscy się „nabijali". Dziwię się, że Barney nas ciągnął.

przełożył z angielskiego
Marian Kozłowski

Z ust sławnych ludzi

Ludzie, którzy nie potrafią się starzeć, to ci sami, którzy nie umieli być młodzi.

Marc Chagall

Losy świata zależą w pierwszym rzędzie od mężów stanu, w drugim od tłumaczy.

Trygve Lie

Pan Bóg nie pozwala, by mu zaglądano w karty, ale można zawsze przyglądać się, jak je tasuje.

Graham Greene

Wierzyć we wdzięczność ludzi to naiwność. Wierzyć we wdzięczność narodów, głupota.

Louis Martin Chauffier

Królewskie Korony Na Skroniach Polek

W ostatnich trzech wiekach kobieta-Polka zdobyła sobie uznanie ogólne i cześć. I dziś nie ma rodziny królewskiej, czy książęcej, niema kraju, gdzie Polki nie byłyby podziwiane jako wzorowe żony i najlepsze matki i patriotki.

Niedawno pisma w Rzymie podawały że polska płynie krew w królach włoskiej dynastii sabaudzkiej.

Obecna dynastia włoska, to potomkowie po kądzieli — córki starosty nowomiejskiego Krasińskiego i Anny Humieckiej. Córka bowiem pana starosty Franciszka wyszła zamąż za syna Augusta III-go, królewicza Karola, księcia Kurlandii. Córka zaś jej Maria Krystyna wyszła zamąż za Emanuela Carignan, generała wojsk sardyńskich .Zrodzony z tego małżeństwa syn w roku 1798 Karol Albert dał początek panującej dotąd we Włoszech dynastii sabaudzkiej.

Już jednak Piastowie nasi byli skoligaceni z olbrzymią większością monarchów Europy.

Córka Mieszka, zw. Dumną, po skandynawsku Sygfryda, lata od 970 do 1040 — wyszła za Eryka Segiersoela, króla szwedzkiego, a po jego śmierci, — za Oettona Trikkelbergga, króla Danii.

Syn ich Kanut Wielki został później pierwszym władcą zjednoczonej Anglii. Historyczny więc pierwszy władca Polski, stał się dziadem pierwszego suwerena Anglii, największej dziś monarchii świata.

Matka pierwszego króla Węgier, świętego Stefana, była też cór' ą króla polskiego, Mieszka I-go.

Między zięciami królów Polski Piastów, byli: margrabia Miśnii (Melsen), palatyn Lotaryngii, książę szwabski, wielki książę kijowski, Cesarz Henryk III niemiecki, królowie czescy, królowie, węgierscy, hrabia Bergu, król szwedzki, książe Nowogrodu, margrabia Dolnych Łużyc, książę Sachsen Wittenberg wielcy książęta litewscy, landgraf Hesji, książę Bawarii, książę Brunswigu, burgrabia Norymbergii, landgraf Turyngii, a nawet król dalekiej Hiszpanii Alfons VII, który w roku 1157 poślubił córkę Władysława Piasta Śląskiego.

Córka polskiego króla wygnańca Stanisława Leszczyńskiego, Maria, wyszła zamąż za króla najpotężniejszej wtedy Francji — Ludwika XV. W ten sposób Polka stała się matką Ludwika XVI.

Jej córka wyszła zamąż za Filipa, księcia Parmy — i jest prababką cesarzowej Zyty austriackiej, matki Ottona Habsburga i jego wuja, księcia Sita de Bourbon Parme, który ożenił się z księżną Jadwigą de la Rochefoucauld, również córką Polki.

Druga córka Marii Leszczyńskiej poślubiła króla hiszpańskiego Karola VI i jest prababką Alfonsa XII, obecnego króla wygnańca hiszpańskiego, którego żona Victoria Eugenia jest w prostej linii wnuczką polskiego generała powstania Styczniowego Maurycego Hauke-Bosaka.

Księżniczka polska Klementyna Sobieska poślubiła potomka króla brytyjskich Stuartów.

Polka Maryna Mniszkówna została żoną cara rosyjskiego Dymitra i panowała tam czas dłuższy.

Druga Polka Maria Skowrońska, urodzona w roku 1684 została żoną cara rosyjskiego Piotra Wielkiego, a po jego śmierci samowładną carycą, jako Katarzyna I.

Jej córka pod imieniem Elżbiety I (matka i córka, obie zaszczytu nam nie przyniosły); panowała samowładnie w Rosji od roku 1741 do 1762.

Polka Joanna Grudzińska poślubiła cesarzewicza Rosji, księcia Konstantego pod nazwą księżny Łowickiej.

Szlachcianka polska z pod Tarnopola, Roksolana, została pierwszą żoną sułtana Turcji, Solimana I go, a jej syn Selin II-gi rządził po śmierci ojca.

Oto krótki migawkowy, kinematograficzny przegląd tych kobiet Polek, które stały się po wyjściu zamąż władczyniami.

Pieprz był niegdyś niezwykle cennym towarem, a to z powodu dużych trudności zdobycia, a także dla cudownych własności leczniczych, jakie mu przypisywano. Uważano, że ostrość tej przyprawy wypędza z ciała choroby. W średniowieczu każdy z uczestników wypraw krzyżowych otrzymywał jako łup wojenny pewną ilość złota i 2 funty pieprzu.

Poznać siebie samego to największa mądrość. Kto sam siebie poznać pragnie, ten i dla drugich będzie łaskawszy, bo poznanie własnych błędów uczyni go wyrozumialszym dla cudzych.

W SĄDZIE

Obrońca: "No, panie Stoff, zadowolony pan z mojej obrony? Takiego wyniku pan się chyba nie spodziewał?"

Stoff: "O jej! Gdybym wiedział przedtem że ja taki niewinny, nie byłbym wcale brał obrońcy!"

TO NIE DIABEŁ

— Kocham panią tak, że dla pani gotówbym nawet samemu diabłu zajrzeć w oczy!

— Tak? To pomów pan z mamą.

— Z mamą?! Brr! Przyznam się pani, że nie mam odwagi.

PATRON MŁODZIEŻY

Św. Stanisław Kostka

(1550–1568)

Św. Stanisław Kostka należy do najpopularniejszych świętych polskich, znanych nie tylko w swej ojczyźnie, lecz i w całym świecie. Od dawna zastanawiało się wielu uczonych, pisarzy i kaznodziejów nad przyczyną rozgłosu zdobytego wnet po śmierci i do dziś dnia nieustannie otaczającego tego niespełna osiemnastoletniego chłopca.

Przypomnijmy po krótce bieg jego życia. Stanisław urodził się w Rostkowie na Mazowszu, niedaleko Przasnysza, w roku 1550, prawdopodobnie dnia 28 października. Ojcem jego był Jan Kostka, kasztelan zakroczymski, a więc senator i magnat. Matka miała na imię Małgorzata, a pochodziła z rodziny Kryskich z Drobnina.

Stanisław wychował się w domu rodzinnym, w atmosferze religijnej, katolickiej, co nie jest czymś niezwykłym o tyle, że Mazowsze prawie zupełnie nie zostało objęte ruchem reformacji, zrywającej z Papieżem i Rzymskim Kościołem. Opowiadano potem wiele o jego dziecięcej, szczerej pogodności oraz o niezwykłej wstydliwości, którą sprawiał niemało kłopotu wesołym kompanom swego ojca, lubującym się w zawiesistym, sarmackim humorze.

Na skutek postanowienia ojca, który chciał swym synom: starszemu Pawłowi i młodszemu Stanisławowi dać wykształcenie zagraniczne godne senatorskich synów, piętnastoletni Stanisław Kostka znalazł się w Wiedniu. Warunki nie ułożyły się dla nich przyjemnie. Starszy brat wraz z przydanym młodym Kostkom opiekunem, który mu całkowicie ulegał, niewiele myślał o nauce i pracy, a więcej o rozrywkach i zabawach. Na domiar złego zamieszkali w domu luteran, co nie wpływało dobrze na samopoczucie młodego Stanisława, wiernego katolika i czciciela Maryi, której luteranie nie szanowali jako Matki Bożej. Piętnastoletni Stanisław stanął wobec trudnego życiowego egzaminu. Zdał go doskonale: Mimo szykan, mimo przykrości, a nawet bicia przez starszego brata, nie wyraził swej zgody na tryb życia, jaki uważał za niewłaściwy. Nie biorąc w nim udziału, z tym większą gorliwością oddał się modlitwom i pobożnym praktykom. Nie był dewotem oderwanym od świata, od ludzi i ich trosk, lecz przeciwnie, pozyskiwał sobie serca wszystkich z którymi się zetknął, swą szczerą życzliwością, gotowością do pomocy i usługi. Odbijał tym korzystniej od lekkomyślnego Pawła.

Niebawem miała przyjść próba jeszcze cięższa. Stanisław poważnie się rozchorował. Choroba — wedle zachowanych opisów — miała cechy niebezpiecznego zapalenia płuc. Nawet w tak ciężkich chwilach nie było dane Stanisławowi przyjąć sakramentalnie obecnego Jezusa. Nie zgodził się na wpuszczenie księdza gospodarz — luteranin, a i Paweł zbyt gorliwie się o to nie starał. Wśród cierpień i zmagań z chorobą doznawał

Stanisław pociechy w widzeniach Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus i św. Barbary, która mu przyniosła Komunię św. Cierpiał i modlił się. Rozważał swe dotychczasowe życie i swą przyszłość, aż otrzymał w czasie jednego ze swych widzeń rozkaz Matki Boskiej, by wstąpił do niedawno założonego Towarzystwa Jezusowego.

Choroba minęła, ale mocny zamiar pozostał, pozostała pamięć o poleceniu Maryi. Jezuici w Wiedniu nie chcieli jednak przyjąć małoletniego kandydata z potężnego domu polskiego bez zgody ojca. Stanisław nie dał za wygraną. Postanowił udać się do Bawarii, do prowincjała jezuitów niemieckich, Piotra Kanizjusza, i jego prosić o przyjęcie do Towarzystwa Jezusowego. Rzecz wydała się prawie niemożliwa do przeprowadzenia, bo przecież należało słuchać starszego brata, jak pan ojciec rozkazał, a Paweł ani myślał zgodzić się na plany młodszego brata. Opatrznościowym zrządzeniem losu Paweł wpadł pewnego razu w zły humor, skrzyczał Stanisława i kazał mu iść precz od siebie. Stanisław spokojnie zniósł niezasłużony wybuch gniewu, przygotował się starannie do drogi i zgodnie z nakazem brata poszedł z Wiednia. Ruszył do dalekiej Bawarii. Jak wiadomo, pogoń wysłana za Stanisławem była daremna: nie docieczemy nigdy z całą pewnością, czy dlatego, że kochający szczerze miłego chłopaka słudzy i ludzie najęci wcale nie starali się go odnaleźć i zatrzymać, czy dlatego, że Stanisław wykazał wspaniałą, iście harcerską pomysłowość w myleniu śladów za sobą, czy też dlatego, że i Bóg cudownie wprost go osłaniał.

Piotr Kanizjusz przekonał się o mocnym postanowieniu Stanisława, lecz wolał nie decydować w zawiłej sprawie. Odesłał go do Rzymu, do generała Towarzystwa Jezusowego Franciszka Borgiasza. Dnia 28 października 1567 roku przybył Stanisław Kostka do Rzymu i uzyskał wreszcie upragnione przyjęcie do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego pod wezwaniem św. Andrzeja na Kwirynale. Z radością spełniał najniższe posługi, on, syn senatorski. Stawał się przez to coraz bliższy Chrystusowi, Maryi i Józefowi, pracującym przecież fizycznie w nazaretańskim domu. Ale stawał się też kamieniem obrazy dla swej dumnej rodziny w Polsce. Jan Kostka doprowadzony do wściekłości kpinami i docinkami sąsiadów i znajomych, wysłał do syna słynny list, w którym pisał: „Wszystkiemu świetnemu rodzajowi Kostków zmazę i sromotę uczyniłeś...“ i groził mu zabraniem do domu przemocą, w kajdanach. Czcią i spokojem odpowiedział Stanisław na list ojca, zaznaczając jednak, że zamierza zostać w raz obranej służbie Bożej.

Kasztelan wysłał wówczas do Rzymu Pawła, by zrobił wszystko, byle Stanisława wyciągnąć z nowicjatu. Ale Paweł nie zastał już brata wśród żywych. Wczesnym rankiem w 1568 roku w dzień Wniebowzięcia Maryi (jak kiedyś św. Jacek) — niespełna osiemnastoletni Stanisław oddał Bogu ducha. Jakiś żywiołowy plebiscyt: kolegów w nowicjacie oraz ludności z Rzymu, która zbiegła się do ciała, był pierwszym wyrazem kultu młodocianego Polaka. Przypominano, że sam przepowiedział sobie dzień śmierci, aby iść z Maryją do nieba. Przypomniano sobie, że przecież nie był chory, a gdy zasłabł, lekarz na jego zdanie o bliskiej śmierci odrzekł, że cudu trzeba, by umrzeć z tak lekkiej słabości. Wspomniano, jak przedziwny spokój i harmonia przebijały z całego jego zachowania. Jak jego całe życie bez reszty było wyrazem jednej, potężnej, wszystko przenikającej miłości Boga i każdego człowieka, w którym widział odbicie Boże. Wielbił Boga, czcił Maryję, szanował i kochał każdego człowieka; dlatego właśnie tak dalekie mu były wszelkie sprawy czy myśli nieczyste, związane zawsze z egoizmem, brakiem prawdziwej miłości bliźniego. Wieść powszechna głosiła: umarł święty.

Zaskoczony i bezsilny stanął Paweł wobec tych wydarzeń. Wrócił do Polski i zmienił za przykładem brata swe życie. A tymczasem kapłani Towarzystwa Jezusowego rozsławili imię świątobliwego polskiego chłopca na obu półkulach po całym świecie. W roku 1605 zezwoliła Stolica Apostolska na publiczne oddawanie Mu czci, a w roku 1736 Papież Benedykt XIII zaliczył go w poczet świętych.

Jest dla nas na zawsze wzorem siły woli i energii w służbie Boga i bliźniego, w zwalczaniu wszelkiego rozpasania i rozwiązłości, które niszczą jednostkę i rozkładają całe społeczeństwa.

Wojciech Kowalski



Stary Sącz — baszta klasztorna i mur

WIESŁAWA BABULANKA

700 LAT STAREGO SĄCZA

„Kiedy przyjedziesz do miasta wczesnym rankiem — spotkasz jaskółki, szybujące nisko w uliczkach, wykładanych rzecznym kamieniem. Kiedy przyjedziesz do miasta wieczorem — powitają cię odbite w wodach Popradu i Dunajca światła Żwirowni". A kiedy samotny pójdziesz wąską dróżką za miasto, hen ku drodze na Łącko, rozglądnij się i poszukaj. Może tobie dane będzie odkryć tajemnicę, gdzie tu niegdyś stała karczma „Poczekaj"? Może stare, wiekowe drzewa opowiedzą ci o tym, jak tu niegdyś królowa Marysieńka oczekiwała powrotu króla Jana spod Wiednia i Parkanów, a w starym kościółku Klarysek śpiewano dziękczynne Te Deum i składano wota za wiktorię. Może przypomną ci się wtedy słowa skryby starosądeckiego cechu krawców: „Był wielki zjazd. Także i I M Ć Nayiaśniejszy Król był z Jeymość Królową. W mieście naszem byli przez pięć dni, we dworze stali. Wtenczas wielkie woyska przechodziły z Węgier, z pod Parkanu, ale bardzo chromali y umierało ich wiele po gościńcach". Z karczmy „Poczekaj", dworu i zamku królewskiego, ani śladu. Nikt nie wie nawet gdzie stały. Tylko drzewa szumią. Spójrz ku miastu. Co widzisz? Przytulone do siebie ciasno kamieniczki, pnące się ku niebu wieże kościołów, grube mury klasztoru Klarysek — staruszka 699-letniego. Czy słyszysz? To zegary na wieżach wydzwaniają godziny. Nad czym myślisz? O nie! Nie wierz zegarom! Mogą kłamać. Może lepiej ja opowiem ci o Sączu?

Było to dawno temu. Siedem, osiem, dziesięć wieków — nikt nie wie tego dokładnie, kiedy zaczyna się historia miasta. Siedem wieków wstecz w widłach Dunajca i Popradu było miasteczko, któremu nadano przywileje i które w starych średniowiecznych dokumentach było określane jako „Antiqua civitas Sandecz". Być może początków tego grodu należy szukać na Szacowicach — wiosce leżącej nad Dunajcem powyżej Starego Sącza, gdzie znaleziono ślady starego grodziska. Nazwę jego Szczęsny Morawski, autor „Sądeczyzny" wywodzi od słowa Sącz, na- Sąszowice. Znajdowała się tam niegdyś kasztelania sądecka, którą przeniesiono do Sącza, a stamtąd, po latach do nowego grodu — Nowego Sącza. W 1260 r. żona Bolesława Wstydliwego Beli-Kinga założyła w Starym Sączu klasztor sióstr klarysek i klasztor ojców franciszkanów. Pierwszy z nich

istnieje tam jeszcze po dziś dzień, drugiego dawno nie ma. Pozostały po nim tylko grube, gotyckie mury i część zabudowań, w których obecnie mieści się szkoła zawodowa.

Miasto leżało na uczęszczanym szlaku handlowym, który wiódł wzdłuż Popradu z Węgier. Przeciągały tędy bogate karawany kupieckie, zasobne w wino, zboże i zamorskie korzenie, a brodaci kupcy wieźli pełne złota sakwy. Mijały lata. Miasto obdarzane przywilejami królewskimi rozwijało się coraz bardziej. Kres jego świetności położyły najazdy tatarskie i szwedzkie. Przez długie lata nie mogło się podnieść z upadku. Dziś Stary Sącz jest jednym z nielicznych w Polsce najstarszych, najpiękniejszych i najczyściejszych miast. Wąskie kręte uliczki, stare domy, nadszczerbione mury i baszty klasztorne kryją w sobie tajemnice minionych lat. Posłuchaj! Wiatr z miasta znowu niesie zegarową melodię. Czas wracać.

* * *

W dniach 17 i 18 sierpnia Stary Sącz przeżywał swoje uroczyste dni. 700-lecie Starego Sącza, miasta-rówieśnika Krakowa było obchodzone uroczyście. 17-go na udekorowanym, starym rynku strażnik miejski w średniowiecznym stroju wybębnił sygnał rozpoczęcia jubileuszu i ogłosił rozpoczęcie uroczystości. Program uroczystości pierwszego dnia obejmował wyłącznie pokazy sportowe. Wieczorem, kiedy wokół Starego Sącza na pobliskich wzgórzach płonęły ogniska, na miejscowym cmentarzu odbył się apel poległych. Przy grobach zasłużonych Starosądeczan trzymano wartę. W niedzielny ranek — 18 sierpnia zgromadził na rynku tłum. Honorowa salwa ze starych moździerzy przywitała delegacje i gości. Przemawiali działacze ziemi sądeckiej, w imieniu rządu i własnym, wygłosił przemówienie minister Kuryluk, odczytano szereg telegramów gratulacyjnych między innymi depeszę od sławnej śpiewaczki Ady Sari. Odsłonięto również pamiątkowe tablice i dokonano otwarcia wystaw: rękodzieła i rzemiosła staro-sądeckiego oraz wystawy malarstwa. Na wystawie można było również oglądać wyroby sławnych na cały kraj garbarzy, białoskórników, rymarzy oraz garncarzy sądeckich, którzy wystawili precyzyjnie wykonane o starych ludowych kształtach i motywach naczynia z gliny. W godzinach popołudniowych obradowała jubileuszowa sesja MRN, podczas której delegacje składały życzenia i upominki na ręce Przewodniczącego MRN — R. Cesarczyka. W lasku na Mieskiej Górze wesoło bawili się Sądeczanie na festynie, a wieczorem mieszkańcy jak i goście oglądali na rynku widowiska regionalne „Staromiejskie zrękowiny", wykonane przez Zespół amatorski ze Starego Sącza. Uroczystości zakończył występ Zespołu regionalnego z Podegrodzia — wsi sądeckiej, który prezentował „Podegrodzkie Wesele", w którym stare przyśpiewki, ukazywane dawne obyczaje ludowe, bogate i barwne stroje przenosiły widzów w odległe czasy.

Beskidy Sądeckie — Okolice Starego Sącza — Fot.: Hermanowicz





Na niebie jest tłok

DC7 ocalał

ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE PODRÓŻE LOTNICZE SĄ DZIŚ DLA NAS RZECZĄ ZWYCZAJNĄ, JAK DLA NASZYCH BABEK STAŁY SIĘ SWEGO CZASU PODRÓŻE KOLEJOWE. SKRZYDLATE POJAZDY KURSUJĄ REGULARNIE PO WIELKICH DROGACH POZORNIE PUSTEGO NIEBA. JAK TO SIĘ DZIEJE, ŻE NA TYCH OBSZERNYCH GOŚCIŃCACH DOCHODZI JEDNAK DO ZDERZEŃ I TO ZDERZEŃ MASZYN KIEROWANYCH PRZEZ WYKWALIFIKOWANYCH I DOŚWIADCZONYCH PILOTÓW

Pewnego dnia, w grudniu ubiegłego roku, z dwóch lotnisk, z San Diego w Kalifornii i z Waszyngtonu, wystartowały dwa wielkie samoloty odrzutowe. Leciały w dwóch różnych kierunkach, ale tym samym szlakiem. Z Waszyngtonu wystartował potężny DC-7 wioząc na pokładzie 90 pasażerów — z San Diego wyleciał samolot wojskowy należący do marynarki wojennej.

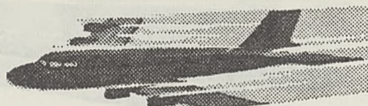
Trasy samolotowe są w pewnych porach niemal tak samo przeciążone jak linie pojazdów miejskich. Podczas gdy kierowca samochodu musi wobec niebezpieczeństwa zderzenia zjechać na lewo od obowiązującego go w tym wypadku żółtego pasa — pilot powinien, według przepisów, trzymać się szybkości początkowej i nie zmieniać wysokości lotu. Jeżeli lot przyśpieszy, może zderzyć się ze swoim poprzednikiem. Jeżeli zniży się albo wzniesie — może znaleźć się naprzeciw maszyn lecących z szybkością dźwięku, w odwrotnym kierunku. W pewnych godzinach niebo jest pełne maszyn, które albo już przeleciały, albo mają lada moment nadlecieć.

Dla kapitana Dawida Heath przelot na trasie „Victor 4" nie przedstawiał żadnych trudności. Znał ją jak własną kieszeń. Była ona dla niego szeroką autostradą zawieszoną na niebie, autostradą, która czasem zamieniała się w mniej czy więcej wąski tunel i którą w ciągu dwudziestu lat pracy na tym odcinku, szczerze polubił. Siedząc w szklanej kabinie jak w pancerzu, ponad śnieżnym obrusem obłoków, doznawał wrażenia, że nieruchomy odrzutowiec lekko kołysze się na niebie. Od czasu do czasu zmuszał się do rzucenia okiem na szybkościomierz, żeby uświadomić sobie, że przecież posuwa się naprzód.

Tego ranka golił się starannie, bo maska tlenowa drażni skórę, jeżeli pozostał na niej zarost. Przez okno widział napływającą znad oceanu mgłę, typową dla San Diego.

W kilka godzin później w boksie na lotnisku wkładał jaskrawopomarańczowy kombinezon i brał kask oraz karty lotu. W biurze operacyjnym usłyszał: — *Nad Denver będzie pan miał niskie ciśnienie, kapitanie. Radzę panu lecieć drogą południową, żeby uniknąć burzy, na którą zanosi się od strony Gór Skalistych.*

— O key, biorę drogę Victor 4.


Na niebie jest tłok

— To chyba jedyne co można zrobić, ale uprzedzam pana, że szlak ten jest dziś diabelnie zatłoczony. Wszyscy piloci zawzięli się na Victor 4. Aha, kapitanie, żebym nie zapomniał: może pan wziąć kogoś ze sobą? Mam tu faceta urlopowanego, który chciałby się szybko dostać do Albuqerque.

Dawid spojrzał na młodziutkiego marynarza o opalonej twarzy, na której malowała się obawa i niema prośba. — *O.K., chłopcze!* — wyciągnął do niego rękę.

Poszedł odebrać aparat. Przeglądał uważnie „żółtą kartkę" — raport mechaników o stanie maszyny. Wszystko grało. Ale szef ekipy technicznej powstrzymał jego rękę, gdy podpisać miał kartkę. — *Jedno tylko, kapitanie: Pańskie radio w górze chwilami traci kontakt. Zresztą na krótkie momenty. Dla młodych pilotów to byłoby coś strasznego. Ale dla pana kapitanie...*"

Dawid zaufał szefowi, którego znał od lat. Podpisał. Pocałował serdecznie małą córeczkę, Annę, która jak zwykle odprowadzała go na lotnisko: — *No, mała. Tatuś wraca za tydzień. Nie męcz tam za bardzo ciotki Marty.* Od czasu śmierci matki, Anna była pod opieką siostry żony Dawida. Automatycznie pomyślał o 50 tysiącach dolarów, na które rząd ubezpiecza lotnika: to było zapewnienie przyszłości dziecka w razie... Pilot często myśli o wypadku, nie czyniąc zresztą z tego dramatu. Kiedy odrywali się od ziemi, odwrócił się i rzucił przyjazny uśmiech swojemu przygodnemu pasażerowi.

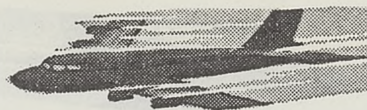
O 4 po południu DC-7 odrywał się od białego pasa na lotnisku w Waszyngtonie. Porucznik Mike Rable został wezwany na lotnisko w pilnej sprawie i przedstawiony kapitanowi Dickowi Barnett, który pilotował DC-7. — *Musiałem prosić o zastąpienie mego drugiego oficera, który przypadkiem nie może dziś lecieć. Cieszę się, że właśnie pan go zastąpi.* Barnett był energicznym, pięknym mężczyzną, lubił, gdy mu się z podziwem przyglądano: typ bohaterskiego lotnika, takiego, jak go sobie wyobrażają pensjonarki.

— Radzę panu wziąć linię Victor 15—12, kapitanie. Linia północna jest zachmurzona. — Nie — uprzejmie zaprotestował Barnett — *wezmę linię Victor 15—08. Wzbijemy się na wysokość 19000 stóp.*

Mike zmarszczył czoło. Widział w swej wyobraźni stewardessy leczące 90 pasażerów zaatakowanych typową na tej wysokości chorobą. Kapitan Barnett należał do najbardziej rutynowanych i pewnych siebie oficerów, którzy wolą przebić się przez zwały chmur niż stracić cokolwiek z przewidzianego rozkładem czasu. Tacy lotnicy znają trasy w stopniu doskonałym; mkną po niebie jak po niewidzialnych szynach i w niewielkim stopniu liczą się z kontaktem radiowym.

Stewardessa Kitty lokowała pasażerów w komfortowym wnętrzu olbrzymiego stalowego ptaka. Było to w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Ludzie byli weseli, uprzejmi, podnieceni jak studenci w hallu sali balowej. 90 osób o różnych twarzach, figurach, o rozmaitym timbrze głosu i rozmaitych kolorach włosów, o najróżniejszych zawodach — mężczyźni i kobiety, czasem pary małżeńskie — całe to przypadkowo skompletowane społeczeństwo z głośnym gwarem sadowiło się w wygodnych fotelach.

Długim korytarzem między fotelami przeszedł z miłym uśmiechem kapitan Barnett. Świadomie demonstrował swój urok i rzeczywiście pozostawił po swoim przejściu powszechne uczucie zaufania — jak by ktoś rozpylił

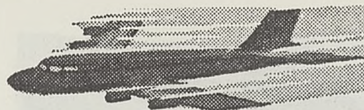


przyjemny zapach perfum. Usiadłszy w kabinie obok swoich kolegów-pilotów obdarzył ich podobnym bardziej tylko poufałym uśmiechem, rzucił parę żartów, odzywając się do każdego z pilotów po imieniu.

Trasa, na której mieli minąć się kapitan Barnett w swoim DC-7 i kapitan Heath w swoim wojskowym odrzutowcu, była kontrolowana przez stację kontrolną w Amarillo, której kierownikiem był młody, bardzo energiczny i zamiłowany w swoim niezwykle odpowiedzialnym zawodzie, Norman Coster. Tej nocy jedna tylko myśl mąciła jego zwykły spokój: żona lada chwila miała rodzić. Jednak nie mógł opuścić placówki ze względu na szczególnie złą pogodę. Z całkowitym opanowaniem śledził ekran, na którym z charakterystycznym, częstotliwym mruganiem, przesuwały się drobne świetlne punkciki wykreślające trasę samolotów lecących na najróżniejszych wysokościach i z różną szybkością w strefie kontrolowanej przez Normana. W związku z mgłą i burzą idącą od San Francisco problemy nasuwały się jeden po drugim: raz po raz któryś z samolotów „schodził" z planowanej trasy i „barykadował" linię innego samolotu, co trzeba było natychmiast naprawiać przez radio, przesuwając maszynę na właściwe miejsce niby pionek na szachownicy. Dziennikarze, którzy skłonni są do efektownych porównań, nazywają tego rodzaju stację kontrolną policjantem, który kieruje ruchem na skrzyżowaniu wielkich ulic. Porównanie jest prawdziwe, z jedną kapitalną różnicą: ruch samochodów można w każdej chwili zatrzymać — samolotu zatrzymać nie można. Jeżeli każe mu się zmienić trasę albo lądować, od razu znajdzie się on na tej wielkiej makiecie ruchu na niewłaściwym miejscu, na drodze innych maszyn. Praca kontrolera jest nie tylko odpowiedzialna, jest również wyczerpująca. Kilka lat temu, dwaj kontrolerzy, przyjaciele Normana, śledzili przez kilka minut dwa punkty świetlne nieodwołalnie zbliżające się ku sobie po tej samej linii. Potem zderzyły się one ze sobą i zgasły... Jeden z kontrolerów dłuższy czas przebywał w sanatorium dla nerwowo chorych...

David Heath próbował gawędzić ze swoim przypadkowym towarzyszem lotu, marynarzem. Ale słyszał w mikrofonie bardzo powściągliwe odpowiedzi, w których wyczuł rodzaj roztargnienia. Widocznie chłopiec był myślami gdzie indziej. Żeby go rozerwać spytał: — *„Czy ma pan dobre oczy, kolego? Niech pan posłucha: radio sygnalizuje mi samolot wojskowy o dwie minuty przed nami. W zasadzie jesteśmy obaj w porządku, bo ja jestem na planowanej wysokości — ale nie zawadzi rozejrzeć się. Bądź co bądź zbliżamy się do siebie z szybkością 2000 km na godzinę..." — „Tak, kapitanie, ale czyż możliwe byłoby zderzenie?" — „Zdarzają się czasem sytuacje alarmujące. Dwa—trzy razy w roku. Naturalnie nie mówiąc o tych wypadkach, kiedy pilot nie poinformuje stacji kontrolnej o zbliżającym się niebezpieczeństwie, albo kiedy poniesione szkody są stosunkowo nieduże." — „Jakże jest możliwe, kapitanie, żeby szkody w wyniku zderzenia były mniejsze lub większe? Czy można ze zderzenia wyjść z życiem?"*

— „Jeden z moich najlepszych przyjaciół, kapitan Baker, wyszedł z takiego wypadku cało. Znalazł się nos w nos z bombowcem i było za późno, żeby go ominąć. Jak pan wie, rozpiętość skrzydeł odrzutowca jest duża... Miał dwie możliwości: albo nurkować tamtemu pod brzuch, albo wy-



prysnąć ponad kabinę. Jeżeli będzie nurkować zawadzi o podbrzusze bombowca szklaną kabiną, w której siedzi, co oznacza śmierć. Jeżeli wyskoczy w górę — nastąpi sytuacja odwrotna: przejedzie się po kabinie bombowca i straci ogon. Decyzję trzeba było podjąć w ciągu sekundy. Baker poderwał maszynę do góry. Stracił ogon, ale uratował życie — zdążył wyskoczyć ze spadochronem." — „A co było z tamtym?" — „Naturalnie roztrzaskał się o ziemię". Oczy młodego marynarza rozszerzyły się. *Ile było ofiar?" — „Trzy. Ale nikt Bakerowi nie mógł niczego zarzucić w sensie moralnym. Kiedy trzeba zdecydować się na śmierć lub życie w ciągu sekundy — nie ma okazji do rozważań etycznych: kogo poświęcić — siebie czy tamtych? Działa wtedy instynkt samozachowawczy. Pan by też tak postąpił, chłopcze."* Ale w chwilę potem David zadał sobie pytanie: — A ty, stary, jak byś postąpił w takim wypadku? Zdziwił się własną refleksją. Czyżby czyn Bakera rzeczywiście mógł być zakwestionowany z punktu widzenia etyki?

Zbliżali się nad Albuquerque. Radio przez cały czas miało na wyższych wysokościach chwile przerw w kontaktowaniu. Kiedy David posadził maszynę na lotnisku odszukał zaraz znajomego montera Garcię: — *Słuchaj, Bob, coś mi radio nawalało tam w górze. — Zaraz będzie wszystko OK, kapitanie, proszę być spokojny.*

W barze David pożegnał się z marynarzem. — *Jestem panu niewypowiedzianie wdzięczny, panie kapitanie. Widzi pan, mam tu dziewczynę, którą denerwowała moja nieobecność...*

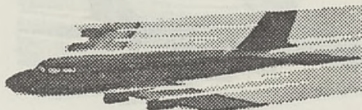
Zostawszy sam, David pomyślał: — Nie przypuszcza nawet, że i ja mam w Waszyngtonie dziewczynę, że kochamy się jak ludzie dojrzali, których raz już szczęście zawiodło i że czekamy tylko aż Anetka podrośnie, żeby się pobrać — bo wtedy mała łatwiej to zrozumie... Nakręcił numer Jenny w Waszyngtonie. Odpowiedział mu jej ucieszony głos: — *Czy wszystko w porządku, Davy? — Tak, trochę przykra pogoda i tłok na liniach. Za chwilę startuję do Waszyngtonu. — Cudownie, będę czekała na lotnisku. — Za nic, nie zgadzam się. Jest noc i wichura. Idź do łóżka, jutro rano zatelefonuję.*

Przy samolocie czekał Garcia. — *Nic nie rozumiem, kapitanie. Sprawdziliśmy radio, działa bez pudła. Ale gdyby pan został do jutra, wmontowalibyśmy nowe. — Dziwne* — mruknął David — *tam w San Diego też było dobre na ziemi, a w górze...*

Zastanowił się, czy nie zostać, ale zaraz tę myśl odrzucił i dopiero potem uświadomił sobie, że na decyzję wpłynęła chęć jak najszybszego zobaczenia Jenny. Był już w powietrzu.

Stewardessa Kitty podawała podróżnym DC-7 kolację. W tym czasie kapitan Barnett wziął do ręki mikrofon: — *Drodzy pasażerowie* — mówił swoim jasnym, męskim głosem — *lecimy nad Wirginią na wysokości 20.000 stóp, ale wewnątrz aparatu jesteśmy właściwie tylko na wysokości 7000 stóp dzięki urządzeniom izolacyjnym kadłuba. Żałuję, że pogoda nie jest najlepsza, ale wybierając tę drogę będziemy w Kalifornii w czasie wcześniejszym niż planowany. Życzę dobrego apetytu.*

W istocie Barnett nie oceniał sytuacji tak beztrosko. Podczas tak silnej burzy nawet najdoświadczeńszy pilot nie dokona cudu i nie sprawi, by samolot płynął tak jak w normalnych warunkach. Była to godzina zapadającej nocy, godzina najbardziej znienawidzona przez pilotów, bo oko



nie jest jeszcze oswojone z ciemnością. Barnett mimo zewnętrznej pewności siebie ulegał od dawna tajonemu kompleksowi: bał się popełnić najmniejszy błąd, który zauważyliby dyrektorzy towarzystwa. Przed skończeniem 65 lat, czyli do chwili przejścia na emeryturę, pilot nie mógł być zwolniony z pracy bez wielkich odszkodowań. Ale w wypadku popełnienia błędu narażającego bezpieczeństwo maszyny — mógł z miejsca wylecieć. Kto wie, czy wśród pasażerów nie ma jakiegoś inspektora towarzystwa. Na dobitek siedzący obok Mike Rable, drugi oficer, zwrócił mu przed chwilą słusznie uwagę, że aparat leci nieco wyżej niż zostało to uzgodnione. Barnett był zły. Irytowało go to „przeludnienie" nieba, które ograniczało należną mu porcję przestrzeni. Szczególną niechęć żywił do „pałętających się" po niebie samolotów wojskowych. Szukał okazji wywarcia na kimś złości.

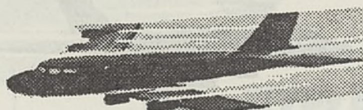
Okazja zdarzyła się. Stacja kontrolna prosiła go o zwiększenie wysokości w ciągu 8 minut celem odciążenia szlaku. „Nie mogę w tak krótkim czasie osiągnąć 22000 metrów, zwłaszcza z tym wiatrem" — odpowiedział i poczuł złośliwą radość, że jakiemuś tam facetowi w dole skomplikował życie na kilka minut. Siedzący obok Mike pomyślał: — Jesteś w swoim zawodzie asem, kapitanie Barnett, ale ja czemuś pana nie lubię, nie lubię pana..."

Tej nocy około stu tysięcy samolotów zalegało niebo nad USA. Burza od strony San Francisco wzmogła się. Masa zimnego powietrza i deszczu chłostała kontynent, ogarniając zonę niskiego ciśnienia 200-kilometrowej średnicy. Kilku pilotów cywilnych usiłowało zejść poniżej chmur, aby dostać się w strefę widzialności, ale coraz trudniej było przedrzeć się przez przeładowane szlaki.

David Heath siedzący samotnie w oszklonej kabinie zdawał się lecieć w kompletnej próżni. Tym razem na stałe stracił radiową łączność z ziemią: był jak człowiek przy zdrowych zmysłach, którego zamknięto w domu obłąkanych. Nie powinien był startować z tym radiem. Postanowił na wszelki wypadek zawiadomić jeszcze raz, że ląduje przymusowo na najbliższym lotnisku wojskowym w Clark Chennault. Jeżeli go nie usłyszą, będzie lądował na chybił trafił na przepełnionym lotnisku. Może się uda, musi się udać. Trzeba zachować spokój.

Norman Coster ze stacji kontrolnej dostał telefon wzywający go do domu. Żona zaczynała rodzić, trzeba ją było zawieźć do szpitala. Ale jak to zrobić tej piekielnej nocy!? Już miał dwa przypadki zabłąkania się samolotów, które groziło katastrofą. I właśnie w chwili, gdy miał prosić młodszego kolegę o zastępstwo dojrzał na ekranie punkt, oznaczający wojskowy odrzutowiec z San Diego, posuwający się wyraźnie naprzeciw DC-7, który przed chwilą odmówił wyjścia na wyższy pułap. Norman zaczął alarmować przez radio błąkający się samolot. Bez skutku, odpowiedzi nie było. Nie ulega wątpliwości: ten pilot nie ma kontaktu radiowego. Jeżeli więc będzie próbował lądować, to tam gdzie najbliżej — w Clark Chennault. Ale w takim razie może spotkać na swojej drodze DC-7.

— *Hallo, DC-7, DC-7, — zgadza się pan zniżyć lot do 18000 stóp?* — Barnett zrobił grymas: — *Ci ludzie chcą, żebym potrząsał moimi pasaże-*



rami jak sałatą. Rable, odpowiedz im, że nie możemy zniżyć lotu bez uniknięcia strefy wstrząsów.

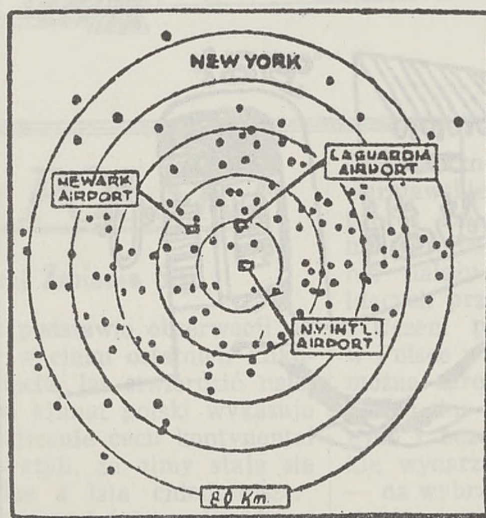
Norman Coster drżał z napięcia nerwowego. Krzyczał do mikrofonu pod adresem odrzutowca wojskowego: — *Niech pan nie schodzi od razu! Proszę wrócić do wysokości 22000! Linia na 20000 jest przeładowana! Słyszy mnie pan?* — Ale odpowiadała mu cisza, dwa światełka na tablicy kontrolnej zbliżały się ze straszliwą konsekwencją.

W pewnym momencie z jakichś cudownych powodów David Heath znowu usłyszał w swoim radio głos napięty do najwyższego stopnia: — *Proszę natychmiast wrócić do wysokości 22000 tysięcy! Natychmiast wrócić...* Chwycił za dźwignię i dziób maszyny zaczął się podnosić. Wtedy zobaczył przed sobą wyłaniającą się z mgły ciemną masę o czerwonych i zielonych światłach, DC-7 lecący na niego. Błyskiem pamięci wrócił do przygody kapitana Bakera: „Oni czy ja? Jeżeli podrywam się do góry, tracę ogon. Jeżeli nurkuję — tracę..." W czasie tak krótkim, że nie ma na to określenia, zobaczył małą Annę i drogą Jenny. W straszliwym huku zapadł się w nicość. Na ekranie kontrolnym Normana Costera dwie plamki świetlne połączyły się i zmieniły w jedną...

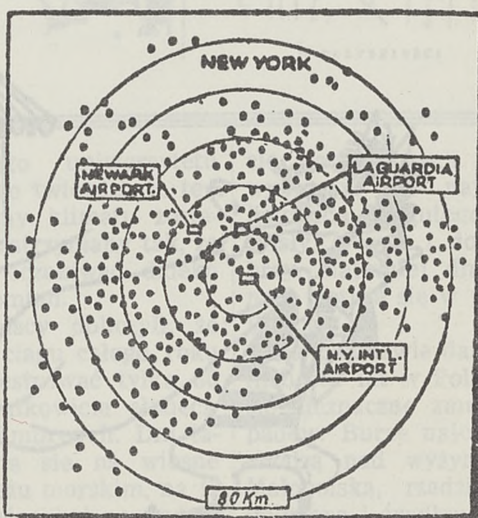
Mike Rable na pokładzie DC-7 był jedynym pasażerem, który widział rzucającą się ku nim maszynę wojskową. Jako dawny pilot wojskowy rozumiał, co to znaczy. Biorąc po ludzku, nadchodzący pilot może szukać jednego tylko sposobu ocalenia siebie: pójść górą, żeby ocalić dziób kosztem ogona, co da mu szansę wyskoczenia ze spadochronem. Nie uwierzył oczom: nadlatujący samolot wyraźnie pikował. Wariat czy bohater? Wstrząs zderzenia odebrał Mike'owi przytomność na kilka sekund. Barnett

---

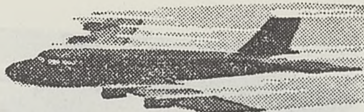
Ruch lotniczy nad Nowym Jorkiem



1956



1967 (przewidywania)



wydawał się całkiem ogłuszony. Aparat wibrował jak oszalały, jeden z motorów płonął. Otaczał ich ryk i niewiarogodne zimno: w kadłubie była dziura przez którą wdarło się powietrze z zewnątrz zapierając oddech w piersiach. Za plecami wyli w histerycznym popłochu pasażerowie.

Weteran powietrzny Barnett zdołał jednak izolować pożar i doprowadzić płonącą i dziurawą maszynę do ziemi, właśnie na lotnisko wojskowe w Clark Chennault, gdzie zamierzał lądować David Heath. Mimo silnego wstrząsu pasażerowie ocaleli. — *Pięknie to było zrobione, kapitanie* — powiedział Mike. — *Dziękuję, stary. Kierownictwo lotniska czeka na mój raport. Co u diabła robił ten wściekły pilot na naszej wysokości?* Rable pomyślał, że jednak w tej chwili musi być powiedziane coś ważkiego i on to powie. Zarozumiały Barnett winien pojąć różnicę między postępowaniem swoim — a tamtego: — *Kapitanie, ten wściekły pilot uratował nam życie. Poniósł śmierć dla nas i to całkiem dobrowolnie. Ten człowiek wiedział, ilu ludzi wiezie DC-7. A co do naszej wysokości, przekroczyliśmy ją o 300 stóp.*

— *Pan zwariował, Rable!* — Barnett był blady jak płótno. — *Pan gmatwa jasną sytuację!* — *Odwrotnie, ja ją wyjaśniam.* — *Na miłość Boga, nie pójdzie im pan tego wszystkiego opowiadać! Czy nie łączą pana wspólne interesy z towarzystwem?* — *Kapitanie, przykro mi, ale oni powinni o tym wiedzieć. Uważam że pan jest niebezpieczny.*

Barnett wyprostował się, odzyskał dawną nieskalaną godność: — *A jeżeli ja im to sam powiem?* — Rable skinął głową: — *Osobiście byłbym szczęśliwy.*

Szczątki aparatu Davida Heatha znaleziono w Elk City, koło jakiejś farmy. Tej samej nocy urodziło się dziecko Normana Costera. Jeden człowiek umiera, drugi się rodzi — ziemia odzyskała swoją równowagę.

„Constellation", Paryż (wg książki **Hank Searisa**)



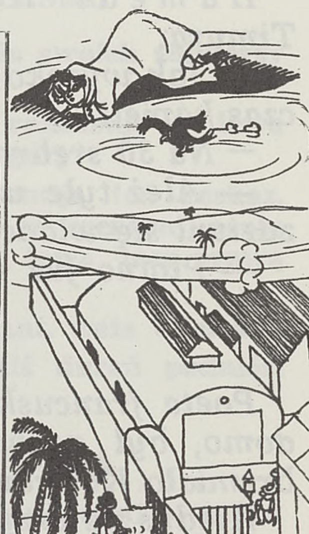
PO WIELKIEJ WYGRANEJ

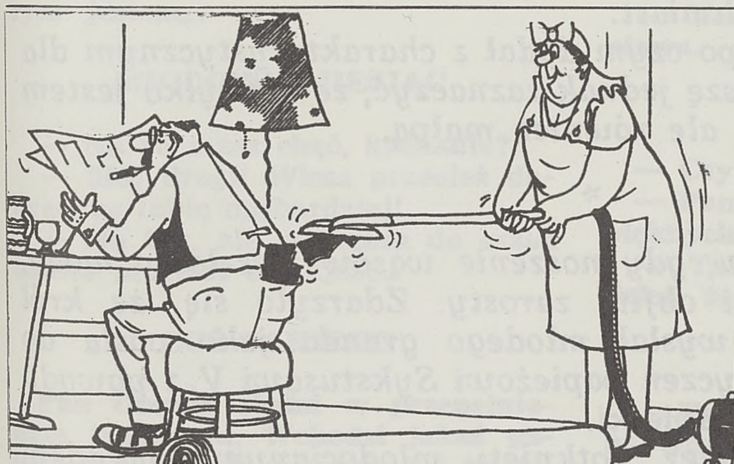
PO WYPŁACIE

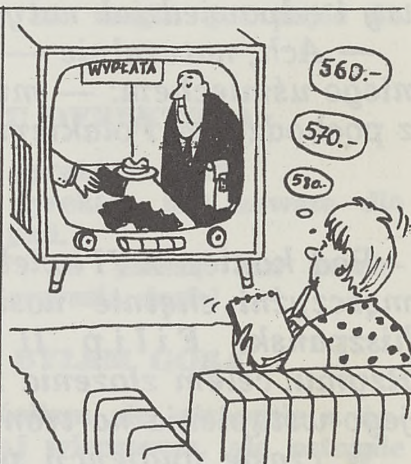

W CHICAGO



W SZKOCJI


W PERSJI


W HOLANDII



W PRZYSZŁOŚCI

Rys. IBZ

Z POLSKI

Klimat Zmienia Się

Na podstawie obserwacji po gody w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat stwierdzić należy, że klimat polski wykazuje zmniejszenie cech kontynentalnych czyli, że zimy stają się łagodne a lata chłodniejsze.

Jest to właśnie cecha klimatu angielskiego. W. Okołowicz, prof. klimatologji Instytutu Geograficznego uniwersytetu warszawskiego twierdzi, że ten proces zmiany klimatu zostanie wkrótce zatrzymany tak, że nie należy oczekiwać daleko idących przemian.

Uczeni polscy obliczyli, że w Polsce w ciagu całego roku można zarejestrować tylko 30 do 40 dni całkowicie słonecznych i bezchmurnych. Dni takie wydarzają się na wiosne — na wybrzeżu morskim, na jesieni — w górach i na podgórzu.

140 dni w roku jest całkowicie pochmurnych. Dni takie wydarzają się najczęściej od listopada do lutego w dolinie Wisły, Noteci i dorzeczu Biebrzy. Najmniej dni pochmurnych notuje się w południowej Polsce.

Na podstawie danych z ostatnich stu lat w Polsce zauważa się nieznaczne zmniejszenie opadów. Burze najczęściej przechodzą nad wyżyna Ślasko - Małopolską, rzadziej — nad północną i środkową Polska.

Anegdoty sto razy kradzione

H a m e d i   K e r m a n n i był błaznem władcy mongolskiego Timura.

— Jak wysoko mnie oceniasz? — spytał raz błazna Timur podczas kąpieli.

— Na 30 srebrnych monet.

— Ależ tyle warte jest płótno, którym się teraz wycierem — zdziwił się władca.

— Płótno już wliczyłem — odparł Hamedi.

*

Poeta francuski G u i l l a u m e   A p o l l i n a i r e, jak wiadomo, był pochodzenia polskiego i jego prawdziwe nazwisko brzmiało Kostrowicki.

Kiedyś na przyjęciu zapytał go pewien pułkownik, czy to prawda, że jest z pochodzenia Polakiem.

Apollinaire, choć był prekursorem surrealizmu, język miał ostry i odpowiedział natychmiast:

— Ach, naturalnie — po czym dodał z charakterystycznym dla niego uśmiechem: — muszę jednak zaznaczyć, że nie tylko jestem z pochodzenia Polakiem, ale również małpą.

*

Pod koniec XVI wieku, gdy noszenie wąsów weszło w modę, mężczyźni chętnie nosili obfite zarosty. Zdarzyło się, że król hiszpański F i l i p   II wysłał młodego granda jako posła do Rzymu, celem złożenia życzeń papieżowi Sykstusowi V z powodu jego wstąpienia na tron papieski.

W czasie audiencji papież, dotknięty młodocianym wyglądem posła, odezwał się do niego:

— Waszemu królowi zabrakło widocznie dojrzałych mężów, skoro przysłał mi gołowąsa.

W odpowiedzi na to padło śmiałe powiedzenie z ust Hiszpana:

— Gdyby mój król przypuszczał, że Waszej Świątobliwości więcej zależy na brodzie, niż na szlachcicu, przysłałby niewątpliwie capa!

*

Przyjaciółka zapytała panią C h u r c h i l l, która skarżyła się na słaby wzrok, dlaczego nie nosi stale okularów. 76-letnia pani Churchill odparła:

— Noszę je, gdy jestem sama. Winston zawsze mówi, że mnie postarzają.

HUMOR Z BRODĄ I BEZ

KOSMONAUTA

W 2000 roku do kasy sprzedającej bilety w Kosmos podchodzi jakiś mężczyzna i prosi o 3 bilety.

— Dokąd? — pyta kasjerka. — Na księżyc?

— Nie, gdzieś jak najdalej.

— Trzy?

— Tak, trzy. Dla mnie, żony i teściowej. Dla teściowej w jedną stronę.

PRZEZORNA

— Podziwiam ciebie, jak świetnie urządzasz sobie życie!

— To bardzo proste. Gdy nie mogę być z mężczyzną, którego kocham, to kocham mężczyznę, z którym jestem...

MIODOWY MIESIĄC

— Na co masz chęć, kochanie?

— Mój drogi! Wiesz przecież dobrze, co lubię najbardziej!

— No tak, ale od czasu do czasu trzeba przecież coś zjeść...

COŚ TAKIEGO

Pan Orczyk siedzi w przepełnionym tramwaju. Wchodzi jakaś pani i pan Orczyk ustępuje jej miejsca. Pani siada bez słowa.

— Co pani powiedziała? — pyta pan Orczyk.

— Nic.

— Och, najmocniej przepraszam, zdawało mi się, że powiedziała pani „dziękuję"!

NOWA GOSPOSIA

— Jak wam się udała nowa gosposia?

— Z początku mieliśmy z nią trochę kłopotu, ale teraz już jakoś to idzie. Zainstalowaliśmy jej dzwonek w kuchni i kiedy czegoś potrzebuje, dzwoni na żonę.

W WOJSKU

Sierżant ustawia swoich żołnierzy w szeregu.

— Wszyscy — rozkazuje — lewą nogę podnieść do góry!

Żołnierze wykonują ten rozkaz. Jedynie ostatni w szeregu przez omyłkę unosi nie lewą, lecz prawą nogę.

Widząc to sierżant, woła wściekły:

— Znowuż jakiś dureń podniósł obydwie nogi!

PRZYCZYNA

— Co się stało z papugą? — mówi gość rozglądając się po pokoju.

— Zdechła, jak się ożeniłem.

— Co ty powiesz, z zadrości?

— Tak, nie mogła już dojść do słowa.

U DYREKTORA

— Czy dyrektor jest?

— Pan dyrektor jest zawsze dla pięknych pań.

— Tak? To proszę mu powiedzieć, że przyszła żona!

BYŁEM GÓRĄ

— Pokłóciłem się strasznie z żoną wczoraj wieczorem, ale ostatnie słowo należało do mnie.

— Cóż jej powiedziałeś?

— Powiedziałem jej: „Zgoda, kup wreszcie tę suknię".

KOBIETO, KOBIETO...

— Są dwa rodzaje kobiet. Takie, które mogą mówić na każdy temat i takie, które nie potrzebują żadnego tematu.

ROZTARGNIONY

— Jak to, pan profesor mnie nie poznaje? Przecież przed rokiem prosił mnie pan o rękę.

— Ale chyba pani nie poślubiłem?

Dzban polewany w kolorze rdzawym i oliwkowym z ornamentem rytowanym. Wykonał garncarz ludowy Jan Piwski ze wsi Sobótka pow. Kielce.

Fot. St. Deptuszewski.



GARNCARSTWO LUDOWE

WE współczesnej nam epoce wysokiej techniki, kiedy każdy ma możność zaopatrzyć się w potrzebne mu naczynia zrobione z materiału bardziej trwałego niż wypalana glina – ludowe garnki, wyrabiane ręcznie na kole garncarskim przez rzemieślników wiejskich są, zdawałoby się, anachronizmem, który tylko jakimś cudem dotrwał do naszych czasów.

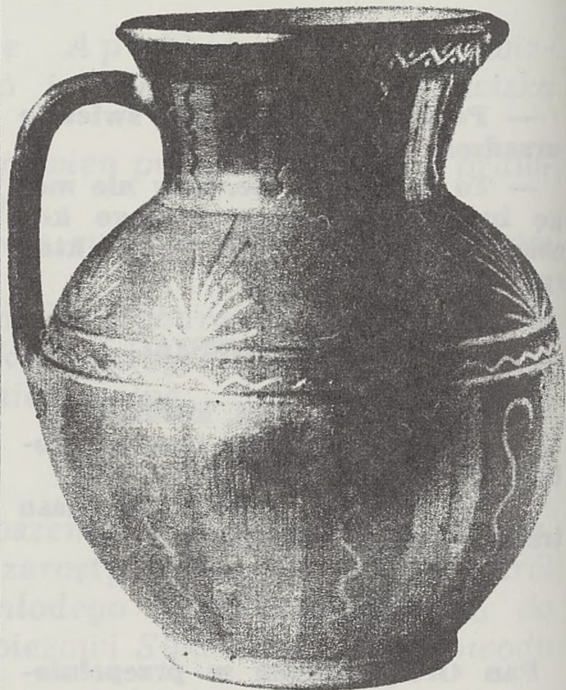
Przyczyną, która uchroniła ceramikę ludową od przeminięcia pod naporem produkcji przemysłowej była jej zawsze wysoka wartość estetyczna, a więc piękna forma, prostota i umiar elementu zdobniczego, wynikające zarówno z odwiecznej tradycji, jak i z własnej inwencji twórczej wykonującego ją artysty ludowego.

Garncarstwo ludowe jest jedną z najlepiej zachowanych gałęzi ludowej wytwórczości artystycznej w Polsce, a jego czynne ośrodki rozsiane są na terenie całego kraju. Większe skupiska garncarzy ludowych spotkać można w województwie białostockim, na Kurpiach oraz na Ziemi Kieleckiej i Lubelskiej, podczas gdy w środkowej części kraju pracują liczni pojedynczy garncarze i ceramicy ludowi.

Na spotkaniach i pokazach międzynarodowych utarło się przekonanie, że polska ceramika ludowa jest jedną z najpiękniejszych w świecie. Typowym przykładem swoistego uroku polskiego garncarstwa ludowego są t.zw s i w a k i, naczynia lub garnki dymione przy wypalaniu, przy czym przybierają barwę czarną lub srebrzystoszarą. Siwaki są zdobione przed wypałem przez rysowanie kamieniem – gładzikiem, dzięki czemu rysunek wygładzonych linii i płaszczyzn odmiennie lśni na tle chropowatej, matowej powierzchni. Prosta i szlachetna forma oraz gra subtelnych efektów, wyprowadzonych całkowicie z materiału techniką najprymitywniejszego narzędzia, świadczą o ludowej autentyczności wyrobu.

Na zwrócenie specjalnej uwagi zasługują duże ośrodki garncarstwa ludowego w województwie lubelskim oraz na Ziemi Kieleckiej.

Pierwszy z nich – to duże skupiska garncarzy ludowych w okolicach Pawłowa, Janowa Lubelskiego i Łążka Ordynackiego, gdzie wyrabiane są charakterystyczne w formie, zdobione pobiałką dzbanki, miski i garnki.



Siwak — dzban zdobiony gładzikiem krzemiennym. Wykonał Kazimierz Rogowski z Białej Podlaskiej.

Fot. St. Zieliński

Misa kujawska niepolewana zdobiona pobiałką. Wykonał Władysław Stępkowski ze wsi Lubień pow. Włocławek.

Fot. T. Jankowski



ULUBIENIEC KRÓLA JEGOMOŚCI



Władysław IV

Kiedy w 1595 r. Zygmunt III przeniósł się na stałe do Warszawy, możnowładcy polscy starali się dotrzymać mu kroku w budowie nowej stolicy i wznosili pałace o monumentalnych fasadach. Sytuowali je na skarpie wiślanej, nadając im charakter obronny. Sztych Dahlberga z połowy XVII wieku pokazuje od Ujazdowa po Stare Miasto, szereg wspaniałych gmachów, na które nie byłoby miejsca, w małym i zagęszczonym Krakowie. Począwszy od Zamku Królewskiego szereg ten rozpoczynał pałac Kazanowskich.

Kariera Kazanowskich była niezwykła. Ich rodowód nie przekraczał trzech pokoleń. Oparli się całkowicie na łasce królewicza Władysława. Kierowali się umiejętnie dworską intrygą i schlebianiem ludzkim słabostkom, od których nie byli wolni synowie Zygmunta III. Adam Kazanowski, współtowarzysz zabaw królewicza Władysława pełniący zaszczytny urząd pokojowca, poznał nieokiełznane namiętności swego pana i usłał sobie z nich drogę do kariery. Zabiegał o najpierwsze dygnitarstwa i tytuły w Koronie i gromadził niepomierny majątek.

Zgorszenie i sarkanie na starego Marcina i młodego Adama Kazanowskich było powszechne. Najwięcej irytował się w 1617 r. hetman Chodkiewicz, jako wódz i opiekun młodocianego królewicza Władysława w wyprawach moskiewskich. Kazanowscy opanowali jednak całkowicie młodego Wazę, insynuując, że prostolinijny i rycerski hetman, jakoby nie chce dopuścić królewicza do udziału w zwycięstwach i pozbawia go okazji zdobycia wojennej sławy. Na tym tle doszło do krzywdzących Chodkiewicza decyzji królewicza, zezwalającego pułkownikowi husarskiemu Marcinowi Kazanowskiemu na objęcie oddzielnego dowództwa nad wojskami koronnymi. Kazanowski z pyszną miną kazał nosić przed sobą buńczuk hetmański, do którego nie miał prawa. Hetman Chodkiewicz rozgniewał się i miał powiedzieć do królewicza: **„każ mu Wasza Królewiczowska Mość ten znak do torby schować, bo mu go każę stłuc na łbie"**. Gdy to nie pomogło, przy okazji cisnął w Kazanowskiego buławą, która o mało mu głowy nie rozbiła. Kazanowscy musieli ustąpić ale poprzysięgli zemstę, czekając na koronę królewską na głowie Władysława.

Kiedy Władysław IV wstąpił na tron, Kazanowski potrafił ugruntować zaufanie króla. Pewnego razu Władysław IV znalazł się w potrzebie pieniężnej, wnet Kazanowski zaofiarował mu swoje usługi, wiedząc, że w przyszłości sowicie mu się to opłaci. Miał wtedy królowi powiedzieć: **„ani przy Tobie Najjaśniejszy Panie ubogim być nie mogę, ani bez Ciebie bogatym być nie chcę"**. Fortuna Kazanowskich szybko zaczęła się pomnażać. Wielu, co w bojach straciło majątki i zdrowie, bezskutecznie czekało na wolne starostwo, Adam Kazanowski miał ich za to całą serię: borysowskie, kozienickie, bielskie, soleckie, nowotarskie i krośnieńskie. Sypały się także i tytuły: stolnika koronnego, podkomorzego koronnego, kasztelana sandomierskiego, marszałka w. koronnego. Cóż mu jeszcze do szczęścia brakowało? Miał piękną żonę Elżbietę, bogatą córkę wojewody trockiego, Słuszki. Ale brakło mu zdrowia i radości każdego nawet najbiedniejszego domu: własnych dzieci. Pod koniec życia, acz w sile wieku jeszcze, noszono go w lektyce. Łącznie ze skarbami królewskimi, jakby jakaś zaraza, przyszła także i podagra.

Rozwiązły i zawsze łasy bogactw i uciech, lubiał Kazanowski błyszczeć splendorem możnowładcy, którego wpływ u króla był zawsze przepotężny. Pokoje miały szczerozłote obicia, przywiezione z dalekich krajów, stał też tak niezwykły mebel jak zegar wybijający godziny. Z kuchni i piwnic w srebrnych naczyniach dostarczano wina i potrawy specjalną windą. Obok skarbca nie brakło i drogocennego księgozbioru, którego prawdopodobnie nikt nie czytał.

Kazanowski nie darmo całe życie spędził na pokojach królewskich. Potrafił godnie reprezentować. Laboureur, członek dworu marszałkowej de Guebriant, który towarzyszył jej w r. 1645 do Polski z okazji przyjazdu Marii Ludwiki do Warszawy, opisał uroczyste pożegnanie w pałacu marszałka wielkiego koronnego, szczycącego się tytułem ulubieńca Króla Jegomości. Kazanowski z powodu opuchniętych nóg, niesiony przez hajduków na krześle wystąpił w asyście „50 strojnych dworzan, 300 zbrojnych pacholków" i pięknej żony, otoczonej 20 najprzedniejszemi damami polskimi. „W sali jadalnej zastawiono na stole czterema rzędami 80 czar złotych, napełnionych najwyszukańszymi konfiturami włoskimi z różnorodnych owoców. Strojni dworzanie roznosili wino w pięknych kryształach na złotych tacach. Orkiestra z dwudziestu muzykantów przygrywała w czasie kolacji i późniejszych tańców, których pięknością zachwycali się uprzejmi Francuzi".



Adam Kazanowski

Błyszczały herby, zbroje, klejnoty, srebrne dzbany i wesoło grała muzyka, świeciły się złote kule na dachach wspaniałego pałacu. Niedługo jednak tak pieczołowicie i z takim kunsztem chytrości, intryganctwa i dworskiego sprytu zbierany na pokojach królewskich majątek, rozleciał się jakby zmieciony podmuchem wiatru. Kazanowski równy wiekiem królewskiemu protektorowi przeżył go tylko o rok. Zmarł bezpotomnie w 1648 r. Ukochana żona wyszła po raz drugi za mąż za Hieronima Radziejowskiego, rozleciał się olbrzymi majątek, runął w czasie kataklizmów dziejowych wspaniały pałac.



„Stern"

ZNACZENIE IMION MĘSKICH I ŻEŃSKICH

ZNACZENIE IMION MĘSKICH

Abner: Ojciec światła
Abraham: Ojciec wielu
Achilles: Sympatyczny
Adam: Człowiek ziemi
Adalbert: zobacz Wojciech
Adolf: Szlachetny bohater
Adrian: Ciemny
Alan: Harmonia
Albert: Cały jasny
Aleksander: Pomagający ludziom
Aleksy: Obrońca
Alfons: Gotowy do walki
Alfred: Dobry doradca
Algernon: Wąsaty
Ambroży: Nieśmiertelny
Amos: Silny
Andrzej: Mężny
Antoni: Zasługujący na pochwałę
Archibald: Bardzo odważny
Arnold: Silny jak orzeł
Aron: Ten który oświeca
Artur: Szlachetny
Augustyn: Wspaniały
Baldwin: Odważny
Bartłomiej: Syn wojny
Bazyli: Królewski
Benedykt: Błogosławiony
Benjamin: Syn prawej ręki
Bernard: Silny niedźwiedź
Bertram: Roztropny
Borys: Obcy
Cecyl: Niedowidzający
Cyryl: Pański
Cyrus: Jak słońce
Czesław: Żołnierz
Daniel: Boski sędzia
Dawid: Ukochany
Donald: Dumny wódz
Edgar: Chętnie dający
Edmund: Obrońca
Edward: Stróż
Edwin: Uzyskujący szczęście
Elmer: Doskonały
Emanuel: Bóg z nami
Eryk: Dzielny
Ernest: Poważny
Erwin: Jak niedźwiedź
Eugeniusz: Dobrze urodzony
Eweret: Stały
Franciszek: Wolny
Ferdynand: Gwałtowny
Filip: Miłośnik koni
Fryderyk: Pokojowy władca
Gerald: Silny z włócznią
Gilbert: Słynny
Gordon: Szczodry
Grzegorz: Czujny
Gustaw: Wojownik
Harold: Szampion
Hektor: Obrońca
Henryk: Głowa domu
Herbert: Sława armii
Herman: Wojownik
Hiram: Najszlachetniejszy
Horacy: Dzielny przewódca
Hubert: Roztropny
Hugon: Dobroduszny
Irwin: Wojownik
Iwan: Dar boski
Jakub: Wierny
Jan: Dar boski
Jeremi: Święte imię
Jerzy: Posiadający ziemię
Jonatan: Dar Jehowy
Julian, Juliusz: O miękkich włosach
Justyn: Sprawiedliwy
Kalwin: Odważny
Karol: Mężny
Konrad: Zdolny doradca
Korneliusz: Zaszczytny
Krzysztof: Niosący Zbawiciela
Laurenty: Uwieńczony wawrzynem
Leon: Lew
Leonard: Silny jak lew
Leopold: Odważny dla ludu
Luter: Świetny wojownik
Łukasz: Światło
Marek: Młot
Marcin: Wojowniczy
Mateusz: Dar Jehowy
Maurycy: Ciemnej cery
Michał: Jak Bóg
Mikołaj: Zwycięstwo ludu
Milton: Czerwony
Mojżesz: Z wody
Napoleon: Leśny lew
Natan: Podarek
Noe: Wygoda
Norman: Człowiek północy
Oliwer: Zadowolony
Orwil: Spokojny
Oskar: Skaczący wojownik
Oswald: Siła boska
Otton: Olbrzym
Patryciusz: Szlachetny
Paweł: Mały
Piotr: Skała
Ralf: Słynny bohater
Rajmund: Roztropny obrońca
Reginald: Silny król
Robert: Słynny
Ronald: Słynny
Rudolf: Czynny
Rufus: Rudowłosy
Ryszard: Potężny władca
Samson: Wielka uciecha
Saul: Ten o którego proszono
Salomon: Pokojowy
Stanisław: Kamienista łąka
Stefan: Kwiecista korona
Sylwan: Mieszkaniec lasu
Szymon: Chętnie słuchający
Teodor: Dar boski
Tomasz: Bliźniak
Tymoteusz: Bogobojny
Ulekses: Nienawidzący
Walenty: Zdrowy
Walter: Mistrz wody
Wiktor: Zwycięsca
Wincenty: Zwycięski
Wilbur: Dzik
Wojciech: Szlachetny

ZNACZENIE IMION ŻEŃSKICH

Adela, Adelina: Księżniczka
Adrianna: Ciemna
Agata: Dobra
Agnieszka: Czysta
Alicja: Księżniczka
Alda: Bogata
Alma: Dobre serce
Amanda: Godna miłości
Amelia: Ukochana
Angelika: Miła
Anita: Pełna gracji
Anna: Pełna gracji
Antonina: Nieokreślona
Barbara: Dzika
Beatrycja: Szczęśliwa
Berta: Piękna
Brygida: Świetlana
Cecylia: Niedowidzająca
Cyntia: Z góry Cynt
Debora: Pszczoła
Diana: Boska
Dolores: Smutna
Dorota: Dar boski
Edyta: Drogi podarek
Edna: Przyjemność
Eleonora: Światło
Elżbieta: Uproszona u Boga
Emilia: Energiczna
Estera: Szczęśliwa
Eunice: Szczęśliwe zwycięstwo
Ewa: Życie
Ewangelina: Dobra nowina
Felicja: Szczęście
Flora: Kwiaty
Florencja: Kwitnąca
Genowefa: Spokojna
Gertruda: Wierna
Gloria: Sława
Helena: Światło
Hilda: Pomagająca
Honorata: Zaszczytna
Hortensia: Lubiąca ogród
Ida: Jak bogini
Irena: Pokój
Irma: Niewinna
Jadwiga: Głowa domu
Janina: Dziecię boskie
Judyta: Chwalona
Julia, Julianna: Z mięk. włosami
Laura: Wawrzyn
Leona: Odważna
Lilian: Lilijka
Loretta: Czysta
Ludwika: Odważna
Łucja: Urodzona przy zachodzie słońca
Magdalena: Wspaniała
Małgorzata: Perła
Maria: Gwiazda morza
Marta: Pani domu
Matylda: Bohaterka
Mildred: Mówiąca łagodnie
Milicent: Słodka śpiewaczka
Miranda: Podziwiana
Natalia: Podarek
Nina: Młoda
Norma: Z północy
Olga: Święta
Patrycja: Szlachetna
Pryscyla: Starodawna
Prudencja: Roztropna
Rachela: Jagnię
Ramona: Zabezpieczona
Rebeka: Czarująca piękność
Sara: Księżniczka
Shirley: Miła
Sybilja: Wróżka
Sylwia: Z lasu
Stella: Gwiazda
Teresa: Niosąca zboże
Weronika: Wierna
Wiktoria: Zwycięstwo
Wiola: Skromna
Wirginia: Czysta
Zofia: Mądrość
Zuzanna: Lilia

NORMALNA TEMPERATURA I OPADY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Stacja	Przecięt. Temper. Styczeń	Przecięt. Temper. Lipiec	Najwyższa Temper.	Najniższa Temper.	Roczny opad deszczu
Mobile, Alabama	50	80	102	— 1	62.0
Phoenix, Arizona	50	90	119	12	7.9
Little Rock, Arkansas	41	81	106	—12	49.9
San Francisco, Cal.	50	57	101	29	22.3
Denver, Colorado	29	72	105	—29	14.0
New Haven, Conn.	27	72	100	—14	47.2
Washington, D. C.	33	77	106	—15	43.5
Key West, Florida	69	84	100	41	38.7
Atlanta, Georgia	42	78	100	— 8	49.4
Boise, Idaho	29	73	111	—28	12.7
Chicago, Illinois	24	72	103	—23	33.3
Indianapolis, Indiana	28	76	106	—25	41.5
Dubuque, Iowa	18	75	106	—32	34.0
Wichita, Kansas	30	79	107	—20	44.3
New Orleans, Louisiana	53	81	102	7	57.4
Portland, Maine	22	68	103	—21	42.5
Baltimore, Maryland	33	77	105	— 7	43.2
Detroit, Michigan	24	72	104	—24	32.2
St. Paul, Minnesota	12	72	104	—41	28.7
Boston, Massachusetts	27	71	104	—14	43.4
Vicksburg, Mississippi	47	80	101	— 1	53.7
St. Louis, Missouri	31	79	107	—22	37.2
Helena, Montana	20	67	103	—42	12.8
Omaha, Nebraska	20	76	110	—32	30.7
Winnemucca, Nevada	29	72	104	—28	8.4
Charlotte, N. C.	40	79	102	— 5	49.2
Bismarck, N. D.	7	70	107	—45	17.6
Concord, N. H.	21	69	102	—35	40.1
Atlantic City, N. J.	32	72	104	— 7	40.8
Santa Fe, New Mexico	28	69	97	—13	14.5
New York City	30	74	102	—13	44.6
Cincinnati, Ohio	32	78	105	—17	38.3
Oklahoma City, Okla.	35	80	108	—17	31.7
Portland, Oregon	39	66	102	— 2	45.1
Philadelphia, Pa.	32	76	106	— 6	41.2
Rock Island, R I.	31	68	92	— 4	44.4
Charleston, S. C.	49	81	104	7	52.1
Pierre, South Dakota	14	75	110	—40	16.6
Nashville, Tennessee	38	79	104	—13	48.5
Galveston, Texas	53	83	99	8	47.1
Salt Lake, City, Utah	29	76	102	—20	16.0
Burlington, Vermont	16	68	100	—27	31.6
Norfolk, Virginia	40	78	105	2	49.5
Seattle, Washington	39	64	96	11	36.6
Parkersburg, W. Va.	31	76	106	—27	40.2
Milwaukee, Wisconsin	20	70	102	—25	31.4
Cheyenne, Wyoming	26	67	100	—38	13.6

ZIEMIA I SYSTEM SŁONECZNY

Planeta	Największa Odległość od słońca (w milach)	Czas Obrotu dokoła swej osi (w dniach)	Średnica (w milach)
Słońce			864.392
Merkury	43,355,000	87.97	3,008
Wenera	67,653.000	224.70	7,576
Ziemia	94,452,000	365.26	7,918
Mars	154,760,000	686.98	4,216
Jowisz	506,710,000	4.332.59	86,682
Saturn	935,570,000	10,759.20	72,332
Uran	1,866,800,000	30,685.93	30,878
Neptun	2,817,400,000	60,187.64	32,932
Pluto	3,800,000,000	90,470.23	10,000

ODLEGŁOŚĆ Z AMERYKI DO PORTÓW EUROPEJSKICH

Odległości tu są podane w milach morskich; mila morska ma 6,085 stóp, czyli o 805 stóp więcej aniżeli mila angielska, różnica więc wynosi mniej więcej 15¼ procent, albo innemi słowy, 1,000 mil morskich równa się 1,152½ milom angielskim, na przestrzeni więc dzielącej Amerykę od Europy—przeszło 3,000 mil — różnica wyniesie od 450 do 550 mil. Droga podana jest "północna", inna droga, zwana "południową", jest około 110 mil morskich dłuższa.

Z Do	Boston	New York	Philadelphia	Baltimore
Londyn	3,139	3,313	3,456	3,606
Liverpool	2,896	3,070	3,213	3,363
Glasgow	2,815	2,989	3,132	3,282
Antwerpia	3,184	3,358	3,501	3,651
Hamburg	3,446	3,620	3,763	3,913
Havre	2,990	3,164	3,307	3,457
Bremen	3,395	3,570	3,723	3,877
Rotterdam	3,154	3,329	3,482	3,636
Southampton	2,920	3,095	3,248	3,402
Kopenhaga	3,695	3,870	4 023	4,177
Marsylia	3,708	3,883	4,036	
Genua	3,875	4,050		
Gdańsk	4,245	4,420		
Gdynia	4,265	4,440		

SKŁAD ATMOSFERY

Atmosfera ziemi, czyli otaczające nas powietrze jest mieszaniną gazów, mianowicie azotu, tlenu i wodoru. Nadto zawiera bardzo małe ilości następujących pierwiastków: Argon, neon, helium, krypton i ksenon.

ODLEGŁOŚĆ Z AMERYKI DO PORTÓW EUROPEJSKICH.

Odległości tu są podane w milach morskich; mila morska ma 6.085 stóp, czyli o 805 stóp więcej aniżeli mila angielska, różnica więc wynosi mniej więcej 15¼ procent, albo innemi słowy, 1,000 mil morskich równa się 1,152½ milom angielskim, na przestrzeni więc dzielącej Amerykę od Europy — przeszło 3,000 mil — różnica wyniesie od 450 do 550 mil. Droga podana jest "północna;" inna droga, zwana "południową," jest około 110 mil morskich dłuższa.

Z Do	Boston	New York	Philadelphia	Baltimore
Londyn	3,139	3,313	3,456	3,606
Liverpol	2,896	3,070	3,213	3,363
Glasgow	2,815	2,989	3,132	3,282
Antwerpia	3,184	3,358	3,501	3,651
Hamburg	3,446	3,620	3,763	3,913
Havre	2,990	3,164	3,307	3,457
Bremen	3,395	3,570	3,723	3,877
Rotterdam	3,154	3,329	3,482	3,636
Southampton	2,920	3,095	3,248	3,402
Kopenhaga	3,695	3,870	4,023	4,177
Marsylia	3,708	3,883	4,036	
Genua	3,875	4,050		
Gdańsk	4,245	4,420		
Gdynia	4,265	4,440		

Niema tak złej książki, z której nie można by odnieść pewnej korzyści. *Pliniusz.*

ORYGINALNE SPOSOBY WITANIA

PODCZAS gdy w krajach europejskich i w cywilizowanych częściach Ameryki ludzie witają się podaniem ręki lub ukłonem, istnieją na świecie najrozmaitsze sposoby witania znajomych i gości. Niektóre z tych sposobów są dziwaczne w naszym przekonaniu, jak z drugiej strony nasze sposoby witania mogą się zdawać dziwacznymi w innych stronach świata. Poniżej przedstawiamy kilka oryginalnych sposobów powitania.

Kafr z Afryki południowej, przy spotkaniu ze znajomym klęka i posypuje sobie głowę ziemią.

W Japonii przetrwały jeszcze stare obyczaje. Wchodząc do cudzego domu, należy paść na kolana i w milczeniu pochylić głowę. To samo winna uczynić gospodyni na widok gościa.

Na Cejlonie obowiązuje szacunek dla starców. Przy spotkaniu z patriarchą rodu, młodzież kornie schyla głowy.

Tybetańczycy mają dziwaczny zwyczaj. Na powitanie wysuwają język i szarpią się za lewe ucho.

Kałmucy nie znają podawania rąk. Wolą pocierać się nosami. Nie jest to dobry zwyczaj—w ich kraju panuje trąd.

Bardziej dystyngowani są Australijczycy z wysp Fidżi. Przy spotkaniu z rodakiem podają dłoń do powąchania.

Starożytni Rzymianie witali przez podniesienie ramion, wołając "Ave!"

Zwyczaj ten wznowiono w dzisiejszej Italii, w szeregach milicji faszystowskiej.

oooooooooooooooooooooooooooooooooooo

W SKLEPIE GALANTERYJNYM

Subjekt:

— A może szanowny pan kupi nóż do otwierania listów.

— Nie, dziękuję...

— Ależ, proszę pana, niech pan spojrzy, jaki ten nóż jest elegancki, praktyczny, poręczny . . .

— Jeszcze raz dziękuję. Pan zapomina, że jestem żonaty.

Porównanie

Stoi pyszny, pełen bogactwa dom miastowy,
Z wieżycą w kopule i wołowych ślepiach
w dachu,
Z gondolami balkonów i wykwintem gmachu
Ogromny, wielopiętrowy, ciemnostalowy...

A pod strzechą szarą chyli się zrąb wioskowy
Z wybitą szybą i zatkaną strzępem łachu,
Oberwany i zakurzony pyłem piachu;
Zbyt smutny, grobowy, jednoizbowy.

W pierwszym mieszkają, w drugim tylko
żyją ludzie,
Ci drudzy nic nie wiedzą o techniki cudzie,
Tamci korzystają w pełni z dzisiejszej sztuki.

O, ironio... wśród zwierząt niema takiej luki,
Wśród lisów czy mrówek jednakie mają jamy
Lecz, niestety, my ludzie, równości nie
mamy!

Tafla Lodu

Skoro się człowiek odgrodzi od życia
Jak gdyby taflą przejrzystego lodu,
I nie odczuwa więcej przygód głodu.
I gorącego krwi młodzieńczej bicia.

Gdy po raz pierwszy refleksja się zbudzi,
Która na czole długie fałdy znaczy,
Wtedy się patrzy na wszystko inaczej,
Na świat, na siebie i na innych ludzi.

Wtedy się nie jest dłużej słabą trzciną,
Którą wiatr każdy przygina do ziemi.
Ale się staje nogami mocnemi
Wśród tych, co wokół mijają i giną.

A jednak czasem, w jakiejś słabej chwili
Przez kaprys albo prawo przeciwieństwa,
Żal nam, tak mocnym, młodego szaleństwa,
Którembyśmy wolę w swej duszy zabili.

Daremna żałość — od ogrodów czaru
Dzieli nas przestrzeń dziś już mil tysięcy,
Kto raz utracił, nie odzyska więcej
Lekkomyślności cudownego daru!

Henryk Zbierzchowski.

NAZWA POLSKI W ROZMAITYCH JĘZYKACH:

POLONIA—*po łacinie, włosku, hiszpańsku,* POLOGNE—*po francusku,* POLAND—*po angielsku,* POLEN—*po niemiecku,* POLSZA—*po rosyjsku,* POLSKO—*po czesku,* LECHISTAN—*po turecku,* LENGYEL, ORSZACH—*po węgiersku,* PORANDO—*po japońsku,* POLANKUO—*po chińsku,* LOLIJA—*po łotewsku,* LENKIJA—*po litewsku.*

ZESTAWIENIE ODZNACZEŃ

ŻOŁNIERZY SAMODZIELNEJ KOMPANII „COMMANDO" ZA OKRES WALK WE WŁOSZECH

Złoty Krzyż Orderu „Virtuti Militari" kl. IV	— 1
Srebrny Krzyż Orderu „Virtuti Militari" kl. V	— 19
Krzyż Walecznych — po raz trzeci	— 2
Krzyż Walecznych — po raz drugi	— 9
Krzyż Walecznych — po raz pierwszy	— 36
Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami	— 7
Bronzowy Krzyż Zasługi z Mieczami	— 7
Military Cross (brytyjski)	— 1
Military Medal (brytyjski)	— 1
Krzyż Pamiątkowy Montecassino	— 92
Razem	— 194

„COTA NR 320"

Po noclegu — o ile można było nazwać noclegiem przesiedzenie nocy na twardych kamieniach jaru, mając jedynie płaszcz przeciwiperytowy jako posłanie i okrycie równocześnie — rozprostowywaliśmy skostniałe członki, przeszedłszy do małego gaju oliwnego, gdzie już Sobek usiłował zrobić coś w rodzaju śniadania. Herbata z rumem smakowała znakomicie. Przed nami zarysowały się w ranną mgłę spowite stoki i szczyty gór, nad którymi dominowała jedna kamienista, jasna, łysa — rzekłbyś. Tam mamy dotrzeć. I wierzyliśmy, że się powiedzie.

Naraz ostry niby świst, niby pomruk przeleciał nad naszymi głowami, zarechotał, furknął i głucha detonacja rozbiegła się echem. Artyleria rozpoczynała swą codzienną, nękającą akcję. W górach naprzeciw nas szczeknęło znowu i w łuku przelotu

świst potężniał, rósł, aż runął wybuchem bliżej tym razem. Potem trzeci bardziej w lewo.

— Siedzimy na osi obstrzału — Jurek był specem artylerii, jako że w PAC-u służył uprzednio. Popatrzał przytem na „Łysą", wykrzywił wargę, ukazując przytym bezzębne dziąsła i dodał: Obserwatora tam mają, ani chybi... Słyszysz teraz?... W widły już nas bierze... ciepło będzie, jak nas wymaca.

Słowom towarzyszył czwarty gwizd, zatrzęsło coś jakby ziemię chciało w posadach ruszyć. Przypadliśmy odruchowo do mokrych jeszcze traw. Niewątpliwie zauważyli nas.

— Lekarz... padło gdzieś z dołu — podajcie dalej, niech doktór natychmiast tu przyjdzie.



Zafurkotał w powietrzu piąty, szósty, siódmy. Przez wysoki łubin biegł lekarz naszej kompanii. Z krzaków, z pod drzew, z rowu dobiegały pytania: „Kto?" Okazało się, że oberwał i jeden z naszej Kompanii. Wśród Anglików są zabici i sporo rannych.

— A nie ruszaj się jeden z drugim niepotrzebnie i z gaju nie urządzaj Ogrodu Saskego, bo wyrżnie cię jakieś żelazo zwarfowane w łeb i tyle zarobisz — „Stary" szedł w towarzystwie generała brytyjskiego, który przyglądał się nam z uśmiechem, jakby co najwyżej przechadzał się po wyniosłości, skąd przyjrzeć się można dobrze manewrom.

W gaju przetrwaliśmy dzień cały, ale kilka następnych nawał artyleryjskich nie wyrządziło w naszym szczupłym gronie już żadnych strat. Na zarządzonej o zmroku zbiórce wysłuchaliśmy ponownie szczegółów zadania, w plutonach sprawdzono stany i pomaszerowaliśmy bliżej podstawy wyjściowej do natarcia. Baterie obu stron milczały, jakby i TAM i tu gotując się do morderczego skoku.

Przysłaniał nas głęboki jar, o istnieniu i długości jakiego wiedziało zapewne niewielu. Miejscami rząd maszerujących wy-

chylał się, załamywał, jakby przyginał, zapadał w ciemne pasmo kanału i pozostawał. Szliśmy pomału. Cicho, pokryci, jakby na defiladzie, wolno. Nie stukały kamienie, nie zadzwonił karabin, ni bagnet... Długi sznur sylwetek klapnął wreszcie pod stromą wkopu ścianą i już się nie ruszył. Nawet nie przypuszczałby nikt, że tam są ludzie.

— Jeszcze kilka minut...

Punktualnie o godzinie dziewiątej zagrzmiały działa. Odezwały się z różnych punktów najprzeróżniejszymi głosami, chichot utonął gdzieś w dali niewidocznej, w pojęk wszczepił się rechot „ Vickersów ", zajazgotał niby dzwoniąca po sękach rżniętego drzewa piła, a sznury świetlnych pocisków „pelotek" przecięły ciemność. To nie były sznury — to były setki czerwonych kul, z cichym sykiem sunące w dal — TAM, na przeciwną stronę. Wyrywały się naraz z kilkunastu stron, brzęczały zadowoleniem i mknęły, mknęły, by wbić się, wcisnąć w żywe ciało, by opaść oparzeliną i szrapnela skowytem, by weżreć się, wgryźć głęboko... Nad nami wisiała ognista sięć ruchliwych punkcików, wydłużająca się w linie, wisiała jak strop, pod którym rozpoznawaliśmy się bardzo wyraźnie. Strop ten ział krwią, morderczy bieg niósł posiew śmierci tym, których nię przydusił sześciotygodniowy szał baterii. Wyglądało to niczym urocza świateł iluminacja, prawdy, jakiej nie odtworzy żadne pióro. To trzeba widzieć... temu trzeba się przyjrzeć... Trzeba odczuć całą grozę piękna, jakie roztaczało się przed zdumionym okiem.

— Chciałoby się potem umrzeć!

Nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów głośno. Lucek zaśmiał się cicho.

Oryginalna kanonada trwała bez przerwy. Na horyzoncie powstawały łuny, z prawej strony wystrzeliwało parę ognistych snopów, na stoku góry z prawej płonął las. Żywioł ogarnął nieforemny, duży trójkąt, buchał płomieniem, rozszerza się coraz bardziej. Szczyty tamtej strony milczały. Może oszołomiło ich uderzenie taranu ognia, może przygniotło, powaliło brutalnie o ziemię — która nie była ich, za którą z fanatyzmem mieli złożyć żywot, albo ustąpić...

Paliła nas gorączka. Artyleria huczała niczym duże bąki — coraz rzadziej już, od czasu do czasu jeno. Rozkaz poderwał nas i pchnął w niewidoczną jaru gardziel. Szyki zmieszały się, sznur sylwetek zachybotał w marszu. Wychodzimy na odkrytą równinę, biała taśma wykreśla nam trasę. Tuż przy drodze pokotem leży batalion „Queen's". Wymiana słów, śmiejemy się do siebie.

Artyleria milczy. Natomiast z przeciwnej strony odzywa się grzechot broni maszynowej, który powala nas na ziemię. Wzmaga się, nabiera na sile i... przerwa. Podrywamy się rzutem gwałtownym, nagłym, skok — i przesłania nas gęstwa konarów. — W dole cicho szumi Garigliano. Szeleszczą opadłe liście, czasem

gałąź trzaśnie krótkim klaśnięciem. Słychać stuk stóp o dno łodzi, plusk wioseł. Zsuwam się w dół za swoim dowódcą plutonu. Żołnierz przykucnięty na dziobie „płaskodenki” trzyma się gałęzi, nie pozwalając, by wartki nurt zepchnął ją od brzegu.

— Ready!

Ujmujemy za wiosła. Ciało opada na zgięte kolano przy burcie. Skupiona uwaga, miarowy ruch ramion. Żywo przypominają się treningi w Achnacarry... Rzeka w tym miejscu jest ponad 50





metrów szeroka, ale oto jeszcze parę poruszeń wiosłami i z chrzęstem wpływającej między krzewy łodzi dobijamy do brzegu. Na stromym brzegu Anglicy są pomieszani z nami... Wyżej — niemiecki Schmeisser utrudnia przejście, ostrzeliwując połać doliny. Nawoływania to tu, to z bardziej odległego dolatują miejsca. Lądowaliśmy w różnych punktach.

„Stary” skupia Kompanię możliwie najbliżej siebie. I znowu skok. Broń maszynowa Niemców ostrzeliwuje dolinę zajadlej, szybciej, z kilkunastu jednocześnie stanowisk. Wgryza się w ciała kolumn, których nie widzieli może, lecz obecność których wyczuli napewno. Marsz przechodził miejscami w posuwanie się tyraliery. Morderczy posiew kładł w brózdy śmiałków, trzymał, zdawał się przygniatać... Lecz oni szli. Uparci, stanowczy, niezmordowani...

Głuchszy, tak dobrze nam już znany gwizd. Walimy się, gdzie kto może, wyczekując. Nikt z nas nie strzela. Gwizd przechodzi w syk, szloch, łkanie i wybucha donośna detonacja. Potem drugi... kilka naraz... padają gdzieindziej. A zatem — ciężkie moździerze... Żołnierz pada, podrywa się, przebiega pewien odcinek i znów rzuca się w cuchnące wyziewami siarki i błota bruzdy..

— Romek... gdzie czoło? Na co u cholery czekasz?...

Jakiś rów, kładka, drzewo. Nad nami bzykają świetlne pociski „maszynek”, jak rój upartych os. „Queens” stoją po pas w wo-

dzie, niezdecydowani, co począć... Przechodzę kładkę, za mną Heniek i Romek.

I oto huk rozdziera powietrze, potem jęki, zmieszane głosy i szloch... Nie bólu łzy, a olbrzymiego zawodu...

— Konrad... chcerio... serwus — nie zobaczymy się więcej.., Koledzy... dobijcie mnie... O.., Jezus,,,

Coś chwyta za gardło... za samą krtań... i ciśnie, tłamsi w uścisku. Aż powietrza brak, aż szarpie żałością aż gniecie. Miny. Przeklęte pułapki minowe, których całą masę używają Niemcy w obronie... Ktoś krzyknął: „Lekarz". — Ktoś inny dodał: „Nosze już są..." i niemal jednocześnie drugi huk. Nie!.... uczucie, jakie powstawało, nie można nazwać bojaźnią. To był rodzaj niesmaku, coś nieprzyjemnego, coś arcy-zbrodniczego przy tym... Tego się nie da określić... W tym żaden lęk i żal nie krył się nawet...

To Janek, który biegł tamtym z pomocą... i Anglik – sanitariusz...

— Boże, zmiłuj się nad nami — ktoś szeptał pobożnie, lecz w modlitwie tej słyszałeś pragnienie niemyślenia o tym, co się stało.

„Stary" szukał innego przejścia. Rannymi zaopiekują się koledzy i sanitariusze... Skokami przedostajemy się za lasek, znów rozrzuceni pozostając w płytkich bruzdach. Po dłuższej chwili poszliśmy. Pewniej już, bo artyleria przerwała kanonadę — jeno broń maszynowa terkotała zajadle gdzieś na stokach.

W pierwszych zabudowaniach powitał nas ogień „Schmeissera". Kucnęliśmy wyczekująco pod ścianą wysokiego budynku. Przesłaniał nas kamienny mur. Niemcom utrudniało to przenikliwe wejrzenie na drogę. Najwidocznie strzelali na czucie. Nasz drugi pluton przebywał już skokiem most. Następni szybko podczołgiwali się do przodu, by przebieg i z konieczności na odkrycie wystawiona figura, trwał jak najkrócej. Stąpnięcie i odbicie się gumową, pewną w takich razach podeszwą było niezawodne. Kilka długich kroków... pac... tuż przy drzewie podczołganie się wyżej, trwało sekundy. „Schmeisser" strzelał świetlną serię.

Na odległą górę z lewej strony biegł rój „fajerwerków". Nie tak już jednak skoncentrowany, nie tak szybki w locie, nie tak bogaty w treści. Wydawał się obecnie jak epilog głupiego żartu, jak coś niepotrzebnego, jak parodia nieledwie... Drapaliśmy się stromym, miejscami kamienistym, miejscami pokrytym gęstymi krzewami stokiem. Czasem przykuwał nas do miejsca ogień karabinów maszynowych — wykorzystując teren, nie zatrzymywaliśmy się jednak nigdy nad chwil kilka.

Drugi pluton wysunął się na czoło. Kilka strzałów wcisnęło nas znowu we wnęki i wgłębienia, ale oto seria z Tommy-guna, a nieco wyżej zagdakał bren. Więc pierwsze starcie... Głosy, tupot nóg, ktoś syczał z bólu... na ziemi leżał Niemiec. Niemiec dekorowany Żelaznym Krzyżem za walki w Polsce. Jeden z tych,

którzy w swym fanatyzmie zginęli za Fuehrera. Tym razem odbiegł go uśmiech losu. Polacy mścili krzywdy, zadane we Wrześniu i dziś zadawane Narodowi.



Niżej i bardziej w prawo echem obiły się straty, potem krzyki, klątwy i rumor spadających kamieni. „Queens" atakowali „pillbox" na sąsiednim stoku. Jeszcze dalej szli Royal Marines z 40-go Commando. Drapaliśmy się szybciej, czepiając się występów skalnych i krzewów. Góra była w naszym posiadaniu. Na szczycie usadowiła się nasza broń maszynowa i moździerze.

Biwakowanie nie trwało długo — co głodniejsi chrupnęli parę sucharów — i marsz. Z wysuniętymi patrolami poszli rtm. Wołoszowski i ppor. Zemanek. Zejście wiodło po stromym, kamienistym stoku, gdzie należało posuwać się powoli z uwagi na zbocza sąsiednich wzgórz, o których nie wiedzieliśmy, w czyim są posiadaniu.

Na jednym z występów opuszczone przez Niemców stanowisko moździerza. Nie zdołali go nawet w odwrocie zabrać ze sobą... Stał zwrócony lufą w kierunku, skąd przypuszczano natarcie — bezużyteczny, ze skrzynkami amunicji obok... Na dnie jaru ktoś krzyczał. Mietek i Jurek mieli zadowolone miny, a jeden z nich buńczucznie potrząsał zdobycznym „Schmeisserem". Odprowadzili jeńców. Zaskoczeni nagłym pojawieniem się Polaków, nie usiłowali nawet podejmować walki. Kilku z naszych uzbroiło się dodatkowo w zdobyczne pistolety i karabiny.

„Stary" uśmiechał się. Nie było czasu na rozpytywania. Wolno dostaliśmy się na przeciwległe zbocze. Pierwsze patrole były już przypuszczalnie dosyć od tego miejsca daleko. Czas naglił. Nie można było garstki ludzi pozostawić samym sobie... Ciągle ta niepewność, gdzie można się Niemców spodziewać, nie dawała spokoju.

Dzień wstawał słoneczny, ciepły. Przed nami dobra widoczność, pozwalająca na wglądnięcie daleko w głąb. Z lasu posypa-

ły się serie. W przodzie grzechot strzałów. Szybkie, natarczywe, nerwowe... Znów kilka pojedyńczych.

— R.k.m. do przodu! Pozostać przy nich aż do odwołania rozkazu!

„Stary" okiem dowódcy dojrzał sytuację. Wiedział, co robi, decydując się na ten krok... Ostatni r.k.m. drugiego plutonu.„

Po kamieniami zarzuconym stoku, potykając się raz po raz, rwał ku nam Zygmuś.

— Tam giną... — zaczął zadyszany. — Tam trzeba pomocy... Pluton Niemców naciera...

Na linię wysunął się drugi pluton. Pierwszy obejściem zataczał krąg z lewa. Po stoku wzniesienia, skąd przybył „nerwowy zwiastun", skradał się już pchor. Jedwab z „Jimmym". Walka przeradzała się w chytre, skryte dojście do obu stron. Niemcy przeważali o tyle, że zajęli wcześniej stanowiska. Ponadto wspie-



rał ich ogień karabinu maszynowego, osadzonego na płaskim wierzchołku największego wzniesienia.

— Rany Boskie... patrz!

Nie spuszczaliśmy oczu z tego, co się przed nami rozgrywało. Celowniczy napróżno szarpie rączkę r.k.m.-u... Niedbałość Anglików o magazynki daje w tej chwili widoczne rezultaty. Ale sytuację naprawia Zenon. Por. Czyński pokazuje mu coś. Karabin z lunetą podnosi się, spoczywa lufa w tamtym kierunku. Dalej jednak wali na ziemię plut. Blasiak, chwieje się pchor. Jedwab i jeszcze ktoś...

Por. Zalewski, wykorzystując zasłonę z kamieni, podsuwa w tyralierę rozrzucony pluton na stok już. Ktoś się dźwiga... nie można zdala rozpoznać twarzy... Głęboki rozmach ramienia... Ktoś inny tuż przy mnie syknął, jakby go trafił odłamek.

— Przeniósł, psia krew!

Rzeczywiście. Granat przeleciał aż na drugą stronę. Następny lepszy... i dalsze. Po prawym stoku jakaś sylweta śmiało biegnie naprzód. Znów ktoś zwalił się z nóg... i następny... Terkoczą tommy-guny zajadle, bez wytchnienia Z boku wtóruje r.k.m.. na zmianę z r.k.m.-em „Jimmiego". Wplatają się w to pojedyncze strzały karabinowe.

— Rotmistrz zabity. I Klajber... i „Koleś" — dowiadujemy się.

Biegnę z rozkazami, skacząc przez murki, byleby prędzej. Kamienie i wysoka trawa utrudniają gonitwę... Padam. Strzały z kilku stron. Na wzniesieniu ktoś leży bezwładnie. Decker... dostał od strzelca wyborowego w tył głowy. Silnie broczy krwią i jest nieprzytomny.

— Jurek... już nie mam sił... kona, a ja mu nic pomóc nie mogę — Adaś jest zrozpaczony. Patrzy na mnie z takim bólem, jakbym to ja był przyczyną śmierci tamtego. Cisnął bandaż o ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

Skokami przebiegają pojedyńczy żołnierze.

— Psubraty trafili mi Jasia Młynka... — Wojtek jest wściekły. Mija mnie szybkim zrywem.

Oddziałek mocno przetrzebiony przesunął się bardziej w głąb oliwnego gaju, przypadając pod wysokimi ścianami z kamienia... Zbyszek naprożno usiłuje nawiązać łączność z brygadą.

Mieliśmy czterech zabitych, dwudziestu rannych, wielu utykało na nogi. Staraliśmy się nie poddawać przygnębieniu, które jednak przytłaczało. Przed nami znacznie od naszych większe siły nieprzyjaciela, stanowiska broni maszynowej na wzgórzach, „sniperzy" zaszyci w gąszczach nierozpoznanych stoków... Kota 320... I defilada rannych, którą dziś rano zapoczątkował Franek Słysz...

Na wysuniętych placówkach nasi obserwatorzy. „Sniper" strzela z różnych kierunków. Nie jeden, jak się później okazało. Godzina późnego popołudnia. Ten i ów stara się coś skonsumować, ale jakoś kąski nie przechodzą przez gardło.

Na domiar wszystkiego rozpoczęła swą akcję artyleria niemiecka. Żelazo waliło się zrazu na przeprawę na rzece i wąwóz, ryło ziemię, niczym lemiesz nadrzuconego pługa, rwało zajadle, wściekle. W gwiździe przelatujących pocisków czaiła się bezgraniczna złość i okropność mordu. Gaj oliwny jęknął echem wybuchu. Skrócili celownik... Nie ulegało kwestii, że „sniper" spełnia zarazem rolę obserwatora artyleryjskiego.

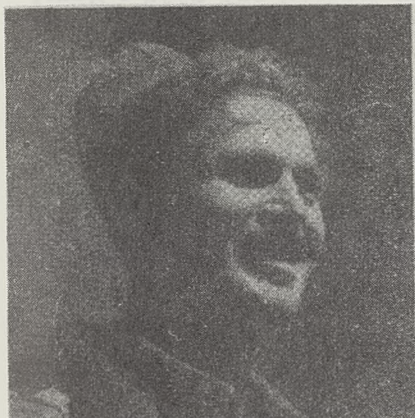
Zmieniamy miejsce. Przebywamy wolno murki, zbiegamy w dół, kucamy w momencie zbliżania się syku pocisku... Jest ich coraz więcej... coraz częściej bądź uderzają w gaj, bądź warczą nad nami. Kamienie z rozbijanych murków fruwają w powie-

trzu. Niektórzy z kolegów naprawdę cierpią z powodu nóg. Staramy się przecież trzymać razem.

Hen w dole, przy mostku, który w nocy przeszliśmy, widzimy placówki „Oueens Regiment'u". Obleśny uśmiech wypełza mimowoli na wargi. „Nasze zaplecze"...

„JERZYCZ"

LISTY





Siedzę na spalonej słońcem trawie pod kamiennym murkiem i wygrzewam strudzone ciało. Nie słyszę ciągłego huku dział i grzechotu karabinów maszynowych i nie myślę o tym, że zaraz pójdziemy dalej. W ręku trzymam paczkę listów, znalezionych przed chwilą na zdobytej niemieckiej pozycji.

Dziwne to listy, zabrane od zabitych, rannych czy wziętych do niewoli „Niemców", i dziwne uczucie mam, przeglądając tę korespondencję. Z nagłówków biją w oczy znane nazwy: Katowice... Pszczyna... Wisła.„ Gorlice:.: a dalej jakże drogie, a jak dawno nie słyszane słowa: „Kochany braciszku..." „Drogi Synu..."

Listy z Kraju... z Polski... pisane po polsku.., I mimo woli zaczynam zazdrościć tym chłopcom w mundurach „feldgrau", że mogli korespondować ze swoimi bliskimi, że mogli jeździć do domu na urlopy, że wiedzą, co się TAM dzieje. I nagle te listy stają się niezmiernie drogie dla mnie, nie mającego już z górą cztery lata żadnego listu z domu. Bo przecież list do mnie byłby pisany chyba tymi samymi słowami:

„...Pozostaje nam jedynie Boga wraz z Tobą prosić, by Cię tam jakoś od tego wszystkiego uchronił i pozwolił Ci cało i zdrowo powrócić."

I dalej — jako że korespondencja pochodzi z okresu świąt Bożego Narodzenia — czytam szereg uwag o świętach, tych

świętach, które były stworzone jako symbol Radości i Pojednania, a są dziś symbolem Smutku i Rozłąki.

„... nadchodzą święta; jakie one będą, to sam Bóg wie. Dla nas w każdym razie strasznie smutne, jakich my jeszcze nie przeżywali. Posyłam Ci w tym liście opłatek, jeden od rodziców, a drugi od siostrów."

Jakoś dziwnie się robi na wspomnienie opłatka. Już piąte Boże Narodzenie spędziliśmy na obczyźnie i już pięć razy moi najbliżsi łamali się opłatkiem beze mnie. Przynajmniej wierzę, że się łamali, bo przecież wcale nie wiem nawet, czy żyją i gdzie się znajdują. I oni też nie wiedzą nic o mnie. Ta sama myśl przewija się także i w listach:

„...nic nas nie cieszyła ta Wilija. Jeśli my mieli przeszłego roku smutną, to latoś dopiero. Bo przecież jeszcze August i Jerzy żyli, a latoś zostałeś Ty sam. Jeśli my przeszłego roku przy stole płakali, to latoś tem bardziej. Bo nie wiemy, jaką Ty latoś Wilije odprawiasz i kaj — czy chociaż tam żyjesz jeszcze..."

Tak — nie wiemy, czy jeszcze żyje — ale jeśli właściciel tych listów żyje, to w każdym razie nastrój jego nie jest zbyt podniosły. Mówią o tym niedokończone listy do kolegów i do domu:

„...brakuje mi dwóch bratów i Tobie też — niech pieron strzeli ta cała wojna."

„...jak przeżyłem ten dzień, to sam nie wiem — był to Sąd Boży, piekło i koniec świata. Nic ino głowę chowałem, by nie słyszeć już huku motorów i eksplozji bomb..."

To tylko odwet za Warszawę, za Westerplatte, za Bzurę, za tyle, tyle bombardowanych miast i wsi...

„...jest to coś strasznego być na froncie, a już najgorsze to ta ciągła ucieczka..."

Wiem, znamy ten nastrój odwrotu, przeżyliśmy go już dwukrotnie, we wrześniu 1939 r. i czerwcu 1940 r. Ale zato dziś Niemcy cofają się wszędzie, mimo zapewnień w komunikatach i dziennikach, co potwierdza odpowiedź z domu na jakiś list:

„...piszesz nam, że wy nie idziecie naprzód, a jak w gazecie czytom, to wy ino naprzód idziecie — i komuż teraz wierzyć?..."

Nie lepsze nastroje się na Wschodzie. Znajduję list od kolegi na froncie rosyjskim — skąd? Bliżej nie wiadomo? Nagłówek mówi tylko „Russland".

„...kolegów to Ci muszę napisać, że już wogóle wcale nie mam, wszystko jest w lazarecie, no i gdzie indziej też. Taki dzień, jak żem wtedy przeżył, to bym już więcej przeżyć nie chciał."

Z domu, od rodziny idą na to słowa otuchy, słowa pocieszenia:

„...nie bierz sobie tego do głowy i nie wątp. Zło minie tak jak pominęło dobre. I przyjdzie znów ten czas, że będziesz się miał lepiej. Nie śmiej sobie zniechęcać życie, tylko żyj z tą nadzieją, że jutro będzie lepiej. Nic wiecznego na świecie nie ma — i to się skończy i kiedys wszyscy do swoich domów wrócimy."

Czasem dodane są rady, które aż dziw, że cenzura niemiecka przepuściła:

„...najlepiej mają ci, co się dają zajonć, ale tylko do Englije... Zeby Ci Pan Bóg dał szczęście też teraz się dostać do Englika do niewoli. Jak będziesz miał przyleżytość, to daj się zabrać."

A o tym, jakie są nastroje w Kraju i co społeczeństwo sądzi o wyniku tej wojny, obrazuje nam odpowiedź na jakiś otrzymany z frontu list:

„...piszesz, że tam bunkry budujecie, a i to ani czasu nimosz pojeść. Widzi Niemiec, że przegro, a tak się wszędzie zabezpiecza."

„...mam nadzieję, że się to już wszystko niedługo skończy."

Niemcy jednak nie tylko umacniają się i budują „bunkry", ale i powołują coraz to nowe roczniki pod broń. Każdy list z Kraju zawiera liczne nazwiska tych, którzy dostali karty powołania. W wojsku idzie wszystko szybko — opisuje to jeden ze świeżych rekrutów:

„...w piontek rano my tu byli, w sobota nas łoblekli, w poniedziołek my przesienga mieli, a we wtorek to już syło los..."

Nie wszystkie jednak listy są smutne i poważne. Zrzadka trafiają się i wesołe. Jeden z adresatów awansówał na Obergrenadiera — i oto jaką odpowiedź dostaje z domu:

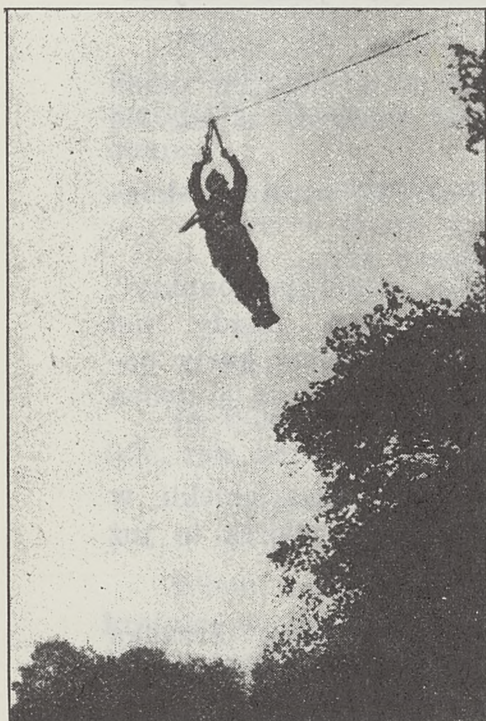
„...bardzo nas rozfeselił tyn list, gdy przyszedł i czytom na kopercie Obergrenadier i wszyscy my się śmiali. A potym otworzyłam list i czytom, żeś jest od 1 października wyższy i pierwszy lepszy wojok musi cię słuchać. Bardzo się z tego śmiejemy, że ty nie umiesz po niemietzku, a dostoł żeś ta gwiazdka. A napisz nam, jak to bydziesz rozkazywał, czy po polsku, czy po niemietzku?..."

„...pisał nam jeden kolega, że by żeś już dobrze mówił po niemiecku, ino że nie chcesz..."

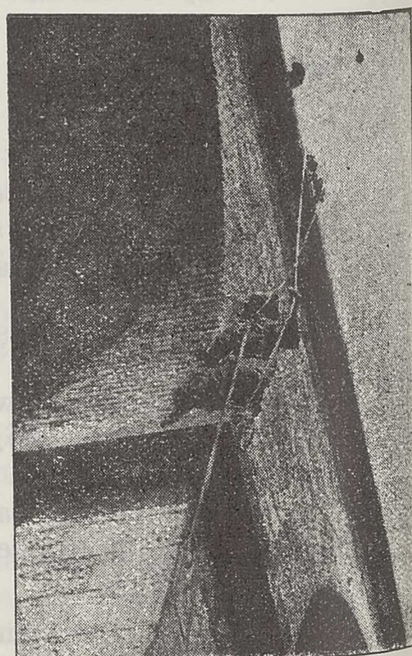
Dziwni byli ci „Niemcy" na pozycji przed nami, którzy nawet po niemiecku mówić nie umieją. I nie mówią nie dlatego, że nie mogą się nauczyć, ale dlatego, że nie chcą. Ale kiedy już włożyli na siebie mundur, to walczą dobrze, bez względu na to, jaki mundur noszą. Zaczynam rozumieć teraz, dlaczego tragicznym zrządzeniem losu w niektórych momentach walka była tak zacięta. I wiem to, że gdzieś tam daleko w kraju, może w tym samym nawet mieście, za mnie i za mego przeciwnika jest wznoszona w tym samym języku błagalna prośba

„...o szczęśliwy powrót naszych synów w domowe progi prosimy Cię Panie..."

MACIEJ DRZEWICA







„LINOŁAZY"
ĆWICZĄ



Szkicownik Kresowy Mariana Kratochwila. *II. Dziad z Łopuszna (Podole).*

Pustelnik z Paddington'u

Reprodukcje rysunków ze „Szkicownika kresowego", Mariana Kratochwila mogą niejednemu sprawić niespodziankę. Ten wybitny malarz polski przebywający od wielu lat w Londynie jest niemal zupełnie nieznany. Doprawdy niewiadomo czemu ów zadziwiający fakt przypisać. Czy jego skromności? Czy dumie? Czy wreszcie niezaradności gdy o rzeczy tego świata chodzi?

Zamiast odpowiedzi na te pytania chciałbym raczej rzec coś o człowieku, który je wywołał. I tu znowu nastręczają się jednak trudności. Bo może zacząć by należało od jego zdumiewającej, wręcz staropolskiej gościnności? Może od opisu studia, którego okno wychodzi na dom poety: Browninga a kąt każdy i ściana przyciąga oczy obrazami artysty i jego przyjaciół (wśród których pierwsze miejsce zajmuje zmarła przed kilku laty Ethel Walker), rzeźbiami, sztychami mistrzów japońskiego drzeworytu, wielką ilością książek? Może wreszcie przypomnieć tematy rozmów przeradzających się w namiętne spory — nieoczekiwanie wypływających na czyste wody porozumienia?

Najlepiej może, oparłszy się wszystkim pokusom, zacząć od początku to jest od miasta Kosowa na Huculszczyznie w którym roku Pańskiego 1906 przyszedł na świat przyszły artysta. Młodość spędził we Lwowie i Złoczowie gdzie uczęszczał do gimnazjum. Zacząwszy malować a szczególniej rysować wcześnie, po ukończeniu szkoły średniej nie udaje się jednak do Akademii Sztuk Pięknych, ale na uniwersytet lwowski, gdzie studiuje filozofię i historię. Pozostaje mimo to zawsze przede wszystkim artystą, rozwija się, zdobywa swój własny styl, wydoskonala technikę. Z tych to głównie lat pochodzą jego szkicowniki zapełnione scenami z miasteczek i wsi polskich, wołyńskich, poleskich — gdzie postacie chłopów, zagrodowej szlachty, Ukraińców i Żydów przewijają się przez pożółkłe kartki wśród wspaniałych studiów koni — studiów zdumiewających cierpliwością i znawstwem, wśród domów z podcieniami pamiętających czasy dawnej Rzeczypospolitej. Szczególną uwagę artysta poświęcił zbożu i błotu. To ostatnie — czwarty żywioł wsi polskiej — pasjonowało go szczególnie.

Większość szkicowników pozostała w Polsce. Te — które różnymi i nieprzewidzianymi drogami dotarły do „londyńskiej Wenecji" — nad cichy kanał paddingtoński stanowią, obok swojej wartości artystycznej, zupełnie wyjątkowy dokument rzeczywistości która już nie istnieje. Jest to zapisana ręką artysty karta życia, które już skrzepło w historię. Ostatni jego moment, jego rumianą, dojrzałą urodę — tuż przed nieoczekiwanym zachodem utrwaliło piórko i ołówek Mariana Kratochwila. Jak Norblin, a częściowo Chodowiecki zachowali nam piękno barwność codziennego życia Rzeczypospolitej przed rozbiorami tak on uchwycił ostatni uśmiech przedwojennych Kresów.

Gdy w 1936 roku artysta opuszczał Puczajów, Podkamień, Lwów aby udać się do stolicy — przyjęcie do Akademii Sztuk Pięknych zbiegło się z jego wystawą w Zachęcie, uwieńczoną obok wielkiego powodzenia — brązowym medalem. Już to samo rzuca światło na jego postać i charakter: pozycję swoją zdobył dzięki własnemu talentowi i pracą — do Akademii przyszedł zaś aby się uczyć a nie aby być uczonym.

Gdy wybuchła wojna, jako oficer rezerwy odbył kampanię wrześniową, a potem — po przeprawieniu się przez Węgry i Jugosławię — kampanię francuską aby dobrnąć wreszcie w 1940 r. do Anglii.

Lata szkockie wypełnione nudnymi zajęciami wojskowymi nie były jednak dla artysty stracone: maluje, rysuje, czyta, ogląda. W tym czasie powstaje jego cykl miedziorytów „Wojna", dziś trudny do zdobycia: kilkanaście odbitek rozeszło się niewiadomo gdzie (sam autor nie ma już chyba kompletu) a przekreślone płyty zawędrowały do muzeum w Chicago. Najmocniejsza w tym cyklu jest „Warszawianka". Sztych o rzadkiej sile, realizujący trudną syntezę prawdy w sztuce i historii. Nie ma tu anegdoty (w wulgarnym tego słowa znaczeniu) jest za to treść: patos walki pokazany w wielkim, tragicznym skrócie — przenośni.

Po demobilizacji Kratochwil przebywał czas jakiś w Edynburgu aby w 1947 osiąść na stałe w Londynie. Tu przekonuje się raz jeszcze, że droga artysty jest bezustanną nauką, pogłębianiem, rozwojem. Odkrywa coraz nowe światy, w tych które znał od dawna znajduje nieoczekiwane perspektywy. Jakże inaczej widzi teraz Rembrandta, El Greco, Goyę a przede wszystkim starożytną sztukę grecką, egipską, assyryjską, chińską.

Uważna włóczęga po Europie wydaje teraz owoce. Wśród trudności materialnych, zgryzot, zamknięty w ciasnym kółku wypróbowanych przyjaciół rozszerza swoją artystyczną wiedzę, dojrzewa. I oto tragiczny paradoks: artysta, który był doceniany w swojej młodości, teraz, gdy wartość jego dzieł wielokrotnie wzrosłą staje się — pozornie — nieznany. Jakże niewielu ludzi widziało jego ostatnie rysunki i płótna, a wśród nich „Don Kichota" — dojrzały owoc wieloletniej pracy pokazujący problem, który niepokoił tak wielu artystów w zupełnie nowej a niezwykle pięknej postaci.

Znowu wracają natarczywe pytania: Czemu to przypisać? Powodom wymienionym uprzednio? Analfabetyzmowi artystycznemu emigracyjnego społeczeństwa? Bezkompromisowości poglądów artysty — poglądów niepopularnych, cierpkich w swojej prawdziwości? Zapewne wszystkiemu potrosze.

Ale karta odwraca się. Jeśli zapomniało o Kratochwilu rozpolitykowane pokolenie gadułów, przypominają go młodzi, niewrażliwi na wrzaskliwość i reklamę, ostrożni wobec oficjalnych „mistrzów" poszukujący prawdziwych wartości.

Mieczysław Paszkiewicz

WIRYDARZ POETYCKI

Leszek Szar-Mierkowski

PACIERZE DO DUCHA ŚWIĘTEGO

O, rozświetl oczy doktorom,
by cień wieńca nie zamroczył ich wzroku;
swym wiodącym płomykiem prowadź
tych co jarzmią bezdroża w tor kroków.

Kardynalskie ronda uprzejrzyścij,
niech błękitu z oczu nie wyczernią.
I ornatom złocistym daj ciężar
aby lekkość przywracać mógł cierniom.

A młodzieńcom zapal oczy słońcem,
niechaj będą jako obłok czyści.
A dziewczęta błękitem przeniknij,
niech w nich jutro jaśniejsze się ziści.

* * *

Ocień mnie Duchu światłem
co z duszy czyni altanę.
I płomienne ogniki wznieć w słowach,
by słowa znów były łatwe
jak dziecinne marzenie nad ranem.

A wieczorem gdy dręczy od nowa
całodziennych zmroków zmierzchanie,
Gołębicą sfruń mi nad głowę,
kiedy sercem przyklęknę w pokorze,
I gałązką oliwną mi ożyw
pamięć lądu mojego za morzem.

Uppsala czerwiec 1955

Roma Oszczakiewicz

RANEK

Rano pierwsze budzą się ręce.
Niespokojnie zaczynają szukać, macać,
I ostry blask żarówki oślepia oczy.
Wstaje poranny robot.
Zapala gaz, maluje usta.
Myśl jeszcze w nocy.
Świadomość śpi skulona na poduszce.
I dopiero później,
W granatowej szarzyźnie przedświtu
Spotykają się przed tunelem kolejki
I razem zaczynają iść:
Ciało — poranny automat
Sunący mechanicznym krokiem —
I zadyszana myśl.

Ewa Dietrych

WIOSNA PO PROSTU

Deszcz na szybach się kładzie,
Wiosenny,
Leniwie, łakomie się tuli.
Każda kropla za siebie,
Jak w dzień swego poczęcia.

Drzewa się w słońcu kołyszą,
Wiosenne,
I senne, rytmicznie się budzą.
Każdy pączek wytryska odważnie, .
Niepomny co robił tamtej wiosny.

Ziemia z mgieł i oparów powstaje,
Wiosenna,
I lękliwie w słońcu się grzeje,
Wypręża swe ciało, przeciąga powoli,
Jak za pierwszej wiosny, wieki, lata temu.

I bzy. I pęki bzów wiosennych,
I szmer rozkoszy w trawach,
I uśmiech szczęścia na twarzach —
Które nic nie pamiętają.

Marzec 1952

M. Paszkiewicz

SERCE

pół serca jest rude
a drugie pół czarne
jak na nożu
nożu który
znasz z opowiadania
nożu do przecinania kartek

pół serca jest rude
zakrzepła na nim
krew Agamemnona
strzępiły się
włosy Izoldy

elżbietański kowal
nie wyrównał
ostrza noża
ani chropowatości serca

pół serca jest czarne
czy uwierzysz
czarne jest
pół serca

Highams Park

Tadeusz Różewicz

Wyrok

Czekałem na Eemila. W niskim pokoju było ciemno, tylko przez okno padał na ścianę prostokąt światła, przełamany czarnym krzyżem okiennej ramy. Prostokąt podnosił się i opadał, posłuszny znakom lampy, którą rozkołysał na ulicy wiatr. Umówiona godzina minęła. Emil znów nie przyszedł.

— Może nie wydębił jeszcze tego Visa — myślałem — a jutro ostatni dzień, jeśli jutro się nie uda, trzeba wracać do oddziału...

Światła nie zapalałem. Czytać mi się nie chciało, pisać też — pisać... o czym, do kogo? Przyglądałem się ptaszkom na tapecie i liczyłem ile ich siedzi w jasnej, prostokątnej klatce światła, ale ptaszki wymykały się z klatki i ciągle myliłem liczbę. Powtarzałem bezmyślnie dawno słyszany wierszyk:

„Ecie pecie na tapecie
na tapecie ecie pecie".

Powtarzałem sobie ten wierszyk, plątałem jego bezsensowne słowa — nie liczyłem godzin, które wybijał ścienny zegar ukryty w mroku. Myśleć! O czym myśleć... Emil, Emil...

Nagle zabrzęczała szyba, w oknie zarysował się ciemny kształt kobiecej głowy. Szamocąc się z zasuwkami, łańcuchem i haczykiem, otwierałem drzwi. To Ludwika przyszła z różańca.

— Co ty, Gustaw, spałeś? O mało szyby nie wybiłam! — wykrzykiwała.

Zasłoniłem okno i zapaliłem światło. Ludwika uśmiechnięta mrużyła wielkie, modre oczy. Cała okryta była nikłą siatką deszczu, który srebrzył się na czarnym palcie, chustce, włosach i drżał na wywiniętych rzęsach.

— Będziemy gotowali kolację — powiedziała i w mieszkaniu zrobiło się zaraz jakoś milej i przytulniej.

— Ludwiko, czy ta świnia przyjdzie czy nie, co?

— Akurat, przyjdzie! Za tydzień, dwa. Już ja go znam, nie masz co czekać dzisiaj...

— No to wyjdę, bo mnie głowa boli, cały dzień w chałupie.

— Gdzie ty znów, przecież cię zobaczą...

— O, zobaczą! Ciemno, a zresztą gwiżdżę.

— Ale weź parasol, Gustaw!

— Co mi po parasolu, daj spokój.

— Weź, mówię, co to za chłopaczysko, deszcz pada.

— Deszcz, deszcz. „Kapuśniaczek se siąpi", jak mawiał mój polonista, nie deszcz. Żebyś ty dziewczyno wiedziała, ile wody nalało mi sią za kołnierz, to...

— No, masz i uciekaj, wy wszyscy jesteście ważni a potem stękacie, Marysiu, Kasiu, Zosiu kłuje mnie, boli mnie... tylko zaraz przychodź, bo kolacja.

W ciemności, rozpuszczone w gęstym, lazurowym deszczu tliły nieliczne gazowe lampy. Ślepe fasady domów z szeregami wygaszonych okien przesuwały się w blasku dalekich, reflektorów, które obmacywały nieprzenikniona bryłę jesiennego wieczoru. Pod ścianami domów przemykali spłoszeni przechodnie. Kiedy zbliżyłem się do starostwa, z bramy wyszło dwoje ludzi. Poznałem ich, to był mój dawny szef Słupnik i „frojlajn" Larisch; ona

stawiała szerokie, marynarskie kroki, Slupnik drobił obok jak mały piesek.

— Kopę lat, pomyślałem, przecież to już rok, jak opuściłem „Kreishauptmannschaft", a z pół roku od naszej wizyty na ulicy Zielonej, ciekawe czy „szef" ma jeszcze ślady na d .. e... ale co z tym naszym? Zresztą niech się Emil o niego martwi.

Zatrzymałem się na rogu, koło słupa, było na nim pełno kolorowych ogłoszeń. Kino „Metropol" reklamowało jakiś film z Paulą Wessely „nur für Deutsche", pod tym afiszem wisiał biały, prosty „Bekanntmachung" wyższego dowódcy SS i policji o rozstrzelaniu dziesięciu zakładników, obok tłustymi literami były wydrukowane nazwiska dziesięciu dalszych zakładników, którzy „zostaną rozstrzelani w wypadku powtórzenia się zamachów na życie i mienie członków SS i policji, obywateli Rzeszy i państw sprzymierzonych oraz osób pozostających pod opieką władzy niemieckiej". Na tej liście znajdował się też Marek. Jeśli nam się jutro uda, to ci wszyscy... kaput... szkoda ludzi.

Zawróciłem do domu. Przeszedłem szybko koło pustego parku. W jego chłodnym, mrocznym wnętrzu wył jesienny wiatr, na środku stała samotna, kamienna figura, od której uleciały ptaki i liście lata, w głębi powstało i przeminęło wspomnienie sztubackich spacerów... to było tak niedawno, można jeszcze dłonią wykryć na ławkach blizny po wyrytych sercach, literach i strzałach.

Wiatr się wzmagał, biegłem rozpryskując wodę i potrącając przechodniów; chciałem być w domu. W taki psi czas, kiedy buty opuchłe od wody piszczą a mokre nagie drzewa drżą i skrzypią żałośnie, ludzie uciekają do domów spłoszeni i nastroszeni jak dzikie koty. Dobrze jest wtedy pomyśleć, że w ciepłym, widnym mieszkaniu czeka uśmiechnięta dziewczyna, talerz zupy i herbata, taka, co parzy język i podniebienie.

Stuknąłem we drzwi, tak niedbale, ze dwa razy butem. Drzwi się otwierają a Ludwika stoi blada z przymkniętymi oczami.

— Och, ty wariacie — trzepnęła mnie po głowie ścierką — kto tak puka do porządnego domu, ty dziku, tak się... oo, co się tak uśmiechasz, właśnie wcale się nie boję — pokazała mi różowy język.

— Emila nie było?

— Oczywiście, że nie. Jak ja mówię za tydzień, to za tydzień. Zrobiłam kopytek z marmoladą, zdaje mi się, że lubisz?

— Tak, tak — mruknąłem niewyraźnie, myśląc ze zgrozą o czubatym talerzu klejącyh się klusek.

Po kolacji Ludwika zmywała a ja usiadłem blisko kuchni i zacząłem czytać. Ludwika nie dawała mi spokoju, koniecznie chciała, żeby czytać głośno, że ona też chce posłuchać. Trochę przeszkadzał mi szczęk zmywanych statków, ale czytałem. Były to wiersze.

Kiedy przerwałem, Ludwika spytała patrząc przed siebie:

— A ty, Gustaw, nie piszesz teraz?

— Hm, bo ja wiem, dziewczyno.

— Jak to, przecież ty takie ładne wiersze dla Dziuni pisałeś, pamiętam.

— Piszę, piszę, może posłuchasz. Mój ostatni utwór liryczny:

„Moja mamo daj mnie za mąż albo..."

— Przecież to nie twoje — krzyknęła — ja to znam!

— Znasz? Aa, to ciekawe...

O, wy wszyscy jesteście świntuchy a ty najgorszy i to poeta — wydęła pogardliwie usta.

— Ee, jaki ja tam poeta, zwyczajny jędruś jestem. Inter arma silent Musae, co w przekładzie...

— No, wiesz! Przecież jestem maturzystką. Och, Gustaw, zabierz mnie z sobą! Zabierz, będę się biła jak każdy, będę wam prała, gotowała...

— Taak, ciebie tam tylko brakuje. Będziesz prała gotowała...

— No, co się tak uśmiechasz, Boże, dlaczego ja jestem kobietą?!

— Ta znów swoje! Uśmiecham się, bo z tym praniem to kłopot, brak pralki, rozumiesz? Zresztą da ci Marek las, tylko wyjdzie...

Twarz Ludwiki zmierzchła, kiedy wspomniałem imię jej chłopca. Uśmiech wykrzywił się w dziecinną, smutną podkówkę płaczu. Zacząłem mówić szybko, z ożywieniem.

— Pewnie, kto by tam nie chciał iść. Las zielony, niebo niebieskie, w nocy gwiazdy. Swoboda. Ja wprawdzie, przedstawiałem sobie to wszystko inaczej. Zdawało mi się, że tam będzie bardzo romantycznie, panny mówią „ślicznie, cudownie, zachwycająco", zdawało mi się że będę żył w jakimś uniesieniu, nastroju, czy ja wiem... romantyzm... niektórym ludziom zdaje się, że człowiek przed śmiercią, na dzień czy na godzinę przed śmiercią, robi jakieś ceregiele i wielkie historie, rekolekcje, rachunek sumienia, diabli wiedzą co. My jesteśmy ciągle o dzień, o godzinę odgrodzeni od śmierci, wiemy o tym. Ale co się dzieje? Gość, mimo tak bliskiego sąsiedztwa śmierci, opala sobie pępek na słońcu, użera się o repetę, patrzy jak obłoki płyną po niebie i plecie o wódzi i dziudzi, a dziudzia to Ludwika, albo inna Marysia. Śmierć mało waży. Wszystko wygląda inaczej. Rozczarowałem się, Ludwiko, rozpaczałem nawet — bo to widzisz o te „ideały" chodziło. Było, było i nagle nic. Co tam! Kiedy bractwo urżnęło się albo kiedy kucharz Szydelko skręcił 10 litrów gorzelniaka, albo, że jakiś inny skradł koszule i skóry, robiłem z tego wielkie „hallo" i tragedię, a przecież to takie proste, że muszą być świnie, prawda? Raz się nawet popłakałem nad sobą i nad wszystkim. Teraz minęło. Jestem starszy, rozsądniejszy. Wiadomo, człowiek im starszy, tym większe bydlę, tak jakoś już jest. Ale to wszystko bzdury, Ludwiko! Tam w lesie jest swoboda — rozumiesz, swoboda! I dlatego tam siedzę.

Nim poszedłem do lasu, pracowałem okrągły rok w starostwie, „Kreishauptmannschafcie", jako praktykant przy kierowniku urzędu mieszkaniowego. Jeśli będziesz przechodziła tamtędy, przyjrzyj się dokładnie budynkowi. Wysoki parkan, kłęby kolczastego drutu, w oknach kraty, przed żelazną bramą wartownik, czasem dwóch. W drzwiach wejściowych jest okienko-judasz, można przez nie oglądać interesantów. W dni przyjęć stoją przed bramą długie, cierpliwe ogonki. Przyglądałem się tym ogonkom, ludzie z dnia na dzień stawali się niewolnikami. Ach, tak, to można było zaobserwować! Dowódcą Sonderdienstu jest Scharführer Mörder, ładnie mu dobrali nazwisko, znasz przecież to czarne bydlę? Scharführer uważał, że zawsze i wszędzie musi być „Ordnung" a szczególnie w kolejce.

Patrzę raz, przez okno; Mörder się wściekł i wyje a ludziska stoją. Stado. Przyskoczył do jakiegoś pana i zaczął go walić pięścią po głowie, ta siwa głowa latała śmiesznie jak u pajaca, stary pan stał wyprostowany i ręce trzymał przy sobie, kiedy Mörder przestał, stary pochylił się i podniósł kapelusz. Stał w ogonku z odkrytą głową, ocierał sobie twarz chusteczką. Jakaś dziewczyna z czerwonymi wargami uśmiechała się do Mördera i wierciła na pięcie, dostała w czerwoną, tłustą twarz i stała teraz z otwartymi ustami.

Za jakąś godzinę przyszedł do nas Mörder, częstował jak zawsze papierosami „Schmale-Plaskie", jak zawsze wziąłem, podziękowałem i zapaliłem. A później, kiedy byłem u siebie w domu, kiedy byłem sam, wieczorem...

O czym to ja zacząłem, Ludwiko, o naszym biurze? A więc pracowałem rok. Miałem na biurku kartotekę, w której było kilkaset kart pokratkowanych, wpisywało się tam ładnym, wyraźnym pismem cyferki: wpłaty, wypłaty. Mój szef nazywał się Józef Słupnik, Ślązak z Rudy, jeszcze młody człowiek. Wtajemniczał mnie widzisz, w arkana biurowej pracy. Stały u nas dwie wielkie szafy pełne papierów „Wohnungsamtu", w tych papierach grzebał się Słupnik od ósmej rano do piątej po południu. Klatkę piersiową miał płaską i wklęsłą, cerę żółtą. Równy, pedantyczny przedziałek na głowie wyglądał jak jakaś rubryka, ani jeden włos nie mącił tej nieskazitelnej linijki. Zacierał ciągle ręce i mówił cichym głosem. Ten ci, mój szef, Słupnik, u-

czył mnie na swój sposób życia. Nad sobą miał też szefa, Reichsdeutscha Maksa Kohnera, siedemdziesięcioletniego staruszka, który bardzo lubił pić „wodka“. Słupnik nie chodził zwyczajnie, tak jak człowiek, on się skręcał i rozkręcał jak glista, albo przemykał korytarzem przyciśnięty do ściany; do gabinetu starego Kohnera nie wchodził, wślizgiwał się i wyślizgiwał jak szczeżuja przez szparę w muszli i zaczajony, czekał przy drzwiach na chrząknięcie starego. Przegięty, podsuwał Kohnerowi papiery do podpisu, oczy miał wtedy zawsze przymknięte. Wstrząsał się cały, kiedy czasem powiedziałem cóś głosem normalnym, donośnym. Szyję miał cienką z rozlataną grdyką; trochę podobny do zbitego psa. Słupnik nosił na niej jakby niewidzialną obrożę. Kłaniał się wszystkim, począwszy od wartownika, który stał przed starostwem i woźnego Gonery, aż do „pana Kreishauptmanna“, który unosił się nad głową Słupnika jak chmura i Bóg.

Ludwiko, jak on się kłania i składa przy ukłonie! Już za to powinien wisieć! Kłania się? Zrywa z głowy kapelusz i mówi „Guten Tag“ albo „Morgen“ i tak wygląda, jakby wysmarował się cały wazeliną, wypomadowany łebek lśni i przedziałek, ten cholerny przedziałek...

Na drugim końcu naszego korytarza była „Funkstelle“, jeszcze teraz obsługuje ją ruda „frojlajn“ Larisch. Chodziłem tam do niej często, do tej frojlajn i flirtowałem na zabój. No, a przy tym miałem okazję obejrzeć aparat, czasem coś posłuchać, pokręcić. Bawiłem się niewinnie, zresztą prosił mnie o to Emil. Moje jasne oczy i dziecieca naiwność podobały się rudej, nazywała mnie czasem „Wunderkind“. Była biała, miała wielki biust, ruchy krowy i pochodziła z Bawarii.

W tym czasie Mörder zaglądał do nas bardzo często. Po likwidacji ghetta pozostało wiele mieszkań i mebli „pożydowskich“, Mörder prowadził teraz różne handle i kombinacje mieszkaniowe, stąd jego częste wizyty w Wohnungsamcie. Słupnik w obecności Mördera zamierał, mnie też robiło się jakoś głupio i nieprzyjemnie, nie podnosiłem głowy i z podejrzaną pilnością wpisywałem do kartoteki cyfry. Mörder podobno rozwalił w ghetcie własnoręcznie stu Żydów, teraz zajmuje się Polakami. Kiedy wchodził do nas, mówił głośno z naciskiem „Heil Hitla“. Słupnik malimlał coś w gębie, jakby „heil“, ale z gardła wydobywały się śmieszne, zduszone piski. Nieraz rzuciłem okiem na ręce mordercy, miał ładnie utrzymane paznokcie, bodaj czy nie pociągnięte różowym lakierem. Tak... różowym... blado-różowym... o czym to ja zacząłem, Ludwiko? Aha, o tym „heil Hitla“. Odpowiedziałem mu na to kiedyś głośno, po polsku: „Do widzenia panu“, Słupnik przysiadł na krześle, porażony moim głosem, a Mörder wyszedł, nawet nie spojrzał. Zresztą na kogo? Na pluskwy? Było wtedy źle, świat zaciskał się do koła jak pętla.

No, tak, teraz jest jeszcze gorzej, wiem o tym. Ale ja opowiadam ci o sobie, dla mnie teraz świat swobodny, szeroki.

Słupnik pisywał listy do Rudy, do swojej żony. Często odnosiłem mu te listy na pocztę. Zaczął się teraz podpisywać Joseph Slupnik i przy tym został. Siedzę kiedyś nad moją kartoteką i ziewam! nagle do pokoju wślizguje się Słupnik, wystraszony i blady, trzyma jakąś kartę czy blankiet i milczy. Po chwili mówi cicho:

— Słuchej zaś, Gustaw, co śnimi robić? — I mówi dalej, że pan Kreishauptmann każe mu podpisać listę, że dadzą mu dwa razy większe pobory. — Więcej o sześćset złotych, rozumiesz, Ludwiko? A on nie wie i pyta co ma robić. Przyjrzałem mu się uważnie. Tej Herr Scharführer“... kiedy odszedł, szyjce wyciągniętej w oczekiwaniu obroży, przymkniętym oczom, klateczce piersiowej i starannie zaprasowanym nogawkom spodni.

— To pan mnie pyta czy się sprzedać? Tu nikt radzić nie może. Niech pan to robi, co panu sumienie każe.

Takich słów patetycznych użyłem wtedy, Ludwiko, jak w książce...

Slupnik podpisał volkslistę. Dostawał podwójne pobory, przydział wódki,

wędliny masła, dostawał pomarańcze, cukierki i „cygarety". Mimo, że nosił teraz w klapie kajzerkę, nie zmienił się, nie był z rasy „nadludzi". Tak samo się wił, przemykał i jąkał, tak samo niewyraźnie mlimlał „heil". Pisywał do żony gotykiem długie listy i bał się jak dawniej „różanopalcego" Mördera. Mnie Mörder zdawał się nie widzieć, nie istniałem dla niego, aż raz...

Biegłem wtedy z jakimiś papierkami do podpisu i wpadłem na Scharführera, chciałem go przeprosić, ale trzasnął mnie w twarz... ryczał, że się nie kłaniam, że muszę się kłaniać. Wyprostowany słuchałem. Spytał mnie o coś i odpowiedziałem „ja", znów coś wyskrzeczał i znów odpowiedziałem „ja stałem jeszcze...

Twarz umyłem w wychodku, krew mi ciekła z nosa. No i zacząłem się kłaniać. Kłaniałem się wszystkim, i wartownikowi i woźnemu Gonerze i „panu Kreishauptmannowi". Dni szły, jeden podobny do drugiego. Jak dawniej, zachodziłem do frojlajn Larisch. Kiedyś siedzę sobie z tą bawarską krową i słucham co też ona „wystukuje", a tu wchodzi Mörder. Nogi mi jakoś zesztywniały i miałem uczucie, że połknąłem zamrożonego węża. Kłaniam się, a on' nic. Wreszcie warknął: — Ausweis! Larisch patrzała na niego jak na malowane wrota. Mörder znów warknął: — Raus, co też niezwłocznie zrobiłem. I wiesz, Ludwiko, nawet podania o zwołnienie nie składałem. Już mnie w „Wohnugsamcie" nie widzieli. Dowód też sobie zrobiłem nowy, z pięknym szlacheckim nazwiskiem.

Przerwałem opowiadanie. Ludwika milczała. W jej szybkich, białych palcach błyskały srebrne druty, z rąk spływała jakał tkanina, z wielkiej kuli wełny, którą trzymałem na kolonach snuła się czerwona nić.

— W zeszłym roku, pod koniec października, tak... koło Wszystkich Świętych staliśmy obozem pięć kilometrów od miasta, w Sucheckich lasach. Wiesz, Ludwiko, koło Psiej Górki. Tak, tak — koło tej samej, gdzie panny często latem wianki gubią. Nasze m. p. nazywało się „Niebotyczne brzozy", mówię ci, sama poezja, cudowny zakątek. Ale, może mi herbaty zrobisz, kochanie, bo trochę mdli po tych kluseczkach, „Tonga"? Przepadam za „Tongą"... Wstawałem często o świcie i obserwowałem wschód słońca, chyba jedyny partyzant, który wiedział, że słońce czasem wschodzi przed pobudką. No, cóż... liczyłem na to, że kiedyś będę te obrazeczki przyrody wlepiał do swoich nowelek, żeby jakaś panna Ludwika mówiła: „Ach, jakie to śliczne, jakie cudowne"! Nocą płonęło — zresztą, nic nie płonęło nocą, zawracanie głowy. O czym to ja zacząłem? Więc komendant korzystając z tego, że stoimy blisko miasta rozejrzał się w meldunkach od „maglarzy" i w rezultacie wezwał Emila, mnie i trzech innych chłopców. Dał nam wszystkim zadanie. Pierwsza grupa wykona wyroki śmierci, o tej samej godzinie druga grupa wykona wyroki chłosty — powrót do obozu razem. Tamtym podał szczegóły i wyszli. Teraz zwrócił się do nas. No i dowiedzieliśmy się, że pójdziemy najpierw na ulicę Zieloną nr. 25, na pierwsze piętro, na drzwiach będzie wizytówka „Joseph Slupnik", to właśnie jest ten łapownik i renegat. Następnie stary podał nam krótki rysopis Słupnika, ani mrugnąłem.

— Pamiętajcie chłopcy, dwadzieścia pięć, nic więcej, chyba, że liczyć nie umiecie — dodał stary z uśmiechem. Odsalutowaliśmy.

Do miasta obyło się bez wypadku. Ja prowadzę, jestem jak u siebie w domu. Przez okrągły rok nosiłem na Zieloną paki z przydziałami; znam dom i rozkład mieszkania. Szedłem na pewniaka.

W klatce schodowej było niebiesko i mroczno od zaciemnionej żarówki. Zadzwoniłem. Raz długo i jeszcze raz. Zawsze tak dzwoniłem, kiedym paczki Słupnikowi nosił. Drzwi się uchyliły, taka szparka, jakby ktoś nożem wieko od trumny podważył.

— Telegram z Rudy, dla pana Słupnika — mówi Emil. Wtedy tamten otworzył, a Emil wpakował się do przedpokoju, ja sterczałem w korytarzu.

Emil wyciągnął maszynę, ogromną jedenastkę — „Colta".

— Proszę, o ciszę i do pokoju!

Wtedy zamknąłem drzwi wyjściowe i zgasiłem w przedpokoju światło.

Patrzę przez szparę. Słupnik stoi pod żyrandolem biały i drżący, łebek wypomadowany błyszczy. Emil siedzi w fotelu i wyłuszcza o co chodzi. Wreszcie wstaje, mówi spokojnie i głośno:

— Spuszczaj portki i kładź się tu, na tym krześle, no jazda! Emil bawi się coltem.

Słupnik zaczął coś mlamlać i bełkotać, ale prędko się położył.

— Nie tak — poprawił go Emil — lepiej się bracie wypnij, żeby i mnie było wygodnie.

I zaczął lać. Mówię ci, Ludwiko, taka scena, że można zdechnąć ze śmichu, ta urzędnicza pupka na krześle oświetlona jasno jak cyferblat i... zresztą co ci po tych szczegółach. Emil walił a ja liczyłem, do pokoju nie wszedłem. Słupnik zaczął się kręcić i popiskiwać jak mysz, potem kwilił jak maleństwo. Trzeba ci wiedzieć, że Emil ma łapę ciężka, bo po mieczu jest synem szewca a po kądzieli praczki. Przestałem liczyć i zajrzałem do wnętrza mieszkania. Wszystko było tak samo, jak przed rokiem. Te same meble i te same olejne, potworne obrazy. Na tapczanie leżała rozpakowana teczka z przydziałami: pomarańcze, papierosy, cukierki. Cztery pomarańczowe, ogniste kule na pluszowym, zielonym tapczanie i ta grupa pod różowym żyrandolem, coś wspaniałego. Martwa natura i coś jeszcze... nie, nie zapomnę...

Ludwika spojrzała na mnie i powiedziała poważnie:

— Nie wiedziałam, że jesteś sadystą.

— To nic, Ludwiko, to jeszcze nic. Wyobraź sobie, że po skończonej operacji wkroczyłem do pokoju, nie mogłem sobie tego odmówić... Słupnik odprowadził nas do drzwi. Powiedział kilka razy „dziękuję", kłaniał się, pochylał głowę, zacierał ręce, rozumiesz, ręce... w takiej chwili, no? Stał przy drzwiach skulony, wyglądał jak pies, którego można kopnąć, albo pogłaskać.

Odwrót odbył się planowo, mniej więcej na oznaczoną godzinę byliśmy w obozie, raczej mniej niż więcej, bo Emil odwiedził swe „bóstwo" w Suchej, gdzie „podaliśmy sobie porządnie w gnyk i w pijoka".

Taak, Ludwiko — przeciągnąłem się — chodźmy spać, bo mnie jutro czeka robota, no i droga przede mną daleka...

— Mógłbyś się tak nie przeciągać w towarzystwie kobiety — zauważyła, wbijając srebrne druty w czerwoną chmurę wełny.

Zgasiłem światło i zwinąłem papier na oknie. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Ludwika mówiła pacierz. Leżałem z rękami pod głową, myślałem co będzie jutro o tej porze.

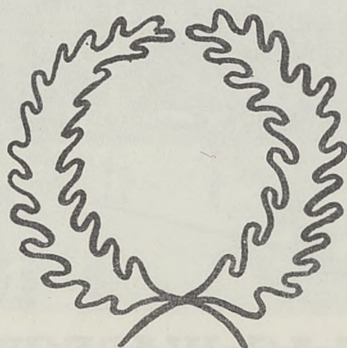
Ludwika wstała, podeszła wolno do mnie i usiadła na krawędzi łóżka.

— Ja wiem wszystko, Gustaw, wszystko. Tylko tu przyszedłeś... tyle krwi..! Mörder, on teraz prowadzi śledztwo, widzisz... Marek, ja...

— Co, ty?

Ludwika pochyliła się nade mną nisko, nisko.

— Musi się wam udać... — wyszeptała. — Musicie go zabić — powiedziała głośno i tak spokojnie, jakby w tych słowach nie krył się wyrok śmierci na jej chłopca.



WARSZAWA NA STAREJ FOTOGRAFII



Skrzyżowanie Nowego Świata i Alei Jerozolimskich

PLAC WARECKI

WARSZAWA NA STAREJ FOTOGRAFII



PORANEK NA TRĘBACKIEJ

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

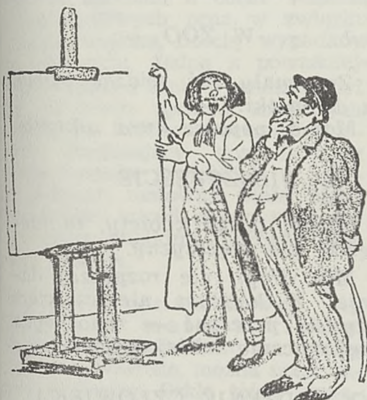
WARSZAWA NA STAREJ FOTOGRAFII

ULICA MATEJKI

ULICA WIERZBOWA

Stronica humoru

U portrecisty



M ą ż (do artysty malarza): — Mam nadzieję, że zdoła pan zrobić wspaniały portret mojej żony...

A r t y s t a : — Rozumiem... rozumiem... Panu więc wcale nie zależy na tym, ażeby portret był podobny...

Nic nowego



Ż o n a : — Wiesz, wynaleziono koszule bez guzików.

M ą ż : — Nic nowego! Takie koszule noszę już od dawna!

Nie prawem, ale... pałką

S ę d z i a : — Jakim prawem pobiliście sąsiada?

O s k a r ż o n y : — A dyć nie prawem go biłem, jeno pałką.

Kto oszukał?

— Czy widziałeś tego nowego magika, który popisuje się w kinach?

— To przecież oszust!...

— Ależ przeciwnie!... Wyobraź sobie, że wręczyłem mu fałszywy banknot 100-frankowy, który potrzebował do swych sztuczek, a w końcu oddał mi banknot, ale prawdziwy...

Dziennikarze między sobą



— Czy Szanowny Kolega czytał mój artykuł we wczorajszym wydaniu?

— Ależ zapewne, zapewne!... Czytałem go aż trzy razy!

— Oj, to mnie cieszy!... Widzę z tego, że Szanowny Kolega interesuje się moimi rozważaniami.

— Przesada!... Przesada!... Jeżeli czytałem aż trzy razy, to tylko z tego powodu, że po dwukrotnym przeczytaniu, wciąż nie mogłem dopatrzyć się sensu tego artykułu.

„Kobieta z wąsami"

Podczas „dukasu" pokazują „kobietę z wąsami"... Tuż obok siedzi dziecko i odbiera od widzów „napiwki".

— Czy to twoja mamusia?... — pyta jeden z widzów.

— Nie! — odpowiada mała. — To mój tatuś!

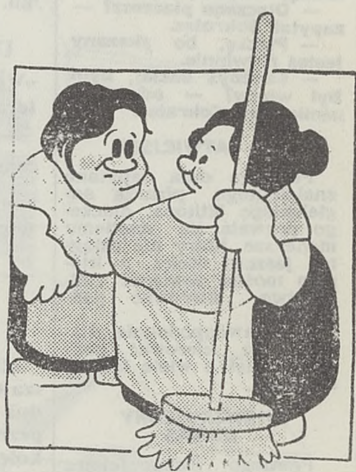
Modne małżeństwo



Ż o n a (do męża): — Takiej kobiety jak ja, nie znajdziesz. Śpiewam, gram na fortepianie, jeżdżę konno, kieruje samochodem i samolotem...

M ą ż : — Dzięki Bogu, że ja umiem trochę gotować.

Lekka śmierć



— Podobno mąż pani umarł?

— A tak!

— Długo chorował?

— Wszystkiego trzy dni. Było pięciu lekarzy.

— To chwała Bogu, że tylu, bo miał przynajmniej lekką śmierć. Przy jednym byłby się męczył ze dwa miesiące.

ANEGDOTY

JEDYNE WYJŚCIE

Pewnego dnia Voltaire rozmawiał z przyjaciółmi o ostatnich przedstawieniach muzycznych. Mówiono między innymi o niedoskonałości większości tekstów oper. Po wysłuchaniu utyskiwań przyjaciół, Voltaire powiedział:

— Nie ma rady! Od dawna tak już jest: jeżeli słowa są tak bezmyślne, że wstyd je wypowiedzieć, to słowa takie śpiewa się.

TESTAMENT RABELAIS

„Nie posiadam nic. Winien jestem dużo. Resztę pozostawiam dla ubogich".

LIST

Pewnego dnia pisarka francuska Georges Sand otrzymała od jednego ze swych wielbicieli list z następującym dopiskiem.

„Wybacz o pani, że wskutek nieznośnego upału piszę do Ciebie siedząc w samej tylko koszuli".

ODPOWIEDŹ MĘDRCA

Sokratesa w więzieniu odwiedził młody jego uczeń Kritias. Zobaczywszy skazanego filozofa, zapłakał.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał Sokrates.

— Płaczę, bo skazany jesteś niewinnie.

— Czyżbyś chciał, bym był winny? — odparł z uśmiechem Sokrates.

CO ŁATWIEJSZE

Pewnego dnia zapytano znakomitego pisarza angielskiego Miltona, dlaczego pozwala się młodemu monarsze, który nie osiągnął jeszcze wieku, w którym można zawierać małżeństwo, kierować państwem.

— Prawdopodobnie dlatego, że kierować państwem jest o wiele łatwiej niż żoną.

NIEWZRUSZONY DUMAS

Pewnego razu lekarz powiedział do umierającego Dumasa:

— Obiecałem powiedzieć panu całą prawdę, gdy sytuacja będzie poważna. Przypuszczam, że winien się pan przygotować. Czy chciałby pan widzieć kogokolwiek?

— Tak — powiedział Dumas po namyśle.

— Kogo?

— Innego lekarza.

— Wczoraj pokłóciliśmy się z żoną po raz pierwszy. Kupiliśmy ładny kawałek wołowiny i żona chciała zrobić pieczeń, a ja wolałem befsztyki.

— No i jak, mój drogi, smakowała ci pieczeń?

*

Po oświadczynach, które zostały przyjęte, młoda para udaje się do jubilera po obrączki ślubne.

Młodzieniec obejrzał rozmaite obrączki i nareszcie wybrał dwie z brylancikami.

— Ile kosztują? — zapytał.

— Osiemset pięćdziesiąt dolarów!

Narzeczony zbaraniał, po czym głośno, przeciągle gwizdnął i wskazując na inne obrączki, zapytał:

— A te ile?

— Dwa przeciągłe gwizdy, proszę pana! — rzekł sprzedawca.

Młoda dziewczyna wychodzi za mąż za starszego, dobrze sytuowanego pana. Jej koleżanki komentują motywy, które skłoniły dziewczynę do zamążpójścia:

— Czy sądzisz, że wychodzi ona za mąż z miłości? — pyta jedna.

— Naturalnie — odpowiada druga. — Ona kocha pieniądze...

Uczeń mozoli się nad gramatyką: „wkuwa" formy czasu przeszłego, teraźniejszego i przyszłego.

— Mamusiu — pyta — co to za czas będzie: ojciec gra w karty?

— Czas głupio stracony — odpowiada matka.

PODZIAŁ

Tristan Bernard: — Jednej kobiecie potrzeba dwudziestu lat, by wykierować swego syna na człowieka, natomiast drugiej wystarczy pół godziny, żeby z tego człowieka uczynić pajaca.

W ZOO

W Zoo mały Jaś, widząc pawia, woła do matki:

— Mamo, popatrz kura zakwitła.

NIESZCZĘŚCIE

— Młode, ładne kobiety, to nieszczęście dla mężczyzny.

— Mój drogi, nie rozpaczaj daremnie. Z każdym nieszczęściem należy się przespać — rano wyda ci się znacznie mniej groźne.

POCHODZENIE CZŁOWIEKA

Nauczyciel do dzieci:

— Chcę wam wyjaśnić, w jaki sposób powstali pierwsi ludzie.

Mały Jaś podnosi rękę:

— To wiemy. Chcielibyśmy się dowiedzieć jak powstali następni?

ROZUMOWANIE

Sędzia do oskarżonego:

— Nie mógł pan zadowolić się okradzeniem swojej ofiary, nie zabijając jej?

— Niestety nie, panie sędzio. Zbyt głośno wrzeszczała. Gdyby nie to, rozumowałbym zupełnie tak samo jak pan sędzia!

HUMOR FRANCUSKI

Michel, znany z solidności starszawy robotnik chowa zmarłą dwa dni przedtem żonę. Uroczystość się przeciąga. Zebrani na cmentarzu koledzy Michela słuchają w skupieniu mowy miejscowego proboszcza. Raptem słychać syrenę fabryczną wzywającą jak zwykle rano do pracy. Wdowiec wkłada szybko czapkę i kieruje się do wyjścia.

— Michel — wołają koledzy — gdzie idziesz? Tu jeszcze nie skończone.

— Możliwe — odpowiada Michel — ale ja mam swoje zasady: najpierw obowiązek, a potem przyjemność.

*

Na progu raju zaaferowany św. Piotr spotyka młode małżeństwo: — Znowu wypadek samochodowy — zrzędzi — proszę mi to opowiedzieć.

Mąż: „Już nic nie pamiętam... Chociaż nie, jedno dobrze pamiętam: tuż przed wypadkiem moja żona zwróciła się do mnie: — Kochanie, daj mi kierownicę... Będziesz prawdziwym aniołem...



PILNUJ W GŁOWIE

Okulary przeciwsłoneczne męczą oczy i są niewskazane dla kierowców — stwierdził zachodnioniemiecki okulista, dr Hans Spiecker.

Wszyscy myśliwi muszą się poddać badaniom u okulistów. Takie zarządzenie opublikowały władze stanu Nowy Jork w związku z coraz większą liczbą myśliwych oraz w związku z coraz większą ilością wypadków na polowaniu. Jedną z poważniejszych przyczyn tych wypadków był fakt, iż wielu spośród myśliwych cierpiało na krótkowzroczność. Farmerzy posiadający gospodarki w pobliżu terenów łowieckich, w sezonie polowań malowali białą farbą poszczególne sztuki swego inwentarza, pisząc wielkimi literami koń, krowa, świnia.

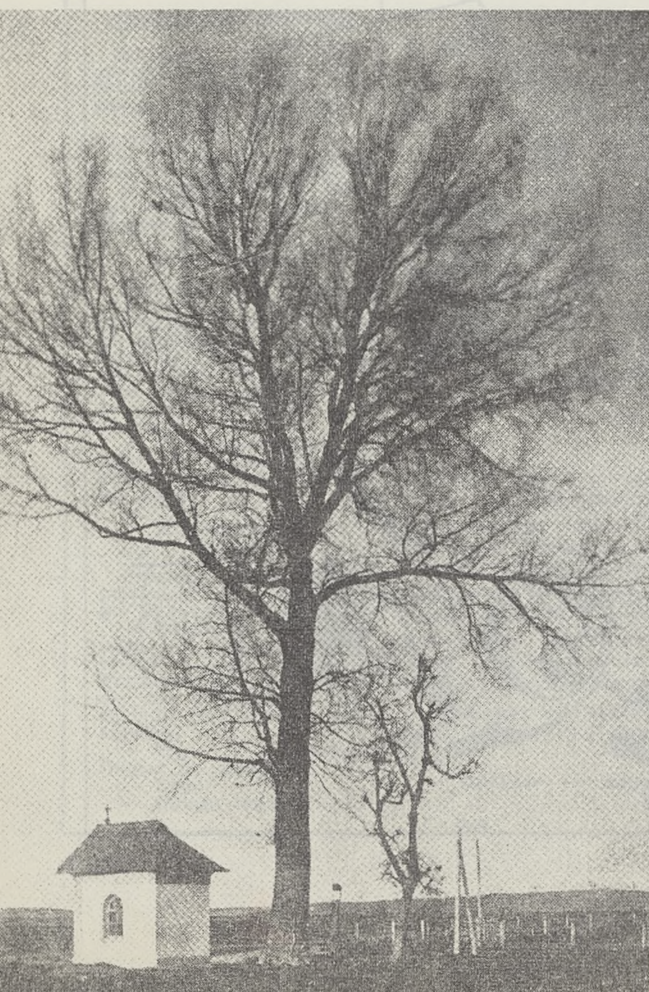
Szkła kontaktowe, tj. cienkie i małe szkiełka, zakładane bezpośrednio na gałkę oczną, pod powiekę, można nosić zamiast okularów. Szkła takie wynaleziono już 40 lat temu, lecz nie cieszyły się one uznaniem, ponieważ były niepraktyczne w noszeniu i sprzyjały powstawaniu różnych wad wzroku. Dopiero, gdy kilka lat temu zmieniono kształt szkieł i wynaleziono tzw. „pływającą soczewkę", którą wyjmuje się raz na kilka miesięcy — zdobyły one sobie powodzenie. W wielu wypadkach szkła kontaktowe są praktyczniejsze, bardziej wzmacniają wzrok, aniżeli szkła oprawkowe. Zarówno aktorzy jak i sportowcy stają często przed koniecznością zdejmowania okularów, co utrudnia im wykonywanie pełnionych czynności.

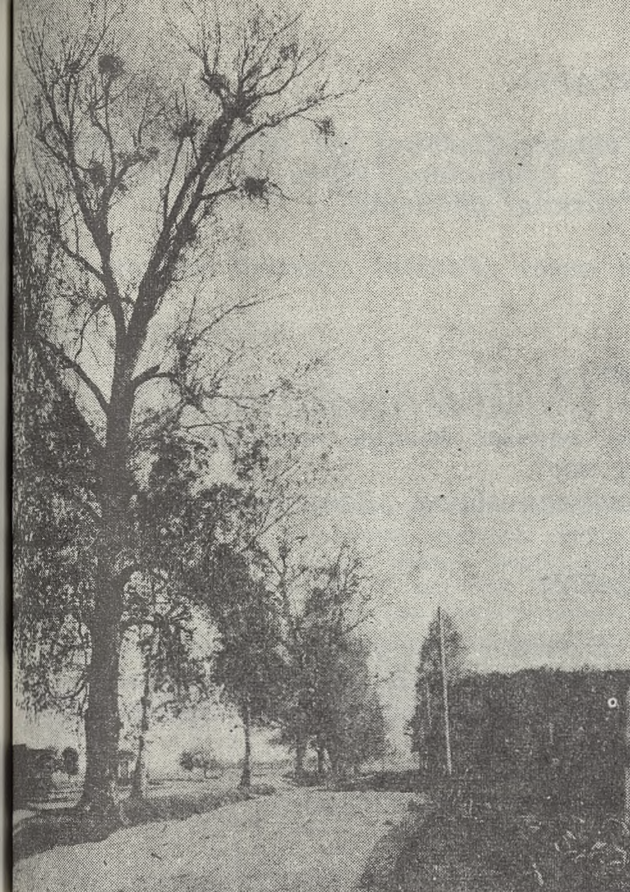
Polski okulista, dr Karpowicz przeprowadza badania oczu kandydatów na malarzy i rzeźbiarzy. Okazało się, iż wśród studentów uczelni plastycznych jest bardzo wielu ludzi o różnych wadach wzroku, m. in. jest wielu daltonistów, których prace określane są jako maniera „oryginalnego widzenia świata". Porównując obrazy sławnych a nie żyjących już malarzy z dziełami nowoczesnymi, dr Karpowicz znalazł w nich pewne wspólne cechy, które przemawiają za tym, iż artyści minionych wieków cierpieli na takie same wady wzroku, jakie dokuczają współczesnym twórcom. Dr Karpowicz przypuszcza, że El Greco i Cézanne cierpieli na astygmatyzm. Wybitny uczony zaleca wprowadzenie obowiązkowych badań oczu młodych ludzi, zamierzających kształcić się w artystycznym kierunku.



Topole nad stawem w parku dworskim w Sierogenowicach — Fot. T. Wiśniewski

Topola czarna w Malechowie koło Lwowa





Topola z jemiołą we wsi Skrużlno

POLSKIE TOPOLE

Jednym z najpospolitszych drzew w polskim krajobrazie jest topola. Spotykamy ją wzdłuż Wisły i innych naszych rzek. Widzimy często topole w lasach i wąwozach. Rośnie ona nad stawami i jeziorami. Osłania przed zawieją śnieżną wiejskie zabudowania i łagodzi siłę wiatrów. Topola sadzona wzdłuż dróg, ocienia je i daje przyjemny chłód podczas letniej spiekoty. Z obecnością topoli w naszym krajobrazie zżyliśmy się od dzieciństwa. Pamiętamy długie, czerwonawozielone bazie topoli czarnych, zaścielające ziemię podczas kwitnienia wczesną wiosną. Znane nam są także kosmate, srebrzyste bazie — kwiatostany osiki.

Dotychczas człowiek interesował się topolą w niewielkim stopniu. Z pączków topoli otrzymywano chryzynę — barwnik roślinny występujący w komórkach topoli w postaci jasnożółtych igieł. Ponadto interesowano się jeszcze topolą ze względu na jej grubą korę, zawierającą składniki garbnikowe, oraz drzewo, używane na wyrób zapałek. W okresie ostatniej wojny światowej stwierdzono, że puch, oddzielony od nasion topoli, z powodzeniem może być stosowany jako środek zastępczy zamiast waty. Zbierano puch topolowy wiosną, w okresie dojrzewania nasion, wtedy, kiedy jeszcze nie porwie ich i nie rozniesie na wszystkie strony wiatr. Puch topoli poddaje się odtłuszczeniu i odpowiedniemu spreparowaniu przez co, może być stosowany jako środek opatrunkowy. Wszystko to jednak zaledwie w małym stopniu wyjaśnia wielkie zainteresowanie się topolą w ostatnich czasach.

Stwierdzono mianowicie, że topola może stać się doskonałym surowcem w przemyśle papierniczym i włókienniczym. Na terenie naszych lasów państwowych założono w tym celu, począwszy od r. 1948, wiele szkółek. Równocześnie prowadzone są badania w Instytucie Badań Leśnych nad doskonaleniem topoli. Należy przypuszczać, że zastąpi ona w przyszłości świerk, dotychczasowy główny surowiec włókna sztucznego i papierni. Osiągnięto już wyniki w zakresie hodowli topoli szybko rosnących. Z 1 ha w okresie 40 do 60 lat otrzymać można od 450 m^3 do 800 m^3 drewna. Topole w wieku 10—20 lat nadają się już do wyrębu, a ich masa drewna ma wtedy największą wartość celulozy. Przewiduje się, że w lasach państwowych można przeznaczyć pod uprawę topoli około 100 000 hektarów. Ponadto można obsadzić topolą około 125 000 kilometrów dróg. Te liczby świadczą o tym, że krajobraz polski w wyniku szerokiej akcji topolowej może ulec poważnej zmianie.

ANNA JUNOSZA

EDMUND WASILEWSKI
(1814—1846)

DO ODDANEGO PRZYJACIELA

Posyłając mu fijołek

Bibl. Jag.

Pierwszy fijołek ze sławiańskiej błoni
Posyłam Tobie za morze;
Ty mu gościnnej nie odmówisz dłoni,
On zszedł na naszym ugorze.

Po staropolsku z wysłańcem się witaj,
Witaj się jak matka z synem,
O Twą rodzinę, o przyjaciół spytaj,
Łezką poczęstuj — jak winem.

Poczęstuj łezką, bo on jej pragnący
Usechł w dalekiej podróży;
On, przed wysłaniem milej woniejący,
Niż bukiet zalotnej róży.

Miły i świeży, uwiędniał wygnany:
Bo świeżość prędko utraci
I kwiatek z trawy rodzinnej wyrwany,
I człowiek z łona współbraci.

Owiej go jednak westchnieniem tęsknoty,
Ożyje na skwarnym piasku;
Odwilż ten kwiatek cichą łzą sieroty,
W całym okaże się blasku.

Na obcą ziemię wylej łzę, a z łezki
Może Ci zakwitnie z wiosną
Podobny do tych, fijołek niebieski,
Jakie tu nad Wisłą rosną.

Kiedyś — ta chwila może niedaleka.
Z bukietem fijołków wrócisz,
I już nie błyśnie łzą Twoja powieka
I nas raz drugi nie rzucisz.

KTO USTĄPI?

Na wąskiej ścieżce w parku w Weimarze spotkał się genialny poeta niemiecki Wolfgang Goethe z krytykiem, który ostro oceniał jego dzieła. Krytyk stojąc na ścieżce burknął gniewnie:

— Ja nie ustępuję głupcom!

— A ja zawsze to czynię — odparł autor „Fausta" i zszedł uprzejmie ze ścieżki.

RECENZJA

Londyński krytyk teatralny napisał kiedyś recenzję pewnej sztuki, której tytuł brzmiał „Straszna noc".

Recenzja składała się zaledwie z jednego słowa „Rzeczywiście".

BEZ SKAZY?

Świetny pisarz angielski, Artur Conan Doyle, twórca postaci Sherlocka Holmesa, wypłatał kiedyś zabawnego figla. Do dwunastu słynnych z uczciwości i surowych obyczajów bankierów i przemysłowców wysłał jednobrzmiące depesze:

„Wykryło się wszystko. Uciekaj natychmiast".

W ciągu 24 godzin wszyscy ci „ludzie bez skazy" opuścili Anglię.

SŁAWA

Kompozytor niemiecki Glück lubił pieniądze i dobre jedzenie. Zapytany pewnego dnia, co najbardziej kocha na świecie, odpowiedział:

„Pieniądze, wino i sławę".

— Jak to, sławę stawiasz na trzecim miejscu?

— No tak — odparł kompozytor. — Za pieniądze mogę kupić wino, wino pobudza mnie do pracy nad kompozycją, a ta dopiero przynosi mi sławę.

APETYT

Balzak był nie lada żarłokiem. Kiedyś, podróżując po Gaskonii, znalazł się w jakiejś oberży. Woła jej właściciela i pyta:

— Ma pan coś do zjedzenia?

— Oczywiście. Mamy duży wybór zakąsek, węgorze, pstrągi, jajka na twardo, jajka smażone, szynkę, boczek, polędwicę na zimno, zająca, którego wczoraj upolowałem, kuropatwę, pasztet, ser...

— Dobrze — przerywa pisarz. — Niech mi pan to poda.

WDZIĘCZNOŚĆ

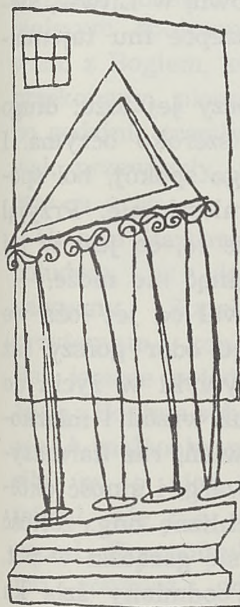
Zmarły w Genui pewien bardzo bogaty stary kawaler zapisał w testamencie wszystko co posiadał trzem starszym paniom, którym w różnych okresach swojego życia kolejno składał propozycje małżeństwa i które odmówiły mu wyjścia za mąż za niego. W uzasadnieniu tej swojej decyzji zapisu podał:

Zawdzięczam ich odmowom całą radość życia, które spędziłem szczęśliwie i w spokoju.

z dawnych lat

JERZY SZANIAWSKI

NA WARSZAWSKIM PLACU TEATRALNYM


Rys. T. Stachiewicz

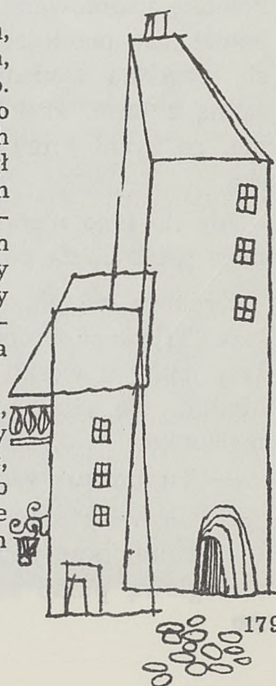
Warszawę nazywano często miastem kontrastów. Ale to słyszało się również i o innych stolicach. Gdyby jednak chciał ktoś te kontrasty warszawskie koniecznie ukazać, mógłby obrać sobie centralny, najruchliwszy plac dawnej Warszawy, to jest Plac Teatralny.

Całą jego stronę wypełniał wielki gmach teatru. Patrząc na te liczne kolumny, przechodzień mógł pomyśleć o Grecji, o klasycyzmie czy neoklasycyzmie: naprzeciwko architektura zupełnie inna: idąc od strony Starego Miasta, mijało się mały pałacyk, stojący w głębi, za nim okazały gmach magistratu, dostojny i urzędowy; mieściła się tam między innymi największa sala w dawnej Warszawie, znana jako „Ratuszowa". Obok gmach z wieżą zegarową i galeryjką dla strażaka. Tuż za Ratuszem skromna kamieniczka klasztorna, dalej kościółek, wreszcie znów niewysoka, ciemna kamienica, o licznych oknach wystawowych znanego wszystkim sklepu. Dwie ulice boczne, zamykające Plac Teatralny, to ulice wybitnie handlowe. Na Wierzbowej widziało się wprawdzie zarysy dawnych pałaców, ale partery przerobiono w nich na okazałe sklepy. Sklepy widziało się także po przeciwnej stronie, przy ulicy zwanej Nowosenatorską, a później Focha. Ale nawet w samym gmachu teatralnym kwitnął ożywiony handel: „pod filarami", ze znaną cukiernią Semadeniego, można było nabyć najpiękniejsze brylanty albo przynajmniej popatrzeć na nie, w sklepie następnym — srebra i kryształy, dalej wytworne cacka. W drugim skrzydle gmachu teatralnego, po lewej stronie patrzącego na piękną fasadę, także sklepy, tym ciekawe, że zupełnie odmienne: ciemne, ponure, nie dbające nawet o to, żeby nęcić przechodnia wspaniałością wystaw.

Gmach teatru to przede wszystkim — sztuka. Ale sklepy te mówią i o handlu. Po przeciwnej stronie liczne urzędy: magistrat, policja, żandarmeria (słynna „ochrana"), biuro zwane „stołem adresowym", straż ogniowa. Dalej, jak wspomniałem, klasztor, kościółek i znowu sklepy. Słowem rozmaitość, kontrasty nie tylko architektoniczne.

Czy Plac Teatralny był piękny? Odpowiedź na to pytanie zależy od czasu, od lat, w jakich było zadane. Mówię i mówić będę tylko o Placu Teatralnym, widzianym pod koniec wieku dziewiętnastego i na początku wieku dwudziestego. Znano wówczas słowo — „architekt", nie znano — „urbanista". Interesowało ludzi piękno poszczególnego domu, nie zajmowano się jego otoczeniem. Gmach teatru Corazziego uważano za piękny i to bez zastrzeżeń. Może niejeden mógł pofantazjować: gdyby temu architektowi powierzono zabudowanie czterech stron placu i kazano postawić gmachy, podobne do tego, który widzimy, otrzymalibyśmy plac niewątpliwie piękniejszy. Bardzo dostojny, stylowy i zimny. Sam gmach teatralny już nie dominowałby nad otoczeniem, chociaż ten sam, stałby się inny. Umieszczony na przykład w dzielnicy muzeów, nie byłby tak związany z ludźmi, z życiem. Owe „zwierciadło życia", jak nazywają teatr, zostało umieszczone w Warszawie na miejscu skupiającym różnorodne sprawy ludzkie, na które patrzyły liczne okna wielkiego gmachu.

Ten warszawski gmach teatralny różnił się od teatrów reprezentacyjnych, które oglądano w wielkich miastach: właściwie widziało się tylko fasadę; trzy inne strony to poprostu najróżnorodniejsze kamienice czynszowe. Cudzoziemiec, albo człowiek nie znający Warszawy, idąc ulicą Trębacką, Nowosenatorską lub Wierzbową, nie domyślał się nawet, że poza domami od ulicy kryją się dwie sceny, pracownie, magazyny, podwórka, zakamarki, a tysiące ludzi związanych z teatrem krąży tam teraz, pracuje.



ZYGMUNT AUGUST I BARBARA

HANNA MALEWSKA

Miało się już pod wiosnę. Na zamku wawelskim każdy ranek budził się w lęku, każdy wieczór przynosił ból.

Bywały godziny, kiedy Zygmunta ogarniało takie przerażenie nieludzkie, że zdawało mu się: zmysły go opuszczą albo własne serce zadławi. Barbara uspokajała go wtenczas jak umiała, mówiąc doń swym przeciągłym, cichym głosem o czym bądź: o chłodnej pogodzie wiosennej (tak powiadają dwórki), albo że medyk coraz lepiej rozeznaje się w jej cierpieniu. Musiała mówić, ratować, żeby on oprzytomniał i ją potem ratował. Było tak, jakby oboje mieli jedną tylko krztę nadziei i tę oddając sobie wzajem popadali w ostatnią rozpacz i strach.

Ta odrobina nadziei teraz, gdy już do najgorszego przyszło, wskazywała im Niepołomice — tam się rwała Barbara, w lasy, daleko od swego zamku i swojej korony. Zwłaszcza odkąd tak żywo przypomniało jej puszczańską Litwę ostatnie pisanie brata, przez sługę starego Nieszykę przywiezione, którego król ani chciał wpuścić do niej, bo „na samo imię jęła się płakać". Więc że nie Litwa, to chociaż Niepołomice... Olbrzymią kolebkę nagotowano, król sam mościł, próbował, czy pomieści ją leżącą. Widziała mu się wygodna, a kiedy się pokazało, że przez żadną z bram krakowskich się nie przeciśnie, co rychlej przykazał zburzyć Floriańską.

Ale do tego nie przyszło, bo na Niepołomice już było za późno.

Królowa mglała, ledwie ją poruszono z łoża. Trzykroć próbowali. Potem długo leżała jakby z wosku czy z kości uczyniona. Modliła się cicho. I wreszcie powiedziała małżonkowi:

— Tu mi już zemrzeć.

Na Wawelu zemrzeć... Zamyka oczy nic tu już nie chcąc widzieć — tak jakby miała nad głową pułap szczerniały nędznego zajazdu; jakby ją konającą przyjęło na popasie niezaścielone cudze łoże. Powiadali przecież i prawda: nie dla niej te miejsca.

Lecz wtem spogląda na Zygmunta tak samo jak kiedyś, jak zawsze, i chwyta jego ręce: — Ogrody Boże, mówią w Litwie, niewypasione jeszcze... — szepce mu tajemniczo.

Więc i on modli się przy jej łożu, długo i szczerze, z otwartymi szeroko oczyma. I tego dnia wchodzi w niego spokój, ból spokojny, bo na długie zamieszkanie. Przyjął go... Bo i on zrozumiał że to, co jest w tej godzinie między nimi, zginąć nie może.

Odtąd już nie odstępował od jej łoża we dnie ani w nocy, znosząc odór gorszy niż trupi, tak jakby nie przywykł w życiu do innych woni. Tak znał już wrzód i miarkował, co znaczy jego czerwień, raz karmazynowa, raz jakby koloru warg, i siność okólna — jak znał już opuchliznę nóg, żółtość policzków i rozpływanie się gorączki w pot. Z tych znaków kolejnej odmiany szła ku niemu niejaka otucha. Bo nie z rozmyślań. Nie mógł już myśleć. A o ten swój spokój głęboki niedawnej godziny wołał daremnie i obłąkana nadzieja zmieniała się w nim ze strachem mdłym, drętwym, wytrącającym wszystko z rąk. I tak własna jego duszna choroba kolebała się w nim, jak w niej słabość śmiertelna — podczas gdy widziała go zawsze przy sobie, czujnego niestrudzonego, troskliwego jak matka, czasem z uśmiechem.

Ale raz wychodząc na krużganek, pod który zazierało słońce wiosenne, zachwiał się i toczył od słupa do słupa jak pijany. Na oczach wszystkich. I wtedy właśnie ona go przyzwała. Potrzebowała go znów, chwała Ci, Boże.

Siadł przy niej, uniósł rękę wyschłą, lecz ciężką i cofając powoli dłoń wypuszczał palec po palcu. Taka była teraz ich pieszczota. Osunął się wreszcie palec ostatni i drżąca ręka ukryła się pod futrem, a jemu uczyni-

ło się tak okropnie, że aż zimny pot wystąpił mu na czoło. Jakby z tym ostatnim słabym, wyschłym palcem ją wypuścił tonącą.

Nie było jeszcze takiej chwili.

I potem nie było już.

Z tego czuwania i smrodów, z omamień medyków i własnych, powstało w nim jakieś grube stumanienie. Ślepa nadzieja widziała zdrowie w jedynym jej przytomniejszym spojrzeniu. Modlitwy były umowami z Bogiem, który — zdawało mu się — przekonany, pieczęć na nich wyciskał. Ale po godzinie traciły one swą moc. Czas upływał, przewlekły, więc zdawało mu się, że czas ją ocali.

Umarła Barbara w południe, w dzień wiosenny. Zupełnie przytomnie konała. Raz jeszcze pojednała się z Bogiem pobożnie. A małżonka prosiła, by o niej pamiętał, ale nie rozpaczał. Przypomniała mu również, gdzie chce spoczywać. A na świat patrzyła tego ostatniego ranka bez żalu, bo cierpienia jej dopełniły swej miary.

Zygmunt nie pozwolił przykryć jej głowy. To by wyglądało, jakby naprawdę umarła. Siedział przy niej i grzał jej sztywniejącą rękę i patrzył w niezmącone czoło.

Ale śmiertelna piękność Barbary trwała ledwie godzinę. Potem okropność zgnilizny objawiać zaczęła swe pierwsze znaki. On jednak nie odstępował łoża i chciał ją widzieć, jakakolwiek była.

W nocy dopiero włożono ciało królowej do trumny, przybrane w czarny aksamit, w łańcuch złoty i koronę jagiellońską. Przy pochodniach ustawiono w katedrze na zarzuconym purpurą katafalku. Wkoło lampy spalały kadzidło tłumiąc trupią woń. Ciągnęły tłumy.



Jan Matejko: ZYGMUNT i BARBARA

WŁADYSŁAW ORKAN

Po ugorach

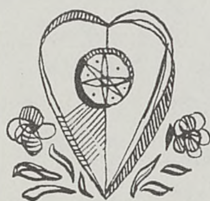
Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: „Któż wie, któż,
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć...”

„Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła” —
Prasnął kosą, aże brzękła — rzucił sierp:
„Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!”
Zęby zaciął — na powieki trysła łza...

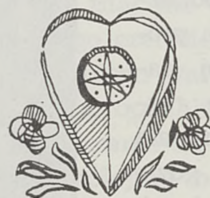
I potoczył łzawym okiem w ciemną dal:
„Przyjdzie sczeznąć... Ha, no darmo! To i cóż?
O mnie mniejsza — ino dzieci... dzieci żal...”

I do serca pchał się gwałtem dziwny lęk —
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

Niedźwiedź, 5/VII 1898







O ziemio!

O ziemio nędzy i zamarzłych kęp!
W łonie twym ognie gorzeją głęboko,
A pierś twa zimną i twardą opoką,
Którą lemieszem targa człowiek-sęp...

Nad tobą co dzień białe słońce wschodzi —
Już by i skały stopił ciągły żar!
A tyś niezmienna z praodwiecznych kar,
Twe ciało ścięte w lód i wiecznie chłodzi...

Nad tobą tarcza księżyca srebrzysta
Co noc zawisa, blada i promienna —
A tyś, jak prawda jakaś przedwieczysta,
Zlodowaciała, zimna i kamienna...

Tysiące karmi twój niewdzięczny plon —
Lecz mowa ich jest nieustannym łkaniem,
Żywot każdego powolnym konaniem,
A życie wszystkich — jeden cichy zgon...

Poręba, 4/X 1898

W ROCZNICĘ 1863 r.



Artur Grottger:

POŻEGNANIE

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI
(poeta-powstaniec, zginął w bitwie pod Józefowem w 1863 r.)

PIEŚŃ POWSTAŃCZA

Co tam marzyć o kochaniu,
O bogdance i róż rwaniu —
Dla nas nie ma róż.

My, jak ptacy na wędrówce,
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już.

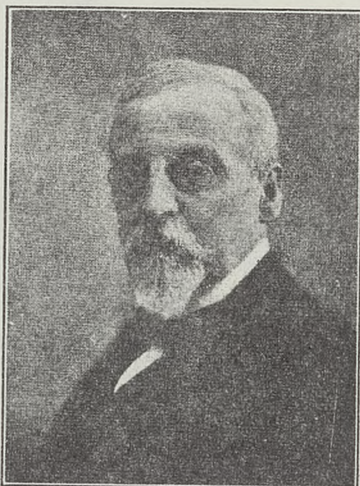
Co śni serce, niech raz prześni,
Twarde życie, twarde pieśni
Niech wiodą jak w tan.

Szczęsna dola później może —
Ale tylko Ty wiesz, Boże,
Co tam spotka nas.

Ty wiesz, komu uśmiech miły
Komu z wiosną na mogiły
Niesie przyszły czas.

Mowa Poetów

(Mowa wygłoszona przez Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika Słowackiego)



Henryk Sienkiewicz

OPATRZNOŚĆ, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznemi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: — Oto nadomiar wszystkiego daję wam śpiż dźwięczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą. —

I została ta mowa, niepożyta jak śpiż, świetna i droga, jak złoto, jedna z najważniejszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni Mistrze Słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, — Boża, jak modlitwa, — słodka, jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i, położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń ta kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać...

...wszystkim się zdawało,
że wielki mistrz gra jeszcze,
a to echo grało...

Echo z serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i najpiękniejsze w świecie.

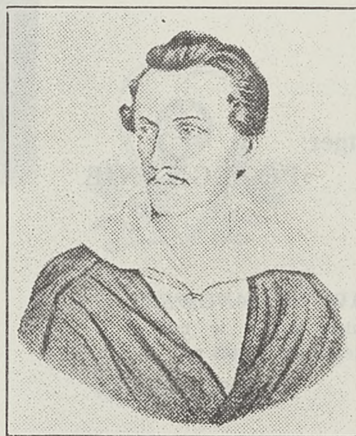
Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.

....

Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić.

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.



A jednak znalazł się poeta! On to uczynił! On, Juljusz Słowacki, Mistrz Słowa!

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić. A jednak uczynił. Zdołał — bo poezja w jego duszy była, jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królewną zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna.

ADAM MICKIEWICZ

ZDANIA I UWAGI

RZECZ ZANIEDBANA

Jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiej pieczy;
Ludzie o wszystkim myślą, prócz tej jednej rzeczy.

PAX DOMINI

Pokój jest przyszłym dobrem, przyszłem szczęściem mojem;
Nie chciałbym Boga, gdyby Bóg nie był pokojem.

KIERUNEK

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

SŁOWO I CZYN

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

NIC DARMO

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle, ile chce, zabiera.

PRÓBA

Wtenczas powiesz człowieku, żeś godzien zbawienia,
Jeśli zdołasz wniść w piekło i nie czuć płomienia.

BOŻE NARODZENIE

Wierzysz, że Bóg zrodził się w betlejemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

FIGURA NIE ZBAWI

Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swoim krzyża nie wystawi.

GDZIE NIEBO?

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

OSZUKAŃSTWO

Wołasz do Boga: Ojcze! — Ojciec wnet przychodzi,
Aż zamiast dziecka, chłopa dużego znachodzi.

DAR NIE BOGIEM

Kto modli się o dary, złe pacierze mowi;
Bo modli się stworzeniu, nie stworzycielowi.

WARUNEK BEZPIECZEŃSTWA

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

WARUNEK NIETYKALNOŚCI

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem?
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

UWAGA CHROMEGO

Kiedy pierwszy raz wnidę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

KRÓL I KAT

Dobry człowiek, jako król, szuka kogo wieńczyć;
Zły podobny do kata, szuka kogo męczyć.

BŁOGOSŁAWIENI CISI

Wszyscy walczą dla dobra; któż używać będzie?
Błogosławiony cichy: ten ziemię posiędzie.

ZEGAR

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza;
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

O CO KŁÓTNIA?

Od chwili gdy zaczęli czarni z nieba spadać,
Kłócą się dotąd, kto z nich ma niebo posiadać.

JAKI ŻAL

Powiadasz, że żal zbawia? wszak czarty się żalą?
Żalą się, lecz na drugich; a sami się chwalą.

KARA BOŻA

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

CZAS DZIAŁANIA

Kto na wieczność pracuje, drogo czas szacuje,
Bo kiedy czas ustanie, skończy się działanie.

MILCZENIE

Zaiste, miłe Bogu jest aniołów pienie,
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

CICHOŚĆ

Głośniej niźli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

ŹRÓDŁA

Mówisz: Niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota i Ojczyzna droga.
Głupiec mówi: Niech sobie źródło wyschnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

ODLEGŁOŚĆ

Że do nieba daleko, niejeden narzeka;
Ziemia dalej niżeli niebo od człowieka.

ZGODNOŚĆ

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi,
Gdzie czuje, że głos własny w harmoniji gubi.

JA

Muzyk zmięsza orkiestrę najlepiej dobraną,
Jeśli grając stara się, żeby go słyszano.

ŚWIADEK I OSKARŻYCIEL

Straszniejsze jest dla zbrodni świadectwo niż skarga.
Łotr lży oskarżyciela, na świadków się targa;
Skarżących mędrków czasem pospólstwo łajało,
Lecz świadczących o prawdzie zawsze mordowało.

URZĄD

Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu,
Cały świat służy jemu, a on tylko panu.

PRZESZŁOŚĆ

Babcia amerykańska opowiada wnuczce, że w jej czasach nie było samochodów, kina i telewizji.

— To co wyście robili, babciu? — pyta dziewczynka.

— Żyliśmy, moje dziecko.

Z DOŚWIADCZEŃ KLIENTA

— Co to jest kilogram?

— 80 deka w opakowaniu.

NIE MA TEGO ZŁEGO

Gdyby spełniła się choć połowa naszych marzeń, mielibyśmy dwa razy więcej zmartwień.

POWÓD

B. Shaw zapytany dlaczego milczy przy stole, odpowiedział:

— Nie lubię dyskusji w trakcie jedzenia. Zwycięża w nich ten, kto ma najmniejszy apetyt.

KONIAK

Pan domu własnoręcznie napełnia kieliszki.

— Ten koniak ma ponad sto lat.

— Możliwe — odpowiada jeden z gości i wymownie patrzy na swój kieliszek. — Ale jest on bardzo malutki jak na swój wiek.

W SZKOLE

— Jakim terminem naukowym określamy wielożeństwo?

— Poligamia.

— A jednożeństwo?

— Monotonia...

PRZYCZYNA

W czasie badania lekarz każe pacjentowi wyciągnąć przed siebie ręce i trzymać je przez kilka chwil wyprostowane. Ręce pacjenta drżą silnie.

— No, no, jak dużo pił pan ostatnio?

— Prawie nic. Wszystko mi się wylewa.

ZANIEPOKOJENIE

Matka do dorastającej córki:

— Moja droga, Jurek bardzo późno odprowadził cię wczoraj do domu.

— Tak, było już późno. Czy przeszkadzał ci hałas, który zrobiliśmy?

— Nie, nie hałas, tylko ta cisza.

PRZYKŁAD

Uczeń daje przykład zbiegu okoliczności. „Moja mama i mój tatuś brali ślub tego samego dnia".

CIĘŻKA PRACA

Do Paryża przyjechał gość z Indii. Wieczorem zaprowadzono go do Klubu „Etoile", gdzie zobaczył możnych tego świata tańczących twista. Po chwili obserwacji zwrócił się do towarzyszących mu przyjaciół:

— Jesteście dziwni! Czy musicie to robić sami? Nie możecie zaangażować ludzi, którzy mogą wykonać za was tę ciężką pracę...

COŚ WSPÓLNEGO

Dwie gwiazdy filmowe rozmawiają na przyjęciu:

— Chyba kiedyś miałyśmy już ze sobą coś wspólnego?

— Tak, miałyśmy wspólnego męża.

W PARYŻU

Rzecz dzieje się w Paryżu. Przy barze, gość pije szklankę za szklanką. Sąsiad zwraca się do niego: — Czy pan wie, że według statystyki 2 miliony Francuzów umiera rocznie na skutek nadużywania alkoholu? — Wszystko mi jedno — odpowiada gość — ja jestem Anglikiem.



Sytuacja bez wyjścia.

Dookoła szerokiego jak bania słupa reklamowego w samym centrum miasta zatacza się omacując słup rękami pijany "jak bela" jegomość.

Ten proceder łażenia dookoła i macania trwa już kilka minut. Wreszcie pijak oparłszy się o słup mówi z rezygnacją:

— Niema co! Kaput! . . . Wsadzili mnie!

Przykre wspomnienie.

Rzecz dzieje się w pociągu. — Panie konduktorze, dlaczego zawsze w tym miejscu lokomotywa gwiżdże tak żałośnie?

Konduktor na to: — Bo w tym miejscu właśnie maszynista nasz poznał swą obecną żonę.

Z wódki-rozum krótki.

Dwóch pijanych jedzie tramwajem. Pierwszy pyta: Która teraz może być godzina?

Zapytany wyciąga z kieszni paczkę z zapałkami, przypatruje się jej uważnie i po chwili odpowiada:

— Środa.

— Ha — mówi pierwszy — w takim razie musimy już na następnym przystanku wysiąść.

Mocny łeb.

Pijany Maciej, trzymając się płotu, patrzy zazdrośnie na pędzące jak strzała auto i mruczy z podziwem: — Te pokraczne samochody, to dopiero mają mocne łby! Jak im wlejesz kilka litrów, to bestie pędzą i sto mil na godzinę, a tu biedny człowiek już po litrze jednym ruszyć się nie może! . . .

Pod muchą.

Żona: "Co ty wyprawiasz! Wypiłeś już 6 kieliszków wódki. Pamiętaj, że siedmioro dzieci czeka w domu!

Mąż: "Masz rację, kochanie. Panie kelner-proszę jeszcze jedną "czystą", muszę wypić za zdrowie siódmego dziecka".

Takie jest życie.

Ślub na podhalu. Ksiądz pyta narzeczoną, czy ma wolę poślubić "tego oto Macieja" i otrzymuje od niej odpowiedź: "mam". Na pytanie skierowane do narzeczonego, młoda pani odpowiada: "ma" — i zaraz dodaje: "On nic nie ma do gadania, bo ja mam dwie krowy, sześć prosiaków i cztery morgi gruntu, a on nic"!!!

Westchnienie pijaka.

Butelka zgrzeszyła, bo niepróżna była,
Kieliszek zawinił, bo wiwaty czynił.

Wyrobienie partyjne.

Odbywa się wykład na robotniczym uniwersytecie w Moskwie na temat kształtowania się pogody. Prelegent mówi o ciśnieniu atmosferycznym: . . . "i wtedy warstwy górne uciskają warstwy dolne . . ."

W tej chwili rozlega się głos z sali: "Hańba im"! . . .

Napis na nagrobku.

Przechodniu, tu leżą kości moje, — szkoda, że nie twoje.

Dzieci.

Zosia: — Widziałam w Zoo węża.
Jadzia: — A co to jest wąż?
Zosia: — To taki pies, co macha ogonem, ale bez psa.

W restauracji.

Kełner: — Jak pan znajduje nasz sznycel?

Gość: — Jako szewc już dawno nie znalazłem tak dobrego kawałka na podeszwę.

Zaoszczędził . . .

Chłopiec wraca do domu po zakończeniu roku szkolnego i już we drzwiach woła: — Tatusiu! . . . zaoszczędziłeś! . . . nie będziesz musiał kupować mi nowych książek!

— Dlaczego?

— Bo zostałem na drugi rok! . . .

Charakter.

Żona: Wyłaź spod łóżka!

Mąż: Powiedziałem, że nie wyjdę, więc nie wyjdę. Mam charakter!...

Zalany...

Zalany facet stara się trafić kluczem do dziurki w zamku, ale nadaremnie.

Wreszcie zrozpaczony woła do przypadkowego przechodnia:

— Panie, przytrzymaj pan ten cholerny dom, żeby się przez chwilę nie chwiał!

Wcale nie...

Ciotka: Czy to prawda, Józiu, że ty źle słyszysz?

Józio: — Wcale nie, wczoraj słyszałem właśnie jak tatuś powiedział, że ciocia jest stara jędza.

Żona i pieniądze.

Mąż: — Ile potrzebujesz pieniędzy?

Żona: — Dużo więcej, niż masz zamiar mi dać!

Rozstrojona żona.

— Czy żona twoja jest muzykalna?

— Bardzo! Wprawdzie nie gra na żadnym instrumencie, ale jest stale rozstrojona.

Ciekawa.

— Panie doktorze, mój mąż ciągle mówi coś przez sen...

— Doskonale, zapiszę coś na sen, to mu przejdzie.

— Nie, panie doktorze, nie o to chodzi. Niech pan zapisze coś, by mówił wyraźniej.

Jednomyślność.

Ojciec: — Ile zarabia ten twój narzeczony.

Córka: — Jakie to zabawne, tatusiu! On pytał, ile ty zarabiasz.

Kurczę z piórkami.

Gość w restauracji: — "To ma być kurczę?! Przecież to tylko głowa i kości!"

Kelner: "Czy szanowny pan życzy sobie także piórka?"

Pamiętaj o liście!

Żona prosiła mnie o wrzucenie listu do skrzynki: — Ale nie zapomnij. To bardzo ważne. Bardzo cię proszę.

— Ależ kochanie, jakżeż mógłbym zapomnieć? Ja?

— Ja wiem, że nie zapomnisz, ale prosić wolno . . .

Nie zapomniałem. Nawet gdybym chciał, to bym nie mógł. Bo ledwie znalazłem się na ulicy, jakiś nieznajomy pan lekko mnie dotknął i rzekł:

— Proszę pamiętać o liście!

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Ale nic nie powiedziałem, tylko skierowałem kroki ku najbliższej skrzynce pocztowej. Ale zanim zdołałem się do niej zbliżyć, jakaś przechodząca starsza pani krzyknęła do mnie na przelocie:

— Niech pan nie zapomni o liście.

Nie zapomniałem i list wrzuciłem. Ale myśl moją nurtowało pytanie: skądże u licha oni wiedzą, że ja mam list wysłać?

Gdy trzecia osoba na ulicy mi to samo przypomniała, zwróciłem się do niej już gniewnie: — Skąd pan wie, że ja mam list wysłać? I dla uspokojenia Pana mogę panu zakomunikować, że już wysłałem.

Nieznajomy uśmiechnął się i powiedział: — W takim razie może pan spokojnie zdjąć kartkę przypiętą do pańskich pleców.

Postąpiłem wedle jego rady. Na kartce widniał napis: — Uprasza się każdego przechodnia o przypomnienie mu, aby wysłał list.

Defekt w motorze.

Czteroletnia dziewczynka bawiła się grzecznie przy boku tatusia, który spał smacznie chrapiąc.

W pewnej chwili ojciec przewrócił się na drugi bok i chrapanie ustało.

Przestraszona dziewczynka pobiegła do matki wołając:

— Mamusiu, mamusiu, chodź prędko, coś się stało. Motor mu się zatrzymał!



TYNIEC



walk i zniszczeń. Tak było za Tatarów, Szwedów, w czasie Konfederacji Barskiej, a także w 1945 roku.

Z dziejowych mroków, licznych podań i legend wynurzają się postacie związane z historią Tyńca. Są to imiona Walgierza Władnego, Heligundy, Księcia na Wiślicy, a także jego władców Toporczyków-Starżów.

Za założyciela Tyńca uważany jest Kazimierz Odnowiciel. Wychowany za młodu wśród zakonników, przybywając z Zachodu po tron swego ojca, sprowadził z Nadrenii grupę mnichów z Aronem na czele i osadził ich w Tyńcu, gdzie wzniósł kościół i klasztor. Z hojności książęcej Benedyktyni otrzymali wielkie posiadłości. Liczne fundacje rozszerzają granice dóbr opactwa, które rozrasta się obejmując sto wsi i pięć miast.

Pierwsza klęska najazdu tatarskiego spada na Tyniec w 1260 r. Spalony odbudowuje w latach 1271—1287 opat Cosmas. Opat Mathias Skawinka w 1464 roku doprowadza dzieło do końca, a kościół konsekruje Jan Biskup Mołdawski Sufragan Krakowski. W 1655 roku zostaje znów zniszczony w czasie najazdu Szwedów. Zapisuje się jeszcze bohatersko w kartach historii Polski w 1771 roku, kiedy Konfederaci Barscy bronią zamku obleganego przez Moskali. W 1805 roku następuje konfiskata dóbr przez Austriaków, którzy sprowadzają Benedyktynów niemieckich, ci zaś po kilku latach uciekają przed ułanami Księcia Józefa. Całkowita kasacja zakonu odbywa się w roku 1817, gdyż polscy Benedyktyni opowiedzieli się po stronie polskiej i w dalszym ciągu nauczali w języku polskim.

Następnie w Tyńcu osiedli wypędzeni z Rosji Jezuici. W 1831 roku wybuchł pożar, spłonął kościół i zabudowania. Później kościół odnowiono jako parafialny, a od 1900 roku Tyniec stał się własnością biskupstwa krakowskiego i w „opatówce" klerycy spędzali wakacje. W 1939 roku książę Kardynał Sapieha oddał opactwo jego dawnym właścicielom przybyłym z Belgii.

Tyniec, siedziba benedyktynów, ofiarowany im w XI wieku przez Piastów nosił miano arcyopactwa. Pierwszym jego opatem — który posiadał także mitrę arcybiskupa krakowskiego — był Aron, a ostatnim z sześćdziesięciu wybieranych swobodnie Mikołaj Bielecki, zmarły w 1604 roku. Od 1607 roku do 1745 w Tyńcu tak samo jak w innych opactwach panuje „komenda" polegająca na naznaczaniu opatów przez królów, a prowadząca do zeświecczenia obyczajów. Wśród komendatoriuszy najgorliwszy niewątpliwie był Stanisław Szczygielski. To dzięki takim jak on powstała polska Kongregacja Benedyktyńska św. Krzyża, która przyczyniła się do uwolnienia opactwa od komendy i szerzenia się dawnej gorliwości.

STOLICA POLSKICH BENEDYKTYNÓW

WŚRÓD malowniczych wzgórz i skał, kilkanaście kilometrów przed Krakowem, na prawym brzegu Wisły wznoszą się potężne mury na wpół zrujnowanego dziś Opactwa Benedyktynów w Tyńcu. Surowe twarde skały i sterczące resztki dawnych ścian budzą grozę i szacunek dla tej budowli, która jednocześnie była przybytkiem nauki i wiedzy, twierdzą polskości i wiary.

W dole rozciąga się wieś. Jej trzy odgałęzienia wchodzące między wzgórza, łączą się pięćset metrów przed opactwem. Szeroka droga prowadzi aż do bram klasztoru. Mijamy malowane drewniane chaty, organistówkę, cmentarz ze starymi drzewami. Kilka kroków dalej brama ogrodowa z rzeźbą świętego Benedykta. Odtąd droga coraz stromiej pnie się w górę, wysadzana z jednej strony starymi lipami, a z drugiej ujęta murem kamiennym. Nierówności terenu wskazują na mury, baszty i ziemne fortyfikacje, które dwoma liniami otaczały opactwo. Obronne położenie grodu nie oszczędziło mu

Opactwo Tynieckie, choć z jego dawnej świetności pozostały resztki, powraca do życia. Najpierw przystąpiono do odbudowy piętnastowiecznej opatówki. W niej od 1939 roku aż do chwili odbudowania właściwego klasztoru zamieszkali mnisi. Z opatówki dochodzi się do kościoła, wzniesionego w XVII wieku, a dzisiaj po zniszczeniach 1945 roku, prezentującego tylko ślady dawnej wspaniałości. Kościół składa się z dwóch części: gotyckiego chóru dla mnichów i części dla wiernych. Przed ołtarzem Najświętszej Maryi Panny do dziś rozbrzmiewają wieczorem wzniosłe tony Bogurodzicy, a uroczyste śpiewy gregoriańskie — zawsze porywające bogactwem form — są od wieków tradycją tego kościoła. W podziemiach znajdują się liczne dawne grobowce. Krużganki dawniej wychodzące na ogród mają dziś okna na wpół zamurowane i rozsypujący się w gruzy korytarz. Z krużganku prowadzą drzwi do zakrystii. Tutaj w XI wieku znajdowało się oratorium, którego narożnik zachował się



Tyniec. Średniowieczna studnia wykuta w skale na głębokość 40 m

do dnia dzisiejszego. Na narożnikach stały niegdyś posągi Kazimierza Odnowiciela i królowej Judyty.

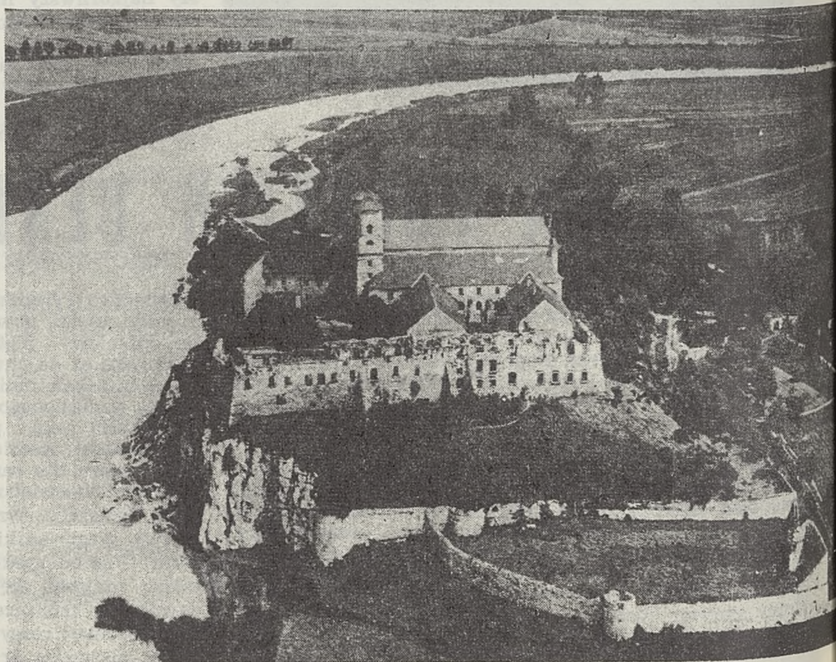
Na dziedzińcu zwraca uwagę stara głęboka studnia. Ze starostwa, w którym mieszkali komendatoriusze i wybitni goście — pozostały resztki. Na południowo-zachodnim narożniku mieściła się kiedyś wspaniała biblioteka, zasobna w stare kodeksy i rękopisy.

Z ogrodu tynieckiego założonego w XVIII wieku i uprawianego przez mnichów, rozciąga się widok na wieś, której chaty rozrzuciły się wśród wzgórz, na skały, na ciemną ścianę lasu i pagórki, zza których przy ładnej pogodzie wyłaniają się szczyty Tatr.

Opactwo Tynieckie przez wiele wieków pracowało dla chrystianizacji i kultury Polski. Wraz z całym krajem przeżywało okresy świetności i upadku. Kiedy potęga Polski w XV wieku dochodziła do szczytu, Tyniec również przeżywał swoje najlepsze dni. Gdy zaś Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi zachwiało się i podupadło Opactwo Tynieckie, aż w końcu otrzymało z ręki zaborcy wyrok śmierci i rozsypało się w gruzy.

Ci sami mnisi, którzy zakorzenili chrześcijaństwo zachodniej kultury nad Wisłą, usuwali gusła i zabobony, przygotowywali glebę dla Winnicy Pańskiej, a wreszcie poświęcili swój zakon dla ojczyzny, mają jeszcze wiele nam do dania. Nowy Opat Tyniecki — w mitrze i z Pastorałem to nie będzie dawny „Abbas centum villarum", lecz opat małorolny... Tyniec zabłyśnie innym bogactwem, przywróci zapomniany urok dawnej wielkiej tradycji. Szkoła, kościół, udostojnienie dusz ludzkich, domów Bożych — oto program Benedyktynów uczących, jak się modlić i pracować.

MAGDALENA BIAŁOBRZESKA



Opactwo w Tyńcu ufundował wedle podania w XI w. Kazimierz Odnowiciel. Na brzegu Wisły na Skałce wzniesiona siedziba cysterska, obwarowana murami, była miejscem obronnym. W XIII w. kościół i klasztor złupili Tatarzy. W XV w. na miejscu świątyni romańskiej wzniesiono nową gotycką, którą w 1622 r. przebudowano na barokową. Wojska szwedzkie w połowie XVII wieku dokonały tu dużych zniszczeń. Konwent rozwiązano w 1817 r. W 1939 roku w Tyńcu ponownie osiedlili się zakonnicy.

Obecnie istnieją tylko ruiny fortyfikacji, wieża, bramy od południowej strony kościoła oraz pozostałości klasztoru. We wnętrzach pozostały ślady malowideł ściennych z XV, XVI i XVII wieku. Od 1945 r. prowadzone są w Tyńcu prace renowacyjne.

Fot. Meysenkälter

JÓZEF JENNE

El Travieso Bob

Ze wspomnień o zmarłym niedawno w Wenezueli, w sile wieku, znanym pisarzu i publicyście Andrzeju Bobkowskim.

Może raczej powinienem napisać insoportable Bob? (Czyli nieznośny). Ale — z pewnego wspomnienia — wynikało raczej: że płochy, swawolny — sprawiający kłopoty?... Więc nie „Querido Bob" a raczej „travieso".

— Są zgony na które po prostu „udzielamy naszego placet". Uważamy że w życiu człowieka coś się dopełniło i koniec ... Koniec i kropka. Ale ze śmiercią Andrzeja Bobkowskiego nie mogę się pogodzić. Mam o nim pisać, ale jakże tu pisać gdy ta śmierć po prostu przerasta moją o nim zdolność pisania. Wspomnienie jest tak żywe, że pióro nie umie dobrać właściwych w takich razach znaczeń.

W pewnym, zresztą — życzliwym mu wspomnieniu — napisano: „Jakże o nim pisać? „...Andrzej Bobkowski nie był czystym pisarzem, nie lubił czystych intelektualistów, i miał sklep." (?) Żeby chociaż kamienicę! I oczywiście, Bobkowski jest zdyskwalifikowany. Mój Boże, iluż to pisarzy i poetów ma dziś sklepy? Że choćby wymienię tylko Jana Rostworowskiego... Znając Bobkowskiego jestem więcej niż pewien, że gdyby żył, z właściwą mu przekorą zapytałby: „Czy chodzi o sklep duży, czy mały. Bo właśnie to wydaje się najbardziej istotne". Ależ tak , Bobkowski powiedziałby to na pewno!

Odczytuję jego listy do „Kultury" i to co drukował w „Kulturze" — pisze ten wybitny emigrant — i wracam do „Szkiców Piórkiem". Gdy się ukazały, nie potrafiłem ich ocenić, zdawały mi się po młodzieńczemu zbyt zadzierzyście otwierające dzwi otwarte i dziś dopiero widzę. W tym miejscu Bobkowski powiedziałby na pewno: „No dobrze, a co z dzwiami?"

Po Andrzeju Bobkowskim, nie mam żadnych archiwów, tylko jego kilka dużych i serdecznych listów, które najwspanialej dopełniają mi jego niezwykłą sylwetkę? W „Szkicach Piórkiem" sylwetka ta rysowała się dość plastycznie. Znam go z nich świetnie. Ale dookoła tej wybitnej pracy było dość głucho. Bobkowski musiał tym być nieźle zdeprymowany.

I w tym mu życzliwym szkicu padło „irytujące" zdanie: „Bobkowski nie był czystym pisarzem."(?) Ale co to jest „czysty pisarz"??? Kto jest czystym pisarzem? Chyba czystym pisarzem jest ten, kto żyje z pióra? A więc zawodowiec. Ale czy to naprawdę jest jakaś „lepsza kategoria" od tych, którzy nie są zawodowcami? Właśnie sądzę, że gdyby „Szkice Piórkiem" były docenione przez pisarzy i krytyków i np. ukazały się, powiedzmy, choćby tylko w dwudziestu tysiącach egz., Bobkowski miałby wówczas szanse zostania „czystym pisarzem". Może nie zawodowcem, ale wówczas nie potrzebowałby prowadzić sklepu, by móc z czegoś żyć i, pisać? — Dziś dopiero orientuję się — jakie zaplecze materialne — potrzebne jest pisarzowi, aby mógł pisać? Ja sam, piszę przecież wszystko dosłownie na kolanie. Jakże tu więc zostać „czystym pisarzem"? I czy to w ogóle jest konieczne? Ale załóżmy przez chwilę że zdobędę „cenzus częstego pisarstwa", czy to wpłynie na moją osobistą wartość? Na wartość tego co piszę? Czy to zmieni stosunek do otaczającego mnie świata? Zadecyduje o treściach tego co piszę? Nada im inny, i lepszy kształt moralny? Albo zadecydowałoby o treściach którym dawał wyraz Bobkowski? Ale godzimy się, że to mogłoby mieć poważniejszy wpływ na środki wyrazu piszącego, ale jest to już inna sfera rozważań i Bobkowskiego nie dotyczy. Bo „zarzut" jest zgoła innej natury.

O ile dobrze pamiętam, tylko jeden Gombrowicz pokwitował „Szkice piórkiem" kilkoma cieplejszymi uwagami. Wprawdzie, było to bardzo osobiste i kameralne, ,na marginesie spraw „jego własnych", ale nie wymagajmy więcej. Bo Bóg świadkiem, że Gombrowicz nie jest krytykiem literackim. Wiem od samego Bobkowskiego, że w związku ze „Szkicami Piórkiem" otrzymał wiele listów od najwybitniejszych pisarzy. Ale jest też faktem, że ci sami pisarze publicznie uznania swego jego „Szkicom Piórkiem" nigdzie nie udzielili! A to tu jest najistotniejsze! Oczywiście, można „umyć ręce" i wyrazić publiczne ubolewanie, że „„nię doceniłem", ale zaistniałe fakty (szkody moralne) są nieodwracalne. Środowiska polskie nagminnie nie doceniają; i jest obojętne, czy chodzi o Karola Szymanowskiego, czy Miłosza, czy Bobkowskiego. Ale gorzej; Bo Miłosz wydrapawszy się na Parnas, woła teraz wszystkich na parol i bierze zaciekły odwet; nie szczędząc przy tym nawet Bogu ducha winnym młodych. Emigracyjne środowiska literackie przeżarte są na wskróś zajadłym milczeniem nienawiści. Wiedział coś o tym Bobkowski i w „Szkicach Piórkiem" wspominał. W ogóle, gdyby tę książkę napisał ktoś inny, np. jakiś: Włoch Hiszpan, czy Rumun, byłaby wśród Polaków głośna. Niestety, napisał ją inteligentny i zdolny polski pisarz, i ośmielił się przerwać w niej — pewną zmowę milczenia — i w rezul-

tacie książka została niedoceniona... Została uznana za „wywalanie dzwi otwartych". Ale mea maxima culpa, dziś nic już nie wyjaśnia.

Nim zamknąłem pierwszy tom „Szkiców Piórkiem" dodatkowo zamówiłem u Giedroycia jeszcze trzy komplety, ofiarowując je przyjaciołom z opinią, że to najlepsza książka emigracji — jaką niewątpliwie była — i jest. Zagłębiając się w jej czytanie, doznawałem niemałych emocji, i myślałem: Oto pisarz całkowicie pozbawiony pychy intelektualnej, która tak zdeformowała emigracyjne ośrodki literackie. Oto pisarz ludzki i czysty, współczujący i przyjaciel każdego. Pisarz który widzi, spostrzega, czuje i myśli. Myśli zwyczajnie po ludzku; kategoriami z prawdziwego życia. Oto pisarz, który idzie moralną ścieżką. Po prostu: Człowiek i Pisarz. Żaden przeintelektualizowany pieszczoszek. Żaden zawodowiec. Żaden Carpentier pisarskiego boksu. Doskonałe pióro spoza wzajemnie się uznającej Ligi pisarzy i literackiej high society.

Zamykam ostatnią stronę „Szkiców Piórkiem" i stwierdzam, że jest to proza najwyższej klasy. Inteligentna, żywa i sugestywna. W treści, po prostu sam miąsz epoki. Pióro śmiałe i uczciwe, nigdy się nie wahające; i bez umizgów. Ale ta proza — jednak — wychodzi na przeciw całym pokoleniom. A przede wszystkim pokoleniom pisarzy wykarmionych i wychowanych na wielkim kulcie Francji i micie jej wielkiej kultury. — Myślę — toż to dopiero będzie karambol jak to przeczytają. Jest jasne, że zaprzeczą i skażą go na śmierć milczenia. I z tego — jak wiem — wyłamał się tylko „buntownik" Gombrowicz: Później mówili i pisali: że pisarz wiele rzeczy rozważył i dopisał później, i że wiele materiału dostarczyła mu sama historia gdy jej karty były już całkowicie zapisane i rozłożone... A więc chodziło tylko o to by go na czymkolwiek „złapać"... Więc jest jasne, że nie chodziło im o literaturę, bo ta była doskonała.

Ale ja czytając jego „Szkice Piórkiem" wierzyłem mu; choć także przykładałem moje miarki krytycyzmu, które — jak powszechnie wiadomo, łagodne przecież nie są — ja wierzyłem. I twierdzę, że się zgadzało. Razem z nim i jego Tadziem odbyłem prawdziwą podróż dookoła Francji i to wszystko widziałem własnemi oczami. Nie, ani jedno słowo nie wydało mi się naciągnięte. Bob choć zawsze pełen pasji, był jednak konsekwentny. Ale jego szczerość, jego autentyzm wywołuje wyniosłe uśmieszki tych, którzy w Francję i jej puste hasła wynieśli w monoklach. To ci dla których Paryż jeszcze do dziś jest Mekką ich złudzeń, a co Bobkowski ze śmiechem i wzgardą odrzucił. On z Francji wyniósł bardzo dużo! Oni nic! Albo raczej ułudę. On wyniósł prawdę dla przyszłych pokoleń. Oni, wszystkie złudzenia i pozory kultury.

Pieszczotliwie i uważnie zamykam tę książkę i niemal z nabożną czcią ustawiam ją w mojej skromnej bibliotece, obok innego „skromnego" pisarza Georga Bernanosa (to po literze alfabetu, doskonałe towarzystwo). Kilka dni temu jeden z najwybitniejszych poetów na emigracji Stanisław Baliński, w liście odręcznym mi napisał: „Nie znam Pana osobiście, ale tom wierszy przybliża znacznie głębiej ludzi, niż przelotna rozmowa „emigracyjna", często jakby zawieszona w próżni. Dotyczy to, nie tylko ludzi nowo poznanych, ale nawet dawnych przyjaciół, których od lat się nie widziało. Czas i geografia dzieli, wbrew temu co mówią powieściopisarze." Zaiste, święte słowa! Nic tak człowieka nie przybliża jak książka, a jeszcze bardziej tom wierszy.

Dostaję z drukarni „Smagły wiatr" — mój debiut. Bez namysłu posyłam go Bobkowskiemu. Otrzymuję pierwszy list. Nie jest to list z gatunku tuzinkowych jakich później otrzymałem wiele od wielu pisarzy, i które bez namysłu wyrzuciłem do kosza. Miałem do tego prawo. Bo jeden z nich rozpisywał się kiedyś; jak to jego kuzyn ze wzgardą odpychał nogą porozwalane pod stołem tomiki młodych poetów, które mu naiwnie nadesłali. Wtedy powiedziałem sobie, nigdy więcej! O świecie, drapieżnych, kulturalnych tygrysów! Chciałbym kiedyś zapolować na was na białym słoniu Kiplinga; choćby pod Pont des Chameaux. Ale czy kiedykolwiek będę mógł i, czy potrafię? To nie tak łatwo przyprzeć takiego faceta do muru i przypomnieć mu jego szczenięce lata. A na złośliwe uwagi, że nie jesteśmy już tacy młodzi odpowiadam za całą „młodzież". Dla pokolenia, które chrzest pisarski otrzymało na emigracji metrykalny czas ma zupełnie inne znaczenie? Tu, liczy się tylko czas startu i staż. No cóż, nie mieliśmy „szczęścia" wychować się jak inni w przedwojniu — na cudzy koszt?...

Y El travieso Bob odpisuje: „Najserdeczniej dziękuję... Kim Pan jest?" Przyznaję że tym listem „czoknął" mnie zupełnie. Bo jednak, gdzieś na dnie serca podejrzewałem, że w końcu wylezie z niego czysty pisarz, albo co gorzej intelektualista? Uff... Ale nie, nie wylazł. On sam pisał: „Jacques wykazuje już symptomy czystego intelektu, boi się wody i wysiłku fizycznego". Albo: „„Za drugim razem wylezie z niego czysty intelektualista, takie ziółko które patrzy do lustra i krygując się przed sobą czeka na aplauz; gdyż wyznaje zasadę: Ja cię opiewam, ty mi pochlebiasz i płacisz". I Bob, pisze mi taki ludzki, „zwyczajny list". „Książkę odebrałem na poczcie i rzuciłem okiem, ale nie miałem czasu głębiej zaglądać. Dopiero wieczorem przyszła do mnie do sklepu żona i poszliśmy na kawę. Przy kawie zacząłem żonie czytać na głos. Wie Pan — powiem otwarcie: jestem na poezję raczej nie przemakalny. nie znam się na mowie wiązanej i moim jedynym kryterium jest, że albo mnie „bierze" albo mnie nie „bierze". A żeby mnie „brało" to musi mieć „coś", ale nie wiem co.

I mówię Panu otwarcie, że pańskie wiersze mnie „wzięły“, całkowicie, bez oporu. Są świetne, mają „coś“ co spowodowało przeczytanie pańskiego tomu na głos od początku do końca przy kawie i jednym rozciągniętym „likierze“ Nie potrafię Panu powiedzieć nic fachowego, bo powtarzam, że jeżeli chodzi o poezję, to jestem prymitywem i zupełnym bałwanem. Powiem po prostu, że mnie wzięły, że mi się podobały, że jest w nich, przede wszystkim nowoczesność formy połączona z zupełną zrozumiałością, co osobiście bardzo cenię, (niesłychanie prymitywne kryterium, jak by powiedział Miron Białoszewski) jest głęboka goryczka i jakby metafizyczny piołun. Dziękuję za tę książkę z całego serca, do której po tym wieczorze już dwa razy wracałem i na pewno wiele razy jeszcze powrócę. Może to Panu coś więcej powie: szereg razy brałem się do poezji X i nie mogę, nie przemawia do mnie. Do Pana książki przylgnąłem od razu.“

Tak pisywał do ludzi el „travieso“ Bob. Prosto, serdecznie, bez krygowania się i fasonu z wielkiego Olimpu. I w tych prostych i nie banalnych słowach dawał niebanalną recenzję cudzej roboty. Każde jego słowo miało ten walor treści, że związane z kontekstem pamiętało się je i ceniło więcej, niż czyjekolwiek inne. W liście następnym pisze: „Tyle Pan rzeczy musnął w swoim liście że diabli biorą, że nie można się szerzej rozgadać. Pisze Pan o Gombrowiczu: „... ale enigmatyczność jego postaw jest chimerą nie przypadkową?“ „Jaka enigmatyczność, przepraszam“. I na ten temat robi mi duży wykład o sztuce Conde Vitoldo? W listach dalszych, ostrym i celnym piórem kreśli kilka sylwetek pisarskich. Widać ma z tymi pisarzami „jakieś pisarskie porachunki“? Ale jego oceny zaskakują mnie śmiałością i krytycznym obiektywizmem. W jednym z listów dalszych pisze: „Pisze Pan, że Pan nie jest pisarzem, to i ja Panu mówię to samo o sobie, ale to nie przeszkadza, że czasem możemy się na wzajem traktować całkiem serio“. I dalej „Więc ów redaktor uważa Pana za anarchistę? To świetnie, szczególnie jeśli jest Pan naprawdę anarchistą? Ja też właściwie mam wielkie skłonności anarchistyczne i nie jestem pewny czy w tych absurdalnych czasach ten jeszcze bardziej absurdalny światopogląd nie jest najbardziej do przyjęcia? Ja jestem anarchistą egzystencjalistycznym. Sam nie wiem co to znaczy, ale to dobrze brzmi. To grunt“. I żart przeplata się tu z poważną myślą krytyczną. A dalej:

„Co Pan mówi — Miłosz? Ho ho — to nie byle zaszczyt. Czy Pan go zna?“ Miłosza znałem z Warszawy, z czasów jego włóczęg z Czechowiczem po Saskiej Kępie przy porcie po stronie Pragi, wszak jestem prażaninem. Stąd, tak samo znał go Tadek Borowski, Ernest Bryll i inni. Znaliśmy ich również z łaźni na Jagiellońskiej na Pradze gdzie Czechowicz w stałej asyście Miłosza zastawiał swoje sieci, o czym Miłosz wiedział doskonale. Ale odpisałem, Miłosza nie znam. Znam Chciuka. I ja także jestem jego subskrybentem. Sam nie wiem skąd mam do niego sympatię? Kiedyś u Grydzewskiego czytałem jego trzy fraszki, i uznałem że są do luftu. W ogóle żal mi go, bo chłopak zdaje się porządny i zdolny, ale co on wyprawia? Wiersze, fraszki, kuplety, bajki, i chyba zagadki — podkpiwałem. Istny groch z kapustą. Chciuk startował razem ze mną w Konkursie Nagród Wenezuelskich w Londynie gdzie mój tom wierszy „Jantarowy flet“ został wyróżniony o dwie lokaty wyżej niż tom Chciuka. Ale — moja na wskroś rewolucyjna poezja — nie mogła otrzymać lokaty lepszej. I aż dziw że i taką otrzymała. Podobno najlepszym był Niemojowski. Czytałem fragmenty. Ale to jest zabijanie gości w capa. Poza tym Niemojowski pisze pod Mickiewicza czego oni zupełnie nie zauważyli. A w ogóle jest to nikomu nie potrzebna nięsłychana orkiestracja słowna (nie poezja). A w ogóle ta — „Macha, Andromacha, Biomacha, Ksantypa, itd. Ledwie się to wszystko trzyma kupy. A że „niezrozumiałe“ nawet dla takich jak ja — więc Oni— bo ręczę, że nic nie rozumieli, dla pewności i większej powagi Jury dali mu pierwszą lokatę. I teraz co? — Cisza.

Nie jest prawdą, że Bobkowski był „zawiedzionym kochankiem Francji“. To właśnie jej zawiedzeni kochankowie i puści retorzy — wyminięci z życiem — zawsze wierni tylko sobie, błyskotliwie przypisują mu taki romans. Bobkowski kochał tylko dwie rzeczy: Wolność i piękno.

Widzę go — jak przecież ironicznie patrzy na tę „kochankę“ dyskretnie i bladym karminem poprawiającą rysunek ust. On ma o niej sąd definitywnie ustalony. On jest najbardziej zawiedzionym kochankiem Polski, i tego właśnie nie ukrywał, jak tamtej — nie ukrywał swojej wzgardy.

Trudno, trudno mi się z tą śmiercią pogodzić i chyba już z tym pozostanę...

Józef JENNE



WYSPIAŃSKI
na codzień

Opracował STANISŁAW PODLEWSKI



Autoportret Wyspiańskiego

STANISŁAW Wyspiański należy do tych wielkich artystów i pisarzy polskich, o których twórczości napisano chyba najwięcej książek, rozpraw, studiów, przyczynków i artykułów. Niewiele jest w polskiej literaturze i sztuce postaci, o których życiu i twórczości nagromadziło się tyle wspomnień, opowiadań, anegdot i reminiscencji.

Wielki mur książek i artykułów przysłonił nam niejako żywego człowieka i artystę. Wyspiański umieszczony został w Panteonie narodowym obok wielkich wieszczów. Dla szerokich mas stał się często niedostępny, niezrozumiały i koturnowy.

Wspomnienia towarzyszy lat dziecinnych, przyjaciół, najbliższej rodziny i otoczenia ukazują Stanisława Wyspiańskiego jako żywego człowieka i artystę, zbliżają go do nas. Myślę, że wspomnienia i anegdoty oplotły najmocniej ostatni okres życia poety.

NAJCZĘŚCIEJ SMUTNY I W SOBIE ZAMKNIĘTY

„Wyspiański — pisze Wincenty Trojanowski — jako człowiek i artysta stanowi jednolitą i harmonijną całość. Skromny — lecz znający swoją wartość, umiejący nakazać dla niej uszanowanie, cichy, lecz stanowczy, dążący usilną pracą do wytkniętego celu, niezłomny w przeszkodach, i cierpliwy i mężny w cierpieniu, łatwo unoszący się radośnie w rzadkich chwilach powodzenia i uznania, zazwyczaj był poważny, a najczęściej smutny i w sobie zamknięty".

Wyspiański był rozmiłowany w pięknie natury i przyrodzie. Nade wszystko ukochał kwiaty polne łąk podkrakowskich.



Stanisław Wyspiański: Żona artysty

Adolf Nowaczyński, młodszy kolega Wyspiańskiego, cygan młodopolski we wspomnieniu pt. „Wyspiander" pisze: „Gdyby powzięło się stanowczo i nieodwołalnie decyzję zerwania z tym życiem bezmyślnym, z rują, porubstwem i opilstwem — zachodziło się wtedy no Wyspiandra na Poselską.

Tam około niego unosiła się całkiem inna atmosfera jak gdyby klasztorku, cela Fra Angelica czy Poverella z Asyżu, kwiatki, ptaszki, praca, upojenie, ale czyste duchowe — egzaltacja artystyczna. Trzeba było się wkupić znów w łaski „naręczem" kwiatów. Gdy bowiem wchodziło się z malwami, z nagietkami i „pantofelkami Matki Boskiej", z kiściami serduszek różowych — twarz surowa na pukanie intruza rozpromieniała się cudownie. Nie trzeba zatajać..., że te kwiaty niekiedy buchało się z ogrodu na Łobzowie po nocnych hulankach z komiltonami z cenaklów szmidtowych [1])

I wtedy nastawał okres czystości obyczajowej i czystej sztuce poświęcony. Wyspiander rysował kwiaty godzinami z pedanterią japońską. W kwiaty mógł się wpatrywać godzinami. Oglądało się albumy i wydawnictwa. Przepojony czcią i miłością dla sztuki francuskiej, godzinami objaśniał, jak nazywają się rozmaite architektoniczne szczególiki w kadrach francuskich".

ŚWIĘTA PO STAROSŁOWIAŃSKU

Wyspiański „wziął sobie żonę z prosta" — Teosię Spytkównę. Najpierw przyszedł na świat syn Tadeusz, potem córka Helena, następnie synowie Mieczysław i Stanisław.

„Wyspiański kochał bardzo dzieci — pisze Bolesław Raczyński i był bardzo troskliwy o ich zdrowie fizyczne, obawiając się u nich dziedzicznych cierpień.

Święta Bożego Narodzenia, Wielkanocne, a zwłaszcza Zielone Świątki obchodził wraz z całym domem uroczyście, tak jakoś jakby po starosłowiańsku. Zastawa jakby u Piasta, kołacze, mięso, wszystko to nie sposobem teraźniejszym podane. Zazwyczaj najmował jakąś kapelę grywającą na podwórzach, a sam kochany pan Stanisław gościł wszystkich, kto przyszedł, sadzał za stołem każdego, kto się zdarzył.

Wynikały z tego niejednokrotnie pocieszne sytuacje, gdy obok profesora uniwersytetu zasiadł rzemieślnik, obaj sąsiedzi biesiadnicy nie wiedzieli, co z sobą zrobić".

SZAŁ PRACY I TWÓRCZOŚCI

Mając świadomość rychłej śmierci Wyspiański wpadał w istny szał pracy i twórczości. Żył w ogromnym napięciu nerwów i stałym podnieceniu. „Była to — pisze Nowaczyński — już nie pracowitość Leonrada da Vinci — ale gorączkowa, obsesjonalna furia pracy".

Jak wszyscy wielcy twórcy miał swoje osobliwości, dziwactwa, niezwykle oryginalne projekty, fantastyczne plany.

„...Ten cichy, nikły i chory człowiek — wspomina Wincenty Trojanowski — zawsze chodzący w wytartym tużurku i zawsze trzymający w lewej ręce chustkę, często za-

kładając ją w tył, mimo niepozorności nakazywał uszanowanie dla swej osoby.

Uprzejmy i nadzwyczaj delikatny w stosunkach towarzyskich Wyspiański zmieniał się, gdy ktoś zbyt obcesowo zaczepił go na polu jego twórczości malarskiej lub poetyckiej.

Czując się jedynym krytykiem swoich dzieł, nie znosił krytyk lub uwag innych, drażniły go zapytania, objaśnienia scen lub idei jego dramatów, które, jak mniemał, dla wszystkich powinny być zrozumiałe i jasne.

WYBREDNY W MODELACH

Sytuacja finansowa artysty była zawsze ciężka, zawsze czegoś brakowało w domu. Był świetnym portrecistą, mógł tym zarabiać, lecz jak wspomina Nowaczyński, był wybredny w modelach. I zdarzało się, kiedy jacyś Kołtuńscy lub Łykowie przychodzili z propozycjami, Wyspiański prosił siadać madame, wpatrywał się w nią pięć minut, na propozycję zrobienia „landszaftu do kolan", z „herbem w rogu" — odpowiadał: „Dziękuję, ale ja nie widzę już potrzeby robienia Pani portretu", albo: „Proszę przyjść od dziś za rok".

Również twardy był dla debiutantów lirycznych i soneciarzy. Umiał wysłuchać długo, cierpliwie, a potem: „Dziękuję, dość! W tym domu, gdzie pan mieszka, żyje najwyżej pięć osób, które by takich wierszy nie potrafiły napisać".

NA WŁASNYM KAWAŁKU ZIEMI

Na kilka lat przed śmiercią, dzięki zabiegom ludzi życzliwych i przyjaciół, Kasa Oszczędnościowa miasta Krakowa zakupiła od Wyspiańskiego kilka obrazów dla Muzeum Narodowego.

Wyspiański marzył zawsze o własnym kawałku ziemi. Toteż kupił dziesięciomorgowe gospodarstwo wraz z dworkiem we wsi Węgrze, położone tuż przy granicy byłego Królestwa. Nie cieszył się jednak długo swoją posiadłością. Straszliwa choroba czyniła teraz coraz większe postępy, przykuwała go do fotela. Teraz pięknem natury mógł się rozkoszować tylko z okna swojej izby.

„...W ciężkiej chorobie, którą znosił bardzo cierpliwie — wspomina szwagierka Wyspiańskiego — jego pociechą było wiejskie gospodarstwo. Cieszyło go, gdy do pokoju, w którym leżał, przyszły kury. Raz zrobiono mu wymówkę z tego powodu. Wówczas Wyspiański zawołał parobków i polecił im zgonić wszystkie kury do pokoju. Oczywiście parobcy zrobili „wielkie oczy". O ile w oborze były jakieś narodziny — to parobcy przynosili mu do łóżka cielątko, za co dostawali sute napiwki.

Ostatnie dożynki były dla niego o tyle przykre, że nie mógł rozstać się z fotelem dziewczęta przyszły do niego do pokoju, aby mu zaśpiewać pieśń dożynkową i wręczyć wieniec. Część tych śpiewów Wyspiański spisał sobie, a wieniec kazał zawiesić w swojej pracowni.

Gdy pewnego razu przyszła stara Waśkowa, która obok dworku mieszkała i spytała:

— Jak tyż Pon się mają?

Wyspiański nic nie odpowiedział, lecz po chwili zaśpiewał.

„Waśkowa, Waśkowa, marne nasze życie.
Gdy mnie już nie będzie, jedziecie w karecie..."

I rzeczywiście, po jego śmierci, w niespełna rok wdowa po Wyspiańskim wyszła powtórnie za syna Waśkowej.

* * *

Stanisław Wyspiański jako ulubieniec bogów umarł młodo — w 39 roku życia, ogrom swej pracy wykonał w niespełna dwadzieścia lat.

---

1) Inaczej mówiąc w czasie nocnych powrotów z koleżeńskich bibek u Szmidta — tj. z podrzędnej krakowskiej knajpy.



Stanisław Wyspiański: Macierzyństwo

FILM

JANUSZ SKWARA

Roman Polański

Kim jest Polański? Krytyka dopatruje się w jego twórczości przede wszystkim wzorów obcych: raz defetystycznego klimatu moralnego francuskiej „nowej fali", raz wpływów filozofii Becketta. Listę zapożyczeń można by dowolnie rozszerzać. Dlaczego jednak nie wyprowadzić twórczości Polańskiego z polskiej rzeczywistości?

Filmy Polańskiego — krótkometrażówki: „Dwaj ludzie z szafą", „Gdy spadają anioły", „Chudy i gruby", „Ssaki" oraz długi metraż „Nóż w wodzie" — są w dużym stopniu dziennikiem myśli i uczuć reżysera. Nawet czymś więcej. Manifestem pokolenia „trzydziestolatków" (termin spopularyzowany ostatnio przez „Politykę", chodzi o młodych urodzonych w latach trzydziestych), które wystąpiło ze swym programem artystycznym w połowie lat pięćdziesiątych. Nie chodzi jednak o całe pokolenie „trzydziestolatków", a tylko o tę część, która występuje przeciwko normom, w których zostali wychowani. Tworzą oni własną mitologię „zagadkowej młodzieży". Odrzucają nieprzydatne, ich zdaniem, nakazy obyczajowe, wprowadzając na ich miejsce nowe: modę na muzykę, „której można słuchać" (jazz), książki, „które można czytać" (Sagan, powieści kryminalne), rozrywki, a nawet określony sposób uczesania, ubierania się. W zachowaniu młodych obowiązuje poza na nudę i cynizm.

W takim klimacie „rozrachunków z życiem" wyrosła twórczość poety Andrzeja Bursy, prozaików: Stanucha, Iredyńskiego. Podobny klimat znajdziemy także w pierwszym filmie Polańskiego „Dwaj ludzie z szafą". Autor zajmuje się w nim mechanizmem powstawania buntu, uzasadnia potrzebę jego istnienia. Widzimy miasto, w którym roi się od chuliganów, złodziei okradających własnych przyjaciół, pijaków. Na tym tle charakterystycznie odbija się postawa dwóch młodych ludzi „z szafą". Ich reakcje są spontaniczne, żywiołowe, przypominają zachowanie dzieci wchodzących dopiero w świat. Młodzi, spotykając się na każdym kroku z nieżyczliwym przyjęciem, wracają demonstracyjnie do morza, skąd przybyli.

Ale czy można pozwolić sobie na luksus ucieczki w morze? Świadomie utopijne zakończenie filmu posiada wymowę ironiczną. Prosty stąd wniosek, że chcąc żyć naprawdę w tym „strasznym" świecie, który stworzyli dorośli, trzeba przyjąć pozę i przywdziać odpowiednią maskę. Oto więc ów jedyny dostępny bunt, jaki rzekomo pozostaje.

Bunt „zagadkowej młodzieży", jaki przedostał się do literatury i filmu, doczekał się rychło ostrej krytyki. Przede wszystkim ze strony starszego pokolenia — „kolumbów" (roczniki z lat dwudziestych), które przeżyło wojnę w obozie, na froncie, w partyzantce. Oto ich racje: zostaliśmy „porażeni wojną". Buntujemy się tak jak i wy, ale rozsądnie: przeciwko tradycji romantycznego bohatera, polskiej sztuce umierania, opierając się na własnych doświadczeniach. A wy co? Chcecie odwrócić się od tradycji, od historii, prowadzić dialog z własnym cieniem?

Młoda literatura zignorowała krytykę. Miała swoje powody. Od czasów, kiedy pokolenie „kolumbów" (Borowski, Różewicz) przeprowadziło swój zasadniczy rozrachunek z wojną, z historią, upłynęło sporo lat. Potem dawni buntownicy zajęli się poszukiwaniem miejsca dla siebie w powojennej rzeczywistości. Młodym trudno było znaleźć z nimi wspólną płaszczyznę porozumienia. Polański był w nieco innej sytuacji. Kiedy zrealizował swój pierwszy film — szkoła polska dopiero podejmowała dyskusję antyheroiczną, porzuconą przez literaturę. Jego twórczość stanęła przed szansą wyjścia poza sprawy mitologii pokolenia.

Następny film Polańskiego „Gdy spadają anioły" (mało znany, bo to praca dyplomowa) podejmował temat wojenny. Treścią jego były wspomnienia babci klozetowej z czasów młodości, kiedy uwiódł ją dorodny ułan; potem następują przeżycia wojenne. Babcię gra w filmie sam Polański. Nie mamy tu jednak do czynienia z żartem, ale jakby z solidarnością z uczuciami bohaterki. Film jest raczej okrutną fantazją niż dokumentem rzeczywistości wojennej. Stąd roi się od surrealistycznych symboli. W pewnym momencie babcia wspomina śmierć ukochanego syna na froncie. Leży on spokojnie w dziurze po leju bombowym, gdy nagle spada granat i urywa mu obie nogi. Umierający bohater patrzy z przerażeniem na płynącą krew i zanosi się od histerycznego śmiechu. Obraz jest wstrząsający: ma w sobie coś z pogardy młodych wobec sztuki umierania i coś z surrealistycznej drwiny. Krew przypomina farbę rozlaną dokoła jakby przez niedopatrzenie. Jest to więc sceneria sztuczna i świadomie przejaskrawiona.

Czy jednak nonszalancję i pogardę, z jaką Polański odnosi się w tym filmie do wojny, należy uznać za rodzaj cynizmu? Wiadomo powszechnie, że cynizm w zachowaniu młodych jest tylko pozą (motyw ten podchwycił Wajda w „Niewinnych czarodziejach"), za którą kryją się głębsze uczucia: tkliwość, li-

DWAJ LUDZIE Z SZAFĄ



SSAKI

ryzm, tęsknota za ciepłem. Takie tłumaczenie w stosunku do filmu Polańskiego byłoby zbyt powierzchowne. Chodzi o coś więcej.

Młodzi urodzeni w latach trzydziestych przeżyli wojnę jako dzieci. Nie mają więc „biografii" (a jak wiadomo za „biografię" uważa się w Polsce kataklizmy wojenne, psychiczne, trzęsienie ziemi itp.). Boli ich więc, że nie mogą pozwolić sobie na krytykę tradycji narodowych, do której nie mają moralnego prawa. Dlatego właśnie buntują się na oślep, niejasno — kryjąc bunt za maską cynizmu i nonszalancji, a jednocześnie zazdroszcząc starszym kolegom ich przeżyć z czasów wojny, a więc podstawy, na której mogliby oprzeć swój protest. Brak „biografii" powoduje więc pewien psychiczny uraz, który z czasem pogłębił się i doprowadził do charakterystycznej walki pokoleń.

Film „Chudy i gruby" zdaje się podejmować motyw tej walki pokoleń. Polański korzysta tu ze starej powiastki o rabinie, biednym chłopie, który już „dłużej nie może" i kozie. *„Pewien chudy* — mówi reżyser w wywiadzie udzielonym FILMOWI — *jest niewolnikiem pewnego grubasa. Próba ucieczki kończy się niepowodzeniem. Grubas przywiązuje służącemu kozę do nogi. Chudy ponawia jeszcze raz próbę wyrwania się ze swych więzów. Wtedy gruby uwalnia go od kozy i tamten jest nareszcie szczęśliwy..."*

Co kryje się za tą powiastką o „wyzysku człowieka przez człowieka"? Czy może chodzi o historię, która ciąży nad każdym nowym pokoleniem, próbującym (daremnie!) wyzwolić się z pęt romantycznej tradycji. A może gruby, ów człowiek rozsądny, sprytny, symbolizuje pokolenie „kolumbów", chudy zaś (gra go sam Polański). — pokolenła „trzydziestolatków"? Łatwiej można by zrozumieć wtedy ironiczne zakończenie filmu. Głosi ono obronę buntu, nawet i wtedy, gdy jest on daremny: po prostu dla samej zasady buntowania się. W przeciwnym razie trzeba pójść na kompromis: porozumienie między grubym i chudym oparte jest przecież na więzi biologicznej, jaką ma silniejszy nad słabszym.

Bardziej przekonywający jest następny film Polańskiego „Ssaki", w którym reżyser występuje z jasną krytyką postawy romantycznej. Mamy tu alegoryczną powiastkę o dzielnych ludziach północy, w stylu poczciwego Curwooda — tyle że złośliwie sparodiowaną. Dwaj bo terowie jadą przez zaśnieżone pola, na zmianę ciągnąc sanki. Rola „konia pociągowego" żadnemu z nich nie przypada do gustu. Udają więc zapracowanych, chorych i kalekich. W miarę upływu czasu obaj bohaterowie coraz mniej pamiętają o celu podróży — więcej zaś o własnych korzyściach: „bohaterowie" przekształcają się więc w „antybohaterów", „męczennicy idei" — w męczenników własnych przywar, słabostek, wad. Jest to — być może — aluzja do postawy moralnej pokolenia „zarażonych wojną". Czyż oni także nie powoływali się najpierw na swoje tragedie wojenne, a potem stopniowo przekształcali się — jak bohaterowie „Ssaków" — w męczenników swych prywatnych dramatów, niezrozumiałych dla innych?

Ale Polańskiemu i taka dwuznaczna konkluzja nie wystarcza. W swym pierwszym filmie fabularnym „Nóż w wodzie" idzie dalej, poddaje w wątpliwość szczerość prywatnych dramatów pokolenia „kolumbów". Bohaterami „Noża w wodzie" są: młody student i dziennikarz, „stary", uczciwy, z pokolenia „kolumbów". To pokolenie „kolumbów" nie bardzo już mówi o zarażeniu wojną — dawno już zdążyło się zmienić, choć udaje, że tak nie jest. Dziennikarz ma auto, jacht, młodą żonę. Jego „garb przeszłości" to już tylko skłonność do opowiadania dykteryjek o dyscyplinie wojskowej, o kapralach, którzy nim pomiatali.

Chłopak podejmuje z dziennikarzem walkę „na miny". W pewnym momencie, kiedy wpada z jego winy do wody, udaje, że się utopił. „Stary" próbuje go znaleźć. W imię czego? Chodzi mu o życie chłopca, a może jest przerażony popełnioną zbrodnią i chce ją teraz zatuszować? Odpowiedź brzmi jednoznacznie: ani jedno, ani drugie. Dziennikarz pływa bezradnie tam i z powrotem. Nie potrafi zdobyć się na rozsądną decyzję.

Być może — zdaje się tłumaczyć reżyser — kiedyś ten żałosny człowiek, doświadczony w czasie wojny, przeżywał tragedie bohatersko. W warunkach dostatniego życia, dawno o tym zapomniał, stał się praktycznym oportunistą, a cały jego „garb przeszłości", to już tylko poza.

Ale także „mały" nie może budzić sympatii, jego zachowanie jest nacechowane egoizmem, wygodnictwem. Tylko patrzeć jak w niedługim czasie pójdzie śladami dziennikarza.

Tak więc Polański, atakując wszystko: i tradycję romantyczną, i rozsądek, pokolenie „kolumbów" i wojnę — w przystępie szczerości dochodzi do granic ostatecznych. Kompromituje postawę pokolenia, do którego należy i w imieniu którego dotychczas występował. Koło krytyki zamknęło się. Co dalej?



Nie Ma Filmu Bez "Klapsa"

Godło Dziesiątej Muzy

Gdy zapytać filmowców aktorów, reżyserów, operatorów i licznych pomocniczych pracowników technicznych jaki znak widomy uważają za symboliczne wyobrażenie X Muzy, odpowiadają zgodnie, że podobnie jak maska sceniczna starożytnych mimów stała się godłem sztuki dramatycznej, tak identycznym wyobrażeniem kunsztu srebrnego ekranu winien stać się "klaps".

Cóż to zacz ów "klaps", który w oczach ludzi filmu urósł aż do godności symbolu ich poczynań zawodowych? Pod tą nieco dziwną nazwą kryje się przyrząd bardzo prosty, mający kształt pary deszczułek złączonych przy jednym końcu, przypominający więc poniekąd wielkiego "dziadka do orzechów".

Na owych deseczkach wypisuje się bieżący numer ujęcia filmowego czyli aktualnie odgrywanej sceny, utrwalony równocześnie na taśmie filmowej celem szybkiego odnalezienia owego fragmentu w czasie **obróbki** technicznej filmu.

Filmowy gong

Ponadto trzaskając deszczułkami przed obiektywem kamery "klapser", pracownik posługujący się "klapsem", daje znak do naychmiastowego rozpoczęcia nakręcania danego ujęcia.

Tym samym ów suchy trzask podobnie jak gong sceniczny mobilizuje aktorów do pełnego ekspresji wyładowania całego ładunku artystycznych uzdolnień. Odgłos klapnięcia zostaje także automatycznie utrwalony na odrębnej taśmie dźwiękowej, ułatwiając w okresie montażu zsynchronizowanie **dźwięków** z odpowiednimi fragmentami obrazu. Skromny ten przyrząd w oczach filmowców jest również wyrazicielem postępu technicznego i artystycznego w dziejach kinematografii.

Półwiecze przemian

U kolebki kinematografii nie znano praktycznego "klapsa".

"Klaps" w swej obecnej postaci pojawił się w chwili gdy rozbłysnęły pierwsze baterie reflektorowych "jupiterów", zajmujących miejsce poprzednio używanych luster odblaskowych, a prymitywne "atelier" rozbudowały się do wielkości ogromnych "**studio**" przypominających wielkie hale produkcyjne fabryk.

Pomysł "klapsa" zrodził się wówczas, gdy słynne centrum produkcji filmowej Hollywood, z podmiejskiej dzielnicy Los Angeles przeistoczyło się w samodzielne miasto X Muzy. Ręczne kamery przybrały formy skomplikowanych platformowych obiektywów, zaś aparaty wyświetlające w salach kinowych zastąpiła zautomatyzowana aparatura projekcyjna złączona z instalacją sterefoniczną.

"Mikser"

Na początku kina, w czasach Maxa Lindera i Asty Nielsen sygnałem zapowiadającym rozpoczęcie nakręcania poszczególnych ujęć był okrzyk reżysera: "Uwaga! Zaczynamy!". Na następnym etapie, gdy święcili triumfy Lucy Dorain, Konrad Veidt i "bożyszcze kobiet" Rudolf Valentino, posługiwano się teatralnym sposobem uderzając w metalowy gong. We współczesnej nam dobie twórczości filmowej De Sica, Oliviera, Felliniego, wspaniałych międzynarodowych festiwali sztuki filmowej, bez "klapsera" praca przy zdjęciach i w laboratoriach montażowych nie byłaby możliwa. Chociaż szefowie produkcji w Hollywood podobno już zastanawiają się nad zastąpieniem "klapsa" bardziej nowoczesną aparaturą.

Z usług "klapsa" w znacznej mierze korzystają "mikserzy" zwani "mistrzami cocktailu dźwięków". Zadanie ich polega na umiejętnym łączeniu zapisów dźwiękowych z kilku taśm w jedną całość stanowiącą podkład foniczny poszczególnych ujęć, oddzielanych właśnie "klapsem". Bowiem dźwięk, jego barwa i nasilenie, muszą ściśle, odpowiadać zarówno akcji utrwalonej w każdym kadrze czyli najmniejszej cząsteczce kompozycyjnej ujęcia filmowego.

Szczególnie odowiedzialne zadanie ciąży na "mikserach" przy kompozycji dźwięków mieszanych. Na przykład jeżeli ujęcie przedstawia ruch uliczny, pojedyncze taśmy rejestrują osobno zgrzyt hamulców samochodowych, stukot kół tramwajowych, gwar przechodniów i umiejętnie muszą zostać przy odpowiednim stosowaniu ponownie nagrane na ścieżkę dźwiękową biegnącą wzdłuż brzegu taśmy filmowej.



JADWIGA KOPEĆ

OR-OT
JAKIEGO ZNAŁAM



Artur Oppman w 32 roku życia

Pamiętam go z lat mego dzieciństwa, był bowiem częstym gościem w domu moich rodziców.

Pozostały mi w pamięci jego oczy ciemne, bujna czupryna z kosmykiem spadającym na czoło, sumiasty wąs i charakterystyczny staropolski ukłon.

Artur Oppman urodził się w Warszawie na Lesznie pod numerem 4, 14 sierpnia 1867 roku. Rodzice jego mieli fabrykę musztardy pod firmą „Artur" (ojciec także nosił imię Artur). Konkurowała ona z podobną fabryką Ofierskiego, a potem Schweitzera i cieszyła się powodzeniem wśród znawców.

Oppman pochodził z rodziny, która w roku 1708 przybyła do Polski z Turyngii. Protoplastą polskiej gałęzi rodu był Gotfryd Oppman, major gwardii króla polskiego. Chociaż były to już bardzo dawne czasy i najbliżsi jego przodkowie pochodzili z rodów rdzennie sarmackich (babka była z rodu Starża-Jaranowska, zaś matka-Sierosławska) poeta wspomina o tym w swym wierszu „Za kroplę mojej niemieckiej krwi", jak gdyby po to, by specjalnie podkreślić, że tak bardzo czuje się Polakiem.

Artur kształcił się w Warszawie w II gimnazjum. Już na ławie szkolnej pisal wiersze i wówczas to przypadkowo powstał jego pseudonim. W 15-tym roku życia posłał swój pierwszy utwór do redakcji „Kuriera Warszawskiego" i podpisał się niewyraźnie skrótem imienia i nazwiska — Ar-Op (Artur Oppman). Zostało to źle odczytane, stąd pseudonim: Or-Ot.

Gimnazjum, do którego uczęszczał Or-Ot stosowało szczególnie ostre represje wobec „niebłagonadiożnych". Or-Ot ze swym czupurnym usposobieniem gwałtownym temperamentem należał do elementów najbardziej buntowniczych — toteż nie mógł się utrzymać w rządowym gimnazjum i przeszedł do Szkoły Handlowej imienia Kronenberga, zaś stamtąd wyjechał do Krakowa na studia językowe pod kierunkiem Karola Estreichera.

Interesował się specjalnie językiem szesnastowiecznym i tak wspaniale go opanował, że w latach późniejszych napisał świetną staropolszczyzną dwa utwory sprawiające wrażenie ówczesnych tekstów autentycznych.

Rodzice moi, przyjaźnili się z Or-Otem, ja zaś bawiłam się z jego dziećmi, właściwie z najstarszym synem Wackiem, który potem kształcił się w malarstwie i młodo zmarł na gruźlicę. Był to chłopiec niezwykle subtelny i wrażliwy przeciwieństwo jego stanowił młodszy brat — Kazik. Tamten „bujał w obłokach", ten zaś miał umysł trzeźwy, praktyczny, co przejawiało się nawet w zabawie. Gdy chłopcy dostali tabliczkę czekolady, Kazik pytał Wacka:

— Co wolis śrebro czy cekuladę? bo ja wolę śrebro.

I dzielili się według upodobania.

Trzecie dziecko Or-Ota — ukochana Janeczka była wtedy tak maleńka, że nosiło się ją na rękach.

Zdawałoby się, że Or-Ot pochodzący z rodziny zamożnej, powinien był opływać w dostatku. Ale tak nie było. Z natury rozrzutny, nie umiał liczyć pieniędzy i nie zaznał spokoju, dopóki wszystkiego nie wydał. Szedł więc do sklepów, kupował mnóstwo rzeczy więcej lub mniej potrzebnych i wracał do domu obładowany, znosił wszystko dla rodziny jak ptak dbający o gniazdo. Gdy zdarzało się, że wychodził na dłu-

żej, telefonował co pół godziny, by upewnić się, że nic złego nie zaszło, że wszystko jest w porządku. Ulegał także przesądom, wierzył w dni feralne, nie lubił poniedziałku, nie wyjeżdżał wtedy nigdzie, nie rozpoczynał pracy. Było to objawem jego nadwrażliwości spowodowanej nerwicą serca.

W związku z tą dolegliwością lubił przebywać w towarzystwie lekarza dr Wacława Jabłońskiego, który nie zalecał pacjentowi żadnych specjalnych leków, raczej „szczyptę humoru i garść śmiechu", co miało lepiej pomagać niż brom i waleriana.

Pamiętam, jak któregoś wieczoru Or-Ot odwiedził moich rodziców (byłam wtedy pensjonarką), a widząc mnie zaczytaną, podszedł i spytał:

— A co to za książka tak ciekawa, że się przy niej o świecie zapomina?

— Trylogia — odpowiedziałam.

— Ach, jak zazdroszczę — powiedział — czytać Trylogię i czytać ją po raz pierwszy, co za rozkosz!

Or-Ot po śmierci swych rodziców nabył na Starym Mieście kamienicę przy ulicy Kanonii. Mieszkał tam długie lata, pisał wiele utworów poświęconych staromiejskiej Warszawie. Według słów Konopnickiej ze swego okna na Kanonii „patrzył na całą Polskę", gdyż żył w nim „wielkości narodu płomień gorejący".

Wielka poetka musiała odczytać to, co było najistotniejsze w jego prostych wierszach: prawdziwy patriotyzm. I on jak wielu ludzi z jego pokolenia, nie mógł zapomnieć... Po ulicach Warszawy snuły się jeszcze tu i tam typy weteranów w powstaniowych mundurach o dumnej żołnierskiej postawie. A jezdnią:

„Otoczony konwojem przelatywał Hurko,
Trójką „w dartego orła" płaszczem owinięty
Rwał oberpolicmajster jak puchacz nadęty,
Dął od rot przechodzących wiatr północno-mroźny,
Byle portupej-junkier szedł jak Iwan Groźny,
Wszystko było na pozór martwe, zimne, suche,
A w ulicach krążyły szpiegi czujnouche".

Or-Ot uważał się za poetę-żołnierza. Z mundurem wojskowym nie rozstawał się aż do śmierci mimo że niektórzy śmieli się z jego buńczucznej postawy i nazywali „nieznanym żołnierzem".

Pogrzeb Or-Ota był bardzo uroczysty. Trumnę wieziono na lawecie. Na czele konduktu kroczyła orkiestra 30 Pułku Strzelców Kaniowskich. Pochowany został w Kwaterze Zasłużonych, na grobie umieszczono jego własny wiersz:

Wszystko, co życie najpromienniej czuło,
Wiarę ostatnią, kochanie najpierwsze,
Jak serce krwawą owinięte stułą,
Tobie, Warszawo, złożyłem w me wiersze.

Stołeczna Rada Narodowa w 1961 roku wmurowała tablicę pamiątkową na Kanonii z napisem: „Tu mieszkał i tworzył piewca Starej Warszawy — Artur Oppman — Or-Ot (1867—1931).



Honorowy oddział wojska towarzyszy trumnie poety na ulicy Długiej w listopadzie 1931 roku

Kronika Galla

Najstarszy Polski Utwór Historyczny

Najdawniejszym utworem historycznym i zarazem literackim powstałym na ziemiach polskich jest kronika Galla. Prawdziwe imię jej autora nie jest znane. Gallem Anonimem nazwał go Marcin Kromer (1512—1589) przyjmując, że autor najstarszej polskiej kroniki pochodził z południowej Francji.

Lecz narodowość, właściwe imię, miejsce studiów i wykształcenie Galla pozostały sporne. Napisano na ten temat wiele rozpraw, najznakomitsi uczeni polscy i obcy zabierali głos w tej sprawie i zdania ich są podzielone.

Istnieją przypuszczenia, że Gall był Francuzem z Prowancji, Flandryjczykiem, Włochem, Niemcem, Węgrem, Polakiem. Identyfikowano go z Baldwinem hr. Flandrii, zaginionym w czasie piewszej wyprawy krzyżowej, lub z arcybiskupem pizańskim tego imienia; uznawano go za członka włoskiego rodu Orseolich, wygnanego z rodzinnej Wenecji. Czyniono go biskupem kruszwickim lub scholastykiem poznańskim, członkiem polskiej kancelarii książęcej, a nawet jej kanclerzem. Jest więc w czym wybierać. Jedni uważają go za przeciętnie wykształconego mnicha, inni przypisują mu wielką znajomość literatury klasycznej i średniowiecznej.

Jego przybycie do Polski określano dawniej na ok. r. 1089, później przesunięto tę datę na pierwszy dziesiątek XII w. Kronika doprowadzona jest do 1113 r. i pozostała nieskończona. Urywa się gwałtownie i dość nieoczekiwanie przy opisie wyprawy pomorskiej Bolesława Krzywoustego i oblężeniu Wyszogrodu nad Wisłą.

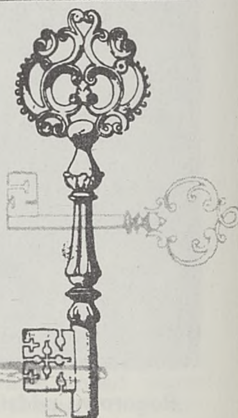
Najdawniejszy odpis kroniki pochodzi dopiero z XIV w. i przechowywany jest w Bibliotece Narodowej. Możliwe, że dalszy ciąg kroniki wcześniej zaginął. Była ona przez kronikarzy średniowiecznych poczynając od Kadłubka, wielokrotnie wykorzystana. Drukiem ogłoszono ją po raz pierwszy dopiero w 1749 r.

Wartość jej jako źródła historycznego jest olbrzymia, zwłaszcza do czasów Bolesława C h r o b r e g o, Bolesława Śmiałego i Władysława Hermana, w pierwszym rzędzie jest ona jednakże biografią Bolesława Krzywoustego. Rozpoczyna się od opisu ziem polskich, rządzonych przez oddzielnych władców i od opisu piękna tych ziem, szumiących odwiecznymi borami oraz bogactwa niewyczer p a n y c h skarbów przyrody. Gall operuje umiejętnie podaniami i legendami. Na źródła pisane powołuje się tylko raz, poza tym opiera się na wydarzeniach, tak jak je ówcześnie powtarzano. Wypadki współczesne autor przedstawia na podstawie informacji zaczerpniętych od ludzi z książęcego dworu. Zawierają one bowiem tyle drobnych i charakterystycznych szczegółów, że mogą pochodzić jedynie od naocznych świadków i uczestników wydarzeń, które Gall opisuje.

Kronika nie podaje żadnej daty rocznej, nadzwyczaj ostrożnie zaś porusza sprawy drażliwe takie jak detronizację Bolesława Śmiałego i zagadkową śmierć jego młodocianego syna lub oślepienie Zbigniewa, nieprawego brata Krzywoustego. Gall poprzestaje wtedy na półsłówkach lub też zasłania się nieświadomością szczegółów, lecz przekręcenia prawdy czy faktów nie zarzuca mu żaden krytyk.

Tok opowiadań jest ujęty bardzo przemyślnie. Państwo zostało doprowadzone do potęgi przez króla Bolesława Chrobrego. Nierozważną polityką doprowadził i państwo i ród do upadku Bolesław Śmiały. Gall nie jest zwolennikiem supremacji władzy duchownej nad świecką i niewątpliwie jest gorącym wyznawcą nauki Kościoła, ale ideałem dla niego wśród duchowieństwa pozostaje biskup płocki Szymon, który walczy z poganami nie orężem a modlitwą. Ideałem władcy i wojownika jest zaś Bolesław Krzywousty, który i państwu i rodowi swemu przywraca pierwotną wielkość i blask. Przed prawami Krzywoustego ustąpić musi również cesarz niemiecki, który od władcy polskiego bezprawnie domagał się płacenia trybutu i złożenia hołdu.

Kronika Galla posiada także niewątpliwie dużą wartość literacką. Pisana z wielkim rozmachem utrzymana jest w tonie poematu epickiego, a rytmiczna i rymowana proza dobrze świadczy o rzetelnym literackim przygotowaniu jej autora.



Prof. dr B. GRZIMEK

CZY STRUSIE CHOWAJĄ GŁOWĘ W PIASEK?



GDYBY dziś zakochany młodzian chciał podarować damie swego serca torebkę ze skóry strusiej, może to uczynić z pełnym spokojem, że nie przyniesie szkody dzikiej faunie afrykańskiej. Torebki te produkowane są bowiem obecnie ze skóry strusi specjalnie hodowanych w wielkich fermach południowoafrykańskich. Lat temu 60 nie pytano o skórę strusi, elegantki ówczesne posiadały natomiast lub marzyły o posiadaniu piór strusich. Popyt na nie był tak ogromny, że zwierzętom groziła zagłada. Na szczęście — w porę podjęto hodowlę tych największych na świecie ptaków. Ginący olbrzym znów rozmnożył się do dziesiątków tysięcy.

Struś, mający przeciętnie dwa i pół metra wysokości, jest wspaniałym biegaczem. W rozpędzie potrafi skoczyć na wysokość półtora metra i dlatego ogrodzenie na fermach musi być odpowiednio wysokie. Siła strusich nóg jest ogromna. Żelazny pręt płotu o grubości 1 cm zgiął się pod prostym kątem od jednego tylko uderzenia nogą. W pędzie natomiast stawia struś bez wysiłku kroki o rozpiętości 3 metrów. Jego wytrwałość w biegu jest bardzo duża. Tachometr jadącego za uciekającym strusiem samochodu wskazuje zwykle szybkość 50 km na godzinę. Ptak może biec z tą prędkością nawet 15—30 minut i nie jest zmęczony. Uciekając w wielkim przestrachu osiąga szybkość 70 km na godzinę. Jak mocne musi być jego serce!

Jest ono nie tylko mocne ale i odważne. Widziałem niedawno strusią rodzinę na wolności, którą podeszła hiena, próbując porwać małe strusiątko. Powstało gwałtowne zamieszanie. Struś-ojciec zatroszczył się o osłonięcie młodych, a strusia matka rzuciła się na napastnika i goniła go dobry kilometr.

Małe strusie wylęgają się z jaja tak jak kurczęta naszych kur domowych. Jajo strusie jest jednak bardzo duże i waży 1,5—2 kg. Zdumiewające, w jaki sposób wylęgające się ptaki przebijają twardą i grubą skorupę jaja.

Rozmnażanie się strusi to także oryginalne zjawisko. Tokujący samiec przysiada przed samicami na ziemi. Jego naga szyja i nogi są jaskrawo czerwone, pięknie upierzone skrzydła wachlują raz w lewo, raz w prawo, a szyja przechyla się ku tyłowi. Wtedy mizdrzące się również samice pozorują ucieczkę, a rozkochany samiec rwie za nimi jak szalony.

W okresie wylęgania się młodych samiec wygrzebuje w gorącym piasku wygodny, nieckowaty dół, po czym siada w nim. Wówczas samica składa obok około tuzina jaj, które samiec z całą powagą wsuwa głową i szyją pod brzuch. Siedzi na nich od późnego popołudnia do przedpołudnia dnia następnego. W pozostałym czasie ten obowiązek wypełnia pani strusiowa. Zdarza się, że z braku samców także inne strusie-samice podkładają swe jaja siedzącemu samcowi. Bywają wypadki, że tych jaj nagromadzi się w jednej niecce nawet 40! Obowiązkowy ojciec strusiej rodziny próbuje oczywiście wszystkie wysiedzieć, ale nawet dla tego ptaka-olbrzyma nie jest to łatwe. Nic więc dziwnego, że zamiast 40 wylęga się tylko 15—16 strusiąt.

Zdarzyło się, że młode lwy wpadły na fermę i dla zabawy spłoszyły strusia, rozrzucając wysiadywane przez niego jaja. Po odejściu drapieżców struś z ogromnym mozołem powtaczał jaja z powrotem do niecki i, o dziwo, wszystkie strusięta wylęgły się w swoim czasie.

Młode strusie wychodzą z jaja po 42 dniach i są od razu tak duże jak nasze domowe kury. Rosną szybko, codziennie jeden centymetr. Gdy tylko zdołają się utrzymać na nogach, wykonują od razu te wariackie tańce, którymi popisują się przy lada okazji dorosłe strusie. A więc biegną przed siebie w rozpędzie, potem kręcą się wokół siebie, bijąc gwałtownie skrzydłami i nagle siadają. Po chwili znów powtarzają to samo.

Znany badacz życia zwierząt, dr Immelmann, postanowił sprawdzić, jak zachowują się strusie w czasie snu. W ogrodach zoologicznych można zobaczyć strusie śpiące na stojąco, z głową opartą o płot lub drzewo. W pomieszczeniu, w którym ulokował się na noc wspomniany dr Immelmann, strusie spały w pozycji siedzącej 7—9 godzin. Mniej więcej cztery razy w nocy przyjmowały pozycję, o jakiej nikt jeszcze nie pisał. Mianowicie kładły się na brzuchu, wyciągając szyję ku przodowi, a obie nogi ku tyłowi. Tak wyciągnięte spały głęboko 10 minut. Nie reagowały na dźwięki i można było je fotografować przy świetle lampy błyskowej. Pozycja ta wiąże się prawdopodobnie z powszechnym mniemaniem, że strusie w strachu chowają głowę w piasek. Tymczasem i na jawie struś potrafi się wyciągnąć na piasku, jest to bowiem jego pozycja obronna. W ten sposób — w razie niebezpieczeństwa — wprowadza swego prześladowcę w błąd, znika, kładąc się właśnie w takiej pozycji, jaką zaobserwował w nocy dr Immelmann. O chowaniu głowy w piasek, oczywiście, nie ma mowy.

Struś-samiec jest ptakiem, lecz ryczy jak lew. Wypycha z płuc powietrze, nie otwierając dzioba, przez gardziel do przełyku, zaciskając szczelnie wpust do żołądka. Goła, długa szyja czerwienieje, nadyma się jak balon, a potem słychać ponury mruk i ryk o dalekonośnym brzmieniu, ryk ostrzegawczy dla konkurenta, a imponujący samicom, szukającym pana i władcy.

Ale struś jest zupełnie bezbronny, jeżeli uda się naciągnąć mu na głowę coś w rodzaju pończochy. Czynią to lekarze zwierząt, gdy muszą ptaka zbadać lub przeprowadzić jakiś zabieg. Mówimy, że ktoś ma „strusi żołądek", jeżeli łatwo trawi ciężkie pokarmy. Trudno to rozstrzygnąć. W czasie sekcji strusi padłych w zoologicznych ogrodach znajduje się w ich żołądkach monety, gwoździe, scyzoryki itp. Raczej jest to nie tyle dowód mocy strusiego żołądka, ile głupoty niektórych ludzi odwiedzających ogrody zoologiczne.

Czy wiecie, że jaja strusie są jadalne i niczym nie różnią się w smaku od jaj kurzych? Zawartość jednego jaja strusiego równa się zawartości 25—35 jaj kurzych, a można je przechowywać przez rok w stanie świeżym. Strusie jajo trzeba jednak gotować „na twardo" przez dwie godziny, a po to, by zrobić z niego jajecznicę — trzeba je rozbić młotkiem. Żeby tylko strusie chciały znosić więcej jaj w ciągu roku! Niejeden afrykański hodowca łamie sobie głowę, jak do tego doprowadzić, bo interes byłby znakomity.

53-lata

Uczciwej — Nieprzerwanej Służby Dla Polonii

AVONDALE SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

Założone w Roku 1911

2965 Milwaukee Ave. **Tel. SP 2-3600 albo DI 2-7700**

4½%

DYWIDENDY PŁACI OD WASZYCH OSZCZĘDNOŚCI

OSZCZĘDNOŚCI ZAASEKUROWANE DO $10,000 PRZEZ FEDERAL SAVINGS & LOAN INSURANCE CORP.



ZASOBY PRZESZŁO 65 MILIONÓW DOLARÓW

CYFRY mają bardzo przyjemne znaczenie. Nasze zestawienie wykazuje "Pożyczki na Domy" w sumie przeszło 59 milionów, lecz w rzeczywistości suma ta oznacza szczęście i zadowolenie tysięcy rodzin, którym dopomogliśmy do nabycia domów.

W dążeniu niesienia pomocy i stwarzania pewności w życiu, dajemy dwie specjalne usługi:

1. FINANSOWANIE DOMÓW, doprowadzające stale do posiadania domu bez zadłużenia, umożliwiające spłaty z bieżących dochodów.
2. KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE, zachęcające do oszczędzania przez wypłacanie poważnych zysków, przy jednoczesnym zabezpieczeniu kapitałów.

Oszczędzajcie z Zyskiem — Oszczędzajcie z Zapewnieniem — Oszczędzajcie Wygodnie!

HUMOR

NASZE DZIECI

Jaś poczęstował ciocię cukierkiem.

— Czy ci smakował, ciociu?

— Tak, moje złotko.

— No, to już nic nie rozumiem. Kruczek wziął go, ale zaraz wyrzucił na dywan i choć mu pakowałem do buzi, nie chciał zjeść...

UCZCIWY

— Czy tutaj jest do objęcia posada nocnego stróża?

— Tak. A czy macie jakie referencje lub dowody, że jesteście uczciwym człowiekiem?

— Ach, o to może pan być spokojny. Jestem aż za uczciwy. Przez dziesięć lat byłem posługaczem w łazienkach i ani razu się nie wykąpałem.

U LEKARZA

— Gdzie poczuł pan ból po raz pierwszy?

— W Towarzystwie Muzycznem, na koncercie.

POŻYTEK

— Gapialski, powiedz mi, jaki mamy pożytek ze świni?

— Mięso, panie psorze.

— Dobrze, ale co jeszcze?

— Używa się jako przezwiska...

POCIECHA

— Wyobraź pan sobie — mówi zdenerwowany Salomonowicz — ten blagier, ten łotr Pinkusiewicz miał czelność powiedzieć do mnie, że jestem największym łajdakiem dwudziestego stulecia...

— Nie rób pan sobie nic z tego — pociesza go Pinteles — do końca dwudziestego wieku jest jeszcze sporo czasu. Nic nie można przewidzieć...

W DOBIE KRYZYSU

Niejeden chciałby dziś być psem, aby ktoś inny zapłacił za niego podatki.

NOWOCZESNE DZIECKO

— Jeżeli będziesz grzeczny, to pójdziesz do raju, a jak będziesz niegrzeczny, pójdziesz do piekła.

— Mamusiu... a co trzeba zrobić, żeby pójść do kina?

STAŚ PRZESADZA

Staś: — Mamusiu, dzisiaj widziałem osła. Nie myślałem, że osły są tak duże. Ten był większy niż tatuś.

Marysia: — Prawda mamo, że Staś trochę przesadza? Tak wielkiego osła jak tatuś niema na świecie.

OD CZEGO

— Co panu tak gęba spuchła, panie Różanykwiat? Czy to ząb?

— Nie to od ręki.

SERDECZNE ŻYCZENIA

WSZYSTKIM CZŁONKOM

ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

Zasyła

O'MALLEY
& McKAY, Inc.

GENERAL INSURANCE

222 W. ADAMS ST.

Pokój 800

WSZYSTKIE TELEFONY

CEntral 6-5206

CHICAGO, ILLINOIS

NAJLEPSZĄ POMOCĄ w POLSCE

SĄ

PACZKI PEKAO

SPECYFIKOWANE DO WYBORU

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE

P E K A O
TRADING CORPORATION

25 BROAD STREET NEW YORK 4, N. Y.

I MIEJSCOWI DEALERZY

Z Okazji 55-tej Rocznicy Istnienia Dziennika Związkowego—Tego Zasłużonego Orędownika Spraw Polskich i Związku Narodowego Polskiego—We Wszelkich Poczyniach Wszelkiej Pomyślności i Serdeczne Gratulacje Na Polu Naukowym Dla Dobra Młodzieży

W Sprawach Finansowych Jest Zawsze Dobrze Zasięgnąć Rady Naszego Rodaka Bankiera Hipotecznego, a Wyjdzie Wam To Na Korzyść



Ś. p. HENRYK S. BANACH, Sr.

(⋆ 1892 — + 1961)

HENRY S. BANACH and SON

INCORPORATED

Mortgage Banker

Serving Chicagoland Since 1920

Consult This Polish American Mortgage Banker in all Matters Pertaining to Real Estate and Other Financial Matters, to Your Benefit and Satisfaction.

5606 North Western Avenue

Chicago 45, Illinois

Tel. UPtown 8-1700

DZISIAJ UCZTA RODAKU!

Bo mamy tutaj najprawdziwszą, importowaną ze „starego kraju"

POLSKĄ SZYNKĘ

która zdobyła zaszczytny znak







Zawsze gotowa do podania, na zimno, czy gorąco, w puszkach od 2 do 12 funtów

Niezrównana w smaku, bardzo delikatna, jest również do nabycia importowana POLSKA POLĘDWICA WIEPRZOWA w dogodnych półtora i trzyfuntowych puszkach

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA



DALSZEGO ROZWOJU ZWIĄZKU
NARODOWEGO POLSKIEGO,
DOBRA POLONII AMERYKAŃSKIEJ
W ROKU 1964

— składa —

METROPOLITAN STATE BANK

2201 WEST CERMAK ROAD

JOSEPH WIEWIORA, Prezes **Tel. VIrginia 7-6430**

CHICAGO, ILLINOIS

Large enough to accommodate you, small enough to appreciate you

---

ZASOBY PRZESZŁO $23,000,000.00

Depozyty w tym banku gwarantowane do $10,000
przez "Federal Deposit Insurance Corporation"

BĘDZIECIE GOTOWAĆ LEPIEJ I MNIEJSZYM KOSZTEM NA NOWOCZESNYM GAZOWYM PIECU KUCHENNYM

Dzisiejsze nowe Gazowe piece kuchenne posiadają wiele automatycznych urządzeń, które czynią gotowanie łatwiejszym i szybszym. Podajemy tu kilka z tych nowoczesnych udogodnień:

Termostatyczny Palnik

Górny palnik w piecu Gazowym reaguje na temperaturę żywności w każdym naczyniu i automatycznie reguluje płomień, dokładnie do takiej ciepłoty jaką nastawiliście na zegarze. Żywność nie może się spalić ani przegotować.

Termostatyczna Płyta i Piąty Palnik

Termostatyczna płyta na środku kuchennego pieca Gazowego może być także używana jako piąty palnik. Ciepłota jest utrzymywana automatycznie i równo rozprowadzana pod całą powierzchnią. Niemożliwością jest spalić lub przypalić jedzenie.

Automatyczny Rożen

Rożen w wielu nowych automatycznych kuchennych piecach Gazowych pozwala wam obecnie robić mięso sposobem barbecue poprostu w piecyku lub brojlerze. Waszej rodzinie będzie smakowało niezwykłe, smaczne jedzenie przyrządzone przez was tym nowym sposobem.

Centralna Kontrola Płomienia

Centralny system kontroli płomienia w piecyku z urządzeniem utrzymującym ciepło — utrzyma potrawy w stanie gorącym przez godziny, bez gotowania ich dalej. Utrzymuje stałą ciepłotę na jaką jest nastawiony aż do 140°. Ułatwia to również odmrażanie żywności i ogrzewanie talerzy.

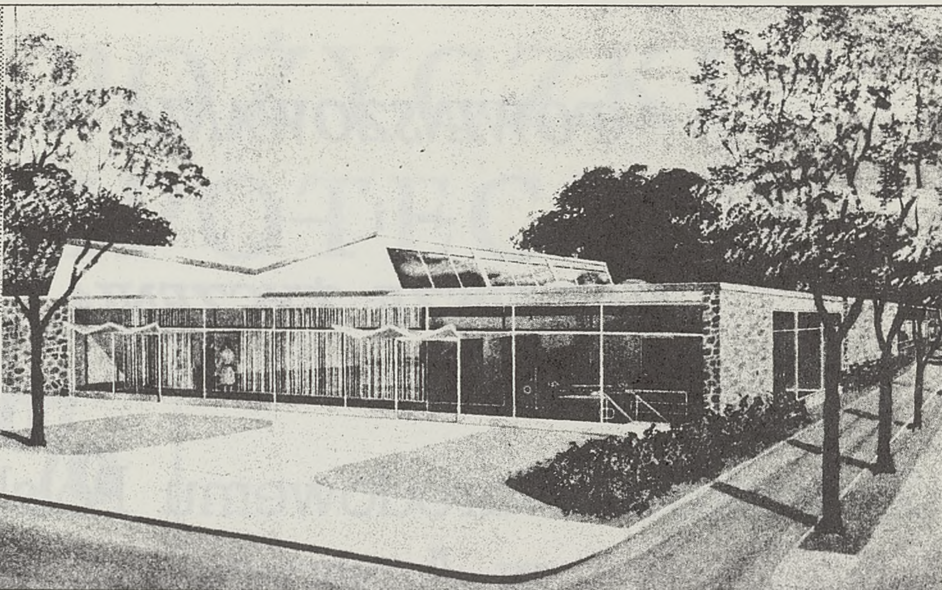
Otrzymujecie wiele automatycznych urządzeń oraz ekonomię gdy gotujecie na nowoczesnej kuchni Gazowej. I pamiętajcie — Gazowe piece kuchenne kosztują mniej przy kupnie i mniej w używaniu. Zobaczcie ostatnie modele u waszego sprzedawcy w najbliższym biurze Peoples Gas.

"GAZ WYKONUJE WIĘKSZE ZADANIA — MNIEJSZYM KOSZTEM !"

THE PEOPLES GAS LIGHT AND COKE COMPANY

122 SOUTH MICHIGAN AVENUE, CHICAGO 3, ILLINOIS


R. J. MOCNY
Wykonawczy
Wiceprezes



MOŻECIE OSZCZĘDZAĆ PRZEZ POCZTĘ **WYSOKIE DYWIDENDY**

Niech Wasze Oszczędności Zarabiają w

United Savings
and Loan Association
4730 W. 79th Street

CZŁONEK
• Federal Savings and
Loan Insurance Corporation

Narożnik Keating

CZŁONEK
• Federal Home
Loan Bank System

Chicago, Illinois

MARTIN J. OLESZKIEWICZ
Prezes

ROBERT J. MOCNY
Wykonawczy Wiceprezes



Przesyłamy
Najlepsze Życzenia
Całej Polonii
Na Rok 1964



KONTA UBEZPIECZONE DO $10,000 PRZEZ FS & LIC

POWINSZOWANIA

— i —

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Związkowi Narodowemu Polskiemu
w Ameryce

Zasyła

THOMAS
and
COMPANY

Investment
Securities

PORTER BUILDING

PITTSBURGH, PENNSYLVANIA

POŻYCZKI HIPOTECZNE

5%

5½%

6%

Niskie

Spłaty Miesięczne

Związek Narodowy Polski

1520 W. DIVISION STREET

ARmitage 6-0700

Proszę zgłosić się do biura realnościowego

F. W. MICHALAK

ZARZĄDCA



ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE

UBEZPIECZENIOWA I IDEOWA
NAJWIĘKSZA W ŚWIECIE ORGANIZACJA
DLA KOBIET I DZIECI
LICZY PRZESZŁO 91,000 CZŁONKIŃ

GRUPY W KAŻDYM WIĘKSZYM OSIEDLU POLSKIM
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

PROWADZI DLA MŁODZIEŻY KLASY JĘZYKA POLSKIEGO
I TAŃCÓW POLSKICH.

ORGANIZUJE ZJAZDY MŁODZIEŻOWE.

DAJE STYPENDIA NA STUDIA UNIWERSYTECKIE W ST. ZJEDN.

ZASOBY: PONAD $23,000,000

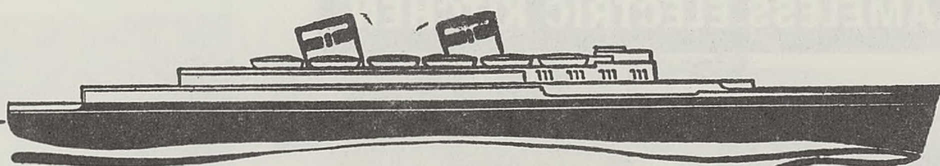
OD ZAŁOŻENIA WYPŁACONO PONAD
$16,000,000 POŚMIERTNEGO

GŁÓWNE BIURA:

Polish Women's Alliance of America

1309 North Ashland Avenue

Chicago 22, Illinois



Nie ma lepszej drogi do Polski, niż na Motorowcu

M.S. BATORY

ROZKŁAD ODJAZDÓW 1964 R.

z Kanadyjskich Portów

do SOUTHAMPTON*, KOPENHAGI i GDYNI

Z QUEBEC — 4. kwietnia; z MONTREALU—30. kwietnia, 29. Maja, 26. czerwca, 24. lipca, 28. sierpnia, 25. września, 20. października, 16. listopada; z QUEBEC — 10. grudnia.

(*) za wyjątkiem 4. kwiet., 25. wrześ., 20. paźdz., 16. listop.

Kto w drodze do Polski wstępuje na pokład Motorowca BATORY, ten znajduje się już w Polsce. Bo czyż można czuć się lepiej, niż pod troskliwą opieką rodaków, w swojskiej, przyjaznej atmosferze?

Podróż na BATORYM — to przyjemność i zadowolenie, wypoczynek i zabawa. I nigdzie nie dają tak dobrze jeść, jak na BATORYM: smacznie, pożywnie i obficie.



Po wszelkie informacje i rezerwacje zwracajcie się do Lokalnych Agentów lub

GDYNIA AMERICA LINE

PICKFORD & BLACK LIMITED, General Agents

220 Bay Street, Toronto 1, Canada



THE FLAMELESS ELECTRIC KITCHEN

GDY UNOWOCZEŚNIACIE SWĄ KUCHNIĘ, PAMIĘTAJCIE . . .

Elektryczna Kuchnia bez płomienia nie wyjdzie z mody

Pani na powyższym zdjęciu pokazuje nadzwyczajne zalety kuchni elektrycznej bez płomienia. Może ona umieścić swą elektryczną automatyczną suszarkę gdziekolwiek chce, ponieważ nie ma rur opałowych, któreby przeszkadzały. Całe urządzenie do prania można ustawić na małej przestrzeni za ozdobnymi rozsuwalnymi drzwiami.

Naturalnie, elektryczny piec jest ośrodkiem każdej elektrycznej kuchni bez płomienia. Przy pomocy jego, możecie gotować swe posiłki bez nadmiernego nagrzewania swej kuchni (lub gorąca dla was samych).

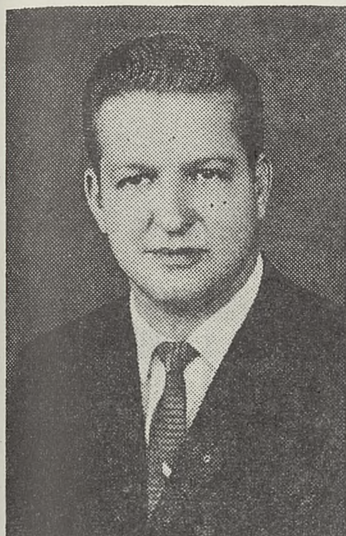
A ponieważ elektryczne piece nie zużywają opału, więc nie tworzy się brud. Wasza kuchnia (i wszystko w niej) pozostaje czystą dwa razy dłużej.

Zanim wydacie centa na kuchenne przeróbki, postarajcie się o zawodowo przygotowany plan, oparty o wasze specyficzne wymagania i o wasz budżet. Doświadczony specjalista od kucheń może wam wykazać, jak pomysłowe planowanie może zaoszczędzić wam biegania i usunąć niepotrzebne schylania się i sięgania wzwyż.

W sprawie nazwisk i adresów specjalistów w zakresie unowocześnienia kucheń w waszej dzielnicy, zatelefonujcie do najbliższego Commonwealth Edison lub do biura Public Service Company.

Commonwealth Edison
AND
Public Service Company





LOOMIS

SAVINGS & LOAN ASSOCIATION

1359 West 51st St.
Chicago, Illinois 60609
Telefon YArds 7-6700



DAVID M. OPAS
Sekretarz i Zarządca

JOSEPH E. KWIATT
Prezes





Oszczędzajcie w Spółce LOOMIS
Która Wypłaca Wysokie Dywidendy

4½%

Wasze Konta Są Zabezpieczone Do Sumy $10,000

DAJEMY POŻYCZKI NA DOMY

NA BARDZO DOGODNYCH WARUNKACH

ZARZĄD I DYREKCJA

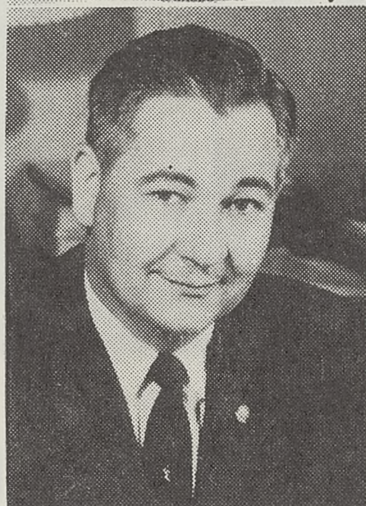
Józef E. Kwiatt, Prezes
Teodor Ciszewski, Wiceprezes
Tadeusz Matecki, Wiceprezes

Feliks Frankowski, Przew. Dyrekcji
David M. Opas, Sekr. i Zarządca
Andrzej Wasylik, Kasjer

Frances Matecki, Dyrektor

Zasoby $15 milionów.





MIROSLAV LUKAS
Wykonawczy Wiceprezes

DLA
OSZCZĘDZANIA
LUB PO
POŻYCZKI NA DOMY



Jeżeli jesteście zainteresowani w programie oszczędnościowym, który przynosi duże zarobki, czy też w szybkiej i skutecznej obsłudze Morgeczy na domy... znajdziecie waszą odpowiedź w Prospect Federal.

Zgłoście się do nas dzisiaj... a będziecie zadowoleni żeście to uczynili.

Coraz więcej ludzi przychodzi do

Prospect Federal

SAVINGS & LOAN ASSOCIATION
1715 W. 47TH ST., CHICAGO 9, ILL. • LA 3-3145
"Save for Confident Living"

Wypełniamy Recepty Sumiennie
Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA

WIECZOREK DRUG CO.

W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 **Chicago, Ill.**
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

POLSKA APTEKA

CABAŃSKI PHARMACY

APTEKA—PHARMACY
1147 N. Ashland Ave **HUmboldt 6-9376**
RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY
Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA

Superczyński Pharmacy

3156 South May St. **Tel. VIrginia 7-9600**
V. H. Superczyński, właściciel
Wysyłamy Lekarstwa Do Polski

HARRY ADAMS

Właśc. Pierwszorzędnej Apteki
Gdzie z Całą Dokładnością Wypełniamy
WSZELKIE RECEPTY LEKARSKIE
2252 N. WESTERN AVE. **Tel. ARmitage 6-2252**

POLSKA APTEKA

PARNELL PHARMACY

525 W. 123rd Street **PUllman 5-6371**
PAN NIEZGODZKI, Właściciel
Wypełniamy europejskie recepty

Załatwia wszystko dokładnie, sprawnie i szybko, ku najpełniejszemu zadowoleniu.

BRVENIK PHARMACY

1918 BLUE ISLAND AVE.
EMIL BRVENIK, B. S. R. Ph.
Telefon: CAnal 6-0727

POLSKA APTEKA

GAPINSKI PHARMACY

Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę do Polski
814 N. Ashland Ave. **TA 9-3628**

POLSKA APTEKA

KARWOWSKI

3659 DIVERSEY AVE.
Narożnik Lawndale
Rzetelnie i Sumiennie Wypełnianie Recept do Polski
RZECZYWIŚCIE POLSKA APTEKA
DLA POLAKÓW
TELEFON SPAULDING 2-7185

POLSKA APTEKA

Wypełniamy Wszelkie Recepty,
Również Na Wysyłkę Do Polski
Szybko i Sumiennie

Eugene Prescription Pharmacy

EUGENE KWAŚNIEWSKI i W. MENDRALSKI
1620 W. 18-TA ULICA **Tel. CA 6-9846**

POLSKA APTEKA

MADURA PHARMACY

6001 W. Diversey Ave. **BErkshire 7-5929**
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA

HIGGINS PHARMACY

Wypełniamy Wszelkie Recepty Szybko i Sumiennie i Na Wysyłkę Do Polski
7124 WEST HIGGINS
ROdney 3-1545
T. WESOŁOWSKI, R. Ph.

PAWLOWSKI PHARMACY

AND OVERSEAS EXPORT CENTER

Lekarstwa Do Polski i Paczki To Najlepsza Pomoc Dla Waszych Bliskich
2923 Milwaukee Avenue Tel. HUmboldt 6-5400
STAROPOLSKI APTEKARZ—JEDYNY W CHICAGO



Oszczędnością i Pracą Ludzie Się Bogacą

DLA DOBRA, BEZPIECZEŃSTWA i LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI WASZEJ CAŁEJ RODZINY OSZCZĘDZAJCIE W POLSKIEJ SPÓŁCE

Płacimy 4½% Dywidendy



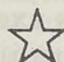
Wasze Oszczędności Przyniosą Wam Dobry Procent Jako Dywidendę





CAPITOL FEDERAL SAVINGS & LOAN ASS'N

3522-24 West 26th Street





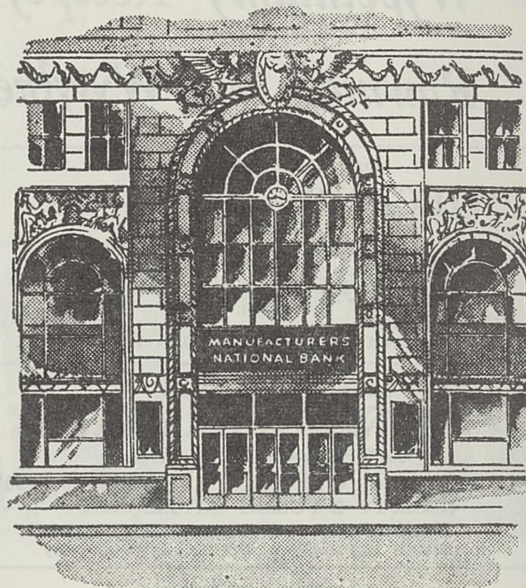
UDZIELAMY POŻYCZEK

Na domy przy doskonałej obsłudze i dogodnych warunkach.

Telefon 521-5200

CHARLES T. SALAK
Prezes

Kompletna Obsługa Bankowa



URZĘDNICY

FRANK BOBRYTZKE Przewodnicz.	JOS. B. DUBIEL Asyst. Wiceprezes
C. N. PALECZNY Prezes	EDWARD WOJNOWSKI Asyst. Kasjer
MATT A. SAWYER Wiceprezes Wykonawczy	LEO S. KUJAWA Asyst. Kasjer
PAUL I. MITCHELL Wiceprezes i Kasjer	EDWARD H. KAY Asyst. Kasjer
JOSEPH M. BARON Wiceprezes	NICK J. LAPETINA Audytor
VICTOR JANKOSKI Asyst. Wiceprezes	LOUIS S. JANKIEWICZ Asyst. Audytor

DYREKTORZY

FRANK BOBRYTZKE	T. R. PIECH
JOSEPH J. BOBRYTZKE	MATT A. SAWYER
STANLEY P. DYBA	BERNY SCHULMAN
Z. GEORGE JAWOROWSKI	WM. C. WINKLER
C. N. PALECZNY	

DEPOZYTY GWARANTOWANE DO $10,000 PRZEZ FEDERAL DEPOSIT INSURANCE CORP.

THE

Manufacturers National Bank

OF CHICAGO

1200 N. Ashland Ave.

BRunswick 8-4040

Lota do Parkowania Na Division Ulicy Obok Banku

Godziny Urzędowania:

Poniedziałek, Wtorek, Czwartek 9 do 2
Środa, Sobota 9 do 12
Piątek 9 do 2 i 4:30 do 7

JOHN C. MARCIN

KLERK MIASTA CHICAGO

oraz

DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN 35-TEJ WARDY

I BYŁY PREZES POLSKO-AMERYKAŃSKIEJ ORGANIZACJI DEMOKRATYCZNEJ

Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii, jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walką z gemblerką—są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego lidera.

W roku 1955, poraz drugi w 1959 roku, poraz trzeci 1963 roku na wiosnę został on wybrany na bardzo zaszczytne i odpowiednie stanowisko Klerka Miasta Chicago olbrzymią większością głosów. Na wiosnę w 1958 roku, mając zaufanie u swych Kolegów Demokratów Polskiego Pochodzenia, został wybrany prezesem Polsko-Amerykańskiej Organizacji Demokratycznej i pełnił tę funkcję przez okres dwóch kadencji. Jest pewnym, że przyniesie on chlubę dla imienia polskiego. Szczęść mu Boże, we wszelkich poczynaniach!

Cała Polonia chicagoska i amerykańska jest dziś dumna z niego. Jest pewnym, że zawsze poprze go, gdy będzie sięgał po najwyższe urzędy, godności i zaszczyty.



JAN C. MARCIN
Klerk Miasta Chicago,
Komityman 35-tej Wardy
— i —
B. Prezes Polsko-Amerykańskiej
Organizacji Demokratycznej

OSZCZĘDNOŚCI ZŁOŻONE DO 15go ZARABIAJĄ OD 1go

4½% na kontach inwestycyjnych

- BEZPŁATNE OSZCZĘDZANIE POCZTĄ
- BEZPŁATNE PRZENIESIENIE FUNDUSZÓW
- DYWIDENDY SĄ WYPŁACANE 30 CZERWCA i 31 GRUDNIA



Udzielamy pożyczek na budowę lub reperacje domu, na dogodnych warunkach.

District Savings

ZASOBY
PONAD $25,000,000

Założona w 1897

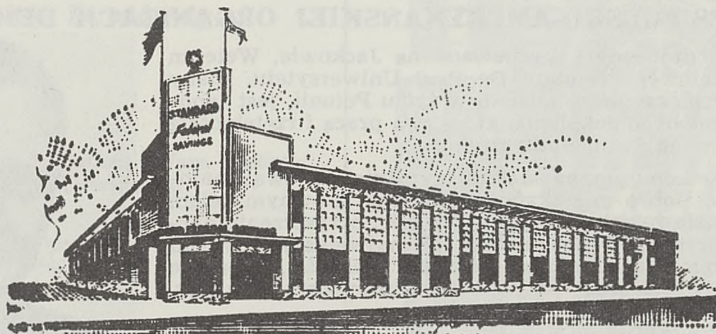
3430 SOUTH HALSTED STREET • CHICAGO 8 • PHONE 254-0104



SPÓŁKA
POŻYCZKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWA
"CHICAGO'S STRONGEST"



ZASOBY
$84,000,000.00



REZERWY
$8,000,000.00

Powiększona i Odnowiona Siedziba Spółki

STANDARD FEDERAL SAVINGS

Tel. VIrginia 7-1141 **4192 ARCHER AVENUE**

JUSTYN MACKIEWICZ, Prezes



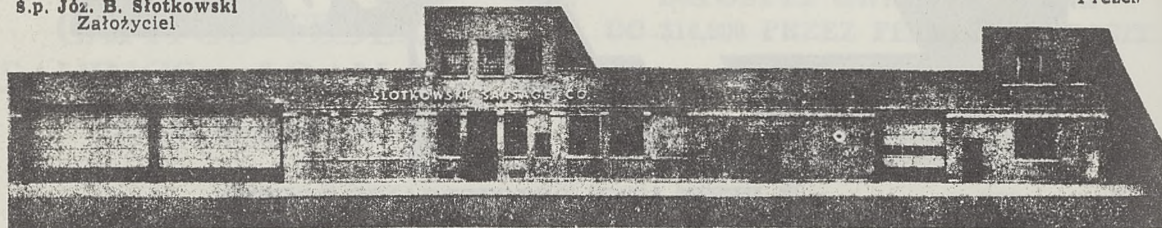
ś.p. Józ. B. Słotkowski
Założyciel

46 LAT RZETELNEJ OBSŁUGI POLONII
W STANIE ILLINOIS

FIRMA CIESZY SIĘ POPARCIEM PUBLICZNOŚCI
DZIĘKI WYBOROWYM N A S Z Y M PRODUKTOM



Leonard P. Słotkowski
Prezes



Firma założona przez ś. p. Józefa B. Słotkowskiego w 1918 roku

SLOTKOWSKI SAUSAGE CO.

NAJWIĘKSZA POLSKA FABRYKA WYROBÓW MASARSKICH W STANIE ILLINOIS

2013-29 W. 18th St., Chicago 8, Ill. **Tel CAnal 6-1667**

BEST WISHES
TO ALL
OUR
POLISH
FRIENDS

FROM

NEWSPAPERS DRIVERS

LOCAL 706

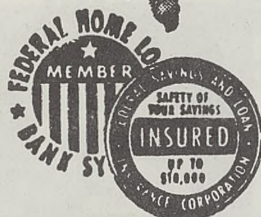
INTERNATIONAL BROTHERHOOD
OF TEAMSTERS OF CHICAGO

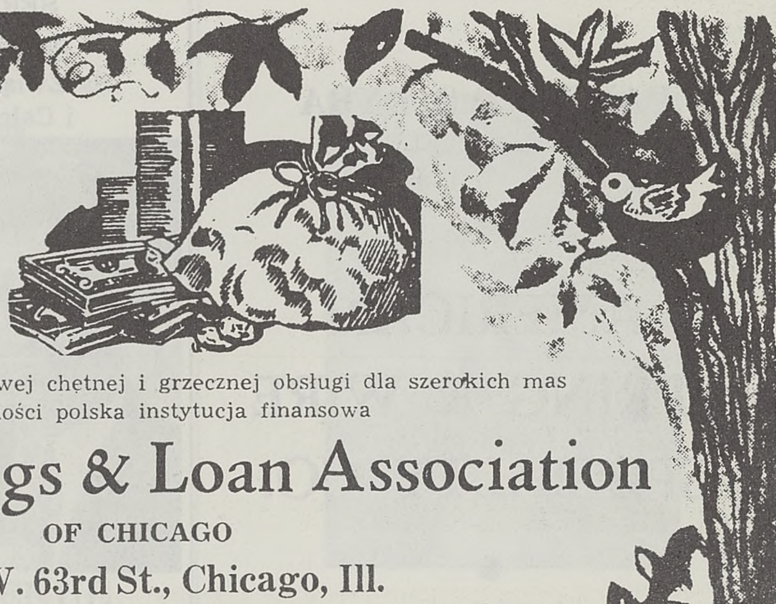
GEORGE M. FLANNERY
SEC'Y-TREAS.

SERDECZNE
POZDROWIENIA
DLA LUDNOŚCI
POLSKIEGO POCHODZENIA
I DALSZEGO PIĘKNEGO
ROZWOJU

zasyła

THE UNITED
STEELWORKERS
OF AMERICA





Od wielu lat słynie ze swej chętnej i grzecznej obsługi dla szerokich mas publiczności polska instytucja finansowa

Public Savings & Loan Association

OF CHICAGO

1610 W. 63rd St., Chicago, Ill.

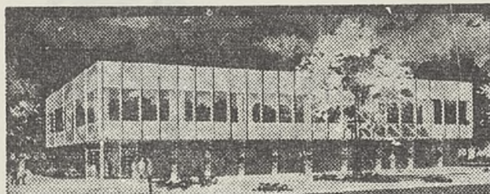
WAlbrook 5-8121

WILLIAM ROPA, Prezes i Zarządca

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW OBSŁUGUJEMY ROCZNIE

Bądźcie i Wy zadowoleni i dla swej lepszej przyszłości oszczędzajcie, za które to Wasze oszczędności płacimy wysokie dywidendy.

U nas też możecie pożyczyć na zakupno własnego budynku.





ST. ANTHONY SAVINGS

1447 South 49th Court, Cicero 50, Illinois

4½%

on investment accounts

Bezpłatne Podarki Dla Oszczędzających

Dla Związku Narodowego Polskiego — wiele pomyślności i osiągnięcia jak najlepszych sukcesów w Waszych poczynaniach i zamiarach dla Waszej Bratniej Organizacji oraz Całej Polonii

Bezpłatne Podarki Dla Oszczędzających

DYWIDENDY NA WSZYSTKICH OSZCZĘDNOŚCIACH PŁATNE TERAZ KWARTALNIE

31 marca • 30 czerwca
30 września • 31 grudnia

TELEFONY:—w mieście 242-4395
• Na przedmieściach 656-6330

GODZINY:—Poniedziałek..9-8,
Wtorek, Czwartek i Piątek 9-5,
Sobota 9-1, Środa zamknięte.

JÓZEF F. GRIBAUSKAS, Sekr. Wykon.

Otwórzcie teraz konto . . . Każdy oszczędzający otrzyma piękny prezent. Cieszymy się waszymi przycielskimi wizytami. — Kasjerzy i pracownicy mówią po polsku.

PAŃSTWO S. DYBA

WŁAŚCICIELE

•

AMERICAN SPRING & WIRE SPECIALTY CO.

•

816 N. SPAULDING AVE.

Telefon VAn Buren 6-0800

CHICAGO, ILL.

SERDECZNE ŻYCZENIA

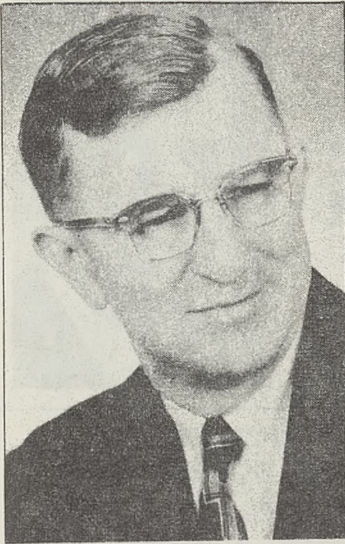
Dalszego Pięknego Rozwoju
Dla Związku Narodowego Polskiego
i Całej Polonii — przesyłają





Mecenas
Edward J. Komosa i
Mecenas
Maryla Rozmarek Komosa

2900 Milwaukee Ave. **DIckens 2-0910**



Poza regularnymi studiami lekarskimi, po kilku latach praktyki specjalizacji jako chirurg, obecnie urzęduje w swym jedynym biurze nowocześnie urządzonym. Zawsze jest dla usług wszystkich.

DR. TADEUSZ A. POREMSKI

5645 Milwaukee Ave.

Telefon SPring 4-6822

Członek Tow Bartosza Głowackiego
Grupa 899 ZNP

COMPLIMENTS OF

DR. S. M. KOZIOŁ

PHYSICIAN-SURGEON

1138 MILWAUKEE AVENUE

BRunswick 8-0280

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA

2209 WEST CERMAK ROAD

Main Floor — Na Parterze

Długoletnie doświadczenie. Pierwszorzędne przyrządy do badania wzroku i gruntowna wiedza. Grzeczna staropolska obsługa i fachowe dopasowanie okularów.

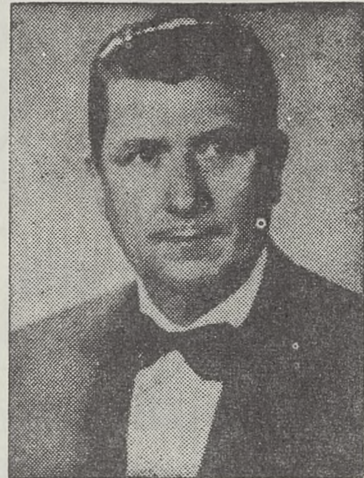
Telefon VIrginia 7-6592

★ **DR. T. GIESE**
★ **DR. G. GRINIS**
★ **DR. H. FISHER**
★ **DR. F. LUDWIG**
★ **DR. L. MANDERNACK**
★ **DR. A. MILIUS**
★ **DR. F. SUTKUS**

15900 CAROL AVENUE
HARVEY, ILLINOIS

Godziny przyjęć za umówieniem

Prosimy telefonować:
EDison 3-4384



Dr. B. J. TATAROWICZ

On zawsze popiera wszystko co polskie i co jest z polskością związane.

Biuro mieści się pod numerem
4200 No. Central Ave. Tel. SPring 7-0405

SERDECZNE ŻYCZENIA
POLONII CHICAGOSKIEJ

—— od ——

PRZYJACIELA

C. D. L. B.

We Wszelkich
Sprawach
**Zawsze Byłem
Dla Ludu
i z Ludem
Dlatego Osobiście
Zawsze Jestem
Na Wasze Usługi**

**JOHN G.
FARY**

**Reprezentant
Do Legislatury
Stanowej
28-go Dystryktu**



**SKORZYSTAJCIE Z NASZEJ NAJWYŻSZEJ
BIEŻĄCEJ DYWIDENDY
daje wam ZYSK PLUS
Bezpieczne Ulokowanie**

**MORTON PARK
FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION
5221-23 W. 25th St.**
Założona w 1910-tym

W CENTRUM
CICERO

25th STREET,
NA ZACHÓD
OD LARAMIE

Bezpłatne
Parkowanie
w tyle

Tel. OLympic 6-0100 lub BIshop 2-2924

ZASOBY PRZESZŁO 10 MILIONÓW
FRANK SOBOTKA, Sekretarz i Zarządca

SERDECZNE ŻYCZENIA
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

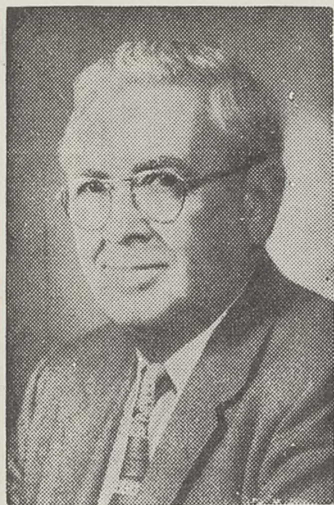
—— składa ——

Całej Polonii i Przyjaciołom

**NEW CITY AUTO
COMMERCIAL WORKS**

LUCIAN POMORSKI, Właściciel

**5307 SOUTH ASHLAND AVENUE
Telefon: HE 4-7300**



JOHN A. SIEROCIŃSKI

Serdeczne

ŻYCZENIA

Na Rok 1964

— przesyłają —



E. JOHN SIEROCIŃSKI

SECOND FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET I PULASKI ROAD
CHICAGO, ILLINOIS

JOHN A. SIEROCIŃSKI, Prezes
E. JOHN SIEROCIŃSKI, Wiceprezes

Dla Nowej Administracji po 34-tym Sejmie Związku Narodowego Polskiego

Serdeczne życzenia dalszej owocnej, pożytecznej i tak szlachetnej pracy w następnych latach dla dobra Waszej organizacji, dla członków i całej Polonii amerykańskiej — Zasyłają

Dr. Kazimiera J. Sajewska

oraz

Dr. Konrad Mazeski

BIURO OPTOMETRYCZNE

1212 NO. ASHLAND AVE.

Telefon HUmboldt 6-3227

Dokładna Egzaminacja Oczu Przed Dobraniem Okularów. — Długoletnie Doświadczenie

Pierwszorzędne Przyrządy Do Badania Wzroku i Gruntowna Wiedza

SERDECZNE POZDROWIENIA PRZESYŁA CZYTELNIKOM KALENDARZA ZWIĄZKOWEGO



WŁADYSŁAW SŁODKOWSKI
Właściciel
Stoprocentowa Rodzina Związkowa

SŁODKOWSKI RESTAURANT

PIERWSZORZĘDNA POLSKA RESTAURACJA

Ciasta i Ciastka Zawsze Świeże

1219 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill.

Telefon HUmboldt 9-3820

POZDROWIENIA ZASYŁA

UNIVERSAL

Savings & Loan Association

1800 SO. HALSTED ST., CHICAGO 8, ILL.

Po Dalsze Informacje Telefonujcie
HAymarket 1-3070 Do:

EDMUNDA J. BARABASIA
WICEPREZESA

ROZMÓWICIE SIĘ PO POLSKU

PAMIĘTAJCIE: WASZE KONTA SĄ ASEKUROWANE

Przez Agencję Rządu Stanów Zjednoczonych Żaden Oszczędzający Nie Stracił Jednego Centa w Universal Savings Przez 38 Lat Istnienia Spółki

Pamiętajcie, że Wasze oszczędności na naszych kontach inwestycyjnych przynoszą wam obecnie: 4½% Rocznie

ZABEZPIECZENIE . . .

48 lat praktycznego doświadczenia w Wysokiej Klasy Morgeczach, Oznacza Zabezpieczenie dla Naszych Oszczędzających, Którzy Zarobili 94 nieprzerwane dywidendy.
(Oszczędności złożone do 15go, zarabiają od 1-go)



SAVINGS EARN 4½%
Dividends Paid 4 Times a Year!
Assets Over 44 Million

Złożone 1916 Lincoln Federal Frank J. Kinst Prezes

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF BERWYN
Lincoln Circle - 6655 W. Cermak Road - Berwyn, Ill.
Telefon: PI 9-1900 - BI 2-2017



POWODZENIA

— życzy —

STANLEY ZIMA

COMMITTEEMAN 10-EJ WARDY

9138 S. HOUSTON

Z Okazji Zbliżającego Się 55-cio Lecia Dziennika Związkowego

Najserdeczniejsze Życzenia Wszelkiej Pomyślności w Dalszych Poczynaniach i w Dalszej Pracy Oraz Dalszego Rozwoju Dla Dziennika Związkowego Dla Dobra Stanów Zjed. i Sprawy Polskiej i także Dalszego Rozwoju ZNP

—zasyła—



EDWARD J. DERWINSKI

KONGRESMAN 4-GO DYSTRYKTU

Członek Tow. Obrońcy Wolności Im. Tadeusza Kościuszki, Gr. 1876 ZNP.

SYRENA

RESTAURACJA

WRZESIŃSCY BRACIA, Właściciele

CZŁONKOWIE GRUPY 768 Z. N. P.

Najpiękniejsza Polska Restauracja Na Town Of Lake

OCHŁADZANE POWIETRZEM
SALE NA WESELA, ZABAWY
ORAZ WSZELKIE OKAZJE

1825 WEST 47-MA ULICA

Tel. VIrginia 7-2024 i VIrginia 7-9660

Chicago, Illinois



ST. PAUL FEDERAL SAVINGS and LOAN ASSOCIATION

Established 1889 **Phone: NAtional 2-5000**

6700 West North Avenue • Chicago 38, Illinois

FRANK P. KOSMACH, Prezes

DRIVE-IN WINDOWS DARMOWY PARKING

175 MILION DOLAROWA
INSTYTUCJA OSZCZĘDNOŚCIOWA

SERDECZNE ŻYCZENIA NA ROK 1964

COLUMBUS SAVINGS AND LOAN ASS'N



2525 W. 47th St.
Chicago 32, Illinois
LAfayette 3-4284



PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE SĄ WYPŁACANE NAJWYŻSZE DYWIDENDY

4½% PŁACIMY NA INWESTYCJE

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZE WARUNKI DŁUGO TERMINOWYCH POŻYCZEK

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZĄ OBSŁUGĘ

Godziny: w Poniedziałek i Czwartek od 9 rano do 8ej wieczorem, we Wtorek i Piątek 9 rano do 5 po południu, w Soboty 9 rano do 12 w południe. W środę nie załatwiamy żadnych interesów.

CHARLES KOZŁOWSKI, Sekretarz i Zarządca

NASZEJ SZANOWNEJ KLIENTELI DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE I POLECAMY SIĘ NADAL JEJ PAMIĘCI.



W. SZYJEWSKI i SYNOWIE

WŁAŚCICIELE EUROPEJSKIEGO

SKŁADU WĘDLIN

1941 W. DIVISION STREET

Tel. ARmitage 6-2911

Chicago, Illinois



Antonina Błazończyk

Wesela, Srebrne Wesela, Urodziny, "Shower Party", Bankiety

GRUP, TOWARZYSTW I ORGANIZACJI

w przepięknej mniejszej sali

BLUE ROOM

SALI PUŁASKIEGO

1709 So. Ashland Ave.

Jest to jedna z najpiękniejszych i najbardziej nowoczesnych SAL NA POLONII dopiero co wykończona. Zapewniamy Was, że tu urządzone dla Waszych gości przyjęcie, pozostawi na zawsze niezatarte wspomnienia.

W dużej Sali zawsze są tańce w każdą sobotę i niedzielę.

W sprawie rezerwacji prosimy telefonować:

HAymarket 1-9620

i zapytać się o panią Antoninę Błazończyk, właścicielkę



JAN KOWALSKI

Zawsze zachowuje staropolski zwyczaj względem swych gości, mówiąc:

"CZEM CHATA BOGATA, TEM GOŚCIOM RADA"

Wstąpcie do

RITE LIQUORS

1649 W. DIVISION ST. CHICAGO, ILL.

Na Składzie Mamy Wszelkiego Rodzaju Tutejsze oraz Importowane: WÓDKI, LIKIERY, WINA i PIWA. Ceny Bardzo Przystępne Dla Wszystkich.



FINE ARTS STUDIO

1452
W. Chicago Av.

POLSKI ZAKŁAD
FOTOGRAFICZNY

LUDWIK i HELENA SKIKIEWICZ
Właściciele Studia

Specjalnością Naszą Są Fotografie Ślubne, Pojedyńcze i Grupowe

Zdjęcia Dzieci do Komunii Świętej i Podczas Graduacji. Ukończenia Szkoły. Każde Nasze Zdjęcie Jest Piękne i Czarujące

Po umówienie telefonujcie:
HAymarket 1-0610

CURRENT NOW **4½%** PER ANNUM

ALL ACCOUNTS



All money you save or invest by the 15th of the month will earn income from the 1st.

TRIDENT

SAVINGS & LOAN ASSN.

1935 W. 51st Street **Chicago 9**

WINCENTY E. CIESLEWICZ
President

PIOTR PUCILO
Secretary-Treasurer

PRospect 8-5800

ELECTRICAL WIRING

GRAJER ELECTRIC Construction Co., Inc.

KONTRAKTORZY ELEKTRYCZNI I INŻYNIERZY

•

DOSTARCZAJĄ SIŁY
ŚWIATŁA
PRZYBORY

•

S. GRAJER, Właściciel
2248 W. WALTON ULICA
Telefon: HUmboldt 6-3807

Dwa Świetne Lekarstwa



Na Każdy Dzień i Na Każdy Wiek

TRINER'S GORZKIE WINO

z Witaminą B-1

Jeden z najlepszych w Ameryce niezawodnych, łagodnych środków przeczyszczających na żołądek, odznaczony złotymi medalami na siedmiu Międzynarodowych Wystawach.

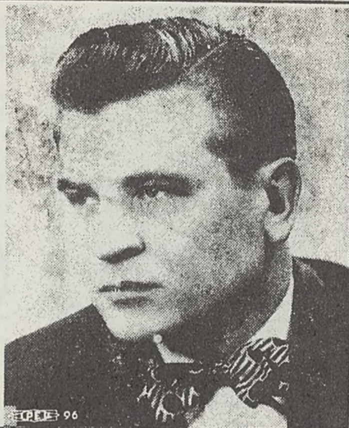
Joseph Triner Corporation

JOSEPH TRINER, Prezes
4053 WEST FILLMORE STREET
CHICAGO 24, ILLINOIS

Serdecznie Życzenia
1964

Daniel D. Rostenkowski

Kongresman
8go Dystryktu
Stanu Illinois





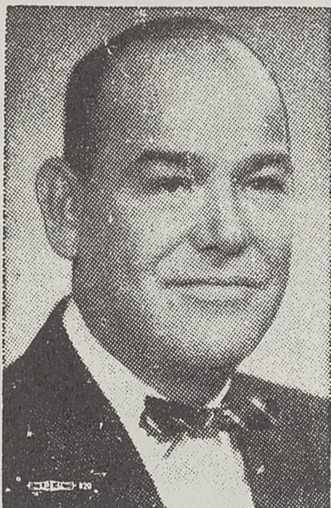
Najserdeczniejsze Życzenia w 1964 Roku Dla Członków Związku Nar. Polskiego

THOMAS A. McGLOON

SENATOR STANOWY

21go Senatorialnego Dystryktu

Dla moich Rodaków Wszystkiego Najlepszego we Wszystkich Waszych Poczynaniach i Staraniach dla Dobra Sprawy Polskiej



TED J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR MIASTA CICERO, ILLINOIS

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej i zawsze popiera wszystko co polskie.

Dalszego Rozwoju Z.N.P. Życzy



ROMAN C. PUCIŃSKI

Kongresman 11-go Dystryktu

w Stanie Illinois

i

Prezes Wydziału Kongresu Polonii Amerykańskiej na stan Illinois

NAJLEPSZE ŻYCZENIA I POMYŚLNOŚCI DLA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO ORAZ CAŁEJ POLONII POZDROWIENIA



WILLIAM N. ERICKSON

KOMISARZ POWIATOWY

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE SIĘ BOGACĄ

Dla Dobra, Bezpieczeństwa i Lepszej Przyszłości Waszej Całej Rodziny Oszczędzajcie w Polskiej Spółce

WORKMEN SAVINGS and Loan Association

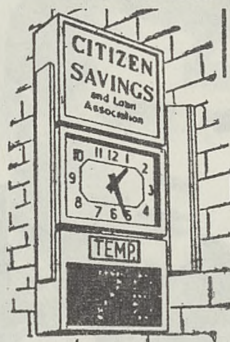
Telefon CLiffside 4-2121 254-2121

2724 WEST 47th STREET
CHICAGO, ILLINOIS



OSZCZĘDNOŚCI ZAASEKUROWANE DO SUMY $10,000 PRZEZ FEDERAL SAVINGS & LOAN INSURANCE CORP.

53 LAT UCZCIWEJ, WIERNEJ I NIEPRZERWANEJ SŁUŻBY





CITIZEN Savings & Loan Association

3919 West 26th Street

Tel. ROckwell 2-1264 Chicago, Ill.

Wypłacamy dywidendę po racie najwyższej na wszystkich kontach oszczędnościowych. Rządowa asekuracja na każdym koncie aż do $10,000.

BEZPŁATNE PARKOWANIE NA NASZEJ LOCIE DLA NASZYCH KOSTUMERÓW

Na Usługach Publiczności 53 Lat

Zasobów Ponad Siedem i Pół Miliona Dolarów

DO NOWOCZESNEGO PIECZENIA W DOMU



"UŻYWAJCIE"



OD RAZU — GOTOWYCH DO UŻYCIA

MAS

DO TORTÓW I PIECZYWA

•

Sprzedawanych We Wszystkich Czołowych Składach



9 WYŚMIENITYCH MAS DO WYBORU

- Z MAKIEM
- ŚLIWKOWA
- ANANASOWA
- MORELOWA
- MIGDAŁOWA
- DAKTYLOWA
- BRZOSKWINIOWA
- WIŚNIOWA
- ORZECHOWA

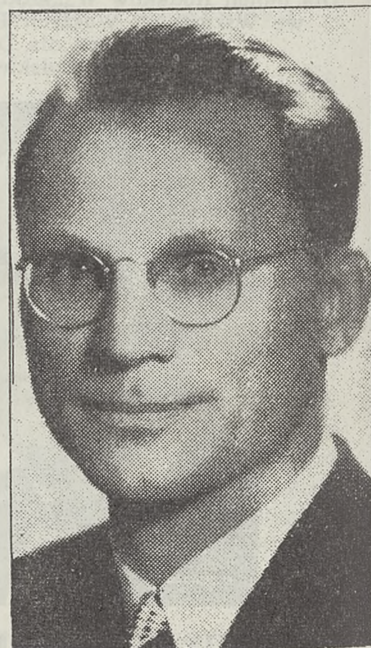
Napiszcie po BEZPŁATNĄ Broszurę z Przepisami i po Premiowe Oferty.

SOKOL & COMPANY

241 E. Illinois St., Chicago 11, Ill.

Tel. SUperior 7-0955

Dla Związku Narodowego Polskiego w Waszych uchwałach i decyzjach było zapewniane,— że sprawy polskie, sprawy Polonii amerykańskiej są nam zawsze bliskie i drogie dla nas wszystkich. W roku 1963 oby cele pracy i zamiary dla dobra Polonii i sprawy polskiej zostały osiągnięte.



KAZIMIERZ R. WACHOWSKI

111 W. WASHINGTON STREET

Telefon FRanklin 2-5107

Jako stypendysta Wydziału Oświaty Z.N.P. zostałem lekarzem, w którym to zawodzie pracuję 50 lat. W 1963 roku obchodziłem złoty jubileusz pracy lekarskiej. Dlatego życzę całej organizacji Z.N.P. kontynuowania tej szlachenej, chwalebnej i tak wzniosłej pracy dla dobra naszych rodaków, sprawy polskiej i Polonii Amerykańskiej—



DR. MICHAŁ J. BADZMIEROWSKI

F.A.C.S.—F.I.C.S.

OGÓLNA CHIRURGIA

SPECJALNOŚĆ WOLE (Goiter)

Ordynuje: w poniedziałki i czwartki od 1-ej do 8-ej wieczorem, we wtorek i piątki od 1-ej do 4-ej po poł.

W NOWYM BIURZE PRZY

1620 W. 18-ta Ulica **Tel. CAnal 6-4888**



SERDECZNE ŻYCZENIA

z okazji

NADCHODZĄCEGO NOWEGO ROKU

1964

zasyła całej Polonii i Przyjaciołom

FRANCISZEK BOBRYTZKE

KOMISARZ POWIATU COOK

Przewodniczący Dyrekcji

Manufacturers National Bank of Chicago

We use no fillers or preservatives in our sausages — We still use the old fashion natural spices, and smoke our sausage the old fashion way.

HARCZAK SAUSAGES HOME MADE



8117 Milwaukee
— YO 7-9788 —

7035 Higgins Rd.
— RO 3-4111 —

6738 Belmont Ave.
— AV 3-5822 —

OPEN SUNDAYS



Over 50 Varieties Of Home Made Sausages

5832 Milwaukee Ave.
SP 4-1924

Otwarte Przez Cały Dzień w Niedzielę

Doskonałej Domowej Roboty Kiełbasy, Szynki Wędzone, Boczki i Wiele Innych Doskonałych Wędlin. Wszelkiego Rodzaju Szynki Krakus i Atalanta

Także Importowane z Polski i Innych Krajów Europejskich

JAJKA ŚWIEŻE Z FARM

Wszystko Po Przystępnej Cenie

DLATEGO UDAJCIE SIĘ DO PIERWSZORZĘDNYCH SKLEPÓW EUROPEJSKICH WĘDLIN

WSZELKICH SUKCESÓW DLA DOBRA I ROZWOJU ORGANIZACJI BRATNIEJ POMOCY Z. N. P.

— zasyła —

DUDEK & BOCK SPRING MFG. CO.

4014-28 West Grand Avenue

Manufacturers of

AUTOMATIC WIRE FORMS AND SPECIALITIES

SPRING AND METAL STAMPINGS

CHICAGO, ILL.

4½%



NA KONTACH INWESTYCYJNYCH

Pieniądze Oszczędzane Do 15-go
Zarabiają Od 1-go

Dywidendy Płatne 31-go Stycznia i Lipca



Otwórzcie Teraz Wasze Konto
Oszczędnościowe

CRANE

Savings and Loan Association

LAfayette 3-1083

2555 W. 47-ma Ulica (47-ma i Rockwell)

Otwarte w Poniedziałki i Czwartki do 8 Wieczorem.
Zamknięte w Środy. We Wtorki i Piątki do 5 po połud.
W Soboty do 12 w Południe.

Serdeczne

Życzenia

Na

ROK 1964

składa

Samuel Sachnoff

FR 2-6800

38 SO. DEARBORN

Streptomycyna-
Rimifon,
Penicylina,
Insulina,
Witaminy
i Leki . . .



Pakujemy i wysyłamy do Europy Rimifon, który jest jednym z najnowszych i najskuteczniejszych środków na GRUŹLICĘ, jest bardzo pożądany w Polsce.

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW
OD 1920 ROKU

UNIVERSAL MEDICINE CO.

JAN KUKLIŃSKI
DYPLOMOWANY APTEKARZ

1901 W. DICKENS AVE.

Tel. BRunswick 8-4360 Chicago 14, Ill.

Dla lepszej przyszłości
Was i Waszej Rodziny
oraz dla bezpieczeństwa,
oszczędzajcie stale
z Waszych dochodów,
gdzie płacimy'



4½% Dywidendy



"NAJLEPSZA NA ZACHODZIE"
41 Lat Doskonałej Obsługi w Oszczędnościach
i Pożyczkach na Domy na Zachodnich
Przedmieściach

RIDGELAND SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

6650 W. Cermak Rd.

Tel. GUnderson 4-7600 Berwyn, Illinois

WM. J. RAYSPIS, Prezes i Zarządca

BEST WISHES TO ALL
OUR POLISH FRIENDS

— FROM —

CHICAGO STEREOTYPERS

UNION NO. 4

CHICAGO, ILL.

FRANKLIN UNION NO. 4

608 So. Dearborn Street

Chicago 5, Illinois

JOHN MILLAN..............................President
WILLIAM BUDZYN ....Secretary-Treas.
CHARLES J. PETERSON..Business Repr.

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
składa
Całej Polonii i Przyjaciołom
oraz Swoim Odbiorcom
AGENCJA
DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO

JÓZEF BARTCZAK
właściciel

8409 S. Baker Ave. Tel. BA 1-7266

POZDROWIENIA OD

REYNOLDS & CO.

Członek

New York Stock Exchange i Innych Głównych Wymian

Reprezentowana przez

EDWARD T. SPIKER

Telefon 427-9201

LA SALLE JACKSON BLDG.

111 W. JACKSON BLVD.

CHICAGO 4, ILL.



Polska Restauracja

F. & T.

Tel. EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

HENRYK NOWAK, Właśc.

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA
LIKIERY i WÓDKI

1182 MILWAUKEE AVENUE

CHICAGO 22, ILLINOIS

Dla Sportu i dla Zdrowia
Dla Zdobycia Przyjaciół

PILSEN RECREATION



Kręgielnia o 12-tu Allach

AIR-CONDITIONED
REFRESHMENTS

1509 West 18th St. **Tel. SEeley 3-9720**

CHICAGO, ILLINOIS

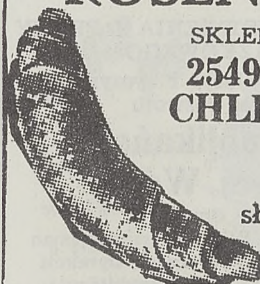
ROSEN'S BAKERY

SKLEP DETALICZNY

2549 W. Division Street

CHLEB, BUŁKI I INNE CIASTA

słynne w Chicago i okolicy



PIEKARNIA —i— HURTOWNIA **3015 West Lake Street** **Tel. VAn Buren 6-1614**



VAL. JANICKI
właściciel

WESOŁYCH ŚWIĄT
Składa Całej Polonii

VAL. JANICKI

United Novelty & Mfg. Co.

1159 Milwaukee Avenue

Wszelkie Artykuły na Srebrne
i Złote Jubileusze
Na Wesela, Bankiety, Zabawy,
Rocznice, Pikniki i Zebrania
Flagi Polskie i Amerykańskie
Na Zamówienie

Przesyłamy Nasze z Głębi Serca Płynące

Najserdeczniejsze Życzenia



Pomyślnych i owocnych poczynań
z okazji 55 lat istnienia
Dziennika Związkowego
i dalszego rozwoju tak wielce zasłużonej
organizacji dla sprawy polskiej — oraz
dalszego rozwoju i kontynuacji tej pięknej, a tak zbożnej pracy we wszelkich
kierunkach Waszych poczynań.



WM. J. CULLERTON
Alderman 38-ej Wardy

P. J. CULLERTON
Assesor of Cook County

Wraz z Całą Regularną Demokratyczną Organizacją 38-ej Wardy

Z OKAZJI 55-CIO LECIA ISTNIENIA I PRACY
DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO
zasyłamy serdeczne gratulacje i życzymy
dalszego sukcesu oraz rozwoju

Regularna Republikańska Organizacja 38-ej Wardy

JOHN MULVIHILL, Prezes
WILLIAM L. (BILL) MURRAY, Ward Committeeman
RICHARD P. McCARTER, Przewodniczący Dyrekcji
OSCAR HANSEN, Reprezentant do Legislatury
Stanowej 14-go Dystryktu

LEŚNIAK ROOFING CO.



FIRMA POKRYWANIA DACHÓW i ROBÓT BLACHARSKICH

Reperujemy i Kładziemy Nowe Dachy
Wykonujemy Wszelkie Roboty Blacharskie
Obliczenia Darmo — Ceny Niskie
Robota Gwarantowana
1802-06 West 18-ta Ulica Telefon CAnal 6-8569

Jeden z naszych dzielnych rodaków, popierających zawsze sprawy polskie materialnie i moralnie to —

Dr. Henry C. Lewandowski

6449 So. Pulaski Road Telefon 767-3744

J. KRAWCZYK

SKŁAD ręcznych robótek do wyszywania, heklowania, nici D. M. C., wielki wybór robótek wykończonych. Ceny niskie.
Wyślemy cennik.

1455 W. CHICAGO AVE. Tel. CA 6-4306

CASH IT HERE, INC.

1214 N. ASHLAND AVE.
CHICAGO 22, ILL.
Branch No. 1

Compliments of A FRIEND

DR. J. E. ZAREMBA

1922 WEST DIVISION STREET

Telefon HUmboldt 6-1757 **Chicago 22, Ill.**

Godziny biurowe: od 10 do 11 i od 2 do 4-tej
w środę i niedzielę biuro zamknięte

COMPLIMENTS

from

A FRIEND

To All Our Polish Friends

W. H. SAJEWSKI

Największy i Najstarszy Skład Muzyczny
i Wydawnictwo Polskich Nut i Rekordów
Sprzedajemy i Wysyłamy Nuty i Rekordy

1155 Milwaukee Ave. **Chicago, Ill.**
Tel. ARmitage 6-3452

CLEMENT GOSIEWSKI

Real Estate — Insurance — Tax Service

Tel. PE 6-1210

5230 W. Belmont Ave. Chicago, Illinois

COMPLIMENTS OF

Chicago Rawhide Mfg. Co.

1301 N. ELSTON AVE.

CHICAGO, ILL.

POZDROWIENIA OD

Dworak's Motor Service

Ill. C. C. 1263 M. C. C.
PSCI—6238-A1

TROKI — TRAILERY i TRAKTORY

504 NORTH WELLS STREET

DElaware 7-6221 **DElaware 7-6222**

Stanowy Reprezentant 15-go Dystryktu



CHESTER R. WIKTORSKI,

Junior

W roku 1963 odbył się Sejm 34-ty ZNP
Dla Całej Nowej Administracji
Powodzenia i Dalszych Sukcesów
w Następnej Kadencji

— zasyła —

DR. JAN M. RADZIŃSKI

Dla największej polskiej organizacji
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

Wszystkiego Najlepszego
We Wszystkich Poczynaniach
Dla Nowej Administracji po 34-tym Sejmie

życzy

Dr. Stanley Swiontkowski

MASZYNKI DO PISANIA

MASZYNKI DO PISANIA

Kupujemy — Sprzedajemy i Wymieniamy
Roczny Kontrakt Obsługi

MID-CITY TYPEWRITER EXCHANGE

Przebudowa—Naprawa—Maszynki Biurowe

943 West Madison Street

Telefon MOnroe 6-0745 **CHICAGO, ILLINOIS**

Z Okazji Wyboru Nowej Administracji Na Sejmie Z. N. P.
Powodzenia we Wszelkich Poczynaniach w Następnych Latach — Zasyła

HALICKI FINISHING CO.

Complete Polishing and Buffing Service

JOSEPH HALICKI, Właściciel

4546 WEST 47th STREET **VIrginia 7-4119**



Jesteśmy w Chicago i Okolicy Na Wasze Usługi Sposobem Catering

EDWARD MOSKAL,

Prezes Gminy 75 Z. N. P.

Z ŻONĄ WANDĄ

ORAZ JÓZEF, OJCIEC,

WŁAŚCICIELE

Pięknej Gospody i Sali

831 NORTH ASHLAND AVENUE

Trunki Krajowe i Importowane oraz Sala pięknie odnowiona z air conditioned na posiedzenia, zabawy, wesela, bankiety i inne okazje. Sposobem CATERING obsługujemy wesela, bankiety, i przyjęcia ku najlepszemu zadowoleniu Waszych gości i Was samych.

Po zamówienia telefonować: **421-3424**

NAJLEPSZĄ SODĘ I LEKKIE NAPOJE
Wyrabia i Sprzedaje



POLONIA BOTTLING CO.

1912 WEST HUBBARD STREET

TEL. SEELEY 3-5933 **CHICAGO, ILL.**

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Ill.

Skład Żelastwa i Przyborów Domowych

W. T. CHOJNACKI & SON

Paints - Hardware - Electric Appliance

2900-02 So. 48th Court **Cicero 50, Ill.**

Telefon OLympic 6-5858

Wszelkiej Pomyślności dla Członków Związku Narodowego Polskiego i Zarządu

---

Adams Auto Construction Co. Inc.

ADAM WASKOWSKI i SYNOWIE, Współwłaśc.

4116 Belmont Avenue

40 Lat w Interesie Tego Rodzaju

Kompletna reperacja automobilów, montowanie.
Specjalne maszyny do balansowania kół.
Prostowanie i malowanie fendrów.
Doświadczenie 2-ich generacji.

W Dziedzinie Mechaniki Wszelkich Automobilów.

Telefon KIldare 5-8453

A. W. WANEK & CO.

NAJSTARSZA POLSKA AGENCJA ASEKURACYJNA W ŚRÓDMIEŚCIU

SPECJALNOŚĆ

Asekuracja od Ognia i Odszkodowania

Który jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej od założenia

175 W. Jackson Blvd. **Chicago, Ill.**

Pokój 758 **Tel. 822-5973**

GENOWEFA WANEK
Główna zarządczyni i kierowniczka

J. B. Pallasch and Sons

Biuro Realnościowe

Hipoteki, Asekuracja oraz Sprawy Prawne
Firma istnieje przeszło 65 lat

1146 NOBLE STREET

Chicago, Ill.

Telefon ARmitage 6-1517

POLSKA FIRMA

STANDARD ELSMERE GRANITE CO.

1754 NORTH SPAULDING AVENUE

Sprzedaje przez pogrzebowych Standard Burial Vaults, Gwarantowane Water and Vermin Proof — Self Sealing Cover

JOSEPH C. STEINER, Prezes
PAUL M. WILLIAMS, Wiceprezes
i zarządca generalny, z którym rozmówicie się po polsku

Telefon: ALbany 2-0120

W SECURITY
WASZE OSZCZĘDNOŚCI SĄ BEZPIECZNIE ASEKUROWANE!

Do $10,000

przez Federal Savings and Loan Insurance Corp., Washington, D. C.

Skorzystajcie z tych udogodnień:

- **Bezpieczeństwo**
- **Wygoda**
- **Łatwość Zwrotu**
- **Wyższe Zyski**

Security Federal Savings and Loan Association

1209 N. MILWAUKEE AVE.
CHICAGO 22, ILLINOIS

BIBLIOTHECA UNIV. JAGIELL. CRACOVIENSIS

CAS' FLORAL SHOP

PLANTS and CUT FLOWERS FOR ALL OCCASIONS

Flowers Telegraphed Anywhere

Telephone BRunswick 8-4738

2016 W. WEBSTER AVE.
Chicago 47, Ill.

C. L. BRZOZOWSKI
Właściciel



PIOTR P. KEZON
Prezes i Zarządca

SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

— składa —

SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM
ZWIĄZKOWCOM I ZWIĄZKOWCZYNIOM
ORAZ CAŁEJ POLONII
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1964

Oszczędzajcie w Największej Polskiej Spółce w Town of Lake

BIEŻĄCA RATA DYWIDENDY

4 ½%

ROCZNIE



SUPREME SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-1755 WEST 47th STREET YArds 7-3895 Chicago, Ill.

Największa Polska Spółka na Town of Lake

ZARZĄD, DYREKCJA I PRACOWNICY

PIOTR P. KEZON, Prezes i Zarządca

Piotr Radochonski, Wiceprezes
Paweł Kubalica, Wiceprezes
Józef Soltis, Wiceprezes i Kontroler
Ann Marie Kezon, Sekretarz
Jan E. Gierut, Asyst. Sekr.
Daniel P. Kezon Asyst. Sekr.
Czesław T. Niedzialek, Skarbnik
Irena S. Konecki, Asyst. Skarbnika
Czesława Mesevich, Asyst. Skarbnika
Stefan Dominski, Dyrektor

Adam J. Kezon, Dyrektor
Stanisław Bafia, Dyrektor
Edward Knych, Dyrektor
Marcin Glista, Dyrektor
Stanisław Laczkowski, Dyrektor
Alicja M. Harder, Gł. Kasjerka
Helena Tuleja, Asyst. Gł. Kasjerki
Marianna Tabak, Kasjerka, Klerk
Janina Moscinski, Kasjerka, Klerk
Janina Janik, Steno-Klerk

Lucja Rudis, Steno-Klerk
Diana R. Jablonski Klerk
Helena Tomaszkiewicz, Kasjerka
Małgorzata Duggan, Klerk
Annette Hoffman, Klerk
Teresa G. Nawara, Klerk
Barbara Prychocki, Klerk
Ralph Bruno, Kasjer
Harold Welsch, Klerk
Edward Glista, Klerk

Rosemary Thomas, Klerk
Vivian F. Vrabel Klerk
Felicja J. Moll Klerk
Tomasz Tomaszkiewicz, Gospodarz



ZASOBY PRZESZŁO $30,000,000.00

Wszystkie Oszczędności Zarabiają

4½%

w Fairfield Savings

Przyjemniejsze Życie istotnie zaczyna się z Fairfield kontem oszczędnosciowym. Wszelkie konta zarabiają wysoką ratę 4½% rocznie bez względu na wysokość lub rodzaj konta jaki wybierzecie. W dodatku, możecie dodawać lub wyciągać jakąkolwiek sumę ze swego konta kiedykolwiek a pozostała suma w dalszym ciągu przynosi 4½%. Dywidendy są wypłacane dwa razy do roku i każde konto jest zaasekurowane aż do $10,000 przez agencję rządu Stanów Zjednoczonych.

Oszczędzający w Fairfield korzystają z szybkiej ,dogodnej obsługi w naszych nowoczesnych biurach. Nadto mamy wiele miejsca do parkowania. Dla zamieszkałych poza granicami miasta i dla tych którzy wolą oszczędzać za pomocą poczty, Fairfield zaopatruje w kompletne "save-by-mail kit" i opłaca przesyłkę pocztową pierwszej klasy w obydwie strony.

Otwarte trzy wieczory w tygodniu:
Poniedziałek, Czwartek i Piątek—9 rano do 8 wiecz.
Wtorek—9 rano do 4 po poł.; Sobota—9 rano do 12 w poł.





FAIRFIELD
Savings
YOUR KEY TO HAPPIER LIVING



Corners of Milwaukee, North and Damen Avenues

Tel. HUmboldt 9-4800 **Chicago, Ill.**

po dezynfekcji